

# Powieści Justina Scotta

w Wydawnictwie Amber

*Błękitne Bractwo*

*Licytacja*

*Pościg na oceanie*

*Szał*

*Hardscape*

*Królewskie więzy*

*Port szpiegów*

*The Widow of Desire*

*Znikający skarb*

JUSTIN  
J. SCOTT

# LICYTACJA

Przełożyła  
BEATA PALUCHOWSKA



Tytuł oryginału THE AUCTION

Autor ilustracji

KLAUDIUSZ MAJKOWSKI

Opracowanie graficzne

IMI design studio /prepress

Redaktor

MARIA KWIATKOWSKA

Redaktor techniczny

ANNA WARDZAŁA

Copyright © Justin Scott 1984

For the Polish edition Copyright © 1994 by Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

ISBN 83-7082-316-5

Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

Warszawa 1994. Wydanie I

Druk: Łódzka Drukarnia Dzielowa

Mojej żonie, Glorii Hoye,  
i naszym przyjaciołom,  
Markowi i Marilyn Barty-King  
— pierwszą książkę napisaną w Parmalee Hill.

# Prolog

W Monachium obstawili limuzynę samochodami z ochroną. Kiedy się zatrzymała, wypadli na chodnik z pistoletami maszynowymi w rękach, obrzucając czujnymi spojrzzeniami jezdnię, chodniki, bramy domów i szczyty dachów.

W Rzymie było gorzej. Tam wsadzili pana Hammonda do zwykłego fiata, podwoili ochronę, codziennie zmieniali hotele i trasy przejazdów, i modlili się, żeby tak papież wprowadził stan wyjątkowy.

Teraz był to jednak Londyn, a w Londynie nie można wymachiwać bronią i pan Hammond nie może tu jeździć fiatem. Kiedy więc czarny daimler majestatycznie mijał Harrodsa, Wheeler, szef ochrony Hammonda, podązał za swoim pracodawcą w nie rzucającym się w oczy szarym jaguarze.

Wheeler uważał, że Londyn jest jednym z ostatnich miast, gdzie ciągle jeszcze jazda elegancką limuzyną nie stanowi jawnego zaproszenia dla porywaczy. Oczywiście, to miasto także ma swoje problemy: zamachowców z IRA, arabskich fanatyków, bałkańskich maniaków — są to jednak elementy pewnych sporów politycznych. Poza tym Charles Hammond nie może być celem politycznego zamachu: Jest faktorem, pośrednikiem w wielkich interesach, człowiekiem, który naprawia, a nie prowadzi wojnę. Pracował ciężko, by nie narobić sobie wrogów, gdyż

wrogowie stanowią przeszkodę, a zawód pana Hammonda polegał właśnie na usuwaniu przeszkód, aby ludzie mogli robić interesy.

Daimler zjechał z ruchliwej Sloane Street i chwilę później zatrzymał się na Herbert Crescent przed kamienicą o fasadzie w stylu holenderskim. Wheeler zaparkował jakieś sto stóp dalej, na spokojnej, wąskiej uliczce, i porozumiał się przez radio z siedzącą w limuzynie eskortą Hammonda.

Pośrednik, jak zwykle, wysiadał już z samochodu. Ochroniarze wyskoczyli za nim. Byli szybcy i zrównali się z Hammondem, zanim dotarli do wejścia, kryjąc go między sobą. W domu z holenderskim frontonem oczekiwano już gościa. Drzwi otworzyły się, gdy tylko dotarli na podest, i sekundę później zamknęły.

Wheeler rozejrzał się po zabudowanej rezydencjami ulicy, pustej, jeśli nie liczyć samochodów zaparkowanych przy krawężnikach. Odprężył się. Był zmęczony. Pan Hammond przygotowywał coś dużego i bez przerwy byli w ruchu. Ostatnie dwa tygodnie zlewały się w jego pamięci w jedno zamazane pasmo portów lotniczych i hoteli. Teraz było już prawie po wszystkim. Za kilka godzin znajdą się na pokładzie odrzutowca i noc sylwestrową spędzą w Nowym Jorku. Nikt nie wiedział o ich przyjeździe, co oznaczało, że nie będzie kolejnych spotkań, eskorty, lecz tylko zorganizowane w ostatniej chwili przyjęcie w hotelowych apartamentach, z kilkoma życzliwymi, wynajętymi panienkami. A potem spanie do późna w pierwszy dzień Nowego Roku.

Na następny dzień zaplanowano rozmowy w Organizacji Narodów Zjednoczonych, być może krótkie spotkanie w Comptelu z panną Thorp, a potem długi lot do Tananariwy, by świętować malgaskie wybory, bez względu na to, która strona je wygra. Pan Hammond był zaprzyjaźniony z obiema. Wheeler opuścił szybę. Było ciepło, jak na tę porę roku.

Zza rogu Herbert Crescent wyszedł umundurowany policjant. Wheeler oszacował go okiem zawodowca. Masywny mężczyzna, przynajmniej sześć stóp i cztery cale wzrostu, wyglądał w swoim kasku na jeszcze wyższego. Człowiek tak potężny, który umiałby w dodatku poruszać się szybko, a chód policjanta na to właśnie wskazywał — to gość, z którym należałoby się liczyć. O ile tylko jego mózg był zdolny sensownie poruszać maszyną takiego ciała.

Wheeler zerknął we wsteczne lusterko. Jezdnia i chodniki nadal były puste. Obserwował drzwi, w których zniknął pan Hammond. Londyński *bobby* znalazł się na wysokości daimlera, schylił się, żeby zajrzeć przez przyciemnione szyby i dostrzegł kierowcę.

Wheeler sięgnął po radio.

— Zostańcie w środku — polecił ludziom wewnątrz budynku.

— W porządku — nadeszła odpowiedź. Byli to Anglicy, pracownicy londyńskiego biura Hammonda. Wheeler podróżował z Hammondem, podobnie jak Rice, kierownik jego biura oraz sekretarz Rice'a, były pracownik FBI, którego zadaniem była także ochrona pryncypała. Reszta personelu pomocniczego była miejscowa. Hammond miał biura w Londynie, Tokio, Waszyngtonie i Tananariwie, które wspierały go w prowadzeniu spraw w Europie, na Wschodzie, w Stanach i w Afryce.

Wheeler przełączył kanał i odezwał się do szofera:

— Daj mu po prostu swoje prawo jazdy i dowód rejestracyjny.

Kierowca był Maltańczykiem. Zatrudniono go niedawno i choć miał świetne rekomendacje, ciągle jeszcze był nerwowy i zbyt gorliwy.

— Tak, proszę pana.

— Jeśli będzie ci robił jakieś trudności, odeślij go do mnie.

— Dziękuję, proszę pana.

Wheeler przyglądał się, jak policjant obchodzi limuzynę i wkracza na jezdnię. Szofer otworzył okno, wręczył mu prawo jazdy i dowód rejestracyjny. Jeden z dokumentów upadł na ziemię. *Bobby* cofnął się i czekał. Kierowca wysiadł z samochodu, schylił się niezgrabnie i podniósł papiery.

Wheeler z aprobatą pokiwał głową; policjant postąpił słusznie, nie wystawiając się na ewentualne niebezpieczeństwo nawet w tak banalnej sytuacji. Podobnie miał rację sprawdzając, co robi daimler przed Overseas Club. Pomimo faktu, że był to całkiem oficjalny prywatny klub dla emerytowanych oficerów służb wywiadowczych — głównie Brytyjczyków i Amerykanów — jego członkowie mogli wzbudzać niepożądane zainteresowanie. Nie mając chwilowo nic do roboty, Wheeler sam się zastanawiał, jakie sprawy załatwia tu Hammond.

Policjant zwrócił papiery szoferowi i wrócił na chodnik. Wheeler, przygotowując własne dokumenty, zamruczał przez radio:

— Droga wolna.

— Dobra — potwierdził z ulgą człowiek w klubie. Hammond zawsze się spieszył i nikt nie lubił informować go, że musi czekać.

*Bobby* dostrzegł siedzącego w szarym jaguarze Wheelera i wyszedł na jezdnię.

— Dzień dobry, sir — zasalutował.

— Czekam na pewnego dżentelmena, który gości w Overseas Club — wyjaśnił Wheeler i podał swoje międzynarodowe prawo jazdy.

Trzymając dokumenty dwoma grubymi palcami, policjant skierował je w stronę promieni bladego słońca. Sprawiał wrażenie twardego, młodego chłopaka ze wsi, bardzo pewnego siebie. Jego surowe oczy ześliznęły się szybko z dokumentów na twarz Wheelera.

— Ma pan pozwolenie na tę broń, sir?

*Twardy sukinsyn* — pomyślał Wheeler, zirytowany, że policjant zauważył niemal niedostrzegalne wybrzuszenie na jego doskonale skrojonej wełnianej kurtce. *Sam nie ma broni, a pyta o moją. Mógłbym go przecież zabić w ułamku sekundy.*

— Jest w tej kieszeni.

— Chciałbym je zobaczyć.

— Oczywiście. — Wheeler zerknął na drzwi Overseas Club. Jak by to, do licha, wyglądało, gdyby Hammond wyszedł z klubu i pojechał na lotnisko, podczas gdy jego ochroniarzowi sprawdza się pozwolenie na broń? Wręczył policjantowi dokument i sięgnął po radiotelefon, żeby polecić ochronie pozostanie wewnątrz budynku.

— Pistolet, sir.

— Po co?

— Numer seryjny.

— W porządku.

Odłożył mikrofon, wyciągnął broń z kieszeni, wyjął magazynek i przez uchylone okno podał pistolet policjantowi, ręką do przodu. *Bobby* sięgnął po niego, drugą ręką zwracając prawo jazdy. Wheeler chwycił je i w tej samej chwili uświadomił sobie, że popełnił śmiertelny błąd pozwalając, by jego obie ręce były zajęte.

W lewej dłoni policjanta błysnął metal. Mężczyzna poruszał się zwinnie jak na tak potężnego osobnika. Pchnął z szybkością błyskawicy i wdziękiem tancerza. Sztylet wystrzelił z jego dłoni jak język węża. Zaślnął w słońcu i zagłębił się w gardle Wheelera, tuż pod węzłem krawata.



Napastnik wyciągnął ostrze z szyi ofiary, oparł jego twarz o kierownicę, wytarł do czysta wąską klingę o rękaw Wheelera i spokojnym, miarowym krokiem ruszył w kierunku Crescent Garden.

Charles Hammond wyszedł pierwszy, ochroniarze przepchnęli się za nim. Hammond był niskim, krępyim pięćdziesięcioletkiem o rudych włosach, krzaczastych brwiach i szczeciniastym wąsie. Kiedy energicznie zbiegał ze schodów, przypominał mocno napompowaną piłkę.

Goryle dogonili go u stóp schodów i osłonili swoimi ciałami tak, jak to zrobili poprzednio. Jeden z nich mówił do radiotelefonu, starając się nawiązać kontakt z siedzącym w jaguarze Wheelerem. Przeklinał zaburzenia atmosferyczne, które najwidoczniej zablokowały sygnał. Drugi, który wiedział, że rumiana cera Hammonda jest symptomem marnego stanu jego serca, zastanawiał się, co zrobić, by jego podopieczny nieco zwolnił. Pościg nie był najwłaściwszą metodą. Hammond uprzedził go, sięgając do klamki daimlera. Jedną z podstawowych zasad systemu bezpieczeństwa, wprowadzonego przez Wheelera, polegała na tym, że szofer nigdy nie wysiadał, by otworzyć drzwi. Hammond szarpnął klamkę i wskoczył na tylne siedzenie samochodu.

Pochylił się w przód, żeby zastukać w szklaną przegrodę, dając swój zwykły niecierpliwy sygnał do odjazdu, i zawołał: — Gatwick!

Przegroda była opuszczona; Hammond z irytacją wcisnął podnoszącą ją guzik.

— Mówiłem, żebyś trzymał tę cholerną szybę zamkniętą!

Kierowca odwrócił się z ujmującym uśmiechem. Człowiek z obstawy wsiadał już do samochodu, kiedy dostrzegł broń w dłoni kierowcy. Szofer wystrzelił z prawej ręki i biała mgła osnuła twarz Hammonda.

Ochroniarz pomyślał, że zapachniało brzoskwiniami. Zatrzymał się na moment, po czym zaczął z powrotem pakować się do środka. Kierowca wrzucił pistolet gazowy za podnoszącą się przegrodę. Osłonił dłonią twarz przed oparami, które unosiły się w przedziale pasażerskim jak para w mroźnym powietrzu — i dwukrotnie wypalił z automatycznego pistoletu z tłumikiem, trzymanego w lewej ręce.

Pierwsza kula przeszła ponad ramieniem faceta z ochrony i powaliła jego partnera; dźwięk stłumionego wystrzału nie był głośniejszy od stuknięcia, z jakim pocisk ugodził ciało. Drugi strzał odrzucił ochroniarza od samochodu i rozciągnął na chodniku.

Daimler ruszył gwałtownie i otwarte tylne drzwi zatrzasnęły się same. Na końcu Herbert Crescent skręcił z dużą prędkością i zniknął, kierując się w stronę Sloane Street.

Wheeler nie podnosił głowy wspartej o kierownicę i trzęsącymi się palcami szukał kluczyka tkwiącego w stacyjce. W ustach czuł krew, ale ostrze widocznie ominęło serce, bo nadal oddychał. Zacisnął palce na kluczyku.

Był oszołomiony tym, co się zdarzyło, ale postanowił czekać. Zdawało się, że trwa to wieczność. Jeśli się pomylił, straci jedyną szansę podążenia śladem Hammonda. Usłyszał startującą limuzynę. Chwilę później ruszyła, stojąca kilka samochodów za nim, biała viva.

Dopiero gdy drugi samochód skręcił za róg, Wheeler uruchomił silnik. Unikając gwałtownych ruchów, by ograniczyć krwawienie, wyprowadził jaguara na jezdnię. Dogonił oba pojazdy na Sloane Street. Lśniaca viva mknęła w kierunku Knightsbrigde, śpiesząc się, by przejechać na tych samych światłach co daimler, który majestatycznie skręcił w prawo, wymijając tłoczące się czarne taksówki.

Wheeler przyspieszył. Jaguar wyskoczył do przodu szybciej, niż zamierzał. Wziął zakręt, kiedy światła zmieniły się na czerwone i skrył za furgonetką rozwożącą prasę. Wheeler nie czuł bólu, tylko odrętwienie, rozchodzące się od rany, podobne do tego, jakiego doświadcza człowiek, który za dużo wypił. Wiedział, że prowadzi samochód kiepsko, jakby kierownica i pedał gazu były tylko odbiciami w lustrze.

Furgonetka stanęła obok kiosku z gazetami, odsłaniając daimlera i trzymającą się blisko niego vivę. Wheeler spróbował zawiadomić przez radio policję. Przełączniki znajdowały się na mikrofonie, ale kiedy znalazł właściwy kanał stwierdził, że nie może mówić.

Ostrożnie przechylił głowę i pozwolił, by słona krew wypłynęła mu z ust na spodnie. Pomyślał, jak zawsze, gdy miał je na sobie, że dwieście pięćdziesiąt dolców za parę portek to całkiem niezłe jak na emerytowanego żandarma armii Stanów Zjednoczonych. Pracował już dla Hammonda od

lat, kiedy pewnego dnia ten oświadczył, jakby widział go pierwszy raz:

— Wyglądasz okropnie! — Zaprowadził go do najlepszego sklepu w jakimś mieście, w którym akurat gościli, i kupił mu ubranie. A tymczasem Rice dostawał szału, ponieważ byli spóźnieni na spotkanie z grupą bankierów.

Pozbycie się krwi z ust nie pomogło. Nadal nie mógł mówić. Wiedział także, że nie prowadzi dość dobrze, żeby zepchnąć daimlera z drogi. Nie teraz, kiedy viva osłaniała mu flanki. Mógł tylko jechać za nimi.

Sylwetka Hammonda była częściowo widoczna przez przyciemnioną tylną szybę: ciągle siedział prosto, ale jego kwadratowa głowa pochyliła się na bok, jakby spał. Daimler raptownie zmienił pas ruchu i ciało Hammonda osunęło się na siedzenie. Bezgłośnie przekleństwo zagotowało się w gardle Wheelera. Gdyby chcieli zabić Hammonda, nie zawracaliby sobie głowy usypianiem go, ale też nie użyliby gazu, wiedząc o jego chorym sercu.

Daimler zjechał na lewą stronę podziemnego przejazdu pod Wellington Arch i skręcił w Park Lane, nabierając szybkości. Potem minął Marble Arch i wjechał w Edgware Road. Wywozili Hammonda na północ, poza miasto. Wheeler podążał za nim uparcie. Zesztywniały mu dłonie i stopy, wzrok na zmianę to pogarszał się, to poprawiał. Ochroniarza ogarnął strach, gdy do jego świadomości zaczęło nagle docierać, że nie będzie mógł jechać dalej, gdyż umiera.

# Księga pierwsza

# Rozdział pierwszy

Chamberlain pomyślał, że choć raz udało mu się być w domu na Nowy Rok. Stracił już Boże Narodzenie, zajęty łagodzeniem sporu między Comptelem i lokalną policją w Rangunie, o ochronę zakładów przemysłowych. Po siedemnastu latach rodzina przyzwyczaiła się do ciągłych zmian jego planów, chociaż matka wciąż powtarzała ze smutkiem, że wydawało jej się, iż będzie miał większy wpływ na swoje urlopy, odkąd opuścił marynarkę. Była to delikatna sugestia, aby wrócił do domu i osiadł na stałe. I rzeczywiście, parę minut po rozpoczęciu pierwszego Sylwestra w rodzinnym gronie, jego brat, Billy, zapytał:

- Jak długo jeszcze chcesz się bawić w żołnierzyka?
- Skończyłem z tym.
- Wiesz, o co mi chodzi.

Kiedy Chamberlain w wieku siedemnastu lat pierwszy raz opuścił Connecticut, rodzina mogła powiedzieć sąsiadom: „Pete nie może powiedzieć, dokąd jedzie”. Każdy jednak, kto czytał gazety, wiedział, że musi to być Laos albo Kambodża, gdyż bliski koniec wojny w Wietnamie nie był tajemnicą. Później jednak, po okresie studiów na nowojorskim uniwersytecie, opłacanych skąpo przez Wuję Sama, to pytanie zrobiło się kłopotliwe. Gdzie w czasie pokoju mógł działać oddział FOK Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych?

Jednym z takich miejsc była Zatoka Perska, gdzie do rewolucji

szkolili wojska szacha, potem odbijali zakładników. Podczas tej akcji Chamberlain stracił więcej przyjaciół, niż miał ich na Morzu Południowochińskim. Innym razem działali w basenie Morza Śródziemnego, gdzie stosowali wobec pułkownika Kadafiego metodę łagodnej perswazji. Kiedy indziej był to, o dziwo, południowy Atlantyk, gdzie dostarczali amunicji przypartym do muru brytyjskim oddziałom szturmowym, które wylądowały poza zasięgiem broni ręcznej, a zbyt blisko jak dla artylerii.

Potem Chamberlain pozwolił, by skusiła go CIA i opuścił marynarkę. Wywiad, odrodzony po pogromie we wczesnych latach siedemdziesiątych, operował na wodach Salwadoru i Nikaragui. Jego szefowie doszli do wniosku, że łatwiej jest nauczyć płetwonurków z oddziałów dywersyjnych jak być szpiegami, niż wyszkolić szpiegów, by dorównywali żołnierzom FOK. Chamberlain pracował w zespole ze swoim starym kumplem z marynarki, Arnie Fastem. Arnie, który opuścił armię kilka lat wcześniej i miał teraz spore wpływy w CIA, zabrał go do Europy, gdzie Chamberlain — oficjalnie nadal w marynarce, choć w rzeczywistości na cywilnym kontrakcie CIA — pracował trochę na dnie Łąby, zanim dołączył do brygady antyterrorystycznej współpracującej z CIA. Pogmatwane ścieżki życiorysu doprowadziły go w końcu do udziału w akcji ratowania porwanego szefa monachijskiego biura Comptel Inc.

Comptel był międzynarodowym koncernem telekomunikacyjnym, z główną siedzibą w Ameryce. Ponieważ zajmował trzynaste miejsce na liście pięciuset najbogatszych przedsiębiorstw, opublikowanej przez miesięcznik „Fortune”, szefowie z Comptelu przyzwyczajeni byli kupować to, co chcieli. Podziękowali więc Chamberlainowi za pomoc i zaofiarowali mu pracę w charakterze specjalisty od rozwiązywania międzynarodowych problemów bezpieczeństwa. Na jego wizytówce widniał napis *Wiceprezes do Spraw Analizy Bezpieczeństwa*.

— Amatorskie dupki! — określił ich Arnie Fast.

Jednak Chamberlain opuścił CIA, porzucając historyjkę o pracy w marynarce, i przyjął ofertę Comptelu, gdyż widział wreszcie szansę wykorzystania siedemnastoletniego doświadczenia wojskowego i szpiegowskiego dla osiągnięcia prawdziwego sukcesu. Obecnie, po dwunastu miesiącach, zastanawiał się, czy przyjemność bycia człowiekiem biznesu,

polegająca głównie na lataniu pierwszą klasą i posługiwaniu się tytułem VIP, w ogóle warta jest zachodu. W sylwestrowe popołudnie zwierzył się ze swoich rozterek starszemu bratu.

— Czego więc chcesz? — spytał Billy, pewny siebie trzydziesto-  
sześcioletek, który właśnie zaczął robić interesy w budownictwie.

— Jakiejś przyszłości.

— Trafieś więc we właściwe miejsce, Pete.

— To ma być Sand Bend? Od kiedy?

Billy dał Chamberlainowi żartobliwego kuksańca w ramię i zdumio-  
ny zaczął rozcierać sobie dłoń.

— Ciągłe w formie?

— To jedna z rzeczy, za które mi płacą.

— Przejedziemy się.

— Właśnie przyjechałem. Mama chce porozmawiać.

— Mama chce, żebyś się ze mną przejechał.

Lśniaca nowa corvetta Billego, w kolorze strażackiej czerwieni, stała  
zaparkowana przed domem rodziców w Cape Cod. Był to niewielki bu-  
dynek kryty bitumiczną dachówką. Billy statecznie wjechał do miasta,  
minął skromny, czworokątny kompleks handlowy — z pocztą, domem  
towarowym, domem sprzedaży wysyłkowej, sklepem z artykułami pa-  
pierniczymi i agencją wynajmu — i pojechał dalej nadrzeczną ulicą.  
Słońce świeciło blado, z trudem przebijając się przez chmurę, która  
napłynęła z północnego wschodu. Zrobiło się trochę cieplej, co zapowia-  
dało obfite opady śniegu.

— Ciągłe ją docierasz?

— Jeźdź bez szaleństw. Mam zbyt wiele rzeczy, dla których warto  
żyć.

— W takim razie po co kupiłeś corvette?

— Bo mogę sobie na to pozwolić.

Chamberlain dobrze pamiętał, że kiedy wyrasta się w biedniejszej  
części północno-zachodniego Connecticut, lśniący stingray wydaje się  
nastoletniemu chłopakowi szczytem marzeń. Dwie mile dalej Billy wje-  
chał do opuszczonej wytwórni węży strażackich w Sand Bend. Kiedyś  
dawała zatrudnienie całemu miasteczku. Była to mocna, licząca sto lat  
budowla z cegły. Rzeka, przegrodzona zaporą elektrowni, rozlewała się  
w tym miejscu szeroko. Były tam trawniki, potężne stare drzewa i wyso-  
kie palladiańskie okna.

- To okna podsunęły mi ten pomysł. Chodzi o światło.
- Kupujesz to?
- Próbuję.
- Żeby robić węże strażackie?

Brat z udawaną cierpliwością potrząsnął głową.

- Nie węże. Apartamenty. Mieszkania i biura.

Łukowate okna ciągnęły się przez całą wysokość trzech kondygnacji. Chamberlain wyobraził sobie słońce padające na jasne, wypolerowane drewniane podłogi.

- To ładne.

- I rzeka. To przypomina park. Będzie tu pięknie.

– Co na to miasto? – zapytał Chamberlain, wiedząc, że radni w tej części Nowej Anglii nieprędko akceptują zmiany.

– Miasto uważa, że to znakomity pomysł. Za to z tą cholerną Komisją Wetlanda jest duży problem. Żądają oczyszczalni ścieków.

- Cóż, z pewnością nie zamierzasz spuszczać nieczystości do rzeki.

- Kim jesteś, ekspertem?

– Człowieku, spędziłem masę czasu pod wodą. Nie podoba mi się, gdy ludzie ją zanieczyszczają.

– Mam nadzieję, że znajdzie się jakieś wyjście. Może zbuduję oczyszczalnię do spółki z miastem, może po prostu postawię osadnik. Przepompuję wszystko na drugą stronę wzgórza. To może zadziałać. Wszystko jest możliwe. Co o tym myślisz?

- To może być miłe miejsce do zamieszkania.

- Cieszę się, że masz takie wrażenie.

- Dlaczego mama chciała, żebym to zobaczył?

- Chcesz być moim wspólnikiem?

- Ja?

- Wróć do domu. Zabaw się trochę. Zarób coś.

Chamberlain popatrzył na starą fabrykę. Za wysokimi oknami widział więzienie, w którym jego ojciec i dziadek przepracowali swoje życie. Widział organizowane przez firmę doroczne pikniki, podczas których szefowie przekonywali ich, jakimi są szczęściarzami. Widział niewidoczną linię, dzielącą w szkole średniej tych, którzy byli kimś, od tych, którzy pracowali w fabryce. Pamiętał, jakby to było wczoraj, swoje siedemnaste urodziny, kiedy wstąpił do marynarki i wyniósł się stąd do diabła.



— Ja już mam pracę. Dobrą pracę. Zarabiam nieźle pieniądze.  
— To do niczego nie prowadzi. W twojej firmie nie mają zamiaru cię awansować.

— Nie jestem tego taki pewien. Muszę po prostu znaleźć sposób, żeby firma zaczęła pracować dla mnie.

— Znam korporacje — odparł Billy. — Pracowałem dla nich. Wszystkie są takie same. Comptel wybiera kierownictwo spośród ludzi zajmujących się albo sprzedażą, albo rachunkowością, zależnie od tego, czy akurat przynoszą zyski, czy straty. Szefowie rzadko wywodzą się z produkcji, a nigdy spośród służb pomocniczych, jak kadry czy ochrona.

— Płacą mi siedemdziesiąt pięć kawałków rocznie.

— Wielki interes.

— To więcej, niż ty zarabiasz.

— Dopiero zaczynam. I nie mam żadnych ograniczeń. A ty już osiągnąłeś pułap swoich możliwości.

— Chcę się zmierzyć z tym i zwyciężyć.

— Wiesz, jak zwycięża się w korporacjach? — ripostował Billy z gorliwością neofity. — Siedzisz na dupie, aż skończysz czterdzieści pięć lat. Potem zaczynasz piąć się w górę, wykończając po drodze swoich przyjaciół. Facet, który w wieku pięćdziesięciu pięciu lat nie ma przyjaciół, zostaje nowym szefem.

Chamberlain wpatrywał się w czerwoną cegłę. Może byłoby zabawnie jeździć po rodzinnym mieście corvetta i śmiać się w twarz dawnym bonzom.

— Pamiętasz, kiedy się ożeniłeś, ukradłem samochód starego i gli-niarze złapali mnie bez prawa jazdy. Pamiętasz, jak w całej trzydziestostronnicowej gazecie nie było innego miejsca na wiadomość o moim arestowaniu, niż zaraz obok zawiadomienia o twoim ślubie?

— Stara historia.

Pete roześmiał się.

— Ciągle czuję się z tego powodu winny.

— Pokaż tym łajdakom. To jeszcze jeden dobry powód, żebyś wrócił.

— Najpierw chcę czegoś dokonać.

— Jeśli zdobędziesz jeszcze jeden medal, nie starczy ci miejsca na piersiach, żeby go powiesić.

— Odznaczenia za zabijanie ludzi.

— W Comptelu jesteś po prostu prywatnym mordotłukiem. Pracując ze mną nie będziesz musiał krzywdzić ludzi.

Chamberlain wyciągnął już wnioski z wywodów Billy'ego.

— A co ja wiem o hydraulice i oczyszczaniu ścieków?

— A co ja wiedziałem, kiedy opuszczałem Ma Bell? Powiem ci. Wiedziałem, że chcę być swoim własnym szefem i robić coś konkretnego. Ty chcesz tego samego.

— Może muszę zrobić to na własny rachunek. Brat odwrócił wzrok, rozczarowany.

— A to jeszcze jeden z powodów, żeby zostać tutaj.

Pete podążył za jego spojrzeniem. Zauważył już wcześniej małą furgonetkę subaru, która zatrzymała się na zrytej koleinami drodze. Wysiadała z niej właśnie kobieta z dwiema małymi dziewczynkami. Wszystkie trzy były w swoich najlepszych płaszczach, a dziewczynki miały na nogach lakierki.

— To Katherine Rodgers?

— Katherine Grey. Wyszła za Buddy Greya.

— Czy on żyje?

— Przekoziółkował ze swoją wywrotką. I Katie została wdową. — Billy wysiadł z samochodu. — Katie.

Dziewczynki podbiegły do nich. Billy przyklęknął i przywitał się z każdą. Katherine podeszła bliżej, osłaniając oczy przed słońcem. W średniej szkole była ładna. Teraz stała się piękna, nadal z tymi samymi gęstymi kasztanowatymi włosami, które Chamberlain zawsze z daleka podziwiał. Widok dziewczynek robił wrażenie, obie wyglądały doskonale i były dumne ze swoich odświętnych ubrań.

— Katie. Pamiętasz Pete'a?

— Oczywiście. Jak się masz?

Odsunęła rękę od oczu i Pete stwierdził, że są jeszcze bardziej zielone, niż zapamiętał. Uśmiechnął się i uścisnął wyciągniętą dłoń.

— Twoje dzieci są takie urocze!

Uśmiechnęła się z dumą.

— To jest Rachel — przedstawiła. — A ta mała to Jackie. Dziewczynki, przywitajcie się z panem Chamberlainem.

Oszołomiony Chamberlain uścisnął drobne rączki. Obie miały małe białe rękawiczki, a Jackie, ta młodsza, poczęstowała go cukierkiem, który przyjął ze śmiertelnie poważnym podziękowaniem.

— Powiedźcie panu Chamberlainowi, gdzie byliście.

— W teatrze marionetek.

Chamberlain przykucnęła.

— Co tam widziałyście?

Pięciolatka cofnęła się, a on przez chwilę spojrzął na siebie oczami tego dziecka; mężczyzna o twardszym niż inni dorośli spojrzeniu, z niewielkimi bliznami rozsianymi po twarzy, z szorstkimi, muskularnymi dłońmi i z jednym palcem krzywo zrosniętym po złamaniu. Mała nie zwracała na to uwagi albo po prostu nie dbała o takie drobiazgi i paplała beztrudno:

— Śpiącą królewnę.

— I co się zdarzyło? — Przymilnie zmrużył swoje szaroniebieskie oczy do Rachel, która — zaintrygowana — podeszła ostrożnie jak kotka.

— Księżę obudził ją.

— Oni zawsze to robią.

Spojrzały na niego okrągłymi, nieruchomymi oczami, czekając na dalszy ciąg, ale on wyczerpał już wszystkie pomysły i dzieci czmychnęły nagle nad brzeg rzeki.

Chamberlain podniósł się, oszczędzając kolano, które od czasu do czasu sprawiało mu kłopoty.

— Śliczne dziewczynki.

— Odziedziczyły to po swojej mamie — stwierdził Billy.

— Na długo przyjechałeś do domu, Pete?

— Tylko na Nowy Rok.

— Zobaczysz go dziś wieczorem — oznajmił Billy. — Będziesz na przyjęciu?

— Tak, będę — spojrzała na fabrykę. — Słyszałam, że masz zamiar to kupić.

— Próbuję. Staram się namówić Pete'a, żeby wrócił do domu i pomógł mi.

Katherine popatrzyła kpiąco. Chamberlain wzruszył ramionami. Kobieta zawołała:

— Dziewczynki, idziemy. Mamusia musi kupić coś na obiad. Zobaczmy się później, Billy, Pete.

— Z pewnością.

— Wspaniała dziewczyna — stwierdził Billy, kiedy odjechały. — Czasami myślę, żeby rzucić to wszystko dla jednego weekendu z Katie.

— Uważaj — odezwał się Chamberlain. — Kobiety z dwojgiem małych dzieci po prostu muszą wyjść za mąż.

— Co z tego? To miłe dzieciaki. Ona ma nawet pieniądze. Firma Buddy'ego była wysoko ubezpieczona.

— Jak dużo tego jest?

— Wystarczająco dużo. Spłaciła długi. Chodź, oprowadzę cię.

Sylwestrowe przyjęcie Billy'ego zaczęło się rozkręcać koło dziesiątej. Chamberlain wypił do tego czasu kilka drinków, dzięki którym łatwiej powracał do swojej przeszłości. Dalekiej przeszłości, jak sobie uświadomił. Do swojego dzieciństwa. Połowę życia spędził gdzie indziej, jednak niektóre z tych twarzy były tak znane, jakby nigdy stąd nie wyjeżdżał.

Donny i Carol, którzy zaczęli chodzić ze sobą, kiedy mieli po dwanaście lat — pobrali się i teraz posiadali już piętnastoletnie dzieci. Nadal trzymali się za ręce i ciągle wyglądali na najszcześniejszą parę w tym salonie. Kyle zapaśnik i Jerry, jego młoda żona, już druga, mała siostra Phila, kumpla Pete'a. Tommy i Geeza, których rodziny miały pizzerię i zaraz obok sklep z alkoholem. Następnie Spark, Kevin i Sherm. I Katherine, nadzwyczaj ładna i bardzo samotna. Przyjaciele troszczyli się o nią, ale było to dla nich wszystkich trudne, jako że Buddy był pierwszym z ich grona, który już nie żył.

Billy przedstawiał mu pozostałych, nieznaną gości — współników w interesach. W rozmowie dominował temat wytwórni węży strażackich. Zapowiadało się to na najgłośniejsze wydarzenie w okolicy, coś, co ożywi gospodarkę i z czego miasteczko będzie mogło być dumne. Wszyscy zgadzali się, że sprawa oczyszczalni ścieków to cholerne gównno. Księgowy Billy'ego wziął Chamberlaina na stronę i zaczął bez osłonek:

— Pomówmy o cyfrach.

— Ale ja nie jestem pewien, jakie Billy ma zamiary wobec mnie — wymamrotał Chamberlain, kiedy zaczęto go naciskać. — Nie narzeka przecież na brak ludzi.

— To dopiero pierwszy projekt, a jest wystarczająco duży dla nas wszystkich. Danbury rozrasta się. Te wszystkie tereny rolnicze przekształcają się w przedmieście. Będzie tu filia IBM i ITT. To my jesteśmy przyszłością.

Kiedy jednak rozmowa o interesach kończyła się, znajomi brata zaczęli zachowywać się wobec Chamberlaina ostrożnie, czując, że robił i widział rzeczy, z którymi oni, jak uważali, nigdy nie będą mieć nic wspólnego. Był dla nich świadkiem historii. Większość z nich podczas wojny była w szkole średniej lub doszła do pełnoletności po zniesieniu obowiązku powszechnej służby wojskowej. A teraz jeszcze magazyn Rolling Stone zaczął publikować romantyczne kawałki o Wietnamie i o iście kolonialnym życiu w Sajgonie. Słynna „półka”, jak nazywali sajgońskie tarasy hotelowe, gdzie nastoletnie prostytutki przechadzały się obok szpiegów i żołnierzy popijających dżin, po dwudziestu latach wydawała się Chamberlainowi niemal miłym miejscem. Zastanawiał się, czy historyjki o Imperium Brytyjskim, które czytał, wydałyby się równie głupie żołnierzom, którzy o to Imperium walczyli.

— Jak to jest, patrzeć prosto w lufę? — zapytał Ron, wspólnik Billy'ego, kiedy był już dostatecznie pijany.

— To zależy od jej kalibru.

— Poważnie.

— Wiesz, że nie patrzysz na przyjaciela.

Facet pokiwał głową, śmiertelnie poważny i trochę smutny, jakby żałował, że niewiele w życiu doświadczył.

Zadzwoił telefon. Ktoś podniósł słuchawkę i rozejrzał się po zasnutym dymem salonie.

— Pete! Jak cię tutaj znaleźli?

— Mogę odebrać w sypialni?

— Pospiesz się. Nie chcę, żebyś stracił zabawę. — Telewizja transmitowała uroczystości w Nowym Jorku, gdzie o północy z budynku Allied Chemical Tower miało opaść podświetlone czerwone jabłko. Przyciszył dźwięk i zamknął drzwi.

— Chamberlain.

— Pete... Tu Henry. Jestem oficerem dyżurnym...

— Wiem. Co się dzieje? — Byli cywilami, ale dobrze się czuli, używając wojskowych określeń.

— Pan Cowan chce, żebyś przyjechał do biura.

Burbon, którego pił cały wieczór, zaczął wyszczać się z jego mózgu, jakby ktoś wyciągnął zatyczkę. „Pan Cowan” to Alfred Cowan, dyrektor i członek zarządu Comptel. Chamberlainowi przychodził do głowy tylko jeden powód, dla którego Alfred Cowan spośród czterdziestu tysięcy

pracowników na całym świecie wybrał właśnie jego, żeby zadzwonić w sylwestrową noc. Mogła to być tylko katastrofa dotycząca spraw bezpieczeństwa. I to raczej duża katastrofa. A on był w Connecticut, niemal uwięziony przez śnieżyce.

— Mamy helikopter, który kieruje się na lotnisko w Danbury.

Chamberlain podniósł roletę. Śnieg ciagle sypał jak cholera.

— Powiedz pilotowi, żeby zabrał mnie z Rams Pasture w Newton. Na wschód od Danbury. — Wyobraził sobie miasto widziane z góry. — Niech wypatruje reflektorów oświetlających stuczterdziestostopowy maszt flagowy. Rams Pasture jest pół mili na południowy wschód od niego. Nie jest oświetlone. Będę na drodze przy zachodnim krańcu. Każ mu uważać na drzewa i słupy telefoniczne.

— Zaczekaj — Henry przekazał instrukcje pilotowi. — Nie, Pete. Pilot mówi, że nie zaryzykuje.

— Powiedz, że za to mu płacą.

Henry odszedł i wrócił.

— Mówi, że to, będzie wbrew przepisom Federalnej Agencji Lotniczej.

— Płacą mu także i za to — odparł Chamberlain i odłożył słuchawkę.

— Podrzucę cię — zaproponował Billy, z kluczykami od corvetty w jednej ręce i kieliszkiem tequili w drugiej.

— Śnieg wali jak szalony. Potrzebuję pojazdu z napędem na cztery koła. Gdzie jest twoja ciężarówka?

— Przechodzi właśnie remont układu kierowniczego.

Katie podniosła się z krzesła, na którym siedziała, spokojnie popijając coctail.

— Dokąd się wybierasz?

— Masz samochód z napędem na cztery koła?

— Jasne.

— Czy Billy może zawieźć mnie do Rams Pasture?

Katherine spojrzała na kieliszek Billy'ego.

— Ja cię odwiozę.

— Billy, powiedz mamie i tacie, że wrócę tak szybko, jak tylko się da.

Stojąc w drzwiach Chamberlain pospiesznie rzucił wszystkim ogólne „do widzenia”. Katherine założyła swoją kurtkę, uniosła długą spódnicę i poprowadziła go przez śnieg do samochodu.

— To naprawdę miło z twojej strony. Przykro mi, że wyrwałem cię z przyjęcia.

— Dokąd jedziesz?

— Szef chce mnie zobaczyć w Nowym Jorku. Wysłał helikopter.

— No, no!

Ruszyła, kierując się w stronę Newton. Chamberlain raz po raz wycierał przednią szybę rękawem płaszcza. Żałował, że musiał wyciągnąć Katie z domu. Na drodze będą sami pijani kierowcy, chociaż wkrótce nawet ich ciężko będzie spotkać. Kiedy szosa przecięła międzystanową autostradę nr 84, stwierdzili, że wszystkie pasy ruchu na niej są zamknięte. Katherine utrzymywała stałą prędkość dwudziestu mil na godzinę i trzymała się przedmieścia Newton, żeby uniknąć najbardziej stromych wzniesień.

— To musi być cudowne, tak podróżować. Bywasz czasami w Europie?

— Mniej więcej raz na miesiąc.

— I co tam robisz?

— Zajmuję się ochroną — popatrzyła na niego, więc wyjaśnił: — Powiedzmy, że mamy fabrykę wytwarzającą coś, czego chce jakaś grupa terrorystyczna. Pomagam tej fabryce zaprojektować system bezpieczeństwa. Potem któregoś dnia wpadam i próbuję go przełamać.

— W jaki sposób?

— Zostawiam kartkę w sejfie dyrektora fabryki: „Cześć. Gdybym był terrorystą, miałbyś kłopoty”. Coś w tym rodzaju.

— Muszą cię uwielbiać.

Chamberlain roześmiał się.

Przejechała przez miasto i zaparkowała po przeciwnej stronie Rams Pasture, przy nie oświetlonej stacji benzynowej Mobile. Tuż obok znajdował się posterunek policji, ale jego światła były ledwie widoczne w zamieci. Chamberlain uchylił odrobinę okno i zaczął nasłuchiwać dźwięku helikoptera.

— Dlaczego potrzebują cię dzisiejszej nocy?

— Prawdopodobnie coś zgubili.

— I chcę, żebyś to odnalazł?

— Nie zdziwiłbym się, gdyby tak było.

- Jak to robisz?
- Odkupuję to.
- Czy tym się właśnie zajmowałeś w marynarce?
- Oto mój pojazd.

Helikopter opuszczał się jak jasno oświetlony kamień, rozdmuchując śnieg i migając czerwono-białymi światłami.

— Dziękuję raz jeszcze! — zawołał Chamberlain, przekrzykując ryk silnika.

- Szczęśliwego Nowego Roku!

Pobiegł do maszyny, która zawisa ostrożnie na wysokości stopy nad ośnieżonym polem, przedarł się przez podmuch wywołany pracą wirnika, odnalazł drzwi, wciągnął się na pokład i zatrzasnął je za sobą. Był to wyjątkowo luksusowy egzemplarz z maksymalnie wyciszonym wnętrzem.

- Ruszaj!

— Zbliżają się gliny! — krzyknął pilot, wskazując migające światła radiowozu, podjeżdżającego do skraju pola startowego.

- Na co czekasz, do diabła? Na mandat za złe parkowanie?

— Czekał na pana, panie Chamberlain — odezwał się kobiecy głos za jego plecami. — Mam nadzieję, że było warto.

Chamberlain odwrócił się w stronę foteli dla pasażerów. Kabina była zaciemniona, aby pilot mógł dobrze widzieć. W przyćmionym świetle przyrządów nawigacyjnych dostrzegł kobietę — ciemnowłosą, otuloną po uszy futrem. Wskazała sąsiedni fotel, podczas gdy helikopter wzbijał się wśród nocnych ciemności. Chamberlain zapiął pasy.

— Przepraszam, nie wiedziałem, że mamy pasażera. Nie kazałbym mu tutaj lądować.

— Przypuszczam, że drogi są nieprzejezdne. Tak jest dalej na północ.

— Zna pani moje nazwisko, ale obawiam się, że ja nie wiem, z kim mam przyjemność.

- Helen Thorp.

*O la, la!*

Helen Thorp. Numer dwa w kompanii. Dziewczyna-geniusz, prawa ręka Alfreda Cowana, cwaniara pierwszej klasy i najprawdopodobniej spadkobierczyni trzynastej co do wielkości korporacji na świecie.



— Ma pani jakieś pojęcie o tym, co się tu dzieje?  
— Żadnego. Ale wolałabym, żeby na pokładzie znalazł się księgowy zamiast ochroniarza.

— Nie jestem pewien — uśmiechnął się Chamberlain. — Gdybyście musieli wysłać helikopter po księgowego, najpewniej znajdowałibyście się w naprawdę solidnych tarapatach.

Poczuł, jak ostatnie opary burbona ulatniają się, kiedy odparowała:

— Jestem przyzwyczajona słyszeć dobre wieści od księgowych. Czy mógłby pan zaciągnąć storę?

Zasłonił kabinę pilota, a kobieta włączyła podręczną lampkę, otworzyła projekt rocznego sprawozdania i zaczęła robić poprawki złotym ołówkiem. Okazało się, że jej futro uszyte jest z soboli. Rozchyliło się przy szyi, ukazując szary, jedwabny szalik, którego kolor stanowił znakomite przejście od dość jasnej cery do gęstych, kruczonych włosów. Niedawno przekroczyła trzydziestkę, ale delikatne linie pod ciemnymi oczami i pełne, zmysłowe usta sprawiały, że wydawała się bardziej doświadczone, niż wskazywał na to jej wiek, bardziej dojrzała, więcej rozumiejąca. *Wszystko naraz* — pomyślał Chamberlain — *zadziwiająco piękna, tajemnicza kobieta, która osiąga sukcesy.*

Zorientowała się, że przygryza wargę. Zdjęła rękawiczkę i roztarła szminkę opuszką doskonale utrzymanego palca. Spojrzała w okno i zauważyła, że Chamberlain obserwuje jej odbicie. Popatrzyła na niego jak na powietrze i wróciła do lektury. Wtedy Chamberlain podniósł się, przeszedł na drugą stronę kabiny i zajął wolny fotel drugiego pilota.

— Wiesz, o co chodzi w tym całym smrodzie?

— Z wyjątkiem tego, że jakiś oddział wiejskiej policji ma mój numer rejestracyjny, nie mam pojęcia — odparł lodowato pilot.

Chamberlain spróbował dowiedzieć się czegoś przez radio. Henry oświadczył jednak:

— Pan Cowan powiedział, żeby nie używać radia.

Rozłączył się, zaskoczony. Comptel produkował pewien model wysokiej klasy radiostacji, znakomicie zabezpieczonych przed podsłuchem, o czym Chamberlain dobrze wiedział, ponieważ sam wybierał ten sprzęt.

Nad wybrzeżem Connecticut burza zaczęła słabnąć. Pojawiły się

skupiska światła na ziemi i zanim wylądowali na nabrzeżu rzeki Hudson, niebo było już w połowie czyste. Limuzyna zabrała ich do budynku Comptelu przy Szóstej Alei. Helen energicznym krokiem minęła ochronę stojącą w hallu i skierowała się do prywatnych wind. Chamberlain poszedł za nią, notując w pamięci, żeby którejś nocy sprawdzić strażników przy pomocy jakiejś ciemnowłosej kobiety w futrze. Kiedy winda pomknęła na piętro, zajmowane przez zarząd na szczycie piętnastokondygnacyjnego wieżowca, popatrzył na zegarek.

— Szczęśliwego Nowego Roku.

Na co Helen Thorp odparła:

— Sprawdźmy najpierw, co się tu dzieje.

# Rozdział drugi

Alfred Cowan, członek zarządu i dyrektor naczelny Comptel Inc., był masywnym, łysiejącym mężczyzną o szerokiej twarzy, tuż po sześćdziesiątce. Jego masywne bary, godne Eda Asnera, spoczywały na biurku w niecierplivej postawie „zajmijmy-się-tym-wreszcie”. Końce rozwiązanej czarnej muszki zwisały pod rozpiętym kołnierzykiem wizytowej koszuli z perłowymi spinkami. Marynarka od smokingu, którą zrzucił po wejściu, wylądowała w odległym kącie olbrzymiego gabinetu i leżała rozrzucona na fotelu jak groźny cień nurkującego jastrzębia.

— Przyjęcie było miłe? — zawołała od drzwi Helen.

— Moja żona tak sądzi.

Energicznie przemierzyła czterdzieści stóp dywanu i zatrzymała się przed biurkiem Cowana. Chamberlain poszedł za nią, stanął z boku i nieco z tyłu, podczas gdy kobieta strząsnęła z ramion futro. Ukazał się kosztowny sweter i długie, ładne nogi w narciarskich spodniach.

— Co się stało?

Cowan skrzywił się nieprzyjemnie. Miał niebieskie oczy o twardym spojrzeniu, które Chamberlain zapamiętał z ich poprzedniego — i jedy- nego do tej pory — spotkania.

— Zgadnij, kto pozwolił się porwać?

— Kto? — ostrożnie spytała Helen i Chamberlain wyczuł, że istnieje

wiele płaszczyzn, na których mistrz i jego protegowana testowali się wzajemnie i współzawodniczyli ze sobą. Przebiegł myślą z pół tuzina stolic Trzeciego Świata, a w każdej z nich rezydował wart okupu dyrektor Comptelu. Jego domysły okazały się słuszne. Korporacja straciła coś i on będzie musiał to odkupić.

— Twój chłopak.

— Hammond?

Całe jej ciało stężało. Zatoczyła się, czy też cofnęła, jakby ktoś ją uderzył. Sobole ześliznęły się na podłogę i głębokimi, lśniącoymi fałdami ułożyły wokół jej stóp. Chamberlain podniósł futro i z szacunkiem położył je na jednym ze skórzanych foteli stojących wokół biurka Cowana. Zastanawiał się, co tu robi. Mimo wszystko, pomylił się nieco. Hammond, Charles Hammond, był wolnym strzelcem, a nie pracownikiem Comptelu.

— Kiedy? — spytała Helen. — Czy nic mu się nie stało?

Cowan wyglądał tak, jakby chciał kogoś zabić.

— Miałem telefon z Londynu. Crocker. Jest trzecim wiceprezesem...

— Wiem, kim jest Crocker — przerwała, szybko dochodząc do siebie. Chamberlain pomyślał nawet, że bardzo szybko. To przydatna cecha, kiedy wokół latają szrapnele. — Co powiedział?

Cowan musiał już wcześniej zauważyć obecność Chamberlaina, lecz dopiero teraz surowe spojrzenie w jego kierunku było oznaką, że członek zarządu Comptelu zwraca się także do niego.

— Crocker prowadzi biuro w Londynie. Reszta wyjechała na południe Francji; cholerne święta. Crocker usłyszał tę nowinę w radiowych wiadomościach. Próbował porozumieć się z Rice'em, żeby to potwierdzić, ale ten wężooki łajdak nie chciał z nim rozmawiać.

— Kto to jest Rice? — przerwał Chamberlain.

— René Rice — odparła Helen. — Szef biura Hammonda. Inaczej mówiąc — nic nie wiemy.

— Próbowaliście skontaktować się z policją? — zapytał Chamberlain.

— Crocker powiedział, że Scotland Yard prowadzi śledztwo. W radio wiedzą tyle, że dwóch ochroniarzy Hammonda zostało zastrzelonych, a trzeci zaginął razem z nim.

— Nie żyją? — spytała Helen.

— Dwóch nie żyje. Jeden zaginiony. Nie licząc Hammonda.

Helen opadła na krzesło stojące najbliżej biurka Cowana. Niepewnie sięgnęła ręką do szala, ale natychmiast poderwała się na nogi i z telefonu Cowana zadzwoniła do Londynu. Czekaając na połączenie bębniła o biurko pomalowanymi na perłowo paznokciami.

— To niemożliwe, żeby Hammond został porwany.

— Masz na to jakiś dowód?

— Oczywiście, że nie. Alfredzie, czy uświadamiasz sobie, co to znaczy?

— Dlatego tu jesteśmy, czyż nie? — popatrzył ponuro na swój smoking. Ściągnął muchę z szyi i rzucił ją na stół jak brudną serwetkę. — Cóż, Pete, jak się czujesz?

— Linie są zajęte — rzuciła Helen, ponownie wykręcając numer.

— *Hogmanay* — szkocki sylwester — wyjaśnił Cowan. — Każdy pijany Szkot na świecie dzwoni teraz do domu.

— Dlaczego na porwanie musieli wybrać właśnie dzisiejszą noc? — Jeszcze raz spróbowała się połączyć, a Cowan powtórzył:

— Jak się czujesz, Pete?

— Całkiem nieźle, panie Cowan — odrzekł. — Mimo wszystko.

— Byłeś w Connecticut.

— U rodziców.

— Proszę ich w moim imieniu. Gdzie mieszkają? W Greenwich? Darien?

— W Sand Bend.

Cowan wzruszył ramionami.

— Przykro mi, że zepsułem ci święto.

— W porządku. Wygląda to tak, jakby jeszcze raz powtórzyło się Monachium. — Nie zaszkodziło przypomnieć szefowi, dlaczego go zatrudnił.

— Nie całkiem. Facet, którego wtedy uratowałeś, był moim pracownikiem. Ten Hammond... — rzucił gniewne spojrzenie na Helen, zajęętą wykręcaniem numeru po raz trzeci. — Ten facet to pewien problem.

— Halo! Halo! All Seas? Helen Thorp. Chciałabym rozmawiać z René Rice'em — odsunęła jedwabiste włosy od słuchawki telefonu. — Kiedy wróci? Czy mogłaby pani poprosić monsieur Rice'a, żeby zadzwonił do mnie do Comptelu, do Nowego Jorku? — mrugnęła porozumiewawczo do Cowana i dodała: — Skoro już jestem na linii, proszę mnie

połączyć z panem Hammondem. — Cowan kiwnął głową, doceniając fortel. Jednak wyraźnie i tym razem Helen Thorp nie miała szczęścia. Podziękowała i odłożyła słuchawkę.

— Milczą?

— Jak głaz. Ta kobieta powiedziała, że Hammond jest w Tananariwie.

Chamberlain spytał, dlaczego nie zadzwoni do Tananariwy, a ona pomyślała, że pyta, gdzie to jest i przerwała mu, zirytowana:

— Republika Malgaska. Madagaskar. Duża wyspa na wschód od wybrzeży Afryki. Ocean Indyjski. Nie byłeś w marynarce?

— Tylko pod wodą.

— Słuchaj, Alfredzie, jest teraz szósta według czasu londyńskiego. Jeśli odebrali telefon o szóstej rano, to najwyraźniej czekają na żądanie okupu. Lepiej pojedę do Londynu. Jakoś załatwię sobie wejście do biura Rice'a.

— Nie — odrzekł Cowan. — Pete pojedzie do Londynu.

— Dlaczego?

— Robił już wcześniej takie rzeczy.

— Zaczekaj chwilę, Alfredzie. To nie jest zwyczajne porwanie.

— Pete ma odpowiednie kwalifikacje. Nie zapominaj, że w Monachium wyciągnął naszego faceta z rąk tych niemieckich wariatów.

— Do cholery, Alfredzie, mówimy o Charlesie Hammondzie. Pete kopniakiem wywalił drzwi, żeby wydostać tamtego człowieka. To było po prostu szczęście, że tamten nie zginął. Nie możemy podjąć takiego ryzyka w stosunku do Hammonda.

Chamberlain zamierzał wyjaśnić, że to kwestionowane teraz wyważenie drzwi było ostatnią deską ratunku w momencie, kiedy instynkt mówił mu wyraźnie, że okup jest tylko wybiegiem. Arnie Fast także zgodził się z decyzją Chamberlaina. Podjęcie działania było mniej ryzykowne, niż siedzenie z założonymi rękami z nadzieją, że sprawy jakoś się same ułożą. Bardzo chciał to wszystko wyjaśnić, ale Helen Thorp miała nieugięte spojrzenie kapitana statku, a on już dawno temu nauczył się, że wyjaśnianie czegokolwiek kapitanowi nie popłaca. Poza tym, tak naprawdę, przez cały miesiąc, każdej nocy, rozpamiętywał ten ułamek sekundy. Gdyby wtedy choć jedna osoba poruszyła się o kilka centymetrów inaczej, niż przewidywał, Comptel, mimo wszystko, potrzebowałby

nowego człowieka w Monachium.

Cowan stanął w obronie Chamberlaina. Niewątpliwie miał własne powody.

— Pete jest kimś więcej, niż tylko facetem wykopującym drzwi, Helen. Jest specjalistą od rozwiązywania problemów, jeśli wiesz, co mam na myśli. Nie poddaje się. Jest najlepszy.

— Może w biurze w Waszyngtonie — chłodno odparła Helen. — Specjalista od rozwiązywania problemów oznacza byłego wojskowego, emerytowanego pracownika FBI albo dawnego agenta CIA. — Przez chwilę przyglądała się Chamberlainowi. Nie ustąpił, wytrzymał jej spojrzanie, zastanawiając się, co, u diabła, ma przeciwko niemu. — Wyglądasz zbyt młodo jak na byłego pracownika FBI i za inteligentnie jak na marynarza. Skąd przyszedłeś? Z CIA?

Chamberlain wyszczerzył się w uśmiechu, który powinien — zgodnie z jego zamierzeniami — wyglądać nieśmiało. Tak naprawdę miał ochotę powiedzieć im obojgu, żeby się od niego odpieprzyli i wyjść. Jednak zaproszenie go do gabinetu członka zarządu Comptelu, i to po godzinach pracy, było okazją, jaka może się więcej w życiu nie powtórzyć.

— Winny dwóch z zarzucanych czynów. Nie wiem, czy jestem inteligentny, ale służyłem w oddziale FOK marynarki wojennej, zanim zostałem szpiegiem.

Helen drążyła dalej.

— Opuściłeś wywiad w przyjacielskiej atmosferze?

Ponownie odpowiedzi udzielił Cowan. Tych dwoje było jak stare małżeństwo, prowadzące ze sobą walkę za pośrednictwem gościa.

— Po tym, jak Pete uratował naszego faceta w Monachium, złożyłem mu ofertę, której nie mógł odrzucić. Znam kilku ludzi, więc mogłem ułatwić mu przejście.

— Nadal mogę zwrócić się do nich z prośbą o przysługę, jeśli o to pani pyta, pani Thorp — odezwał się Chamberlain.

— O przysługę szpiegowską — podkreśliła z naciskiem. — Informacje. Nie o broń. Nie o wysadzanie statków. To musi być jasne.

— To jest jasne. — Zatem wiedziała o oddziale FOK. Wiedziała o wszystkim. Po co więc ta gra?

Odwróciła się z powrotem do Cowana.

— Alfredzie, pytanie brzmi: jak wysokiego okupu zażądamy i ile może wnieść Comptel.

— Zaczekaj — odparł Cowan. — Hammond nie jest naszym pracownikiem. — Chamberlain uświadomił sobie, że to jest właśnie ta sporna kwestia.

— A także — Helen pominęła milczeniem jego stwierdzenie — co możemy zrobić, żeby pomóc René Rice'owi w pertraktacjach z porywanymi, kiedy nawiążą kontakt?

— On nie jest naszym człowiekiem — powtórzył Cowan. — Pracuje dla różnych firm.

— Alfredzie...

Chamberlain przerwał jej.

— Jeśli mogę coś sugerować: skoro pan Hammond pracował niezależnie dla kilku korporacji, może pan i panna Thorp moglibyście porozumieć się z pozostałymi i zebrać wspólny fundusz.

— Wspaniały pomysł — stwierdziła Helen i Chamberlain poczuł się wyśmienicie.

— Być może — przyznał Cowan.

Włączył się jeden z dwóch identycznych teleksów, umieszczonych za biurkiem. W głębokiej ciszy hałas zaskoczył wszystkich. Cowan obrócił się, żeby odczytać wydruk.

Chamberlain spojrział na konsolę.

— To prywatna linia.

— Prawdopodobnie Crocker z Londynu. Dałem mu kod na dzisiejszą noc.

Comptel, jako korporacja zajmująca się głównie telekomunikacją, posiadał unikatową wewnętrzną sieć informacyjną, obejmującą dwa niezależne systemy teleksów. Pierwszy obsługiwał normalne połączenia służbowe z resztą świata. Prywatna linia była zarezerwowana dla dyrektorów fabryk, szefów oddziałów i najwyższych rangą pracowników firmy. Chamberlain wiedział, że w siedzibie korporacji w Nowym Jorku dostęp do tego drugiego systemu miało sześcioro ludzi. On sam nie zaliczał się do tego grona.

Teleks ucichł. Cowan, który śledził wysuwający się papier, przerwał przedłużającą się ciszę, oddzierając go z walną. Odwrócił się wolno i położył kartkę na swoim biurku. Wyglądał na zdezorientowanego.



— Crocker? — spytała Helen.

— Nie.

— Kto zatem? — poczuła, jak stojący obok niej Chamberlain tężeje.

— Nie wiem. — Cowan odwrócił papier w ich stronę.

OCZEKUJĘ WASZEJ OFERTY NA LICYTACJI PENDRAGONA.  
LANCELOT.

# Rozdział trzeci

Lady Janet Isling obudziła się w ciemnościach. Włosy, przyciśnięte do lnianej poduszki, łaskotały ją w twarz. Cichutko sięgnęła ręką pod poduszkę. Od pistoletu dzieliło ją zaledwie kilka cali, kiedy jakieś silne ręce chwyciły jej nadgarstki i poderwały ją w górę.

Światło skierowanej w oczy elektrycznej latarki oślepiło kobietę. Szamotała się, ale gdy zapłonęła lampa w pokoju, zorientowała się, że jest ich dwóch, a ten, który ją trzyma, jest zbyt silny. Rozluźniła mięśnie, żeby oszczędzić siły i uspić czujność napastników.

W pierwszej chwili pomyślała, że to rabusie, włamywacze, zaskoczeni jej obecnością w pozornie pustej willi. Wiele dużych domów było zamkniętych o tej porze roku, kiedy ich stali mieszkańcy opuszczali południe Francji, udając się do Paryża albo na narty w Alpy.

Nie miała wątpliwości, że napastnicy wykorzystają okazję i będą próbowali ją zgwałcić. Nie wątpiła także, że zastrzeli ich obu, kiedy tylko uda jej się dosięgnąć pistoletu. Leżał na swoim zwykłym miejscu, pod drugą poduszką, tą w koronkowej poszewce, o którą opierała się czytając przed zaśnięciem.

Kiedy jej oczy przywykły do ostrego światła stwierdziła, że ten, który ją trzyma, jest masywnym dwudziestolatkiem o okrągłej twarzy. I zapewne Francuzem, sądząc po mięsistym nosie, źle skrojonej marynarce i rozpiętej pod szyją koszuli, w jakich chodzili tutejsi robotnicy. Przemocą

rozkrzyżował jej ręce, aż odsłonięte piersi lady Janet wzniosły się do góry. Wyglądał jak typowy marsylski ulicznik, głupi, ale wystarczająco sprytny, by czekać na rozkazy drugiego mężczyzny, który pożerał lady Janet wzrokiem. Obrzuciła spojrzeniem jego ubranie i napotkawszy oczu obcego, po raz pierwszy poczuła strach.

Był zupełnym przeciwieństwem mężczyzny, który ją trzymał. Bardzo wysoki i szczupły, wręcz kościsty, miał twarz jak maska — kanciastą, zbudowaną z twardych, prostych linii. Nie odrywał od niej brutalnego spojrzenia błyszczących, ciemnych oczu. Jego ubranie — spodnie, marynarka, golf i buty — miały czarny kolor. Nie był Francuzem. Jego twarz miała wschodnie rysy, ale lady Janet nie umiała określić narodowości. Trzymał czarną, drewnianą laskę o rękojeści z rzeźbionej kości słoniowej, równie białej jak twarz mężczyzny.

Odezwał się. Rozpoznała słowiański akcent.

— Gdzie jest Grandzau?

Ponownie ogarnął ją strach. To nie byli włamywacze. Ani też nie znaleźli się tu przez przypadek. To niemożliwe, jeśli wiedzieli o niej i Karlu. Co za głupie pytanie? Jeśli wiedzieli o Karlu i znali jego pseudonim, z pewnością znali odpowiedź.

— Grandzau nie żyje.

Mężczyzna w czerni odezwał się ponownie, jakby nie dosłyszał.

— Gdzie jest Grandzau?

— Powiedziałam ci, nie żyje. — Ton lady Janet, pełen swobody i poczucia wyższości, tak charakterystyczny dla uprzywilejowanych angielskich sfer, stał się bardziej nagły. — Każ swojemu człowiekowi, żeby puścił moje ręce. Bołą mnie nadgarstki.

— Gdzie jest Grandzau?

Długie palce mężczyzny powędrowały z kościanej gałki wzdłuż laski. Nosił czarne skórzane rękawiczki i w ciszy sypialni lady Janet miała wrażenie, że słyszy skrzypienie skóry, kiedy jego palce przesunęły się po czarnym drewnie. Uchwyt na jej nadgarstkach nie zelżał. Próbowwała przysunąć się bliżej poduszki, ale ciągle była zbyt daleko od pistoletu. Nie miała dość siły, by wyrwać chociaż jedną rękę z uchwytu napastnika. Mężczyzna przesunął laskę i chwycił rękojeść z kości słoniowej. Wtedy poły jego marynarki rozchyliły się lekko, ukazując przez chwilę

beretę, tkwiącą w kaburze pod pachą. Będzie więc miała tylko jedną okazję, by sięgnąć po pistolet.

— Gdzie jest Grandzau?

— Grandzau nie żyje od trzech lat — powtórzyła z uporem. — Zginął w wypadku samochodowym w Alpach. Jest pochowany na przykościelnym cmentarzu w pobliżu włoskiej granicy.

— Kłamiesz, żeby go osłonić.

— Nie mogę osłaniać nieboszczyka.

— Kłamiesz. — Główka laski przekreśliła się w jego dłoniach z głośnym trzaskiem. Mężczyzna rozdzielił kij na dwie połówki. Lady Janet poczuła skurcz żołądka. To nie było ostrze, jak się spodziewała, lecz złowrogie narzędzie: długi, czarny skórzany pejcz.

Mężczyzna odłożył futerał, podszedł bliżej do łóżka i wyciągnął rękę w jej stronę. Nie odzywając się ani słowem delikatnie i niemal pieszczołliwie dotykał biczem jej ciała. Pręt miał cienką, giętą końcówkę. Przesunął ją po piersi kobiety, brodawce sutkowej, potem po drugiej piersi.

Patrzyła w jego błyszczące oczy czując, jak pejcz przesuwają się w dół po brzuchu, leniwymi zygzakami kreśląc napiętą, opaloną skórę, i zatrzymuje się na skraju prześcieradła. Pejcz spoczął na jej pępku, a mężczyzna wyciągnął dłoń w rękawiczce, zerwał z lady Janet prześcieradło i rzucił je na podłogę. Potem ponownie zaczął rysować linie na nagim ciele: okrążył wzgórek łonowy, penetrował uda. Zaciśnęła nogi, a pejcz starał się je rozsunąć. Sztywna, lecz jednocześnie elastyczna szpicruta kontynuowała swoją wędrówkę. Kiedyś jeździła konno z podobną szpicrutą, miała w środku bambusowy pręt. Mężczyzna przerwał, parę razy lekko klepnął ją po brzuchu i zapytał:

— Gdzie jest Grandzau?

— Nie żyje — odpowiedziała, starając się, by jej głos brzmiał spokojnie.

Postawa napastnika podlegała ledwie uchwytnym zmianom. Wyczuwała crescendo emocji, wzbierających za lodowatą fasadą.

— Kłamiesz.

Podniósł pejcz i uderzył ją w pierś — nieco mocniej, ale nadal tak lekko, że nie poczuła bólu, mimo, że trafił w brodawkę sutkową.

— Gdzie jest Grandzau, lady Janet?

— Nie żyje. Możesz to sam sprawdzić.

— Kłamiesz.

— Nie — zaprotestowała, postanawiając mocno, że nie będzie o nic prosić.

Cienka, czarna szpicruta uniosła się wysoko nad głową Janet. Oczy mężczyzny z namysłem przesuwały się po jej ciele. Zesztywniała w oczekiwaniu na cios. Gdzie spadnie? Na piersi? Uda?

— Odwróć ją!

Oto szansa. Drugi mężczyzna obrócił ją na plecy. Nie stawiała oporu, czekając na odpowiednią chwilę, koncentrując się na tym, by w kluczowym momencie uwolnić prawą rękę.

Gwałtownie skręciła nadgarstek, całą siłą napierając na kciuk i pozostałe palce mężczyzny. Udało jej się rozluźnić uchwyt. Francuz mruknął zaskoczony, kiedy jego palce ześlizgiwały się z ciała kobiety. Napała mocniej, podciągając nogi pod siebie, żeby tym energiczniej rzucić się w stronę poduszki. Jednak palce oprawcy zacisnęły się ponownie jak stalowe druty, wbiły w kości nadgarstka i w chwilę później lady Janet leżała na łóżku z rozkrzyżowanymi, unieruchomionymi rękami. Jej nagie ciało było odsłonięte od szyi po kostki.

Mężczyzna w czerni obszedł łóżko, przesuając pejcz między palcami. Lady Janet wykręciła się i patrzyła na niego przez ramię, przerażona, zniechęcona porażką i pełną goryczy myślą, że straciła swoją jedyną szansę. Kiedy uniósł pejcz, wciągnęła powietrze i napięła mięśnie.

Szpicruta opadła rozmytą smugą, ze świstem przecinając powietrze. Lady Janet знаła ten ostry dźwięk z polowań, kiedy dopinguje się konie do brania przeszkód. Trzask skóry spadającej na jej pośladki zabrzmiał jak wystrzał. Gwałtowna fala bólu sprawiła, że ciało szarpnęło się konwulsyjnie. Spoza zaciśniętych zębów wymknął się jęk, a w następnej chwili krzyk, kiedy ból rozprzestrzenił się na uda i plecy, wędrując po mięśniach jak płomień.

— Gdzie jest Grandzau?

— Nie żyje — wykrztusiła, walcząc o odzyskanie kontroli nad sobą, zanim paniczny strach zawładnie jej umysłem. Z trudem przełknęła ślinę i spróbowała opanować oddech.

Dłoń w rękawiczce klepnęła ją po twarzy.

— Otwórz oczy.

Nie zdawała sobie sprawy, że są zamknięte. Czarna rękawiczka była

kilka cali od jej twarzy. Trzymała kartkę papieru, białą i postrzępioną u góry i na dole. Litery pływały jej przed oczami.

— Przeczytaj to! — zażądał ubrany na czarno człowiek.

Tekst wydrukowany był wielkimi literami. Rozpoznała telegram.

OCZEKUJĘ TWOJEJ OFERTY NA — szerzej otworzyła oczy — AUKCJI PENDRAGONA. LANCELOT.

— Chcesz dalej kłamać?

— Ależ on nie żyje!

Mężczyzna w czerni okręcił jej długie, jasne włosy wokół nadgarstka jednej ręki i wygiął głowę kobiety do tyłu, aż spojrzała mu w oczy. Przeraziła ją rozkosz, jaką w nich ujrzała. Człowiek w czerni podniósł drugą rękę i lady Janet wzdrygnęła się, słysząc świst pejcza, jeszcze raz przecinającego powietrze, gdy spadał na jej nagie ciało.

# Rozdział czwarty

- Co to ma znaczyć, do cholery? — zapytał groźnie Alfred Cowan.
- Pendragon? — odezwała się pytająco Helen Thorp, patrząc w telex. Chamberlain podniósł się i stanął za nią, czytając przez jej ramię.
- Król Artur — odpowiedział, dotykając imienia palcem wskazującym, lekko skrzywionym, jakby był kiedyś co najmniej jeden raz złamany.
- Najważniejszy smok — przytaknął Alfred Cowan.
- Co takiego?
- Opowieści Malory’ego o królu Arturze i rycerzach Okrągłego Stołu — wyjaśnił Cowan. Uśmiechnął się do Chamberlaina i dodał: — To było przed telewizją, moja droga.
- Kim jest Lancelot? I nie mów mi, że sympatycznym rycerzem.
- Ciekaw jestem, jak dostał się na naszą prywatną linię — wtrącił Chamberlain.
- Może pracuje dla nas. — Helen podniosła wiadomość i przeczytała ją ponownie. — Kim ma być Pendragon?... Och.
- Najważniejszy jest smok. — Chamberlain skinął głową. — To Charles Hammond.
- Och, na Boga — odezwał się Cowan.
- Czy to ma być żądanie okupu? — spytała Helen.

— Dlaczego mieliby właśnie nam przysłać żądanie okupu? — warknął Cowan.

Helen pokręciła głową.

— Przepraszam — wtrącił się ponownie Chamberlain — uważam, że wysłali ich wiele.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Jest mowa o licytacji — odparła Helen. — Na licytację zaprasza się kilku oferentów. „Oczekuję twojej oferty na licytacji Pendragona”.

— Co za idiota bawi się w takie głupie szarady. Lancelot! Na Boga. Licytacja, okup. To jednak są porywacze. Sukinsyny!

— Może to jego sposób, żeby powiedzieć, kim jest.

— Jaki?

— Pseudonim.

— Tyle, że nie ma wielkiego sensu wysłać pseudonimu ludziom, którzy nie znają klucza. Zgadza się, Pete?

— Myślę, że panna Thorp ma rację. Z jakiegoś powodu on używa pseudonimu. Przypuszcza, że ktoś go jednak rozpozna.

Cowan popatrzył na Chamberlaina, potem odwrócił się do Helen.

— Uważasz, że Rice też dostał coś takiego?

— Jest jeden sposób, żeby się o tym przekonać. — podniosła słuchawkę, włączyła głośnik i wykręciła londyński numer. Chamberlain podniósł kartkę z wiadomością i studiował ją, przechadzając się po pokoju.

— Dlaczego myślisz, że teraz Rice będzie z tobą rozmawiał? — spytał Alfred Cowan.

— Zobaczysz.

Dziewczyna w Londynie odezwała się po pierwszym sygnale.

— All Seas... Helen przerwała jej.

— Lancelot do pana Rice'a.

Cowan wyszczerzył zęby w uśmiechu, a Chamberlain przestał chodzić w kółko.

— Proszę się nie rozłączać.

Przez chwilę słyszeli prowadzoną szeptem rozmowę, a potem zabrzmiał głos z wyraźnym francuskim akcentem.

— Tu René Rice. Z kim rozmawiam?



- Helen Thorp z Comptelu. My także to dostaliśmy.
- Co? Kto?
- „Oczekuję twojej oferty na licytacji Pendragona”! Kto jeszcze dostał taką wiadomość?
- Nie mam pojęcia — sztywno odparł Rice.
- Ale przyznaje pan, że Hammond został porwany.
- Zdaje się, że pani sama się tego domyśliła, panno Thorp. Z pomocą środków masowego przekazu. Tak. Porwano pana Hammonda.
- Jakie kroki pan podjął?
- Głos Rice’a świadczył o wyczerpaniu.
- Scotland Yard prowadzi śledztwo. Co możemy jeszcze zrobić, poza czekaniem na ich żądania?
- Z jakimi jeszcze firmami Hammond prowadził obecnie interesy? Rice zawahał się.
- Nie mogę ujawnić tej informacji. Jesteśmy winni pozostałym klientom taką samą dyskrecją, z jakiej korzysta Comptel.
- Radziłabym — spokojnie powiedziała Helen — żeby ktoś, pan albo my, dowiedział się, kto jeszcze dostał taki teleks. Comptel rozważa wniesienie wkładu do wspólnego funduszu wykupu, jeśli pozostali klienci Hammonda także to zrobią.
- Rozważam, a jakże — mruknął Cowan z za swojego biurka.
- Chce pan z nimi rozmawiać, czy my mamy to zrobić?
- Francuski akcent Rice’a stał się mocniejszy i mniej zrozumiały. Praktycznie mamrotał, kiedy kończył rozmowę.
- Skąd mamy mieć pewność, że oni też dostali taką wiadomość?
- Musimy zapytać.
- A jeśli jej nie dostali?
- Widać było, jak Helen stara się opanować gniew.
- No to nie dostali. To nie ma znaczenia. Tak czy inaczej do jutra się dowiedzą. Proszę porozmawiać ze swoimi ludźmi — dodała uprzejmie. — Niech pan się dowie, co o tym myślą. Zadzwoń do pana za godzinę z potwierdzeniem wkładu Comptelu.
- Alfred Cowan popatrzył groźnie, kiedy odłożyła słuchawkę.
- Jakiego wkładu?
- Głos Rice’a brzmiał okropnie. Myślałam, że będzie sobie lepiej radził. Zwykle jest dość opanowany.

- Jakiego wkładu? — powtórzył z naciskiem Cowan.
- Musimy coś zaproponować, Alfredzie.
- Dlaczego?

Helen zamierzała odpowiedzieć, ale nagle zwróciła uwagę na Chamberlaina, siedzącego w fotelu i głowiącego się nad wydrukiem.

— Posłuchaj, Alfredzie, może przedyskutujemy tę sprawę, a Pete tymczasem...

— Racja — oschle przytaknął Cowan.

Chamberlain już stał.

— Wykonam kilka telefonów. Skorzystam z sąsiedniego gabinetu.

— Nie masz nic przeciwko temu, Helen? — upewnił się Cowan.

Skinęła głową.

— Dziękuję, sir. Dziękuję, panno Thorp.

Chamberlain skierował się do drzwi. Bardzo chciał być świadkiem ich dyskusji, mimo to czuł ulgę, opuszczając na chwilę to pomieszczenie, w którym napięcie wisiało w powietrzu. Czul się tak, jakby składał raport na mostku okrętu flagowego mając przeświadczenie, że kapitan i admirał sił specjalnych czekają na jego błyskotliwe pomysły.

W zeszłym roku, zabierając go z Agencji, sypiąc uśmiechami i obietnicami w hotelowym hallu, prezes Comptelu był szczodry. Obiecywał dwudziestopięciotysięczną premię za wykupienie porwanego szefa monachijskiego biura. Taki facet, jak Charles Hammond, powinien być wart więcej niż dyrektor oddziału. I to o wiele więcej, jeśli rozegra tę sprawę bezbłędnie. Może tym razem będzie to coś więcej niż pieniądze. Być może teraz właśnie trafi mu się okazja wydostania się z ochrony — okazja dotarcia na szczyt.

Zamknął za sobą na klucz drzwi gabinetu Helen Thorp i sprawdził luksusowe pomieszczenie małym elektronicznym wykrywaczem. Przyrząd w jego dłoni zaświecił lekko, potwierdzając to, na co wskazywały dyskretne oględziny gabinetu Cowana. Gabinety dyrekcji Comptelu najeżone były elektronicznymi zagłuszaczami i detektorami. Gdyby próbował poznać treść rozmowy prowadzonej w sąsiednim pokoju przy pomocy miniaturowego urządzenia podsłuchowego, które nosił w kieszeni, włączyłby się alarm.

Sfrustrowany, przechadzał się po pokoju, strzelając palcami. Dziewczyna była zdumiewająca, młodsza, piękniejsza i bardziej twarda, niż głośiły krążące w firmie plotki. Znacznie twardsza. Żyło jej się bardzo dobrze. Eleganckie biurko ukryte było we wnęce, a resztę pomieszczenia zajmowały dwa oddzielne kąciki wypoczynkowe: jeden wyposażony w obitą futrem kanapę i skomplikowany sprzęt stereofoniczny, drugi z barkiem z polituowanego drewna i kryształowymi kieliszkami. Chamberlain pokręcił głową, zastanawiając się nad sposobem podsłuchania rozmowy. Międzynarodowe korporacje, które działały coraz bardziej poza obszarem kontroli i ochrony poszczególnych rządów, musiały także coraz lepiej dbać o własne bezpieczeństwo. Te, które produkowały własny sprzęt telekomunikacyjny, były najtrudniejsze do rozpracowania. Comptel miał nawet specjalny system kodujący, wbudowany w wewnętrzne telefony pracowników na najwyższym szczeblu, zupełnie jak KGB.

Barek! Wybrał kryształową szklaneczkę do whisky i przystawił jej wylot do ściany dzielącej gabinetu Helen Thorp i Cowana. Przycisnął ucho do dna szklanki w samą porę, żeby usłyszeć, jak Helen Thorp mówi:

— Ale w ostatnim roku Hammond pośredniczył przy co dziesiątej transakcji Comptelu.

Chamberlain przesunął szklanekę o kilka cali, aż znalazł słupek nośny, który przewodził dźwięk lepiej niż izolowane, puste obszary. Uśmiechnął się i szepnął do siebie: „geniusz”.

Głos Alfreda Cowana dudnił za ścianą, jakby dochodził z brzucha wielkiego i głodnego zwierzęcia.

— Hammond ma zbyt wielką część naszych akcji.

— Teraz już trochę za późno, żeby się o to martwić — zareplikowała Helen Thorp. Chamberlainowi umykał ton głosu, ale szybki rytm odpowiedzi miał gniewne zabarwienie.

— W rzeczywistości — zadudnił Cowan — niepokoję się o Hammonda już od pewnego czasu.

— Alfredzie, na miłość boską, naprawdę chcesz robić gorsze interesy?

Riposta Cowana była tak cicha, że Chamberlain ledwie ją dosłyszał.

— Może chce, żebyś to ty robiła mniej interesów z Hammondem.

Po krótkiej chwili ciszy Helen odezwała się:

— I więcej interesów z kimś innym? To chciałeś powiedzieć?

— Być może znalazłaś się w ślepych zaułku, wiążąc się z Hammondem. Może powinnaś rozwijać inne obszary.

— To piekielnie dobry moment, żeby mi o tym mówić.

— Czy słyszałaś kiedyś o dobrym okresie na złe wiadomości?

Cisza, która nastąpiła po tych słowach, była tak długa, że Chamberlain pomyślał, iż mówią teraz zwróceniu w inną stronę. Kiedy jednak usłyszał w końcu głos Helen Thorp, wiedział, że nie stracił ani słowa.

— Aż tak źle? — zapytała bezbarwnym tonem.

— Tak. Po prostu dopiero to przemówiło ci do rozsądku.

— Alfredzie, jak mogłam to przegapić? Dlaczego nie zwróciłeś mi wcześniej uwagi?

— Nie słuchałaś.

Ponownie zapadła cisza.

Chamberlain czekał, zaniepokojony, że mogą uznać Charlesa Hammonda za straconego, i w ten sposób nie będzie miał szansy na to, by wejść w łaski Cowana. I rzeczywiście, Helen Thorp zapytała:

— Radzisz, żebyśmy o nim zapomnieli?

— Dlaczego nie? — głos Cowana zadudnił posepnie.

— Czy dlatego, że dużo musielibyśmy za niego zapłacić?

— Jakoś byśmy to przeżyli.

— Tracąc czteroletnie zyski?

— Trzyletnie — Cowan rzucił to zbyt pospiesznie.

— Niech będą trzyletnie — zgodziła się Helen Thorp. — Czy zarząd zgodzi się na to?

— Jeśli za każdym razem będę im mówił tylko o jednym roku. Do diabła, nasze akcje stoją wysoko.

— Nie możemy zapłacić rachunków zyskami z akcji.

— To nie będą szczęśliwe lata. — Głos stał się bardziej surowy. — Ale moja sytuacja będzie lepsza niż twoja, kochanie.

— Tak, wiem, Alfredzie. Jestem całkowicie uzależniona od Hammonda, jeśli zechcę w przyszłości objąć twoje stanowisko.

— Już je masz.

— Tak, Alfredzie, oboje o tym wiemy.

Cowan roześmiał się.

— Będziesz miała więcej kłopotów, niż przypuszczasz. Jeśli zarząd się mnie pozbędzie, moja protegowana będzie ostatnią osobą, którą posadzą na tym stołku.

— Tego się obawiam — odparła chłodno.

— Nie chciałbym, żeby tak się stało — rzekł Cowan.

— Dziękuję. Pozostaje pytanie, ile pieniędzy możemy przeznaczyć na okup?

— Przeboleję tę stratę.

— Nie, Alfredzie. Nie chciałabym, żeby to miało zburzyć twoje plany rozwoju firmy.

Cowan rzucił gniewnie:

— Dlaczego ten głupi sukinsyn pozwolił się porwać? Co z jego obstawą?

— Prawdopodobnie nie słuchał ich.

— To by pasowało do Hammonda. Dlaczego, do cholery, pozwoliłem, żebyś się tak od niego uzależniła?

— Bo ta współpraca przynosiła zyski. Zaczynamy się powtarzać, Alfredzie.

— Dlaczego, u licha, nie możemy mieć pracowników, którzy robiliby to samo co on?

— Ponieważ człowiek, który miałby wtyczkę w egipskim ministerstwie obrony, dysponował prywatnym numerem telefonu dowódcy kenijskiej armii i chodził na dziewczynki z księciem, który kupuje urządzenia telekomunikacyjne dla Arabii Saudyjskiej, byłby cholernie głupi, gdyby pracował wyłącznie dla nas — powtórzyła cierpliwie.

— Kurwa.

Naglący głos Helen Thorp przedarł się przez ścianę i wprawił w drżenie pustą szklankę.

— Nie chcemy też, żeby pracownicy Comptelu płacili bakszysz.

— To prawda.

— Jeśli Hammond płaci łapówki ze swojej prowizji, to jego sprawa.

— Dlaczego go porwano?

— Nie wszystko naraz, Alfredzie. Podejmijmy decyzję, zanim będziemy do niej zmuszeni. Ile wpłaci Comptel?

— Odpieprz się.

— Ile, Alfredzie?

Odpowiedział cicho i Chamberlain nie był pewien, czy dobrze usłyszał: milion dolarów.

— Nie wystarczy — rzekła Helen Thorp, a Chamberlain zastanowił się, ile Comptel zapłaciłby za niego w takiej sytuacji. Nieprzyjemnie kołatała mu się po głowie suma trzydziestu tysięcy dolarów.

— Pięć! I ani grosza więcej.

Chamberlain gwizdnął bezgłośnie. Zebranie pięciu milionów gotówką, ukrycie faktu, że taka suma została wypłacona i oddanie jej z powrotem będzie zadaniem na większą część roku dla plutonu księgowych.

Głos Cowana był surowy i na przemian to wznosił się, to opadał, kiedy mężczyzna wstawał z fotela i spacerował po gabinecie.

— Ale twoim zadaniem jest dostarczyć go tu z powrotem. Tylko nie spieprz tego. Te pieniądze nie zostaną wypłacone, dopóki nie będziesz pewna, że go odzyskamy. Jasne?

— Słuszna decyzja — powiedziała Helen Thorp. — Mogę zadzwonić do Rice'a?

— Za pięć milionów dolarów Rice może zadzwonić na własny rachunek.

— Dokąd idziesz?

— Nie siedzę w tym tak głęboko, jak ty. Na razie nie ma sensu, abyśmy oboje psuli sobie wieczór. Szczęśliwego Nowego Roku!

— Co z Chamberlainem? — spytała. — Naprawdę muszę brać go ze sobą?

— To mordotłuk. Weź go. Możesz potrzebować kogoś takiego.

Chamberlain gniewnie wzruszył ramionami. Wiedział, że nie trafił do obitego pluszem gabinetu Cowana z powodu nadzwyczajnych umiejętności, ale to określenie, zawierające w sobie więcej prawdy, niżby sobie życzył, dotknęło go.

— Ale czy on ma głowę? — Helen nie dawała za wygraną. — Jaki on jest?

Cowan zachnął się.

— Głowę? Był pletwonurkiem-dywersantem w marynarce wojennej.

— Alfredzie — powiedziała rozdrażniona. — Nie każdy jest takim fanatycznym znawcą wojska jak ty. Co to znaczy: „pletwonurek-dywersant w marynarce wojennej”?

*Mordotluk* — pomyślał Chamberlain.

— Oni podejmowali ryzyko, o jakim większość z nas nie ma pojęcia — odparł Cowan. — To hartuje człowieka.

— Gówno prawda. To było tylko fizyczne zagrożenie. Ty każdego dnia podejmujesz ryzyko, od którego zwykły człowiek by osiwiął.

— Powiedzmy, że Pete jest człowiekiem, którego warto mieć przy sobie, kiedy znajdziesz się w niebezpieczeństwie.

— Po czyjej stronie?

— Twojej, jeśli go zechcesz. Za to mu płacimy.

— Sama nie wiem.

— Szczęśliwego Nowego Roku, kochanie. Zadzwoń, jeśli będziesz mnie potrzebować. — Cienka ścianka zadrżała, gdy Cowan zatrzaskał za sobą drzwi.

Chamberlain napełnił swoją „podśluchową” szklanę wodą mineralną Pelligrini z barku Helen Thorp, zaskoczony, że nie jest gazowana jak Perrier. Potem z prywatnego aparatu Helen, który wciąż nosił zapach jej perfum, zatelefonował do Langley, w Wirginii.

Cowan już się nie liczył. Jego wielka szansa w Comptelu spoczywała teraz w rękach Helen Thorp. Musiał jakoś zrobić na niej wrażenie — i to cholernie szybko.

— Centralna Agencja Wywiadowcza.

Chamberlain rozegrał sprawę prosto, podając telefonistce krótką listę nazwisk i modląc się, żeby to Arnie Fast był tym, którego uda jej się znaleźć w sylwestrową noc. Arnie należał do niewielu ludzi, którzy ciągle jeszcze winni mu byli przysługę.

# Rozdział piąty

Coś się zmieniło. Coś ważnego, ale nie dającego się określić. Jej ciało nadal drżało i prężyło się, i nadal słyszała swój krzyczący chrapliwie głos. Po chwili jednak uświadomiła sobie, że nie ma już straszliwego świstu pejczy i nie czuje uderzeń wzmagających straszliwy ból. Odkryła, że dudnienie w uszach jest biciem jej własnego serca.

— Otwórz oczy.

Otworzyła. Litery na złotym papierze rozplywały się przed jej oczami. Skuliła się, kiedy ubrany na czarno mężczyzna końcem szpicruty dotknął podpisu, raz za razem stukając w papier. Lancelot, Lancelot, Lancelot.

— Gdzie jest Grandzau?

Poprzez śmiertelny ból, płonący w całym ciele, coś krzyczało w jej umyśle, że to ktoś używa starego kodu Grandzaua, zaczerpniętego z Malory'ego.

— Zamierzasz nadal kłamać? — spytał mężczyzna w czerni.

Kto mógł znać kod? Jak mogła go zapewnić, że Lancelotem nie może być Grandzau? Trzymający ją grubas zmienił uchwyt. Teraz dzierzył obie jej ręce w jednej swojej dłoni.

— Gdzie jest Grandzau?

Wyszarpnęła się i rzuciła do poduszki. Ból spowolnił jej ruchy. Mężczyzna chwycił ją bez trudu i ponownie rozciągnął na brzuchu.

— Gdzie jest Grandzau? — Po raz pierwszy w głosie mężczyzny



zabrzmiało zniecierpliwienie i kobieta uświadomiła sobie, że do tej pory bił ją dla przyjemności. Teraz oczekiwał prawdy, ale ona już powiedziała mu prawdę.

— Nie żyje. Przysięgam.

Podniósł pejcz.

Kiedy sprężyła się, podejmując kolejną daremną próbę ucieczki, zobaczyła, że trzymający ją Francuz rozpiął spodnie.

— Później — obiecał mu człowiek w czerni. — Kiedy powie.

Noworoczny świt wstał za Rzeką Wschodnią i słał zimne, szare światło do biura Helen Thorp, na szczycie budynku Comptelu. Pięćdziesiąt kondygnacji niżej ulice nadal tonęły w ciemnościach.

Dzień zastał Pete'a Chamberlaina w kącie pokoju, pogrążonego w cichej rozmowie telefonicznej. Helen Thorp siedziała przy innym telefonie. Przyglądał się jej, jak odkłada słuchawkę, z zadowoleniem kiwając głową, i przegląda kartkę papieru, na której starannym pismem zrobiła notatki z nocnych rozmów. W jej popielniczce leżały trzy niedopałki, po jednym na dwie godziny. Spojrzała na zegarek i zapaliła czwartego papierosa, za wcześnie, jak zauważył.

Skończył swoją rozmowę i podszedł do niej.

— Okay, Pete. Co twoi „dłużnicy” wiedzą o porwaniu Hammonda?

— Zgarnęli go w biały dzień, dwie przecznice od Harrodsa. Bardzo zgrabnie, włącznie z fałszywym policjantem i prawdopodobnie podstawionym szoferem.

— Jak, do diabła, przełamali obstawę Hammonda?

Chamberlain wrzucił ramionami.

— W końcu się dowiem. Ale najważniejsze, że zrobili to dobrze i profesjonalnie, co zwiększa szanse Hammonda na przeżycie.

— Bogu dzięki, nawet za takie niewielkie dobrodziejstwa.

— To lepiej, niżby miał się dostać w ręce szaleńców. Kogo udało się pani namówić do składki na okup?

— Wszystkich, oprócz Hansa Streichera, co mnie nie dziwi.

— Nie. Handlarze bronią ceną niezależność. Pojawi się, kiedy będzie pewien, że bez nas sobie nie poradzi.

— Mishuma przyłączy się do nas. Lockheed nie mógł znaleźć nikogo, kto mógłby wyrazić zgodę, ale chcą to zrobić. To samo z Texas Instruments.

Nie chcą zabrudzić sobie rąk, więc myślę, że pozwolą nam się reprezentować. Kolejna propozycja to British Hovercraft. Są w dobrej sytuacji współpracując z wojskowymi, więc pewnie pozostaną z boku.

— Czy dołączą do nas, jeśli to się opłaci?

— Oczywiście — odparła Helen. — I to wszystko, co osiągnęliśmy. Kilka mniejszych kompanii także wniesie niewielkie sumy. Niektóre z nich są w dużo gorszych kłopotach niż my, gdyż w rękach Hammonda jest większość ich transakcji. Zrobią, co im każemy. Poza tym, biuro w Paryżu mówi, że rząd francuski popiera nas po cichu. Przypuszczam, że Hammond sprzedawał samoloty mirage.

— Rzeczywiście porwali właściwego człowieka — skomentował Chamberlain.

— Z pewnością. Wszyscy chcą mieć go z powrotem, całego i zdrowego, by skończył swoją robotę — odchyliła głowę do tyłu i wyciągnęła szyję. Masowała ją palcami, próbując rozluźnić napięte mięśnie. — Co jeszcze udało ci się ustalić?

— Dwie rzeczy. Znaleźli w końcu faceta, który wiedział o kodzie Malory'ego.

— Wie, kto go używa?

— Coś w tym rodzaju. Pewien Niemiec, Karl Grandzau, sprzedawał tajemnice zarówno nam jak i Rosjanom, w końcu lat sześćdziesiątych i do połowy siedemdziesiątych. Miał niewielką sieć informacyjną w NATO i drugą we Wschodnich Niemczech. Taki typ, który za każdym razem, kiedy jesteś gotowy go zabić za to, że cię wykiwał, wraca z jakimś dobrym towarem od drugiej strony. A mówiąc o towarze, na boku sporo handlował narkotykami, głównie heroiną z Marsylii, dopóki Chińczycy w Amsterdamie nie przejęli tego interesu. Każdy z kontaktów Grandzaua nosił pseudonim z legendy o królu Arturze. Prawdziwe wariactwo. Grandzau miał pseudonim Lancelot.

— Zatem wykupimy Hammonda od Grandzaua.

— Tyle tylko, że Grandzau zginął trzy lata temu.

Lady Janet leżała bez ruchu, niezdolna już uciekać przed pejcem. Uderzenia szpicruty padały tylko na pośladki, lecz ból, ból był wszędzie. W pewnym momencie, kiedy pejcz przestał przecinać powietrze, usłyszała,

jak mężczyzna w czarnym ubraniu rozmawia przez telefon.

— Ona nie wie. Może ją także oszukał.

Nastąpiła pauza. Potem odezwał się znowu:

— Tak, jestem pewien. Spróbuję z tym w Bernie — odłożył słuchawkę. Potem usłyszała, jak mówi: — Zajmij się nią.

— Za chwilę — obiecał grubas.

Lady Janet wyczuła jakiś ruch i spojrzała spod przymkniętych powiek. Ciągle leżała na brzuchu, na przesiąkniętym potem prześcieradle. Mężczyzna w czerni pojawił się w zasięgu jej wzroku, nadal z pejczem w ręku. Następnie schował go do futerału z pełnym żalu westchnieniem. Laska zamknęła się z trzaskiem. Człowiek przekręcił gałkę, żeby zabezpieczyć zamek, i wyszedł z pokoju.

Usłyszała stuk obcasów na schodach z polerowanego marmuru. Czekala, skupiając całą siłę woli. Z tyłu usłyszała szelest ubrania, podwójne stuknięcie ciężkich buciorów, szcęk sprzączki przy pasie. Grubas rozbierał się.

Nie wiedziała, czy w ogóle będzie w stanie się poruszyć. Jej ciało nadal przeszywał ból. Ramiona miała jak z ołowiu. Spróbowała zorientować się, jak leży na łóżku, gdzie są poduszki, ustalić dokładnie położenie rąk i nóg.

Mężczyzna chwycił ją za kostki i rozsunął nogi. Zza okna dobiegł odgłos zapuszczanego silnika, a potem charakterystyczny łoskot ruszającego citroëna-maserati. Zmusiła się, by leżeć spokojnie, podczas gdy mężczyzna z tyłu układał jej ciało.

Oddychał teraz głośno, powoli, głęboko wciągając powietrze. Przycisnął ręką jej pocięte uderzeniami szpicruty pośladki. Ból sparaliżował jej wolę. Nadchodził właściwy moment, o ile tylko będzie mogła się ruszyć. Skoncentrowała się, aby móc gwałtownie skoczyć do przodu. Musi zrobić to perfekcyjnie. Mężczyzna był zbyt wielki, żeby walczyć z nim w zwarciu. To była jej ostatnia szansa. Ten człowiek zamierzał ją nie tylko zgwałcić, ale także zabić.

Łóżko ugięło się, gdy uklękła pomiędzy jej rozłożonymi nogami.

Rzuciła się naprzód, wsuwając rękę pod poduszkę i desperacko szukając pistoletu. Wrzasnął ze zdumienia. Jej dłoń była już pod drugą poduszką, kiedy przyciągnął ją do siebie. Zdażyła wyczuć jeszcze palcami twardy kształt broni, ale napastnik odciągnął ją do tyłu. Odepcnęła

się nogami jak pływak, wyciągnęła do przodu i wsunęła ponownie rękę pod poduszkę.

Zacisnęła dłoń na pistolecie. Wyćwiczonym ruchem odciągnęła bezpiecznik, wsuwając środkowy palec pod osłonę spustu. Odwróciła się na bok, niemal oślepiąca przez ból, skierowała broń na napastnika i celując w mięsiste ramię nacisnęła spust.

Był nagi i blady jak topielec. Przez moment gapił się tępo na pistolet, a potem zręcznym ruchem błyskawicznie rzucił w nią zwinięte prześcieradło. Huk wystrzału rozniósł się echem po dużym pomieszczeniu.

Lady Janet opadła z powrotem na łóżko szlochając gorzko.

Mężczyzna w czerni powinien zapłacić za to, co jej zrobił, ale prześcieradło zepsuło strzał i teraz grubas, który mógł ją do niego zaprowadzić, leżał martwy na podłodze sypialni, z kulą w sercu.

# Rozdział szósty

— Nie żyje? Jeśli Grandzau nie żyje, to kim jest Lancelot?

— Tego nikt nie wie. — Chamberlain wstał, przeciągnął się aż zatrzeszczały mu stawy, i podszedł do przeszklonej ściany. Popatrzył na swoje odbicie, które cieniem nakładało się na obraz szarego miasta. — Ale mamy gorszy problem. Dużo gorszy.

— Pete, nie lubię takich zgadywanek. Proszę, powiedz mi to szybko i prosto, bez dramatycznych efektów. Na czym polega ten gorszy problem?

— Moi przyjaciele byli trochę zbyt chętni do rozmowy. Oni mnie raczej sondowali.

— To oczywiste, że CIA interesuje się Hammondem.

— Tylko dlatego, że interesują się nim Rosjanie.

— Rosjanie? Nie. Charles Hammond nie prowadzi interesów z Rosjanami.

— Ale oni chcą robić interesy z nim.

Potrząsnęła głową.

— Przed laty namawiali go, żeby poprowadził handel zbożem; zajmował się tym przez tydzień i podziękował — uśmiechnęła się nagle. Chamberlain zdumiał się widząc, że jej niezwykle piękna twarz stała się jeszcze piękniejsza, gdy zniknęło z niej napięcie. — Hammond mówi, że w porównaniu z rosyjskimi biurokratami arabscy handlarze cementu są jak panie z dobroczynnego jarmarku.

— Lubi pani Hammonda, prawda?

Spodziewał się, że zamilknie, może nawet skoczy mu do gardła, ale uśmiechnęła się szerzej i skinęła głową, przyznając:

— Bardzo go lubię. W tym człowieku coś jest — spoważniała nagle, znowu pochłonięta interesami. — Co CIA powiedziało o Rosjanach?

— Gdy tylko dowiedzieli się, że porwano Hammonda, całe KGB skoczyło na równe nogi. Naprowadzili Scotland Yard na kilka kryjówek IRA w Londynie, o których *bobbies* nie mieli pojęcia. Rozwalili jedną z siedzib Palestyńczyków — i to przy pomocy własnych ludzi. Bogu dzięki, że nie było tam Hammonda. Daleko im do delikatności. Teraz, kiedy usłyszeli o telegramie, próbują się wkręcić do Mishumy, Hansa Streichera i Bóg wie kogo jeszcze. Chcą mieć Hammonda — i to bardzo chcą.

— Z powodu tego, co może on wiedzieć — westchnęła Helen.

— Na to wygląda. Hammond zna mnóstwo tajemnic wielu armii, bo to on sprzedawał im najlepszy sprzęt, jaki teraz mają.

— Co z nim zrobią?

— Wyduszą to z niego.

— O, Boże!

— Wygląda na to, że nie będziemy jedynymi uczestnikami tej aukcji. Możemy dojść do porozumienia z Mishumą i Streicherem, i na pewno z Hovercraft, ale Rosjanie będą licytować przeciwko nam.

— Co zrobi CIA?

— Będą obserwować. Pomogą nam, jeśli nie ucierpią na tym inne operacje. A gdyby zanosilo się na to, że Rosjanie nas przelicytują, zabiją go.

Sposępniała wyraźnie, potem jednak rozpogodziła się.

— Ale jeśli nie wiedzą, gdzie on jest...

— Lepiej założyć, że pilnie szukają. Kiedy go znajdą, albo wyłamią drzwi, albo zaczekają na wynik aukcji. Tak czy inaczej, nie chciałbym być na miejscu Hammonda.

— Cóż... Czy Rosjanie zerwą licytację?

— Wątpię w to. Mało prawdopodobne, żeby Hammond był na aukcji.

— Dlaczego nie porozumieć się z CIA? Możemy licytować razem.

— Wspaniale, o ile rzeczywiście weźmiemy udział w aukcji. Problem w tym, że Rosjanie już polują na Hammonda. Nie będą czekać na licytację.

Helen Thorp skinęła głową, przygryzając wargę.

— Racja. A CIA?

— Obserwuje Rosjan. Są gotowi uderzyć, kiedy tamci odkryją, gdzie jest Hammond.

— W porządku. Innymi słowy, Hammond ma najwięcej szans, jeśli zostanie uratowany, zanim dostanie go KGB albo CIA.

— Szanse jak cholera.

Przestała przygryzać wargę i spojrzała na niego stanowczo. Jej oczy zapłonęły fioletem w świetle wstającego dnia, a jej niski głos, zdecydowany i władczy kontralt, harmonizował z ich wyrazem.

— Czego pan chce, Pete?

— Słucham?

— Czego pan chce? — powtórzyła. — Co pan chce z tego mieć?

— Nie jestem pewien, czy panią rozumiem.

— Cała moja kariera zależy od tego, co stanie się z Hammondem. Poradziłabym sobie z tym sama, ale Rosjanie komplikują moje plany. W tej sytuacji potrzebuję pomocy. Ale chcę wiedzieć więcej o Peterze Chamberlainie. Czego chce Pete Chamberlain?

Zawahał się. Słyszał to już przez ścianę z ust Cowana. Była w tarapatkach, tak czy inaczej, bez Hammonda jest skończona. Wyglądało to na życiową szansę. Rozum ostrzegwał: *Nie spieprz tego. Nie spieprz tego.*

Helen Thorp niecierpliwie potrząsnęła głową.

— Niech pan nie stara się przygotować właściwej odpowiedzi. Po prostu proszę mi powiedzieć.

Rozłożył szeroko ręce, obserwując swoje grube palce. Gdyby groziła mu pistoletem, wytraciłby go szybciej, niż zdążyłaby o tym pomyśleć. Gdyby zaatakowała go para karateków, rozmazałby ich na ścianach. Miał jednak wrażenie, że jest niemrawy i beznadziejny, kiedy próbuje się zareklamować.

— Chcę iść naprzód.

— Tak jak każdy. Sukces odnoszą ci, którzy wiedzą, jak to zrobić.

Chamberlain wyjrzał za okno, ciągle niezdolny do tego, by powiedzieć po prostu, że siedemnaście lat służby wywiadowczej powinno

skończyć się czymś innym, niż wyludzeniem od Komisji Wetlanda zgody dla brata na budowę domów bez osadnika ścieków.

Helen Thorp poruszyła się. Czuł, że szuka jego odbicia w szybie. Pięćset stóp niżej, na ciągle pogrążonej w ciemnościach ulicy, grupka sylwestrowych maruderów bezowocnie machała na nie istniejące taksówki. Niebo pojaśniało nagle i ich oczy spotkały się w odchodzącym mroku.

Chamberlain otworzył usta i w końcu wydobył z siebie słowa:

— Wie pani, czego chcę?

— Czego?

— Chcę czuć się swobodnie, wchodząc do gabinetu Cowana. — W momencie, kiedy to powiedział, słowa te zabrzmiały głupio, ale to właśnie starał się przez cały dzień wyjaśnić swojemu bratu — i sobie.

— A nie wystarczyłby panu mój gabinet?

— Co pani chce przez to powiedzieć?

— Proszę odzyskać Hammonda żywego, a zapewniam pana, że będzie się pan czuł swobodnie wchodząc do mojego gabinetu. O każdej porze. W dowolnym celu. Niech pan go uratuje, Pete. Ma pan wolną rękę. Niech pan uratuje Hammonda!



# Rozdział siódmy

— Chamberlain?

Jeszcze będąc w drzwiach concorda, zobaczył Anglika w niebieskim mundurze i rozpoznał jego szczupłą sylwetkę, siwe wąsy i obojętny wyraz oczu policjanta ze Scotland Yardu. Brytyjczyk wyciągnął rękę, witając w Londynie i jednocześnie zagradzając drogę.

— Alex Farquhar. Metropolitan Police — przedstawił się.

— Pete Chamberlain.

— Facet z Comptelu powiedział, że pan przyjedzie. Obiecałem mu, że zajmę się panem. Jeśli nie ma pan w podręcznym bagażu niczego, co mogłoby się nie podobać inspektorowi celnemu Jej Królewskiej Mości, to prześlijniemy się bokiem. Jakiś przemyt? Żywe zwierzęta?...

— Nie mam żadnej broni.

— Świetnie. Znaleźliśmy szefa ochrony Hammonda. Pomyślałem, że moglibyśmy wpaść do szpitala, posłuchać, co ma do powiedzenia.

— Wheeler?

— Najwyraźniej jechał za porywaczami. Jakiś rolnik znalazł go, gdy czuł się z poderżniętym gardłem po polu, dwadzieścia pięć mil na północ od Londynu.

— Dokąd tamci pojechali?

- Wheeler zaczął ponownie krwawić i lekarze wyrzucili mnie, zanim mogłem zapytać.
- Musimy się czegoś dowiedzieć.
- Spróbujemy.

Wheelerowi zrobiono tracheotomię i założono rurkę dotchawiczą; rana po cięciu sztyletem została ściągnięta czarnymi szwami. Twarz pacjenta była śmiertelnie blada, a oczy zamglone.

– Czy on może mówić?

– Nie – odparł lekarz.

Chamberlain otworzył portfel, w którym miał notes i ołówek.

– Może pisać?

– Daję wam dwie minuty. Jego życie jest w niebezpieczeństwie.

– Podobnie jak Charlesa Hammonda – rzekł Farquhar, pochylając się nad łóżkiem. – Panie Wheeler. To znowu inspektor Farquhar. Zaczęliśmy wcześniej rozmawiać, ale pan krwawił. Czuje się pan lepiej?... Nie, nie sądzę. Czy pamięta pan, jak dostał się na to pole, tam gdzie pana znaleziono?

Wheeler przecząco pokręcił głową.

– Odczołgał się ponad sto jardów od miejsca, gdzie utknął jego samochód – wymruczał Farquhar przez ramię.

– To kawał twardego sukinsyna.

Wheeler szerzej otworzył oczy, usiłując zobaczyć Chamberlaina, który podszedł bliżej. Potem wyciągnął dłoń po ołówek i notes, a kiedy Chamberlain je podsunął, drżącą ręką napisał: *Możesz mi wierzyć.*

– Marines?

*Wojska lądowe. Dywizja 101,* napisał Wheeler.

– Jak ich zgubiłeś?

*Straciłem przytomność.*

– Co było ostatnią rzeczą, którą widziałeś?

*Ptaki.*

– Wheeler, jesteś tu? Napisałeś „ptaki”.

– Zwariował – powiedział spokojnie Farquhar.

– Pozbieraj się, Wheeler. Pan Hammond liczy na ciebie.

– Na dzisiaj wystarczy – odezwał się doktor.

– Wheeler, co widziałeś?

— Powiedziałem, dość tego!

Chamberlain odtrącił medyka.

— Dalej, Wheeler. Pieprz tych mięczaków. Co się stało? Co widziałeś?

Wheeler zacisnął ołówek w pięści i narysował pięć równoległych linii, które powoli pokrył czarnymi kropkami.

— Nuty? — spytał Farquhar.

— On leżał na ziemi — rzekł Chamberlain. — Patrzył w górę.

— Przewody elektryczne — odgadł Farquhar. — Linia wysokiego napięcia.

— A te kropki?

— Ptaki. Tak jak powiedział. Wrony na drutach.

— Wspaniale. Musiał stracić tyle krwi, że miał halucynacje.

— Zgadza się — potwierdził lekarz. — Wyoście się.

— On znowu pisze.

Patrzyli, jak ołówek centymetr po centymetrze przesuwał się wzdłuż linii, kreśląc nowy kształt.

— Samolot! Widział samolot. Wheeler. Wheeler. Czy on miał numery?

Wheeler poruszał ołówkiem, jakby przedmiot ten ważył tyle, co on sam. Napisał trzy cyfry: siedem, siedem, cztery.

— Co jeszcze?

— Stracił przytomność — oznajmił lekarz. — Wyoście się stąd, a ja spróbuję go uratować.

W korytarzu Farquhar popatrzył na trzy cyfry i stwierdził:

— Bogu dzięki, że istnieją komputery.

Sześć godzin później Chamberlain zameldował się w biurze Farquhara na Embankment.

— Dobrze — powiedział inspektor, zdecydowanym ruchem odkładając słuchawkę. — Wszystkie lotniska się tym zajmują, a chłopcy z kontroli radarowej sprawdzają trasy przelotów wszystkich wczorajszych intruzów. Interpol szuka na kontynencie. Przy odrobinie szczęścia coś znajdziemy. Jak poszło z Rice'em?

Wyczerpany Chamberlain osunął się na fotel dla gości. Detektyw ze Scotland Yardu miał wyjątkowo nieciekawe biuro. Rodzinna fotografia w ramce była jedyną osobistą rzeczą na jego biurku.

- Rice nie jest specjalnie pomocny.
- Ja odniosłem takie samo wrażenie. Musiałem zagrozić mu aresztowaniem, zanim zaczął ze mną rozmawiać. Okazało się, że to nędzna, mała wesz.
- Wyobrażałem sobie, że kapitan drużyny Hammonda to facet z jajami — zauważył Chamberlain. — Co by się stało, gdyby jego szef zachował w środku jakiegoś dużego interesu?
- Albo został porwany — uśmiechnął się Farquhar.
- Zacząłem wrzeszczeć — opowiadał Chamberlain. — To było zdecydowanie złe posunięcie. Rice wyglądał, jakby miał się rozplakać. Niewiarygodna scena. Dzwoniące telefony, szalejący personel... Sekretarka Rice'a powiedziała mi, że Hammond ma rozkręconych ze dwadzieścia pilnych transakcji, a Rice tylko siedzi z twarzą schowaną w dłoniach.
- Kilku przyjaciół, którzy słyszeli, że zajmuję się tą sprawą, przekazało mi trochę informacji na temat niektórych z tych interesów — rzekł Farquhar.
- Chamberlain uprzejmie kiwnął głową. Wysoko ustawieni gliniarze zwykle mieli kilka półlegalnych źródeł informacji w kręgach wywiadowczych, zwłaszcza jeśli oddali kiedyś komuś przysługę, patrząc na południe, gdy ktoś uciekał na północ.
- Coś interesującego?
- Tak się wydaje, ale to naprawdę niewiele poza surowymi danymi. Charles Hammond zajmuje się czymś więcej, niż tylko organizowaniem pożyczek bankowych, o czym panu zapewne powiedzieli pańscy pracodawcy. Mogli jednak nie powiedzieć, że Hammond maczał palce w pewnych bardzo dziwnych sprawach i to w jeszcze dziwniejszych miejscach.
- Na przykład?
- Mozambik. Kilka godzin po zniknięciu Hammonda dwie frakcje partyzanckie z Zimbabwe, które schroniły się w Mozambiku, połączonymi siłami zaatakowały trzecią, podejrzewając, że porwała Hammonda, by uniemożliwić dostawę broni.
- Mówi pan, że Hammond handluje bronią?
- Powiedzmy, że pośredniczył w tego typu transakcjach. W tym samym czasie w Brazylii pewien pułkownik i pewien major wdali się w strzelaninę na stopniach schodów pałacu prezydenckiego.

W poprzednim miesiącu Hammond trzykrotnie spotkał się z pułkownikiem. Co ciekawe, major zastrzelił pułkownika i nie został aresztowany.

— Brzmi to tak, jakby udaremnił zamach stanu.

— Tak, na to wygląda. Moje źródła nie wiedziały na ten temat nic więcej. Może mógłby pan zapytać swoich informatorów, czy to była próba zamachu i czy Hammond był w to zamieszany.

Chamberlain uświadomił sobie, że czas się czymś odwzajemnić.

— Słyszałem, że niektórzy z przyjaciół Hammonda na Madagaskarze uciekli w góry, kiedy usłyszeli, że został porwany. Mieli jakieś problemy z wyborami.

Farquhar skinął głową.

— Hammond ma plantacje na tej wyspie.

— To była jedyna rzecz, o której Rice mógł mówić. O nich i jakiejś starej francuskiej fortecy, którą nazywa Górskim Domem. Hammond zamienił ją w pałac. Przyjeżdża tam na około sześć tygodni w roku na wakacje. Ciężkie życie.

— Jaki będzie pana następny ruch? — spytał Farquhar.

Chamberlain wahał się. Ten człowiek ze Scotland Yardu okazał mu dużą pomoc i współpraca z nim byłaby korzystna, ale policjant nie jest głupi i dowie się od razu, jeśli Chamberlain będzie przed nim coś ukrywał. Amerykanin zdecydował, że Farquhar wart jest, by w niego zainwestować.

— Comptel tworzy konsorcjum, żeby wykupić Hammonda. René Rice oświadczył, że może wnieść tylko półtora miliona dolarów.

— Co takiego?

— Dokładnie. Chciałbym wiedzieć, dlaczego.

Farquhar wpatrywał się w zdjęcie stojące na biurku, jakby była to fotografia z policyjnej kartoteki.

— Pozwoli pan, że podam mu nazwisko pewnego człowieka w City. Z bankowości. On może coś wiedzieć o finansach pana Hammonda.

Lady Janet przewróciła willę do góry nogami, przetrząsając stare skrytki w poszukiwaniu pieniędzy, narkotyków, broni i paszportów. Przy każdym ruchu czuła, jak ogień pali jej pokryte pręgami ciało; płakała głośno, ale nie przerywała poszukiwań. Grandzau chował towar

wszędzie; w ściennych wyłącznikach, lampach, pod luźnymi ceglami w piwnicy, w wydrążonych książkach, w szufladach z podwójnym dnem. Znalazła morfinę, franki, amerykańskie dolary, mały pistolet, brytyjskie paszporty — wszystkie znajome atrybuty związane z ucieczką. Kiedy znalazła strzykawkę i amfetaminę, poczuła się tak, jakby przespała ostatnie kilka lat, a teraz obudziła się i znalazła z powrotem w swoim starym, niezwykłym życiu. Tylko krótki powrót, obiecała sobie, na tyle długi, żeby zabić mężczyznę, który potraktował ją tak bestialsko.

Pojechał do Berna.

W Bernie mieszkał Robert Fleming.

Fleming był jednym z dwóch ludzi w Europie, oprócz niej, którzy mogli używać kodu Malory'ego. Fleming, lady Isling i Daitch — jedyni, którzy zostali ze starego zespołu Grandzaua. Towarzysze. Ci, którzy przeżyli.

Zaaplikowała sobie pełną dawkę morfiny — nie mogłaby podróżować bez narkotyku, ledwie się poruszała — i wmusiła w siebie trochę jedzenia, gdyż instynkt mówił jej, że ciało potrzebuje pokarmu. Ukryła drugą napełnioną strzykawkę i pistolet, przymocowując je z tyłu do pasa. Poleciała z Nicei do Berna, pierwszą klasą. Chciała w ten sposób zmniejszyć do minimum ryzyko wpadki.

Ból przyczaił się jak drapieżnik czekający nadejścia nocy. Siedziała w narkotycznym oszołomieniu, z zamkniętymi oczami i twarzą przysłoniętą jasnymi włosami. Starła się przeanalizować ostatnie wydarzenia, zamroczona, tak jak nie była od lat. Zanim samolot wylądował zamówiła kawę, żeby rozjaśnić umysł, a potem wypila jeszcze trzecią i czwartą filiżankę, czekając na wynajęty samochód. Mimo pośpiechu zjadła chleb z serem, żeby dojść do siebie i zebrać siły do walki.

Mężczyzna w czerni pojechał do Berna.

Wspólnik Grandzaua, Fleming, po przejściu na emeryturę osiadł w Bernie.

*Oczekuję twojej oferty na licytacji Pendragona. Lancelot.*

Lancelot. Grandzau. Ale Grandzau jest martwy. Zajmował się całe życie szpiegowaniem i przemytem, a zginął w absurdalny sposób, w wypadku samochodowym. Zostawił jej willę, pieniądze i wolność robienia tego, na co będzie miała ochotę. Sytuacja, o ironio, podobna do tej, przed którą uciekła, opuszczając w wieku osiemnastu lat majątek ojca.

*Lancelot*. W kodzie Malory'ego Grandzau był Lancelotem. Fleming — Pellinorem. Daitch — Lionelem. Ona była Ginewrą. A kiedy upierała się, że Grandzau powinien być Arturem, Niemiec roześmiał się: „Taka Ginewra zasługuje na lepszego Artura, nie takiego gнома jak ja”.

Jej uroda i arystokratyczne pochodzenie zmyliły go. Aż do dnia śmierci ten mały człowieczek, trzydzieści lat od niej starszy i odległy o całe lata świetlne od jej klasy, nie mógł uwierzyć, jak bardzo go kocha.

Czy Fleming wrócił do handlu informacjami? Czy w jakiś sposób zagroził szefom mężczyzny w czarnym ubraniu? Nie dbała o to, dla kogo pracował jej oprawca; to on był teraz ofiarą, na którą polowała. Lady Isling, angielska arystokratka, wychowana w kulcie walki i obrony rycerskiego honoru, nie bała się stawić czoła żadnemu przeciwnikowi.

Jej ojciec, arystokrata z pochodzenia i bogaty finansista zawdzięczający wszystko swojemu talentowi, owdowiał nie mając syna. Zamiast ożenić się powtórnie albo wysłać córkę do szkoły z internatem, wychował ją w luksusowym odosobnieniu. Guwernerzy przyjeżdżali do posiadłości, a on sam uczył Janet strzelać, jeździć konno, władać floretem.

Był wymagającym i utalentowanym nauczycielem, ale ona przewyższyła go o głowę. O ile jednak takie umiejętności są niezbędne mężczyznom, o tyle lady Janet, wyzbyta poczucia lęku, zapragnęła poznać i zmierzyć się ze wszystkim, co leżało za bramą posiadłości ojca. W swojej radosnej ucieczce od koni i ich ujeżdżania, range-roverów, tweedowych pump i angielskiej etykiety wykroczyła daleko poza granice dopuszczalnego studenckiego buntu. Wpadła głęboko w paryski podziemny światek handlarzy narkotyków, płatnych morderców i działających na własną rękę szpiegów.

W barze, noszącym nazwę „79” od numeru domu przy wąskiej uliczce, odchodzącej od Rue de la Convention, w wieku dziewiętnastu lat wypila swój pierwszy absynt, po którym szybko przysła kolej na pierwszą heroinę i pierwszego mężczyznę, który jej zapłacił. Był to najemnik powracający z Angoli; za swoje pieniądze został w pełni obsłużony. Po nim przyszło kilku następnych, którzy cieszyli się, otrzymując wysoką jakość po zazwyczaj niskiej cenie, dopóki nie położył temu kresu Henri Trefle. A ostatecznie Karl Grandzau. Jej mistrzowie, czy to dla własnej

uciechy, czy też czując, że są Janet coś winni, lub, być może, rozpoznając wrodzony talent, rozszerzyli jej śmiercionośne umiejętności o nóż, garotę i ciosy karate. Jednak to Grandzau, handlarz informacjami, nadal jej ostateczny szlif, wykorzystując zdolności Janet w służbie zdrady.

Pojechała samochodem do Berna, przecięła centrum i wjechała do dzielnicy zabudowanej domami w wiejskim stylu, stojącymi na kilkunastu parcelach, otoczonych wysokimi kamiennymi murami. Brama do posiadłości Fleminga nie była zamknięta na klucz. Mimo to lady Janet zadzwoniła. Nikt się jednak nie pojawił.

Rozchyliła skrzydła bramy, wróciła do samochodu i położyła pistolet na podłodze obok swojego siedzenia. Potem poprowadziła samochód po żwirowym podejździe między niskimi zaspami odgarniętego śniegu.

Posiadłość wyglądała na opuszczoną. Na nieskazitelnych, zaśnieżonych trawnikach nie było żadnych śladów, ale ścieżki zostały uprzątnięte. Za domem stały szklarnie Fleminga, lśniące w promieniach południowego słońca. Często mówił, że zajmie się nimi po przejściu na emeryturę, kiedy plany Grandzaua przyniosą wreszcie pieniądze.

Lady Janet opuściła okno i nasłuchiwała. Panowała niesamowita, stłumiona przez śnieg cisza. Mur nie dopuszczał zgiełku miasta i dom, jednopiętrowy budynek z białej cegły, pogrążony był w ciszy. Potem zauważyła, że wiatr przysypał wymiecione ścieżki delikatną warstwą śnieżnego puchu. Wreszcie na ścieżce prowadzącej do oranżerii dostrzegła ślady stóp.

Była ubrana w płaszcz typu burberry bez podszewki, zbyt cienki na szwajcarską zimę. Wsunęła do kieszeni dłoń zaciśniętą na pistolecie i wysiadła z samochodu. Zostawiła drzwi otwarte i cicho poszła w kierunku szklarni.

Oślepiła ją blask słońca, odbitego od śniegu i białych ścian domu. Była wyczerpana i jakaś niewielka, myśląca racjonalnie część jej umysłu, która nie kierowała się poczuciem krzywdy ani poniżenia, nakazywała zatrzymać się, wycofać do samochodu, pojechać do hotelu i spać, dopóki nie będzie w stanie poradzić sobie sama ze sobą.

„Będę musiał pojechać do Berna”, powiedział mężczyzna, który ją bił. A w Bernie mieszkał Fleming, jeden z dwóch, którzy mogli użyć kodu Grandzaua. To był jej jedyny trop. Szła dalej, czując w kieszeni twardy



kształt pistoletu, którego lufa tworzyła wypukłość na tkaninie cienkiego płaszcza. Doszła do szklarni, nie słysząc żadnego dźwięku.

Stała w półmroku oranżerii, z ręką na klamce. Wydawało jej się, że widzi kogoś w środku. Wyjęła broń z kieszeni, otworzyła drzwi i weszła do wnętrza. Zignorowała to, co zobaczyła, przycisnęła plecy do drzwi i rzuciła szybkie spojrzenia na boki. Dopiero upewniwszy się, że jest sama, podeszła do Fleminga.

Włosy posiwiały mu na skroniach w ciągu tych trzech lat, które minęły od pogrzebu Grandzaua na zboczach włoskiego wzgórza. Jego palce były oblepione zaschniętą ziemią. Zaczął przygotowywać w drewnianej skrzynce nowy różany kwietnik. Rozrzucone swobodnie narzędzia: szpadel, sekator, koszyk, mączka kostna, świadczyły o niewinności Fleminga tak samo, jak okrutne ślady na jego obnażonym ciele.

Wisiał za związane ręce na przebiegającej u góry rurze nawadniającej. Nadgarstki związane były czarną jedwabną chustką. Mężczyzna w czerni uderzył go nie więcej niż z tuzin razy, ale Fleming nie żył. Jego wargi były sine. Domyśliła się, że starszy człowiek, nie mając żadnych informacji, którymi mógłby zadowolić swojego kata, zmarł na atak serca.

Fleming zawsze traktował ją z kurtuazją. Lady Janet odcięła go, używając sekatora. Upadł ciężko. Nie wypuszczając z dłoni pistoletu, przykryła ciało płachtami czarnego plastiku.

Został jeszcze Daitch w Brukseli. Ostatni, który mógł użyć kodu. Daitch, młodszy wspólnik, ochroniarz Grandzaua, zajmujący się wyszukiwaniem bezpiecznych miejsc i kryjówek — tak, by Grandzau mógł przechytryć obie strony, dla których pracował, i zniknąć, dopóki nie przestaną go poszukiwać. Z trójki: Grandzau, Fleming i Daitch, ten ostatni był najbardziej podstępny, gorszy nawet niż Grandzau, chociaż ustępował mu pod względem inteligencji i wyobraźni.

Lady Janet pospieszyła do samochodu. Jeśli mężczyzna w czerni wiedział o nim, nie było czasu do stracenia. Daitch był zdolny zabić jej prześladowcę, zanim ona sama będzie mogła to uczynić. Ból przebijał się przez morfinę. Trudno. Dzięki temu zachowa czujność, dopóki nie znajdzie się na pokładzie samolotu lecącego do Brukseli.

# Rozdział ósmy

Peter Chamberlain leżał zanurzony po szyję w gorącej wodzie. Poprzez unoszącą się parę patrzył na marmurowe ściany łazienki w hotelu Savoy. Naturalne, czarne pasma w regularnych odstępach znaczyły kremowe płaszczyzny. Bawiła go myśl, iż ktoś zdarł skórę z kamiennego tygrysa.

Telefon, wiszący na ścianie między sedesem i bidetem, zadzwonił głośno, a jego dźwięk odbił się echem od twardych ścian dużego, luksusowego pomieszczenia. Chamberlain zignorował dzwonek. Mężczyzna wiedział, że jest do niczego, dopóki się trochę nie prześpi. Wywiesił na drzwiach wejściowych tabliczkę: „Nie przeszkadzać”, zapomniał jednak powiedzieć w recepcji, żeby zostawili go w spokoju. Upłynęło trzydzieści sześć godzin, odkąd stawiał się do pracy w biurze w Waszyngtonie. Od tamtego poranka najpierw poleciał do Nowego Jorku, pojechał samochodem do Connecticut, wrócił stamtąd helikopterem, spędził Sylwestra i noworoczną noc przy telefonie Helen Thorp, przekroczył Atlantyk i biegał przez dwa dni po Londynie w towarzystwie policjanta ze Scotland Yardu. Teraz była północ według czasu londyńskiego, wczesny wieczór w Nowym Jorku, i niech piekło pochłonie Pete'a Chamberlaina, jeśli wyjdzie z wody, żeby rozmawiać z kimkolwiek. Człowiek ze Scotland Yardu śledził obecnie trasę przelotu samolotu, który, być może, zabrał Hammonda.

Telefon przestał dzwonić. Chamberlain powrócił do kontemplowania tygrysiich pasów i swoich palców u stóp, które co pewien czas pokazywały się nad powierzchnią wody. Był tak zmęczony, że whisky, którą zabrał do łazienki, stała nietknięta na brzegu ogromnej wanny.

Zdrzemnął się na chwilę, potem zebrał siły, by się namydlić. Kiedy właśnie ponownie się zanurzał, żeby opłukać pierś, odniósł wrażenie, że zza drzwi łazienki dobiegają jakieś odgłosy. Znieruchomiał, czekając, aż rozkołysana woda uspokoi się, i nasłuchiwał.

Poczuł, jak mokre włosy podnoszą mu się na karku; serce przyspieszyło i — chociaż miał świadomość, że jego zmęczenie potęguje reakcję — zaczął się bać. Ktoś chodził po apartamencie, a on leżał nagi w wannie, w łazience, która nie była zamknięta na klucz. Zastanawiał się, czy uda mu się zamknąć drzwi, zaryglować je i zadzwonić po pomoc tak, by intruz go nie usłyszał.

Kroki, stłumione przez dywan, zbliżyły się do drzwi. Chamberlain zacisnął rękę na ciężkiej szklanej popielniczce.

— Jest pan tam, Pete?

Opadł z powrotem do wody.

Helen Thorp pchnęła drzwi, obrzuciła przenikliwym spojrzeniem pokrytą pianą wodę, opuściła pokrywę sedesu i usiadła. Ubrana była w ciemnoniebieską, kaszmirową suknię, a jej czarne, gęste włosy lśniły na ramionach.

— Witam w Londynie.

— Co pan osiągnął?

— Mam numery samolotu, którym, być może, zabrano Hammonda. I zamiar na jednego z byłych wspólników Grandzaau w Szwajcarii.

— Co jeszcze?

— René Rice jest idiotą, a Hammond — bankrutem.

— Co takiego?

— Jedno ani drugie nie ma sensu.

— Pan też zachowuje się od rzeczy. O czym pan mówi?

— Rice potraktował mnie jak wroga. Zabarykadował się w biurze All Seas. Nie podejmuje żadnych decyzji ani nie wspiera swoich pracowników. To właściwie zero, jak na szefa biura. Co oznacza, że Hammond jest idiotą, zatrudniając go na najpoważniejszym stanowisku.

- Co miał pan na myśli, mówiąc, że Hammond jest bankrutem?
  - Rozmawiałem z pewnym bankierem. Hammond jest zadłużony po uszy pod zastaw wszystkiego, co posiada. Wszystkiego. To właśnie, jak sądzę, jest jednym z problemów Rice'a. Wie, że nie ma żadnych pieniędzy na okup.
  - Chwileczkę. Proszę o szczegóły.
  - Brak funduszy. Może półtora miliona w aktywach. Dla takiego faceta jak Hammond to nie są żadne pieniądze. Wszystko, co posiada, ma obciążoną hipotekę. Nawet jego plantacje na Madagaskarze. Zaczekajmy, aż porywacze dowiedzą się, że jest splukany. Może już wiedzą. Może właśnie dlatego organizują licytację.
  - Moment. Powiedział pan, że Hammond jest bankrutem, ponieważ jest zadłużony?
  - Po uszy.
  - Nie. To nie jest zupełnie tak. Z tego, czego się pan dowiedział, wynika, że Hammond upłynnił majątek, żeby zainwestować swój kapitał na giełdzie zbożowej. Jest na fali i szybko idzie naprzód.
  - A jeśli ten interes na giełdzie zbożowej nie wypali?
  - To nie jest taka sama sytuacja jak z osobistymi finansami — wyjaśniła cierpliwie. — Porównuje pan Hammonda z jakimś facetem, który boi się powiedzieć żonie, że dzieciaki muszą pójść do państwowej szkoły, bo on splajtował.
  - Nie chwytam tego.
  - Proszę mi więc uwierzyć na słowo. Fakt, że kompania Hammonda nie ma gotówki na okup, niewiele znaczy.
  - Ależ ten facet musi być wart miliony.
  - W tej chwili są one zamrożone.
  - W czym?
  - To jego interes, Pete. Planując strategię finansową, nie można uwzględnić porwania. Teraz niech się pan ruszy i ubierze. Za dziesięć minut mamy na dole spotkanie.
  - Jestem na nogach od wczoraj. Idę do łóżka.
  - Przykro mi, potrzebuję pana. Zamówiłam kawę. Chce pan jakieś pigułki na pobudzenie?
  - Na Boga, nie. Jak dostała się pani do mojego pokoju?
- Zadzwoiła kluczami na mosiężnym breloku i wrzuciła je do torebki. Chamberlain przymknęła oczy i pogрузił się głębiej w wodzie, z odrazą myśląc o porzuceniu kojącego ciepła, a tym bardziej o ubraniu się i

zejściu na dół. Zastanawiał się, jak zdołała namówić niewzruszonego recepcjonistę, by dał klucz i nagle doszedł do wniosku, że zapewne Comptel jest właścicielem tego obiektu. Zapach jej perfum unosił się nad wodą. Otworzył oczy. Okazało się, że jest coś, czego pragnie bardziej niż snu.

Odwzajemniła się szczerym spojrzeniem szeroko otwartych oczu.

— Co to za spotkanie? — spytał.

Helen Thorp wyszukała w torebce złotą papierośnicę, włożyła papierosa między wargi, zapaliła go od płomienia, który pojawił się w jednym z rogów papierośnicy i zaciągnęła głęboko.

— Spotkanie udziałowców.

— Comptelu? — Czuł narastającą erekcję, ale głęboka, nieprzezroczysta woda kryła go przed wzrokiem kobiety.

— Hammonda. Zebrałam wszystkich, którzy chcą go wykupić. Ludzi z Mishumy, Lockheeda, TI, British Hovercraft, French Air i nawet Hansa Streichera.

— Jak zdołała go pani ściągnąć?

— Tak samo jak pozostałych. Comptel wykonał pierwszy ruch, więc to jest nasze przedstawienie i wszyscy pozostali mają nadzieję, że odzyskamy dla nich Hammonda — uśmiechnęła się, mrużąc oczy. Chamberlain uświadomił sobie, że od czasu, kiedy się ostatnio widzieli, ona miała czas na spanie. — Podstawowa zasada biznesu, Pete. Wszyscy spodziewają się, że ich wspólnik wie, co robi.

— Jest jeszcze inna podstawowa zasada biznesu. A może raczej podstawowa zasada życia. Jeśli dama wchodzi do kąpiącego się faceta i wygląda tak wspaniale jak pani, to on natychmiast poprosi ją, by się do niego przyłączyła.

Założyła nogę na nogę i strząsnęła popiół do bidetu.

— Jest pan zbyt zmęczony i dlatego mało pomysłowy.

— To dotyczy słów, czy czynów?

— I jednego, i drugiego. Przyniosę panu ubranie.

Chamberlain, podwójnie pokonany, zanurzył się w stygnącej wodzie z przytłaczającą świadomością, że zaimponował tej pani jeszcze mniej niż jej szefowi.

Dziesięć minut później, w windzie, powiedziała:

— Polecę do Nowego Jorku lotem rejsowym. Może pan zatrzymać samolot.

— Jaki ma zasięg?

— Przyleciałam tu nim bezpośrednio z Nowego Jorku.  
— Dziękuję. Proszę posłuchać, czy mam tym ludziom powiedzieć, że wyważę drzwi i uprowadzę Hammonda?

— Nie. Po prostu chcę się zabezpieczyć z każdej strony. Jeśli pan nie będzie mógł go znaleźć, oni dostarczą pieniądze na aukcję.

— Czy wiedzą o zainteresowaniu Hammondem ze strony CIA? —  
Mogą. Nie mam pojęcia.

— Cudownie.

Poprowadziła go przez hall do sali konferencyjnej.

— Gotów?

Chamberlain wziął głęboki wdech i zdobył się na wysiłek, by wyprostować ramiona.

— Ostatnim razem, kiedy byłem tak zmęczony, znajdowałem się na dnie Morza Południowochińskiego i byłem o wiele młodszy.

— To szybko pójdzie. Potem do łóżka.

— Mieszka pani tutaj, w Savoyu?

— Nie. Mam w Londynie mieszkanie, w którym zwykle się zatrzymuję.

Otworzyła drzwi, pozostawiając Chamberlainowi problem: z kim też ona je dzieli? Pół tuzina mężczyzn czekało w nerwowym napięciu. Wstali i wymieniali uściski dłoni, gdy Helen przedstawiała im Chamberlaina. Potem odezwała się:

— Pan Chamberlain od pewnego czasu pracuje dla Comptelu. W poprzednim roku był negocjatorem w sprawie uwolnienia jednego z naszych południowoamerykańskich dyrektorów z rąk lewackich porwaczy.

— Uważa pani, że to jakaś organizacja lewacka? — zapytał wysoki, siwowłosy mężczyzna, reprezentujący Lockheeda.

— Nie sędzę, ale to nie ma znaczenia. Rzecz w tym, że mają Hammonda i zwołują na aukcję grube ryby.

Chamberlain był zbyt zmęczony, żeby zawracać sobie głowę zapamiętywaniem nieważnych nazwisk. Mężczyzna, który wyglądał bardzo podobnie do poprzedniego i był przedstawicielem TI, odezwał się konspiracyjnie ściszym głosem:

— Moje źródła w wywiadzie sugerują, że Lancelot działa od jakiegoś czasu w Europie. To ktoś w rodzaju pracującego na własną rękę szpiega. Japończyk z Mishumy twierdząco pokiwał głową.

— Chciałbym, żeby to była prawda — odrzekł Chamberlain. — Wtedy nie musielibyśmy się martwić, że jakichś zwariowanych amatorów zawiodą nerwy i zabiją Hammonda. Niestety, nasze źródła podały, że szpieg, o którym pan mówi, zmarł trzy lata temu.

Tym razem to handlarz broni, Hans Streicher, skinał głową. Chamberlain obdarzył go powściągliwym uśmiechem. Instynktownie polubił tego prostodusznego, krzepkiego Niemca. Z tego, co słyszał, Streicher był tak uczciwy, jak to tylko możliwe w jego branży. Oczywiście, to niezbyt wiele, ale mógł się okazać dobrym sprzymierzeńcem, kiedy będzie gorąco. Amerykanin postanowił, że spróbuje odszukać go rano.

Padło jeszcze kilka pytań. Sens odpowiedzi Chamberlaina pozostał taki sam. Zaczekają, aż porywacze oznajmią swoje żądania. Będą grali według ich reguł. Nie zrobią nic, co mogłoby narazić życie Hammonda.

— A jeśli ktoś nas przelicytuje? — zaniepokoił się Japończyk.

— Kto na przykład?

— Ktoś, kto nie chce, żebyśmy odzyskali Hammonda.

— A konkretnie?

— Mishuma, na przykład, ma konkurencję, która zyskałaby na naszej stracie.

— Uważam, że to zbyt odległe spekulacje — stwierdził człowiek z Lockheeda.

— To naprawdę mało realne — zgodziła się Helen Thorp. — Poza tym, nasze połączone środki są olbrzymie. Kto mógłby nas przebić?

Francuz z Dessaulta nie powiedział jeszcze ani słowa. Odezwał się teraz.

— Rosjanie.

— Co takiego? — zdziwił się Hans Streicher.

— Dziś po południu próbowali, niezbyt zręcznie, wejść w układy z moim asystentem. Zaproponowali, że będą licytować razem z nami. Pod naszym szyldem. W zamian mogliby nam pomóc go odzyskać. To absurd. Jednak widać, że mają powód, by chcieć Hammonda — i nietrudno go odgadnąć.

— On dużo wie — przyznał Streicher. — Może zbyt dużo. Helen Thorp wstała od stołu.

— Pan Chamberlain jest tego świadomy i ma duże doświadczenie

w sprawach wywiadu i szpiegostwa. Obserwuje Rosjan. Inni pracownicy Comptelu także się tym zajmują.

— Nie, nie, nie. — René Rice, zastępca Hammonda, przerwał w końcu milczenie. Stał obok Helen Thorp, drobny i niewiele od niej wyższy, z ciemną twarzą złożoną głównie z przestraszonych oczu, zacisniętych ust i szerokiego nosa. Chamberlain pożyczył z biblioteki Comptelu przewodnik po Afryce Wschodniej i studiował go podczas lotu. Zgadywał teraz, że Madagaskarczyk, podobnie jak wielu mieszkańców jego wyspy, ma dziwacznie mieszane pochodzenie. Wśród jego przodków musieli być Francuzi, Hindusi, Arabowie i rodowici Malgasze. Mówił z francuskim akcentem.

— Pan Hammond wie dużo, prowadząc negocjacje z tyloma ważnymi osobistościami, ale to nie ten rodzaj informacji, dla których Rosjanie chcieliby wziąć udział w licytacji. Obce rządy nie znają wyłącznie tych rodzajów broni, które objęte są najściślejszą tajemnicą. Jest ich niewiele i nigdy nie będą przedmiotem handlu. Tak więc pan Hammond nie mógłby uczestniczyć w takiej transakcji. Rosjanie nie mają powodu, by chcieć przejąć pana Hammonda.

Chamberlain i Streicher wymienili sceptyczne spojrzenia.

— Nie możemy być tego pewni, panie Rice — powiedziała Helen Thorp.

— Wiem to na pewno — upierał się Rice. — Rosjanie go nie potrzebują.

— A co z Brazylijczykami? — spytał zniecierpliwiony Chamberlain.

René Rice wyraźnie się zmieszał.

— Nie rozumiem.

— Ani ja — odparł Chamberlain. — Ale brazylijski pułkownik, z którym prowadziliście rozmowy, został zastrzelony zaraz po uprowadzeniu pana Hammonda.

Rice z przygnębieniem wzruszył ramionami.

— Nic o tym nie wiem.

Chamberlain zauważył, że Kaga Nagumo, przedstawiciel Mishumy, obrzucił Rice'a uważnym spojrzeniem. Helen Thorp także popatrzyła na niego pytająco. Chamberlain rozejrzał się po pokoju.

— Czy brakuje kogoś, kto mógłby się jeszcze znaleźć po naszej stronie? Wszyscy panowie wiecie coś niecoś o Hammondzie. Czy powinniśmy zaprosić do naszej grupy jeszcze kogoś?

— Arabów! — rzucił Streicher. — Dlaczego nie ma tu Arabów?



— Dobre pytanie.

— Hammond często pomaga mi w transakcjach z państwami Zatoki Perskiej — stwierdził handlarz bronią.

— Panie Rice? — zapytał Chamberlain. — Czy może pan zaprosić arabskich klientów pana Hammonda, by przyłączyli się do naszego konsorcjum?

Malgasz patrzył tępo i Chamberlain znowu zaczął się zastanawiać, dlaczego Hammond zatrudnił takiego mięczaka.

— Panie Rice?

— Spróbuję — obiecał bes: przekonania zagadnięty.

Chamberlain nie dowierzał mu.

— Nie czas na to, by kogoś kryć, panie Rice.

— Nie kryję.

— Coś pan ukrywa. Przypuszczam, że zwykł pan zapewniać swoim klientom dyskrecję, ale teraz już na to za późno. Wie pan o interesach Hammonda więcej niż ktokolwiek z nas. Musi pan wykazać inicjatywę i pozyskać więcej udziałowców.

Chamberlain zauważył, że pozostali pokiwali głowami.

— Zrobię wszystko — zapewnił Rice zduszonym głosem. — Wszystko, by uratować pana Hammonda. Musimy go uratować.

— Dziękuję — powiedział Chamberlain. — Jeśli ktoś ma do mnie jakąś sprawę, wie, gdzie mnie znaleźć. Dobranoc.

Skierował się do drzwi, dostrzegając z ulgą uśmiech aprobaty na wargach Helen Thorp. Podobał jej się sposób, w jaki poradził sobie z Rice'em. Znowu był w łaskach i zamierzał tak trwać, gdyż ta kobieta mogła odmienić jego życie — zakładając, oczywiście, że odzyska Hammonda.

Inspektor Farquhar obudził go godzinę później. Policjant stał cicho przy jego łóżku przez dziesięć sekund, zanim zmęczone zmysły zaalarmowały Amerykanina, że jego sen nie jest już bezpieczny. Obudził się szybko, z niesmakiem opadając znów na poduszkę, kiedy zobaczył twarz angielskiego oficera.

— Spadaj pan!

— Znaleźliśmy samolot.

— Hammond?

— Nie.

- Proszę wyjść.
- Znaleźliśmy w Bernie wspólnika Grandzaua. Powinienem raczej powiedzieć, że znalazła go szwajcarska policja.
- To on jest porywaczem?
- On nie żyje.
- Cudownie.
- Bruksela. — Farquhar zwlekał.
- Co z Brukselą?
- Interpol sądzi, że znaleźli Daitcha.

# Rozdział dziewiąty

Podtrzymany na duchu niespodziewaną pomocą ze strony Scotland Yardu, Chamberlain złapał drugi oddech (a może to był już trzeci czy czwarty?), czując przyływ nowej energii, gdy inspektor Farquhar policyjnym roverem wiozł go po opustoszałych drogach na południe. Stawało się jasne, że uprowadzenie Charlesa Hammonda było bardziej skomplikowaną sprawą niż te, które zlecało mu CIA. Dziw nad dziwy, swój wielki moment Pete Chamberlain przeżywał pracując na rzecz prywatnej firmy. *To za wiele jak na amatora, Arnie, stary kumplu.*

- No to proszę powiedzieć mi coś więcej o tym samolocie.
- Wytropiliśmy go na północy, w Stornoway.
- Gdzie to jest?
- Na Wyspie Lewisa na Zewnętrznych Hebrydach. W Szkocji. Jakies sześćset mil stąd.
- Kto był na pokładzie?
- Cóż, samolot tam nie został.
- Dokąd poleciał?
- Niech mnie diabli porwą, jeśli wiem. Wydaje się, że doleciał tam, zatankował i natychmiast wystartował. Pilot zgłosił lot do Keflavik w Islandii, około siedmiuset mil, ale Islandczycy nie zarejestrowali jego przylotu.
- To znaczy, że albo samolot zaginął, albo poleciał w innym kierunku.

— To drugie jest bardziej prawdopodobne, biorąc pod uwagę okoliczności. To była dwusilnikowa cessna zaopatrzona w zbiorniki dalekiego zasięgu i z dodatkowymi bakami na skrzydłach. Taki samolot może przelecieć bez tankowania nawet dwa i pół tysiąca mil.

— Co daje koło o promieniu dwóch i pół tysiąca mil od Stornoway?

— W grę wchodzi Grenlandia, Azory, Europa, Północna Afryka, Skandynawia i Rosja.

— Cudownie. Kiedy opuścili Stornoway?

— Wczoraj po południu.

— Zatem straciliśmy ich?

— Interpol zarządził poszukiwanie tego samolotu. Znajdziemy go. Pytanie tylko, kiedy?

Chamberlain przetarł oczy.

— Myślałem, że naprawdę coś mamy. Nikt się nie spodziewał, że ten ochroniarz przeżyje i pojedzie za nimi. Nie znoszę, kiedy szczęśliwy traf się marnuje.

— Jasne.

— A co z tym facetem z ochrony?

— Ciągle żyje.

— Tak... Wyglądał na twardego sukinsyna. Kogo zabili w Bernie?

— Fleminga. Anglika, który był współnikiem Grandzaaua.

— Ach, tak.

— Był torturowany, jak podaje szwajcarska policja.

Chamberlain odwrócił się do Farquhara.

— Naprawdę?

Inspektor oderwał spojrzenie od drogi. Kiedy ich oczy spotkały się, policjant rzekł:

— Moi ludzie powiedzieli, że CIA obawia się, iż to Rosjanie chcą dostać Hammonda.

— W jaki sposób tak szybko dopadli Fleminga?

— Właściwie to CIA było tam pierwsze. Wzięli dom Fleminga pod obserwację. Fotografowali jego gości, mieli na podsłuchu telefon, jak zwykle. Ale ten, kto zabił Fleminga, zdołał się prześliznąć.

— Miejmy nadzieję, że będą o tym pamiętać, kiedy znajdą Daitcha.

- Anglik zjechał na pas prowadzący na lotnisko.
- O ile dobrze zrozumiałem mojego informatora, Interpol sam zlokalizował Daitcha i jeszcze nie powiadomił CIA.
  - Niedługo się dowiedzą. Interpol nie zawsze dotrzymuje tajemnic.
  - Skoro mówimy o sekretach, tym razem Hammonda, pytałem pewnego znajomego faceta o tych Malgaszy, którzy uciekli do buszu — zaczął Farquhar.
  - Malgasze?
  - Madagaskar. Wspomniał pan, że przyjaciele Hammonda w Republice Malgaskiej...
  - Racja. To samo miejsce. Tam, gdzie ma plantacje. Jego dom. Przepraszam.
  - Wrócili. Znowu prowadzą kampanię wyborczą. To będzie ważna elekcja. Prawdopodobnie zmieni się rząd.
  - A co z partyzantami z Zimbabwe?
  - Oskarżają Południową Afrykę o zamordowanie Hammonda. Chamberlain roześmiał się.
  - Hammond rzeczywiście miał dar przekonywania, nieprawdaż?
  - Pewien sprzedawca złota z Hong Kongu popełnił dziś rano samobójstwo, ponieważ zniknięcie Hammonda zniweczyło umowę, którą miał podpisać z szejkiem z Emiratów. A ten major z Brazylii, który zastrzelił pułkownika, zniknął. Aresztowano żonę pułkownika. Krążą pogłoski, że miała romans z Hammondem.
- Chamberlain roześmiał się jeszcze raz.
- Przepraszam. Może nie mam racji, ale Hammond wydaje się zbyt ważnym facetem, żeby mieć romans z żoną pułkownika.
  - Jej rodzina posiada niezłą część dorzecza górnej Amazonki.
  - Och... Sądzą, że mogą znaleźć tam ropę? To interesujące.
- Chamberlain spojrział na zegarek. Druga trzydzieści. Opustoszałe drogi, ciche pasy startowe i puste budynki były jaskrawo oświetlone.
- Może pan polecić mi kogoś, z kim powinienem się zobaczyć w Brukseli?
  - Niech pan pozdrowi ode mnie inspektora François'a Aarschota.
  - Gdzie go znajduję?

— Wyjedzie po pana na lotnisko. — Farquhar zatrzymał się przed terminalem dla prywatnych samolotów.

Chamberlain wyciągnął rękę.

— Myślę, że jestem panu winien przysługę.

Farquhar zdobył się na zmęczony uśmiech i Chamberlain uświadomił sobie, że nie on jeden obywa się bez snu.

— Wszystko w porządku. Widzi pan, użyli naszego munduru, żeby oszukać ochronę Hammonda. Nie możemy pozwolić, aby coś takiego uszło im bezkarnie, prawda?

Załoga uruchomiła silniki odrzutowca Comptelu, gdy tylko dostrzeżono Chamberlaina wybiegającego z terminalu. Wspiął się po trapie, drzwi zatrzasnęły się za nim i maszyna zaczęła kołować w kierunku pasa startowego.

Chamberlain rozejrzał się z uznaniem. Dwóch siwowłosych dżentelmenów, którzy pilotowali samolot, wyglądało tak, jakby przeszli niejedną wojnę. Steward z siwiejącymi, krótko przystrzyżonymi włosami przypominał emerytowanego żołnierza armii amerykańskiej. Wskazał łóżko z odwinętymi szeleszczącymi prześcieradłami i powiedział:

— Ma pan godzinę, jeśli chce się pan zdrzemnąć, sir.

Zasunął zasłonę, oddzielając tę część pomieszczenia.

Chamberlain wyskoczył z ubrania i leżał już w pościeli, zanim samolot ukończył wznoszenie.

Steward obudził go, podając czarną kawę z jakimiś angielskimi herbatnikami.

— Ma pan czas, żeby zjeść w łóżku, sir. Nie zaczęliśmy jeszcze końcowego podejścia do lądowania.

Kawa była znakomita. Steward odebrał pustą filiżankę, pokazał Chamberlainowi łazienkę, a potem podał mu ubranie. Zakładając szarą marynarkę, Pete zauważył, że steward zdążył rozprasować największe zagniecenia. Jakiś brygadier stracił więc fantastycznego adiutanta, kiedy ten facet odszedł na emeryturę.

Ani CIA, ani marynarka nigdy nie traktowały Chamberlaina tak dobrze. Kiedy jednak rozkoszował się tym komfortem, na który widocznie zasługiwał, nagle zaniepokoił się. Gra toczyła się o dużą stawkę. Daitech był żołnierzem oddziałów dywersyjnych, a kiedy miało się takiego

przeciwnika, nie wchodziły w rachubę drobne potyczki. Materiały wybuchowe nie zostawiały miejsca na błąd; jedno niepowodzenie, a Charles Hammond będzie zupełnie martwy, i pogrzebane zostaną szanse Chamberlaina na zawodowy sukces. *Nie ma nic moralnie nagannego w posiadaniu troskliwej służby i prywatnego samolotu* — pomyślał, popijając znakomitą kawę w wysmukłym jak igła odrzutowcu mknącym w stronę Belgii — *ale można stracić życie, jeśli człowiek skoncentruje się na drobnych pułapkach i zapomni, że może istnieć jeszcze coś poza nimi*. Gdy płynnie wylądowali w spokojnym kącie brukselskiego portu lotniczego, steward z Comptelu wręczył Chamberlainowi mahoniowe pudełko. Na zielonym aksamicie spoczywały dwa pistolety: Smith and Wesson kaliber 38 i automatyczna czterdziestka piątka z wyposażenia amerykańskiej armii, która wydawała się dostatecznie wielka, by móc roznieść w puch toyotę.

— Jeśli chce pan to nosić, sir, kompania może załatwić czasowe pozwolenia.

— Nie, dziękuję. Będę w towarzystwie glin.

François Aarschot był niskim, korpulentnym mężczyzną z gładko zaczesanymi, czarnymi włosami i twarzą, która wyglądałaby dostojnie, gdyby nosił wąsy. Bez nich sprawiał wrażenie człowieka dość gwałtownego. Powitał Chamberlaina pełnym irytacji spojrzeniem. Spomiędzy zaciśniętych warg wydobył się głos z silnym francuskim akcentem.

— Nie mogłem odrzucić okazji spłacenia za jednym zamachem całego długu wdzięczności wobec inspektora Farquhara.

Chamberlain pomyślał, że mógł go źle zrozumieć i uśmiechnął się niepewnie.

Aarschot rozwiął jego wątpliwości.

— *Monsieur*, pozwoli pan, że będę szczery. Wyjątkowo nie lubię rządowych szpiegów, a jeszcze bardziej nie znoszę szpiegostwa przemysłowego.

— Gardzi pan szpiegami? Dobrze. Ja nie jestem szpiegiem.

— Wiem, dla kogo pan pracuje i wiem, co pan dla nich robi. Obiecałem inspektorowi Farquharowi, że pomogę panu znaleźć tego Daitcha i zrobię to. Proszę tędy, *monsieur*.

Belgijski oficer policji zaprowadził Chamberlaina do niedużego mercedesa i bez jednego słowa zawiózł do Brukseli. Minął dzielnicę bogatych

hoteli i wjechał do starszej, biedniejszej części miasta, jeszcze nie zmodernizowanej. Przedzierali się przez płataninę wąskich uliczek i nagle znaleźli się w tłumie policyjnych wozów.

Białe światła reflektorów tańczyły na frontowej ścianie niskiego, okładanego kamieniem budynku. Niewielki tłumek cywilów ubranych w płaszcze obserwował teren zza kordonu policji. Policjanci poruszali się ostrożnie, schylając się i kryjąc, gdy przebiegali między samochodami. Chamberlain dostrzegł kilku snajperów, przyczajonych na skrytych w półmroku dachach. Kiedy opuścił ciepłe wnętrze samochodu, z jego ust uniósł się biały obłoczek pary. Zacisnął ręce w kieszeniach płaszcza. Zostawił rękawiczki w samolocie i teraz zimno dawało mu się we znaki.

Inspektor Aarschot z irytacją kiwnął głową w stronę kamiennego budynku.

— Daitch zabarykadował się w środku.

— Ma tam Charlesa Hammonda? — spytał Chamberlain, nerwowo sprawdzając uzbrojenie policji.

— Nie. Skonstruował ukryte pułapki. Nazywacie je zapadniami. Wczesnym wieczorem zabił dwóch moich ludzi za pomocą miny, umocowanej przy wejściu.

Resztki strzaskanych drzwi wisiały na powykręcanych zawiasach. Chamberlain widział wypaloną plamę na kamiennym nadprożu, gdzie Daitch umieścił dopasowany kształtem ładunek. To była zręczna robota: kamień nawet nie pękł.

— Skąd pan wie, że on nie ma Hammonda?

— Rozmawialiśmy z nim przez telefon. Nie wspomniał słowem o Hammondzie. Stąd wiem. Jest sam, monsieur. To pewne. — Policjant założył ręce na plecy, kołysał się na piętach i prowokująco patrzył na Chamberlaina.

Amerikanin oparł się o dach mercedesa i ponurym wzrokiem obserwował sytuację. A jeśli Hammond jest jednak w środku? A jeśli Daitch i reszta jego grupy przygotowywali swój ostatni, samobójczy postępek?

Opancerzona półcieżarówka z brzękiem skręciła zza rogu, spychając gapiów na wąskie chodniki. Chamberlain zauważył na skraju tłumu uderzającą piękną blondynkę. Wpatrywał się w nią zupełnie oszołomiony, aż półcieżarówka zasłoniła mu widok. Kiedy przejechała, kobiety już nie było.



Pojazd zatrzymał się naprzeciwko wejścia do budynku, jak nosorożec, który zapomniał, dlaczego rozpoczął szarżę. *To typowe dla policji — ponuro pomyślał Chamberlain. — Kiedy mają wątpliwości, wyciągają ciężki sprzęt. Biedny Hammond.*

— Inspektorze?

— *Oui, monsieur?*

— Jak to się zaczęło? Próbowaliście go zaaresztować?

— Oczywiście, że nie. Stosowaliśmy się do dyrektorów Interpolu, by go tylko obserwować. I nagle Daitch zabił człowieka.

— Kogo?

— Niestety, to był pracownik sowieckiej ambasady. W hallu eksplodował granat przeciwpiechotny i chwilę później umierający Rosjanin wytoczył się frontowymi drzwiami. Upadł tutaj. — Aarschot wskazał ręką i Chamberlain zobaczył biały obrys sylwetki w miejscu, gdzie leżało ciało. Zabity był mniej więcej wzrostu Aarschota, może trochę pulchniejszy. — Kiedy moi ludzie podeszli bliżej, puf! wybuchły drzwi.

— Co tu robił facet z ambasady rosyjskiej?

— Nie wiemy. Sowietci zabrali ciało i powiedzieli tylko, że ten człowiek zwykle chodził tędy do pracy.

— Ale co robił w środku?

— Możliwe, że miał kobietę w mieszkaniu obok. Wyjechała na święta, tak powiedzieli nam sąsiedzi. Wyjaśnimy tę sprawę.

— Ma pan plan parteru?

— Po co?

— Chciałbym zorientować się w sytuacji.

Aarschot popatrzył na niego podejrzliwie.

— Bardzo dobrze. Proszę za mną. — Belg przebiegał między policyjnymi samochodami, pochylając się na otwartej przestrzeni.

Chamberlain poszedł za nim, wyprostowany. Człowiek, który umiał założyć ładunek taki, jak ten w drzwiach, nie bawi się w strzelanie z pistoletu.

W punkcie dowodzenia, mieszczącym się w ciężarówce łącznościowej, Aarschot przedstawił go kilku oficerom. Wszyscy po kolei uścisknęli sobie ręce i przywitani Chamberlaina lekkim skinieniem głowy.

Rozłożyli na konsoli plan budynku i pokazali mu, w jaki sposób Daitch zajął cały parter.

— Prawdopodobnie ma dostęp do piwnicy — stwierdził Aarschot. — Może pan stąd zobaczyć, że jej frontowe okna są zamurowane.

— Tak, zwróciłem na to uwagę.

— Tył budynku jest niedostępny. Dom dotyka litego muru. Wejście jest zarazem wyjściem.

— Przypuszczam, że gdyby było inaczej, Daitch już dawno by uciekł.

— To jego ostatni posterunek, *monsieur*. Sądząc z rodzaju pułapek, przygotowywał się do obrony już od dłuższego czasu.

— Dlaczego?

Belg zrobił grubym palcem znaczący gest w okolicach głowy.

— Co sprowokowało go właśnie dzisiaj? Czy widział pańskich ludzi?

— Nie! Nie widział, *monsieur*. Ma pan na to moje słowo. Myślę, że czytał w gazetach artykuły o swoim dawnym współpracowniku, tym Angliku zamordowanym w Bernie. Wpadł w szał. Tu chodzi tu o psychologię, *monsieur* — i tam należy szukać rozwiązania tej zagadki.

— Chcę z nim pogadać.

— Proszę nie mówić od rzeczy.

— Muszę z nim rozmawiać.

— A co pan powie na to, że moim ludziom jeszcze się to nie udało?

— Najpierw chcę się, do cholery, upewnić, że nie ma z nim Hammonda. A jeśli nie ma, chcę, żeby mi powiedział, gdzie go szukać.

— A skąd on ma to wiedzieć?

— Porywacz Hammonda skorzystał ze starego kodu, którego używał kiedyś Daitch. Chcę wiedzieć, kto jeszcze go stosował.

— Będzie pan mógł z nim porozmawiać zaraz po tym, jak moi ludzie go aresztują.

— Inspektorze, lepiej, żeby pan coś dobrze zrozumiał. — Kilku oficerów popatrzyło na niego z zaciekawieniem. Ściszył głos tak, że tylko Aarschot go słyszał. — Nikt nie zaaresztuje Daitcha. To ekspert w dziedzinie sabotażu. A jeśli jest chociaż w połowie tak szalony, jak pan uważa, wysadzi w powietrze cały kwartał, zanim pozwoli się wziąć.

Aarschot zakołysał się na obcasach.

— Spłaciłem swój dług wobec inspektora Farquhara. Dobranoc panu. Samochód odwiezie pana z powrotem na lotnisko. Albo może pan zaczekać w hotelu, na własny koszt, aż Daitch znajdzie się za kratkami.

— Dziękuję — odrzekł Chamberlain. Wyszedł z ciężarówki łącznościowej, prześliznął się między dwoma samochodami policyjnymi i szybko przeszedł przez wąską ulicę w kierunku zalanego światłem domu.

Belgowie krzyczeli, jeden z gliniarzy zaczął go nawet ścigać, schylony nisko. W pewnej chwili jednak rzucił zalęknione spojrzenie w kierunku okien i zawrócił. Chamberlain wspiął się po stopniach wiodących do wejścia. Nagle przez megafon rozległ się głos Aarschota:

— Stać, *monsieur!* Stać!

Chamberlain doszedł do szczytu schodów.

— Stać albo on pana zabije, *monsieur!*

Chamberlain wkroczył do przedsiionka. Tutaj, gdzie gorliwy gliniarz nie mógł go już pochwycić, zbadał mroczne zakamarki pomieszczenia, oświetlając je maleńką latarką. Ostrożnie przeszedł ponad rozpiętym tuż nad ziemią drutem-pułapką, który Rosjanin szczęśliwie ominął i wszedł do ciemnego hallu.

Odlamki granatu zryły ściany. To właśnie one, lub ładunek założony w drzwiach, zabiły policjantów. Zniszczyły także wpuszczone w sufit lampy. Chamberlain był zdany wyłącznie na swoje kieszonkowe latareczki. Miał je trzy.

Odniósł wrażenie, że brak snu wyostrzył jego zmysły. Słyszał lepiej. Mimo to przykucnął i powtórnie omiół hall promieniem latarki, trzymanej nad głową na wypadek, gdyby ktoś strzelił, celując w źródło światła. Był jednak pewien, że nikt nie będzie strzelał.

Korytarz był bardzo długi, dłuższy niż snop światła. Mężczyzna wyjął z kieszeni miniaturowy radar dopplerowski. Położył go ostrożnie na podłodze i włączył. Gdyby urządzenie zarejestrowało w zasięgu emitowanych fal jakiś ruch, poinformowałaby go o tym łagodny wstrząs elektryczny, zaaplikowany za pośrednictwem trzymanego w dłoni drutu. Nic się nie poruszało. Schował urządzenie do kieszeni i wolno ruszył korytarzem.

Dotknął stopą obłuzowanej deski w podłodze. Cofnął się, pomyślał chwilę i obejrzał ściany. Ta po prawej stronie, naprzeciwko obłuzowanej deski, na pierwszy rzut oka nie zdradzała nic niepokojącego. Przyjrawszy się jej bliżej, Chamberlain dostrzegł cienki, pozornie zardzewiały gwóźdź, sterczący na wysokości ramienia.

Przysunął się do ściany i przeszedł pod nim. Gdyby otarł się o ten kawałek metalu, unikając jednocześnie bardziej widocznej pułapki w postaci chwiejącej się deski, zostałby narażony na śmiertelne niebezpieczeństwo. Wisiało nad jego głową, na suficie — mina Claymore'a. Z trudem przełknął ślinę. Daitch nie żartował.

Prześledził niemal niewidoczny drut, prowadzący od zardzewiałego gwóźdźa przez rowek w ścianie, do ładunku wybuchowego. Przyjrzał mu się uważnie, stwierdził, że jest to prosty system z jednokierunkowym wyzwalaczem i wyciągnął w jego stronę nożyce. Była to zmodyfikowana wersja modelu z wyposażenia armii izraelskiej. Przystosował to narzędzie z nierdzewnej stali węglowej do własnych potrzeb. Dodał, przede wszystkim, mocne nożyce do cięcia drutu, które, jak stwierdził, są równie niezbędne. Nigdy nie żałował, że poświęcił korkociąg, by uzyskać głęboką szczelinę do schowania nożyc. Nie zdarzyło mu się jeszcze znaleźć z butelką dobrego wina w miejscu zbyt odległym od otwieracza.

Chwycił drut między ostrza nożyc i zacisnął je delikatnie. Poczuł, jak usta wykrzywiają mu się w nerwowym, specyficznym grymasie; podczas rozbrajania ładunku zawsze przychodzi taki moment, kiedy człowiek musi zadać sobie pytanie, czy się nie myli. To wtedy czeka się na bezgłośną eksplozję. Starzy saperzy powiadają, że nigdy nie słyszy się tego wybuchu, który zabija.

Jeśli Daitch wyposażył swoją pułapkę w czuły zapalnik, Chamberlain mógłby się przekonać o prawdziwości tego twierdzenia. Nacisnął mocno. Drut pękł z głośnym trzaskiem. Amerykanin odetchnął głęboko. Pułapka była unieszkodliwiona. Jeszcze raz przykucnął na podłodze i skierował radiolokator w głąb mrocznego korytarza, czekając na ostrzegawczy dreszcz w swojej dłoni. Nic. Był sam.

Z tyłu, na zewnątrz, rozległy się dźwięki megafonów. Policjanci coś wykrzykiwali. Organizowali szturm albo grozili Daitchowi. Nie wiedział, gdyż nie rozumiał francuskiego. Jeszcze raz ruszył korytarzem, przesuwając strumień światła: od jednej ściany do drugiej i od podłogi do sufitu.

Zatrzymał się nagle. Na wysokości pasa widniał w ścianie dziwny, mały otwór. Oświetlił go. Nie wyglądał na dzieło przypadku. Mężczyzna sięgnął, by go obmacać. Zewnętrzny, rozproszony krąg światła latarki padł na identyczny otwór na wysokości kostek. Chamberlain cofnął rękę jak oparzony.

Oddychał z trudem. Niewiele brakowało, by wpadł w pułapkę. Znalazł trzeci otwór na poziomie barków. Potem skierował światło na przeciwną ścianę. Nie był zdziwiony, znajdując tam wysokie, wąskie lustro. Było stare, ze rżniętymi brzegami, oprawne w gipsowe, niegdyś złoczone ramy. Wisiało tu od długiego czasu. Chamberlain stwierdził, że Daitch jest niemal geniuszem. Gdyby najpierw zobaczył lustro, a tak by się stało, jeśliby hall był oświetlony, nigdy nie zwróciłby uwagi na otwory, emitujące niewidzialne promienie laserowe. Gdyby przechodząc zasłonił otwory, promienie przestałyby odbijać się w lustrze. Przerwany obwód elektryczny uruchomiłby włącznik elektromagnetyczny, powodując eksplozję kolejnego wybuchowego specjału Daitcha.

Był pewien problem. Otwory rozmieszczono w ten sposób, że człowiek nie mógł się między nimi prześliznąć.

Chamberlain cofnął się, zdjął płaszcz i przeniósł zawartość kieszeni marynarki do przepastnych kieszeni płaszcza. Następnie zdjął marynarkę i włożył płaszcz. Zwinął marynarkę w kulę wielkości piłki futbolowej i cisnął ją w głąb korytarza. Błyskawicznie rzucił się do tyłu i padł na podłogę.

Wybuch był tak cichy, że słyszał trzask pękającego starego lustra. Podniósł się, zaintrygowany, i podszedł ostrożnie. Odłamki szkła zaświeły podłogę. Szeroka postrzępiona szpara wykruszonego gipsu biegła przez całą wysokość ściany w miejscu, gdzie poprzednio były otwory. Cokolwiek wybuchło, wydostało się już ze ściany. Pochylił się i podniósł marynarkę.

Poszarpane ubranie opadło na podłogę. Bomba wyrzuciła w poprzek korytarza mnóstwo stalowych ostrzy. Znalazł je między odłami lustra. Setka malutkich włóczni, jakby hall był terenem miniaturowej dziewiętnastowiecznej afrykańskiej potyczki.

— Daitch! — Krzyk wezbrał w nim i wypełnił gardło — prymitywny wrzask zwycięstwa. — Daitch! Otwórz, ty sukinsynu! Jestem od ciebie lepszy!

Kiedy echo jego głosu zamarło i stał samotny, czuł, jak wraz ze spadkiem poziomu adrenaliny opuszcza go euforia. Zrobiło mu się trochę głupio i, nie wiedząc czemu, ogarnął go strach. Wtedy, ku jego zdumieniu, drewniane drzwi na końcu korytarza otworzyły się ze skrzypieniem, ukazując wnętrze oświetlonego pokoju.

Podszedł ostrożnie, czując, jak jeżą mu się włosy na karku, i zajrzał do środka. Człowiek, który otworzył drzwi, wracał niespiesznie do swojego fotela, ustawionego pośrodku przeladowanego ozdobami saloniku. Gdy odwrócił się i usiadł, zakładając nogę na nogę, Chamberlain miał wrażenie, że widzi przed sobą mężczyznę w średnim wieku, o wyglądzie profesora, spędzającego w domu cichy wieczór z książką. Gospodarz ubrany był w wełniany tużurek i spodnie, na nogach miał kapcie. Zapalił małą lampkę. W świetle jego oczy błyszczały jak marmurowe kulki.

Chamberlain zatrzymał się w drzwiach.

— Daitch?

Mężczyzna uśmiechnął się smutno.

— Tak. Kim pan jest?

Daitch wyglądał na szaleńca. Chamberlain przedstawił się uprzejmie.

— Nazywam się Pete Chamberlain... Miło pana poznać.

— Jest pan całkiem dobry, panie Chamberlain. Proszę wejść.

Postąpił dwa kroki naprzód.

— Uwaga na zapadnię!

Chamberlain zamarł, było już jednak za późno. Został uwięziony na środku kryjącego pułapkę dywanika. Jedna z dłoni Daitcha spoczywała swobodnie na oparciu fotela. Było bardziej niż prawdopodobne, że trzyma palec na przycisku uruchamiającym zapadnię.

Daitch zaśmiał się cicho.

— Nie, sir, nie jest pan lepszy ode mnie. Pod panem jest dwadzieścia stóp lotu do kanału ściekowego.

Chamberlain rozejrzał się dokoła. Podeszwy stóp mrowiły go na myśl o upadku. Uświadomił sobie, że każda palma w doniczce, każdy bibelot, każde pudełko na przybory do pisania, każde krzesło, stół czy kozetka mogły być pułapką.

Daitch podniósł rękę i gestem kazał mu zejść z dywanika.

— Proszę dalej. Obaj zarobiliśmy punkty. Gdzie nauczył się pan swojego fachu?

— W oddziale FOK Marynarki Wojennej USA — odparł Chamberlain, usilnie starając się oddychać normalnie.

— Ach, nurek? Widzi pan, mógłby pan zatem bezpiecznie wypłynąć z kanału... A więc, co pan tu robi?

— Szukam Hammonda.

Daitch wyglądał na szczerze zdumionego.

— Charlesa Hammonda?

— Tak. Charlesa Hammonda. Pośrednika.

— Cóż, wiem, kto to jest. Właściwie spotkałem go nawet kiedyś. Czarujący człowiek. Czytałem w gazetach — kiwnął głową w stronę stosu pism, który piętrzył się na stojaku — że porwano go w Londynie... Czy o to chodzi w tym wszystkim?

— Szukam Hammonda.

— Dlaczego, na miłość boską, pomyślał pan, że mogę mieć coś wspólnego z porwaniem Charlesa Hammonda?

— Mamy zaproszenie na aukcję, na której możemy go wykupić — na „licytację Pendragona”. — Chamberlainowi nie spodobał się wyraz zdumienia na twarzy Daitcha. — Widnieje pod nim podpis „Lancelot”.

Jasne oczy Daitcha zwięzły się.

— To dlatego zabił pan Fleminga?

— Nikogo nie zabiłem — zaprzeczył Chamberlain, potrząsając głową. — Ale najwyraźniej zrobił to ktoś, kto też szuka Hammonda — dodał niepewnie. Wyglądało na to, że ten idiota Aarschot miał rację. Daitch był tylko szaleńcem. *Szaleńcem-mordercą* — upomniał samego siebie. — *Mógł jednak coś wiedzieć.* — Jeśli to nie pan użył kodu Malory’ego i nie Fleming, to kto to zrobił?

— Grandzau. On był Lancelotem.

— Ale Grandzau nie żyje.

— Tak, istotnie?

— Kto jeszcze mógł go użyć?

— Lepiej zapytać, po co miałyby go używać? — zareplikował Daitch. Na jego twarzy błędził obojętny uśmiech.

— Żeby pokazać, kim jest.

— Grandzau.

— Nie. Musi być ktoś jeszcze.

— Nie było nikogo więcej — zaprzeczył Daitch. — Tylko Grandzau, Fleming i ja.

— To nie ma sensu.

Nagły dzwonek telefonu wypełnił hałasem cichy dotychczas pokój. Aparat stał na intarsjowanym blacie stolika do herbaty. Daitch przyjrzał mu się kwaśno.

— Ta przekłeta policja. Czy byłby pan tak uprzejmy...?

Chamberlain sięgnął po słuchawkę.

— Oczywiście. — Potem zatrzymał się i obejrzał aparat w poszukiwaniu dodatkowych drutów i rys na obudowie. Daitch jednak przygotowałby to inaczej. Użyłby bardzo czulego przełącznika ciśnieniowego, uruchamianego przez podniesienie słuchawki. Amerykanin przykucnął i zbadał stolik.

Daitch zachichotał.

— Proszę się nie obawiać. Telefon jest zupełnie bezpieczny.

Chamberlain wzruszył ramionami. Aparat wydawał się nieszkodliwy, a Daitch mógł go zabić już przedtem, używając zapadni. Podniósł słuchawkę. Dobiegł go urzędowy, cichy głos Aarschota.

— A więc, *monsieur* Daitch...

— Tu Chamberlain. Jestem tutaj razem z Daitchem i rozmawiamy.

— Wchodzimy — rzucił Aarschot po chwili pełnej zdumienia ciszy.

— Nie, nie wchodzicie. Przynajmniej dopóki nie skończę. Zostawiłem przy wejściu jedną z jego pułapek. Rozbroję ją wychodząc.

— Proszę ją natychmiast usunąć!

— Po prostu, siedźcie cicho — odłożył słuchawkę. Uśmiechnięta twarz Daitcha miała pusty wyraz. — W porządku, panie Daitch. Proszę zdradzić swoje domysły. Kto jeszcze mógłby używać tego kodu?

Daitch powoli koncentrował się.

— Kodu Malory'ego — przypomniał Chamberlain.

— Każdy z nas przeszedł na emeryturę i zajął się tym, co mu najbardziej odpowiadało. Fleming nie lubił tej roboty. Nie znosił komplikacji. Został prostym ogrodnikiem. Ja, który zawsze przygotowywałem kryjówki i dbałem o bezpieczeństwo grupy — zostałem samotnikiem. Dobrze chronionym samotnikiem, jak pan widzi. A Grandzau? Grandzau kochał tajemnice. Uwielbiał je odkrywać i sprzedawać. Uwielbiał też je tworzyć. Może, kiedy Grandzau przeszedł w stan spoczynku, wymyślił ostatnią tajemnicę.



— Sukinsyn — mruknął Chamberlain. — Dobrze... A jeśli upozorował swoją śmierć? Gdzie ukryłby Hammonda?

Oczy Daitcha zaczęły przesłaniać się mgłą. Uśmiechnął się.

— W sekretnym miejscu.

— Daj spokój, Daitch. Nie będę miał nic przeciwko wyduszeniu tego z ciebie siłą, jeśli będę musiał.

— Już wdarłeś się do mojej fortecy. Co jeszcze mógłbyś zrobić? — Oczy mężczyzny zamglily się. Chamberlain przyglądał mu się, niezdolny, aby powstrzymać go od ataku szaleństwa. Kiedy Belg zaczął się ślinić, Chamberlain odwrócił się i wyszedł do hallu. Przeszedł po szkle i ostrzach, pod unieszkodliwioną miną Claymore'a, obok zrytej odłamkami ściany. Przeciął drut w przedsiönku, wychylił się przez rozbite drzwi i zawołał Aarschota.

Inspektor przybiegł, a za nim horda belgijskich policjantów w bojowych kombinezonach. Chamberlain poprowadził ich korytarzem do pokoju Daitcha. Szli za nim zwartą grupą, łomocząc butami. Zamieszanie wyrwało Daitcha z otępienia. Na chwilę jego oczy napełniły się strachem. Potem dostrzegł Chamberlaina i uśmiechnął się.

— Nie wiem, gdzie Grandzau ukryłby Hammonda, bo to zawsze ja wybierałem kryjówki, a tym razem przygotował ją ktoś inny. Jeśli jest sprytny, wybierze „ruchomą kryjówkę”. Nie taką głupią pułapkę jak ta moja — pogardliwym machnięciem ręki wskazał pokój.

Aarschot dał znak swoim ludziom, którzy natychmiast otoczyli fotel Daitcha.

— Cofnąć się — wrzasnął Belg, wlepiając w Chamberlaina pałające oczy.

Amerikanin zaprzątnięty był własnymi myślami.

— Dlaczego Grandzau miałby upozorować własną śmierć i porwać Hammonda? — zapytał Daitcha, kiedy policja chwyciła siedzącego mężczyznę.

— Nie dla pieniędzy — uśmiechnął się szaleniiec, szamocząc się z policjantami, by pozostać w fotelu. Desperacko trzymał się oparc. — Nie dla pieniędzy. Z powodu tego, co lubi — sekretu.

Chamberlain potrząsnął głową. Dwóch policjantów odsunęło go na bok i pospieszyło z pomocą pozostałym. Zaczęli odginać palce Daitcha, jeden po drugim.

— Ależ on nie robi z tego ta... Nie ruszajcie go!

Pokój eksplodował białym płomieniem. W ostatniej chwili przed utratą przytomności, kiedy płomień ściemniał, Chamberlain pomyślał, że wybuch wcale nie był bezgłówny. Eksplozja ostatniego ładunku Daitcha była najgłośniejszym dźwiękiem, jaki Amerykanin kiedykolwiek słyszał.

# Rozdział dziesiąty

Lady Janet nie była zaskoczona widząc, jak dom Daitcha eksplodował, kiedy wkroczyła doń policja. Podczas długiego oblężenia, jedynym nie przewidzianym przez nią wydarzeniem było to, że Amerykanin, który wszedł do domu pierwszy, wrócił żywy, by dać policjantom znak. W końcu jednak wszystko zakończyło się, oczywiście, według scenariusza Daitcha.

Ziębnięta i zmęczona Angielka wycofała się spomiędzy migających świateł i klaksonów karetok pogotowia. Wróciła tą samą trasą do centrum Brukseli i zatrzymała się na dworcu kolejowym, rozważając, dokąd się teraz udać. Może do Amsterdamu albo do Paryża, by w tamtejszym podziemnym świecie poszukać informacji o mężczyźnie w czerni. Jedno i drugie wymagało czasu, a tego miała niewiele.

Przed domem Daitcha zorientowała się, że nie tylko ona poluje na tego człowieka. Ścigali go także inni. Pewien oficer Interpolu próbował zaprosić ją na kolację. Rozpoznała też zabitego ładunkiem Rosjanina, zanim policja zabrała jego ciało — człowiek KGB z Amsterdamu, przed laty na własną rękę handlował trochę narkotykami, dopóki Chińczycy nie przejęli tego rynku. Potem zjawiał się ten Amerykanin, który zignorował brukselską policję i przeżył w pełnym pułapek domu Daitcha dłużej niż powinien. Takie lekceważenie lokalnych władz było zawsze znakiem firmowym CIA.

Kobieta siedziała przy pustym barze, pochylona nad filiżanką kawy i zastanawiała się, co mogło interesować zarówno wszystkie te instytucje jak i mężczyznę w czerni, kiedy nagle stanęły jej przed oczami prasowe nagłówki, które kątem oka rejestrowała przez cały dzień.

„Porwanie Charlesa Hammonda”

*Pendragon*. Licytacja, o której mówił telegram. Pośrednik musiał być *Pendragonem*. Ale nie został nikt, kto mógłby używać kodu Malory’ego, nikt oprócz niej. Fleming — Pellinore zmarł tego ranka, Daitch — Lionel zginął wieczorem. Lady Janet — Ginewra była sama w Nicei. Grandzau... Nie było żadnego powodu, żeby posługiwać się kodem, a obecnie kryptonimy nie są już tajemnicą. Teraz są to właściwie wizytówki.

Identyfikacja...

Nagle poruszyła się, położyła pieniądze na kontuarze, zarzuciła torbę na ramię, starając się zająć czymś umysł, żeby zablokować szalone myśli. Kupiła bilet do Paryża. Dopiero w pociągu — kiedy zaaplikowała sobie następny zastrzyk i przespała w pustym przedziale, jak zabita, trzy godziny — pozwoliła sobie wrócić myślami do Grandzaua.

„Gdzie jest Grandzau?” — pytał mężczyzna, który ją bił. Nie „Gdzie jest Fleming?” Wiedział, gdzie znajdzie Flinga i Daitcha. Tak samo, jak wiedział, gdzie ją znaleźć. Pytał jednak o Grandzaua — nawet nie o Lancelota. Tylko o Grandzaua, raz po raz, gdy sadystyczna przyjemność z jaką torturował kobietę zamieniła się w desperacki grad razów: „Gdzie jest Grandzau? Gdzie jest Grandzau? Gdzie jest Grandzau?”

Lady Janet wpatrywała się we francuski pejzaż, przemykający za oknami ekspresowego pociągu. Koła prawie nie wydawały dźwięku na nie kończącej się, pozbawionej łączy wstążce szyn. Czy Grandzau żyje? Upozorował swoją śmierć w płonącym samochodzie?

Korytarzem nadeszła samotna kobieta, ciągnąc za sobą walizkę na kółkach. Wchodziła już do przedziału, kiedy napotkała spojrzenie lady Janet i cofnęła się pospiesznie.

A jednak Grandzau nie mógł być porywaczem. Handlował słowami, faktami, ale nie ciałami. Kto jeszcze miał powód, by używać kodu Malory’ego? Słowo „Lancelot” ujawniało jego tożsamość. Grandzau był

próżny. I często czerpał korzyści z wystawiania na licytację informacji, o którą ubiegały się współzawodniczące wywiady.

Jeśli Grandzau żył przez te trzy lata, jeśli upozorował swoją śmierć w ramach przygotowań do porwania Charlesa Hammonda, którego zamierzał sprzedać podczas aukcji temu, kto najwięcej zapłaci — jeśli zrobił to wszystko, to co zrobił jej?

Za oknami zaczęły migać zimowe, brunatne pola. Chwyliła się poręczy, zakręciło jej się w głowie na wspomnienie tego, co się wydarzyło. Zdradził ją pod każdym względem. Oszukał. Porzucił, by pędziła bez niego puste życie. Wykluczył ją ze swojego planu. Czyżby związał się z inną kobietą? Zazdrość ulotniła się, kiedy okrucieństwo dawnego kochanka z pełną siłą dotarło do lady Janet.

Grandzau wiedział, że przyjdą szukając mężczyzny, który przybrał miano Lancelota. Wystawił ją na bestialskie przesłuchanie, któremu poddano ją w Nicei. Mężczyzna w czerni był narzędziem Grandzaua.

Rozpłakała się, skulona w kolejowym przedziale. Łzy popłynęły jej po twarzy, mocząc welon złotych włosów. Płakała z żalu, że nikt na świecie nie dba o to, czy ona żyje, czy umarła. Łkała, oszukana i samotna, jak sierota.

Lady Janet zameldowała się w cichym hoteliku przy rue de Bourgogne, gdzie nikt jej nie znał. Kupiła ubranie na zmianę i ciepły płaszcz, potem wykąpała się i wyspała. Wstała dobrze po zmroku i wyszła do miasta, lewą ręką muskając rękojeść spoczywającego w kieszeni pistoletu.

Znając płynnie francuski, czytała tytuły w kioskach z gazetami, kiedy przemierzała Piętnastą Dzielnicę. Hammond zniknął dwa dni temu i gazety pełne były spekulacji, czy porwała go jakaś organizacja prawicowa, czy lewicowa, konkurenci czy może jacyś maniacy. Nie było jednak ani słowa o porywaczach. Nic dziwnego. Oferenci, których Grandzau zaprosił na licytację, nie zamierzają ujawniać żadnych informacji.

W związku z brakiem nowych wiadomości, na pierwszych stronach publikowano obietnicę rządu francuskiego udzielenia pomocy byłej kolonii na Madagaskarze, jeśli wzmoże się napięcie w rejonie Oceanu

Indyjskiego. Prawicowe pisma popierały koncepcję zaopatrzenia w broń Republiki Malgaskiej, a także, niegdyś portugalskiego, Mozambiku. Dziennikarze o lewicowym nastawieniu wahali się pomiędzy stanowiskiem antyimperialistycznym a wizją stworzenia nowych miejsc pracy w przemyśle zbrojeniowym, gdyby tylko w rejon Oceanu Indyjskiego wysyłano więcej samolotów i pocisków. Pikanterii gazetowej dyskusji dodawały pogłoski o nasileniu wywrotowej działalności Rosjan na tym obszarze.

Café „79” istniała od trzydziestu pięciu lat w sąsiedztwie zmęczonych, wąskich, brukowanych uliczek — gdzie ceglany mur wyglądał spod osypującego się tynku — zardzewiałych latarni z kutego żelaza i łuszczących się drewnianych okiennic. Kilka przecznic dalej znajdowały się duże zakłady A. Citroëna. Gdzieniedzie starzejące się, powojenne kamienice wystawały spomiędzy niższych, starszych ruder. Ci, którzy pracowali — robili samochody i mieli nieugięte lewicowe poglądy — łatwo wchodzili w układy z gangsterami i najemnikami, bywającymi w „79”.

Lady Janet nie była tu od lat, ale tego rodzaju miejsca nigdy się nie zmieniają, chyba, że w końcu *gandarmerie* ma tego dość, aresztuje *patrons* i zarygluje drzwi. Przeszedłszy na drugą stronę Sekwany po Pont de Mirabeau i zagłębiwszy się w ciemną alejkę, lady Janet zorientowała się, że café istnieje. Pojedynczy czerwony neon obwieszczał numer, świecąc zza drucianej siatki, która zakrywała jedyne małe okienko. W czasie wojny algierskiej ktoś rzucił w to okno granatem i *patron* założył potem siatkę.

Wchodząc do zadymionej frontowej sali, kobieta podniosła głowę i poczuła, jak puls jej przyspiesza na widok miejsca, w którym nie powinna się znaleźć. Usiadła przy stole nakrytym brudnym obrusem w czerwono-białą szachownicę i zamówiła białe wino. Jedną z bardziej prozaicznych rzeczy, którymi rozkoszowała się we Francji, był fakt, że nawet w spelunkach tak podłych jak ta podawali dobre wino, o ile tylko klient mógł za nie zapłacić. Siedziała tak przez kilka godzin, paląc, popijając wino i odrzucając kolejne próby poderwania jej. Z tym miejscem wiązały się wspomnienia dawnego stylu życia i teraz mogła ocenić, jak daleko od niego odeszła.

Absynt był czymś romantycznym dla bogatej, otoczonej opieką dziewczyny, która przeżyła niewiele więcej poza sielankowym dzieciństwem w

majątku Isling Gloucestershire i krótkim okresem okropnego, śmiertelnie nudnego studenckiego buntu. Gorzki, mocny trunek był jej pierwszym, żywiołowym krokiem w kuszące otchłanie, rozciągające się poniżej i poza granicami arystokratycznej wyniosłości i angielskiej godności.

W tamtych dniach była pełna temperamentu i zbyt niecierpliwa, by czekać na zjawy zrodzone przez absynt, więc szybko przerzuciła się na wino — białe lub burgund, nigdy klaret, podawany przy stole jej ojca — i heroinę. Po co czekać na Zieloną Wrózkę, jeśli heroina dostarcza wizji z szybkością światła. Heroina — najlepsza z Marsylii — dotrzymywała lady Janet towarzystwa, od czasu do czasu, przez jakieś dziesięć lat. Chociaż często narkotyk władał nią bezlitośnie, dobrobyt uchronił lady Janet przed najgorszym — brudnymi igłami i złym towarem. Morfina, którą wstrzyknęła sobie, by uśmierzyć ból, była pierwszym silniejszym od aspiryny środkiem, jaki zażyła od roku.

Zajmując się prostytutką w „79” zarobiła jakieś tysiąc franków, biorąc minimalną cenę, zanim Henri Trefle nie udowodnił, że jej klienci powinni najpierw jego pytać o zgodę. Tysiąc franków, które posłała swojemu ojcu z poleceniem, by zainwestował je w coś „odpowiedniego”. Sprzedawała się, by poznać uczucie pożądania i na złość swemu ojcu. Zarówno to uczucie, jak i on, od dawna były już martwe. Tego wieczoru nie wzruszały jej pożądliwe spojrzenia, które budziła wśród mężczyzn przy barze.

Teraz jednak znowu potrzebowała Henri’ego, potrzebowała jego pomocy. Mógł jej udzielić. Bóg świadkiem, że nie z powodu miłości, lecz nienawiści.

Przeżyła szok, kiedy wszedł Trefle. Z początku nie poznała go. Postarzał się przez ostatnie cztery lata, przytył ze czterdzieści funtów i dorobił się czerwonych plam na twarzy, dowodzących wyraźnie, że uległ swojemu staremu wrogowi. Lady Janet przyglądała mu się, kiedy zamawiał coś przy kontuarze. Barmanka nalała mu czerwonego algierskiego wina. Jest zatem również splukany. Zauważyła, że ubrany był w wytartą wojskową kurtkę, brudny beret i znoszone spadochroniarskie buty — spłowiwały strój podupadłego zawodowego żołnierza.

Trefle opróżnił szklankę i stuknął nią o bar, żądając następnej porcji. Obrócił się i omiół bistro chmurnym spojrzeniem, przy czym celowo

potrącił stojącego obok potężnego mężczyznę — bardzo dużego, większego, niż on sam — i odszczeknął się, gdy ten zaprotestował. Zanim mężczyzna wdał się w kłótnię, jego kumpel chwycił go za ramię i siłą poprowadził do drzwi, pozostawiając na kontuarze nie dokończony trunek.

Lady Janet odchyliła się na oparcie krzesła, uspokojona tym incydentem. Wskazywał on, że wbrew pozorom Trefle nie stracił swojej reputacji znakomitego partyzanta z domieszką cech psychopaty-zabójcy. Kiedy ją ujrzał, zeszywniał i wpatrywał się w nią z umiarkowanym zdumieniem. Lady Janet uśmiechnęła się i niechętnie przesiadła na sąsiednie krzesło. Trefle nigdy nie siadał tyłem do sali ani do drzwi.

Wziął drugą szklanke i butelkę, i podszedł do jej stolika. Chociaż gruby i podpity, ciągle poruszał się jak kot. Miał także kocie oczy — chytre, obojętne, szybkie i okrutne.

— *Bonsoir*, Henri.

— *Bonsoir*. — Było w jego oczach coś, co miała nadzieję zobaczyć — gorzki cień, którego nie miał jeszcze cztery lata temu, cień wiążący się z opuszczonymi kącikami mięsistych ust. Uśmiechnęła się ponownie. Nada się.

— Siadaj.

Usiadł ciężko i dolał trochę czerwonego algierskiego wina do jej białego burgunda, wypełniając kieliszek po krawędź różowym płynem.

— *Merci* — podziękowała i z ironią skinęła głową. Wiedziała, co Trefle lubi, wiedziała też, jak wykorzystać dla własnych celów podziw, jaki wzbudzała swoim intelektem i swoją klasą. Podnosząc szklanke, spojrzała mu w oczy. — Myślałam, że zastanę cię świętującego.

— Żałuję, że nie jestem na miejscu porywacza — bełkotał niewyraźnie.

— Ach, ale ty nie oddałbyś go z powrotem, bez względu na to, ile by płacili.

Trefle zamrugął wolno. Był bardziej pijany, niż przypuszczała.

— Mam nadzieję, że go zabiją — wymamrotał.

— Nie zrobią tego.

Kocie oczy spoczęły na jej twarzy. Nie chciał tego słuchać.

— Jeśli coś pójdzie źle, zabiją go.



— Nie pójdzie źle.  
— Porwania zwykle źle się kończą — bełkotał z pijackim uporem Trefle.

— Ale nie to porwanie — obstawała przy swoim lady Janet. — Wiem. Trefle zamrugał jeszcze raz i potrząsnął głową. Czekala, aż zapyta, skąd ona to wie, ale Francuz myślał o innym aspekcie tej sprawy, w który chciał wierzyć.

— Powiniennem go zabić, kiedy jeszcze mogłem.  
— Będiesz miał jeszcze jedną szansę — rzekła lady Janet. Trefle nie słyszał.

— Hammond mnie zdradził — powiedział.

Wiedziała o tym. To dlatego tutaj przysłała. Trefle opowiedział jej o tym zaraz po fakcie, jakieś cztery lata temu. Okłamała wtedy Grandzaua mówiąc, że jedzie w odwiedzinę do Isling House, a zamiast tego potajemnie wróciła do „79” w poszukiwaniu silnych wrażeń. Znalazła tam Trefle’a, który nieoczekiwanie powrócił z Afryki Wschodniej. Był ranny i w nocy krwawił, a ona nie zmyła jego krwi ze swego ciała aż do powrotu na południe Francji, co miało być jakimś zwariowanym dowodem, że stać ją na perwersję, chociaż kocha Grandzaua.

— Hammond mnie zdradził.

Lady Janet słuchała cierpliwie. „Zdrada” to ważne słowo w społeczności najemników — była istotną częścią ich świata naoliwionej broni, zapasowej amunicji, odwagi i strachu.

Trefle potrząsnął masywną głową i zgarbił nad stołem swoje potężne ramiona. Jedną ręką bawił się szklanką, drugą chwycił krawędź stołu, ściągając obrus i grożąc rozlaniem wina. Jakby przygotowywał się, by cisnąć sprzętem przez mroczne pomieszczenie.

— Co się stało, Henri? — zapytała cicho. — Co ci zrobił Charles Hammond?

Recytował swoją historię jak litanie. Była to krótka, jasna, gniewna wyliczanka, najwyraźniej często powtarzana. Równie jasne było, że tu właśnie leżało źródło głębokiej, gorzkiej obsesji.

Charles Hammond wynajął Henri Trefle’a do desantu na Mogadysz, stolicę Somalii, państwa we wschodniej Afryce, położonego na wybrzeżu Oceanu Indyjskiego. Najemnicy Trefle’a mieli zająć rządową radiostację

i pałac prezydencki — były to pierwsze, niezwykle ważne kroki reżyserowanego przez Hammonda zamachu stanu. Pośrednik kierował nim z tajnej bazy w Kenii.

— Wsadziłem moich ludzi do trzech nie uzbrojonych transportowców — oficerami byli Francuzi, Anglicy i Niemcy, żołnierzami — tubylcy. Wystartowaliśmy z Patta Island, na północ od Łamu, w momencie, kiedy Hammond zawiadomił przez radio, że droga jest wolna. Ustalone było, że Hammond przekupi oddziały obrony somalijskiego lotniska. Po Oceanie Indyjskim krążyły rosyjskie okręty. Dlatego lecieliśmy tuż nad grzbietami fal, gdzie ich radary nie mogły nas wykryć. Kiedy dotarliśmy do lotniska w Mogadiszu, Somalijczycy, których Hammond miał przekupić, otworzyli do nas ogień ze wszystkiego, co tylko mieli pod ręką.

Trefle splunął w róg pomieszczenia. Ciągnął dalej wpatrzony w obrus. Lady Janet siedziała bez ruchu, słuchając uważnie, pochylona do przodu, by lepiej słyszeć szept mężczyzny. Każde słowo było takie samo, jak owej nocy, kiedy krwawił na jej piersi.

— Hammond zmienił zamiar. Droga nie była wolna. Obrona przeciwlotnicza zestrzeliła lecące z tyłu samoloty. Mój był na czele i te somalijskie świny nie były dość szybkie, żeby nas dopaść. Poleciliśmy z powrotem do Kenii. Za nami na ziemi płonęły dwa pozostałe samoloty. Somalijczycy poderwali z pasa startowego odrzutowiec. Znowu lecieliśmy bez świateł, ukrywając się między szczytami fal, ale odrzutowiec i tak nas wytropił. Myślę, że mogły nas namierzyć rosyjskie okręty.

Opróżnił swoją szklanke, napełnił ją ponownie i nie zwracając uwagi na lady Janet, jeszcze raz splunął.

— To był samolot szkoleniowy. Za całe uzbrojenie miał dwa lekkie karabiny maszynowe do ćwiczeń w strzelaniu do celu. Cóż, poćwiczył sobie tej nocy. Nie mógł nas, na szczęście, zestrzelić. Nasz samolot był mocny, a on miał broń małego kalibru. Ale próbował. Raz po raz nawracał, dziurawiąc kadłub, a za każdym jego przelotem ginęło więcej moich ludzi. Nasz pilot robił uniki i skręty, ale ten sukinsyn przesywał nas kulami, dopóki nie wyczerpała mu się amunicja.

— Kiedy wróciliśmy na wyspę Patta, zostało nas dwunastu. Zabroniłem komukolwiek dotykać zabitych. Sam wynosiłem każde ciało. Nawet pilot nie żył, zmarł chwilę po tym, jak posadził maszynę. Gdybym wtedy

dorwał Hammonda, to bym go zarznął. — Dotknął piersi tuż nad sercem i lady Janet zobaczyła, że ciągle nosi długi szklany nóż. Wykonany był z hartowanego szkła w pochwie z włókna szklanego i aparatura rentgenowska na lotnisku nie mogła go wykryć.

Lady Janet czekała w milczeniu.

Kocie oczy mężczyzny ponownie spoczęły na jej twarzy.

— Opowiadałem ci to już wcześniej, tej nocy, kiedy wróciłem do Paryża, a ty byłaś tutaj i przysłaś do mojego łóżka. Dlaczego udajesz, że nigdy o tym nie słyszałaś?

Lady Janet zawahała się, z trudem wytrzymując jego spojrzenie. Pijacki bełkot Trefle'a uśpił jej czujność na tyle, że zapomniała, jak szybki jest w rzeczywistości.

— Myślałam po prostu... że chcesz to opowiedzieć.

— Co tutaj robisz? Czego chcesz?

Szybko odzyskała panowanie nad sobą.

— Możemy pójść do twojego pokoju?

Trefle przyjrzał się jej przenikliwie. Potem leniwy, zmysłowy uśmiech wolno przesunął się po jego twarzy.

— Nadal chcesz tego.

— Chcę porozmawiać.

— Jasne. Tak samo, jak podczas twojej ostatniej wizyty... Zapłać rachunek!

Podniósł się szybko i przecisnął obok niej, kiedy szukała pieniędzy. Lady Janet obróciła się nieco i wyjęła wolną rękę z kieszeni, na wypadek, gdyby sprawdzał, czy ma broń.

Poszła za nim do drzwi i u boku najemnika pomaszerowała rue de la Convention, potem boczną uliczką i przez jakiś zaułek na podwórko do zrujnowanego pensjonatu. Teraz szła pierwsza, wspinając się po kręconych kamiennych schodach kilka pięter w górę. Otwarte drzwi ukazywały turecki szalet, wspólny dla całego piętra. Trefle otworzył swoje drzwi kluczem i z drwiącym ukłonem puścił ją przodem.

Weszła pospiesznie i zatrzymała się w drugim końcu pokoju, słabo oświetlonego wiszącą pod sufitem żarówką. Odwróciła się, wyciągając pistolet. Trefle znieruchomiał z pijackim uśmiechem na twarzy i błyszczącymi, twardymi oczami.

— Stój! — zakomenderowała. — Cofnij się.

Zrobił powolny krok do przodu.

— Uczyłeś mnie, że zaletą pistoletu jest jego większy zasięg. Mówi-  
leś, żebym tę zaletę wykorzystywała. Jeśli podejdziesz o krok, zabiję cię.  
Trefle popatrzył na nią, potem wzruszył ramionami.

— Czego chcesz?

— Cofnij się.

Cofnął się pod ścianę.

— Dobrze. Teraz słuchaj mnie. Grandzau porwał Charlesa Ham-  
monda.

Trefle splunął.

— Grandzau nie żyje.

— Upozorował śmierć.

— Co z tego?

— Grandzau nie zabije Hammonda. Wystawia go na licytację i  
sprzeda temu, kto najwięcej zapłaci.

— Jeszcze jeden powód, dla którego chciałbym być bogaty — rozpo-  
godził się najemnik. — Może ktoś kupi go z powodu tego, co on wie.  
Może wyciągnie to z niego, a potem zabije.

— Będą też tacy uczestnicy licytacji, którzy chcą go zachować przy  
życiu... Powiedz mi coś, Henri. Dlaczego nie ścigałeś Hammonda?

Z gardła Trefle'a wydobył się chrapliwy śmiech.

— Pieniądze. W jaki sposób człowiek taki jak ja może na przykład  
śledzić kogoś takiego, jak on. Jednego dnia jest w Europie, następnego  
w Afryce. Prywatne samoloty, strażnicy, helikoptery. To było niemożli-  
we — splunął jeszcze raz. — *Merde*. Jeśli odzyskają Hammonda, potroją  
jego ochronę.

— Czy chciałbyś znaleźć go właśnie teraz?

— Zamknij się, kobieto. Za dużo gadasz.

— Sfinansuję to polowanie.

Trefle wpatrywał się w nią.

— Zapłacisz mi za zabicie Hammonda? Dlaczego?

— Najpierw ty zabijesz Hammonda, potem ja zabiję Grandzaua.

Trefle zaśmiał się.

— Dlatego, że cię wykiwał? Zwariowałaś.

— Chcę go zabić i potrzebuję twojej pomocy. Dam ci Hammonda.

— Nie wierzę ci.  
— Podejdź tam. Do rogu. Ruszaj! Trefle wypełnił niechętnie polecenie.

— Spójrz na mnie!

Zrzuciła płaszcz, płynnie przerzucając broń z jednej ręki do drugiej. Potem stanęła między Trefle'em i dużym lustrem. Patrzyła mu prosto w oczy, z pistoletem wycelowanym w jego pierś. Sięgnęła ręką do tyłu, poszukała wyłącznika i zapaliła światło przy lustrze. Potem zebrała dłonią skraj spódnicy i powoli podniosła ją do pasa.

Trefle zwilżył wargi.

— Patrz w lustro!

Oderwał oczy od jej pięknych nóg i spojrzał w zmętniałe zwierciadło. Pręgi przecinające jej pośladki i uda przybrały sinoczarne kolor.

— Grandzau wiedział, że tak będzie. To wszystko przez niego.

Trefle jeszcze raz oblizał usta. Przenosił wzrok z lustra na jej nogi i z powrotem. Uśmiechał się.

— Mówią, że kobieta uczy się czerpać przyjemność z bicia.

Strzeliła do niego i Trefle upadł z krzykiem.

Stanęła nad nim, trzymając w jednej ręce pistolet, a w drugiej spódnicę i patrzyła, jak wije się na podłodze. Nasłuchiwała kroków na schodach. Ucichły, potem niespiesznie się oddaliły. To nie był ten rodzaj budynku, w którym pojedynczy strzał przyciągałby uwagę.

Przeklinając i jęcząc, Trefle usiadł z trudem. Rozpiął kurtkę, podwinął brudny sweter i zbadał krwistą bruzdę, jaką wyłobiliła kula w waluku tłuszczu zgromadzonym w talii.

— Ty szalona kobieto, mogłaś mnie zabić.

— Nie jesteś jedynym, który może mi pomóc, Henri. Jesteś po prostu najwygodniejszy — opuściła spódniczkę i wygładziła ją na biodrach.  
— Wstawaj. Zarezerwowałam miejsca sypialne w pociągu do Marsylii, który odjeżdża o północy.

# Rozdział jedenasty

— Nie, nie zginąłem... Tak, wiem, że powinienem... Arnie, boli mnie głowa i dzwoni mi w uszach... Cholernie dobrze wiem, że Belgowie są wściekli i gówno mnie to obchodzi. Tak czy inaczej, to była ich wina. — Chamberlain odłożył słuchawkę i objął głowę obiema rękami, próbując przypomnieć sobie coś, co Daitch powiedział o Hammondzie i Grandzau. Coś o tajemnicach.

Schował się w budce telefonicznej na lotnisku i popijał kawę z porcelanowej filiżanki. Steward z samolotu Comptelu dyskretnie zapukał w szklane drzwi. Na skinienie Chamberlaina otworzył je i powtórnie napełnił mu filiżankę z trzymanego przez siebie dzbanka. Przed budynkiem widać było samolot Comptelu oraz pierwszego i drugiego pilota, opalających się na schodkach i czekających na rozkazy.

— Jak się nazywasz?

— Kreegan, sir.

— Dziękuję, Kreegan. Proszę powiedzieć pilotom, żeby zapuszczali silniki.

Telefon zaskrzeczał nagłaco. Arnie już nie wrzeszczał na niego i zapewniał teraz, że chciał pomóc. Tak, jak w Nowym Jorku, tej nocy, kiedy Hammond został porwany, przyjaciele z CIA byli znowu dziwnie uczynni. Wydawało się, że nawet na wysadzenie domu w Brukseli Arnie psioczy tylko *pro forma*. Nic go to nie obchodziło. Żadnego z nich.

Interesowało ich tylko to, czy Chamberlain ma się wystarczająco dobrze, żeby pójść tropem Hammonda. A o tym mógł ich zapewnić. Belgijscy gliniarze wzięli na siebie cały impet wybuchu ostatniego ładunku Dai-tcha, co pozwoliło Chamberlainowi wyjść z tego zaledwie z dzwonieniem w uszach i guzem na głowie.

Ponownie podniósł słuchawkę. Wrzask pogłębił jeszcze ból głowy, wywołując wtórną „fale uderzeniową”, jak podczas trzęsienia ziemi.

— Tak, Arnie, przepraszam. Słuchaj, doceniam, że odebrałeś mój telefon, w tych okolicznościach. Naprawdę. Chcę tylko wiedzieć, czy masz coś na temat samolotu, który zabrał Hammonda.

— Zajmuje się tym Farquhar w Londynie. Nie puszcza pary z ust, ale nie przypuszczam, żeby coś miał.

— Jeśli tak się sprawy mają, to nie bardzo wiem, dokąd się teraz wybrać.

— Spróbuj w Marsylii.

— Po kiego diabła?

— To wszystko, co mogę powiedzieć.

— Wyrzuć to z siebie, Arnie. Co się dzieje?

— Na razie, Pete. Cieszę się, że ci się udało.

— Do cholery, co ty mi opowiadasz?

— Pete, pytałeś, dokąd masz się udać. Powiedziałem, że do Marsylii. Pytasz teraz, dlaczego? Myślisz, że Lewis i Clark odnaleźliby Pacyfik, gdyby pytali wróżkę: „dlaczego”?

— Arnie.

— Myślisz, że Tony Curtis uciekłby Wikingom, gdyby pytał tamtą starą kobietę z magnezem: „dlaczego”? Ona powiedziała, płyn na północ. I on pożegłował na północ. Jedź tam, Pete. Nie zadawaj głupich pytań, na które twoi przyjaciele nie mogą odpowiedzieć.

Chamberlain ważył w dłoni milczący telefon jak podejrzenie lekkiego melon. Jeśli chcieli prowadzić taką grę, nie przeszkadzało mu to, dopóki dostawał informacje. Może spełniał rolę osłony dla ich własnych operacji. Zignorował cichutki, paskudny głosik, który przebiegał się przez zbołałą głowę, wołając, że może mieć z nimi problem, kiedy zmienią swoje zamiary w stosunku do niego.

Wykręcił numer operatora i poprosił o połączenie ze Scotland Yardem

w Londynie. Dzwonienie w uszach wyprawiało zabawne rzeczy z jego pamięcią. Wiedział, że zna numer inspektora Farquhara, ale nie mógł go sobie przypomnieć, ani tego, czy go zapisał, a jeśli tak, to gdzie.

— Myślę, że w Brukseli na jakiś czas wyrównaliśmy długi wdzięczności — oświadczył Farquharowi.

— Nie ma się czym martwić. Jak się pan czuje?

— Jestem w jednym kawałku. Znaleźliście samolot?

— Robimy postępy — odparł inspektor.

— Jakiego rodzaju?

— Jesteśmy raczej pewni, że nie poleciał do Norwegii, Szwecji, Danii, Europy Środkowej ani Algierii.

— Zostaje Grenlandia, Azory i Rosja?

— Właśnie.

— I wszystkie inne miejsca, do których mógł dotrzeć po uzupełnieniu paliwa w którymś z tych krajów.

— Wątpię, żeby tankował w Rosji.

— Musimy mieć ten samolot — stwierdził Chamberlain. — To jedy-ny punkt w ich planie, który nie do końca się udał.

— Rozumiem, że rozmawiał pan z Daitchem — powiedział rzeczowo Farquhar.

— Przepraszam — odparł Chamberlain. — Nie zamierzałem nic ukrywać. — Zrelacjonował całą rozmowę.

— Interesujące — skomentował inspektor. — Z tego wynika z całą pewnością, że Grandzau żyje. Być może pańscy przyjaciele w CIA mogą przekonać Włochów, by dokonali jego ekshumacji. Jaki jest pana następny krok?

— Wynoszę się stąd, wsiadam w samolot i lecę gdzieś, chociaż, szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, gdzie.

— Dlaczego nie spróbuje pan w Marsylii?

— W Marsylii? — zdumiał się Chamberlain. — Przypuszczam, że to dobre miasto, by zebrać niewielką ekipę porywaczy... Zwłaszcza, jeśli znało się tam ludzi związanych z handlem narkotykami.

— Nie wspominając o branży szpiegowskiej. Proszę pamiętać, że Grandzau często działał w Marsylii. Muszę jednak zaznaczyć, iż nie jest pan jedynym, którego rozumowanie idzie w tym kierunku.

— Tak?



— Moi przyjaciele w MI5 powiedzieli, że ich przyjaciele w CIA zdradzili im, że chłopcy z KGB są już w Marsylii i rozbijają się po całej dzielnicy portowej.

— Co jest grane z tymi Rosjanami? — z irytacją spytał Chamberlain.

— Proszę spytać swoich przyjaciół w CIA. Słyszałem, że idą tropem Rosjan. — Farquhar zaśmiał się oschle. — Myślę, że oni ciągle mają nadzieję, że wasze małe konsorcjum złoży okup także za nich.

— Miło wiedzieć, że będą tak blisko, gdybym ich potrzebował.

— Tak. Przypuszczam, że naprawdę znajdzie się pan w krzyżowym ogniu. Wszystkiego najlepszego, stary przyjacielu. Niech się pan zamelduje, kiedy będzie okazja.

I na tym polega przyjacielska pomoc Farquhara. Brytyjczyk wykorzystuje go tak samo jak Arnie.

— Z pewnością to zrobię — zapewnił Chamberlain. Bóg z nimi. Mogą pomagać tyle, ile chcą. Bez względu na to, jakie były ich cele, on znał swój, który polegał na spełnieniu oczekiwań Helen Thorp.

# Rozdział dwunasty

W Marsylii było ciepło. Po śniegu w Waszyngtonie i w Connecticut, po przejmującym mrozie w Nowym Jorku i wilgotnym chłodzie Londynu, po lodowatym wietrze znad Morza Północnego w Brukseli, tutaj panowało błogosławione ciepło. Pachniało korzeniami i spalinami, tytoniowym dymem, słonym morzem i tropikalnym upałem.

Comptel posiadał w mieście dom z widokiem na Morze Śródziemne. W sypialni na stole pod oknem stała patera świeżych owoców, a obok niej buczący teleks wypływał wiadomości od Helen Thorp.

MIŁO, ŻE PAN ŻYJE. DOSTALIŚMY DRUGIE ZAPROSZENIE OD LANCELOTA. PRZESYŁAM TEKST. CYTUJĘ: PENDRAGON ZDROWY. AUKCJA 7. STYCZNIA. MIEJSCE ZOSTANIE PODANE. LANCELOT. KONIEC CYTATU. MAMY PIĘĆ DNI. POWTARZAM: PIĘĆ DNI.

Pani Bardzo Spokojna wydawała się odrobinę spanikowana. Chamberlain pochylił się nad klawiaturą i wystukał odpowiedź:

JESTEM TUTAJ. ROZEJRZĘ SIĘ. ZROBIĘ, CO BĘDĘ MÓGŁ.

Czekał na odpowiedź, ale widocznie Helen Thorp nie było w pobliżu teleksu. Kreegan wbiegł za nim do pokoju ze stosem kartonowych pudeł w ramionach.

— Musi pan mieć nowe ubranie, panie Chamberlain. Tu jest gorąco jak w piekle.

Konspiracyjnie ściszył głos.

— Przyprowadziłem też francuskiego krawca, ale myślę, że najpierw chciałby pan dostać to. — Wydobył kaburę, noszoną pod pachą, wyciągnął z niej krótki, ciężki rewolwer i pokazał Chamberlainowi jeden z pocisków.

Chamberlain obejrzał pocisk i broń.

— Śrutówka z oberżniętą lufą? — spytał z powątpiewaniem. — Co z tego za pożytek? Zawsze, kiedy majstruje się przy broni, żeby ją pod pewnymi względami ulepszyć, z czegoś trzeba zrezygnować. Zatem, jakie są jej słabe strony?

— Cóż, nie jest zbyt skuteczna powyżej dziesięciu jardów. Ma duży rozrzut, bo lufa jest taka krótka. Jest też hałaśliwa.

— Mogę to sobie wyobrazić. Jak artyleria.

— I jeszcze nie powinno się ładować jej ponownie zbyt szybko.

— Rozgrzewa się?

— Sparzy panu rękę. Mimo to, jest poręczna w mieście pełnym zakamarków, takim jak Marsylia.

— Gdzie to, do diabła, znalazłeś?

— Przerobiłem ze starego colta. Jestem trochę rusznikarzem, sir.

Chamberlain nie był pewien, czy chce to mieć, ale ten starszy facet był taki dumny, że Pete powiedział:

— Dzięki. Wielkie dzięki. Powinienem mieć coś pod ręką, zadając pytania.

Kreegan wyszczerzył się w uśmiechu i przeciągnął palcami po swoich krótko obciętych włosach.

— Niech go pan używa na zdrowie, pani Chamberlain. Życzy pan sobie swoje ubrania?

— I to szybko.

Kreegan energicznie rozdarł pudełka i rozpakował letnie garnitury: beżowy i ciemnoniebieski. Chamberlain włożył beżowy. Kreegan zapiął mu kaburę i przywołał krawca przenikliwym gwizdem.

Godzinę później, po kąpieli w basenie, natrysku i goleniu, ból głowy zelżał, chociaż dalej dzwoniło mu w uszach. Krawiec pomógł mu dopasować garnitur i cofnął się, zaciskając wargi, gdy Chamberlain borykał się ze zwykłym problemem, który związany był z letnimi ubraniami: jak

porozmieszczać swoje „narzędzia pracy”, żeby nie wypychały cienkiej tkaniny? Kabura pod pachą stanowiła największy problem. Krawiec zatuszował to wyrzuczenie, ale Chamberlain niewiele mógł teraz wpakować do lewej wewnętrznej kieszeni marynarki. W końcu rozłożył równo wszystkie rzeczy. Nie wyglądał już jak sklepowy złodziejasek, ale krawiec nadal cmokał z niezadowoleniem nad tym, co jego klient zrobił z linią garnituru.

— *Portefeuille!* — zasugerował żałośnie.

— On ma na myśli portfel — wyjaśnił Kreegan. — Faceci noszą je tutaj.

— Ten facet nie nosi. Okay, dziękuję za wszystko. Chcę, żebyś wrócił do samolotu na wypadek, gdybym musiał szybko stąd zmykać.

Cała ta krzątanina rozpraszała jego uwagę. Patrząc przez okno na Morze Śródziemne czekał, aż frontowe drzwi zamknęły się i samochody odjechały. Potem wyszedł, przespacerował się do starej części miasta i zaczął rozglądać za Rosjanami, którzy szukali Charlesa Hammonda i Karla Grandzaua. Wędrował tak przez całe popołudnie i aż do zmroku niczego interesującego nie dostrzegł. Wrócił do domu, rozczarowany, ale przecież przetrząsał ulice miasta, które budzi się dobrze po zachodzie słońca.

Był teraz czas na przemyślenie sprawy i przyszło mu do głowy, że skoro Karl Grandzau upozorował swoją śmierć i porwał Hammonda, to najpierw należy dowiedzieć się wszystkiego, czego można, o Karlu Grandzau. Bardzo dobrze, że przyleciał do Marsylii, gdyż tu działał Grandzau i tutaj kręcili się byli najemnicy. Porywacz mógł ich użyć, by skompletować grupę uderzeniową. Chamberlain wiedział jednak, że ten Niemiec — który mógł się okazać żywy, ale też mógł być martwy — dużo większą sympatią darzył i lepiej znał Wisconsin. Mógł więc, na przykład, ukryć Hammonda w jakiejś oborze z dziesięć mil od Milwaukee.

„Nie dla pieniędzy”, sugerował Daitch. „Z powodu sekretu”. Tak właśnie powiedział przed drugim wybuchem, przypomniał sobie Chamberlain. „Z powodu sekretu”. Cokolwiek to miało znaczyć, Amerykanin czuł się sfrustrowany, gdyż jego jedyny ślad związany z porywaczem Hammonda mógł okazać się zasłoną dymną. Ktoś inny mógł używać kodu Grandzaua, żeby zmylić pogoń. Pięć dni. Miał pięć dni do licytacji.

Zatelefonował do Arnie'ego Fasta. Nie było go w pobliżu, więc gładko prześliznął się przez kilku pomniejszych urzędników, dopóki jakaś kobieta, mówiąca ze słodkim jak miód akcentem z Wirginii, nie poinformowała go:

— Tak, panie Chamberlain, pan Fast powiedział, że spodziewa się pańskiego telefonu.

— Czy pan Fast powiedział również, że mogę prosić panią o dane z komputera?

— Powiedział, żebym dała panu wszystko, z wyjątkiem numeru mojego domowego telefonu.

Chamberlain roześmiał się z przymusem i rzekł:

— Karl Grandzau. Niemcy. Historia. Powiązania, przyjaciele i wrogowie. — Podał jej numer swojego terminalu komputerowego i jego model, żeby mogła przekazać dane, a także wyznaczył nieprzekraczalny termin jednej godziny.

Potem zadzwonił do Helen Thorp. Operator Comptelu odszukał ją w restauracji „The Four Seasons”, gdzie jadła lunch.

— Przepraszam, że odciągam panią od zabawy, ale dopóki przechodzę w tej willi piekło, będę całej reszcie zatruwał życie.

Parsknęła śmiechem, a on przyłapał się na rozmyślanii o wdzięcznym wygięciu jej szyi, kiedy odrzucała głowę do tyłu.

— Dobrze o pana dbają?

— Kreegan nadawałby się na czyjąś matkę.

— To skarb. Jaki będzie pana następny ruch?

— Potrzebuję dostępu do komputerów Comptelu.

— Przykro mi. Nie mogę wyrazić zgody na bezpośredni dostęp.

— Tak, w porządku, rozumiem, że nie może pani udostępnić ich całkowicie, ale proszę dać mi kogoś, kto jest zorientowany. Chcę poszukać jakichkolwiek informacji na temat Grandzaua.

— Co może zrobić Comptel?

— Ile oddziałów mamy w Europie?

— Trzydzieści osiem.

— A to tylko Europa. Mogliśmy kiedyś mieć z nim do czynienia, coś mu sprzedać, coś od niego kupić, kto wie? Prosiłem Agencję o dane na jego temat. Gdy tylko będę miał nazwy firm, których był właścicielem i dla których pracował, chcę je przepuścić przez komputery Comptelu. Wie pani, o co mi chodzi?

— Dobrze. Zrobię to. Tylko kilka osób ma pełny dostęp do komputerów. Ale jeśli z jakiegoś powodu nie mógłby pan mnie złapać, proszę porozumieć się bezpośrednio z panem Cowanem.

— Dziękuję. Przyjemnego lunchu.

— Chwileczkę. Dostał pan mój teleks?

— O nowej wiadomości od Lancelota? Tak.

— Pete, mamy mało czasu.

— Zgadza się.

— W takim razie... Co, do diabła — chcę powiedzieć, co zamierza pan teraz zrobić, poza stukaniem w komputer? Jaki będzie następny krok?

— Słyszałem, że Marsylia roi się od typków z KGB. Powinienem porozmawiać z którymś z nich.

Tym razem łatwo było ich zauważyć na ulicy. Jedli smażone ryby, ubrani zgodnie z wyobrażeniami rosyjskiego turysty o tym, jak powinien wyglądać gangster z Marsylii. Bardziej niż czarne koszule i białe garnitury — strój nadal noszony przez niektórych miejscowych — zdradzały ich sylwetki. Wyglądali jak ukraińscy chłopcy od pług. W Connecticut, już na początku średniej szkoły, skaptowano by ich do zawodowego footballu.

Znalezienie Rosjan było jedną rzeczą, nawiązanie kontaktu — całkiem inną. Amerykanin widział już jeden bar w bocznej uliczce, który rozbili w drzazgi, a ogłuszonych właścicieli zwalili w rogu jak drewno na opał. Teraz stali oparci plecami o stragan z rybami i z nie ukrywaną pogardą obserwowali chodnik. Po drugiej stronie ruchliwej ulicy w czarnym peugeocie czekał oddział rezerwowy. Gdyby któryś z napadniętych wezwał żandarmów, co mało prawdopodobne, z peugeota wysiadłby średniej rangi urzędnik ambasady rosyjskiej z immunitetem dyplomatycznym dla napastników i garścią franków dla glin.

Chamberlain stanął w drzwiach sklepu tytoniowego, starając się ze wszystkich sił wyglądać na Francuza. Miał wprawdzie beżowy garnitur i rozpiętą pod szyją jasnoniebieską koszulę, ale *pièce de resistance*, środkiem, który dokonał ostatecznej transformacji jego osobowości i narodowości, był gęsty, lepki, perfumowany tonik, który sprawił, że włosy przylegały gładko do głowy. Miał wrażenie, że przypominają druty

telefoniczne, ale jeśli cokolwiek mogło nadać mu wygląd mieszkańca południowej Europy — może nawet francuskiego gliniarza — to właśnie ta wybrylantynowana fryzura. Próbował uzupełnić efekt czarnymi okularami słonecznymi, ale zrezygnował z nich po zapadnięciu zmroku.

Kulturyści z KGB skończyli obiad i zaczęli paradować buńczucznie po zatłoczonym chodniku. Chamberlain zaczął, aż czarny peugeot ruszy za nimi i dopiero potem podążył ich śladem. Przez chwilę spacerowali bez celu i Chamberlain zaczął się denerwować. Praca na ulicy nie należała do jego najmocniejszych stron. Służąc w marynarce nauczył się ukrywać w wodzie, pojawiać się, by siać spustoszenie i zniknąć ponownie. W CIA pogłębił swój talent w dziedzinie miniaturowych urządzeń elektronicznych i nauczył się posługiwać komputerami. W Comptelu zdobywał umiejętność postępowania z ludźmi na wysokich stanowiskach i współpracy z wielkimi organizacjami. Miał jednak niewiele praktycznego doświadczenia w robocie na ulicy.

Czy go namierzyli? Czy szli przed siebie, szukając spokojnej dziury w murze, w którą mogliby wbić jego głowę, podczas gdy czarny peugeot stałby na czatach? Dlaczego nie sprawiali teraz wrażenia zdecydowanych?

Został dalej z tyłu. Musiał być jakiś sposób na oddzielenie dwóch goryli od samochodu, a potem jednego od drugiego, na czas wystarczająco długi, by zadać jedno proste pytanie. A właściwie dwa. Co chcieli wyciągnąć z ludzi, na których napadali? I czego się dowiedzieli?

Klakson peugeota zaskrzeczał natarczywie, przebijając się przez uliczny hałas samochodów i motocykli, muzykę dobiegającą z barów i kroki setek nocnych przechodniów. Jeden z Rosjan podbiegł do samochodu. Oparł się o dach, obserwując ulicę i słuchając pilnie ludzi siedzących we wnętrzu pojazdu.

Jego partner zwolnił i przeszukiwał wzrokiem chodnik. Chamberlain zanurkował do butiku, podniósł jakiś sweter i wyjrzał przez okno. Peugeot miał nadawczo-odbiorczą antenę radiową i Amerykanin domyślił się, że Rosjanie dostali nowe informacje.

Mężczyzna skinął głową, odsunął się od samochodu i dogonił swojego towarzysza. Ruszyli żwawo. Peugeot wyprzedził ich. Chamberlain poszedł za nimi. W połowie drogi do następnej przecznicy samochód

zatrzymał się przy wylocie jakiegoś zaułka. Goryle z KGB skęcili w uliczkę i ruszyli biegiem.

Chamberlain zawahał się. Ludzie z KGB byli na jakimś tropie, ale żeby pójść za nimi, musiałby minąć stojący na straży samochód. Udawał, że ogląda plakaty przed lokalem ze strip-teasem mając nadzieję, że może tamci odjadą. Pojazd jednak stał przy krawężniku, a jego czterej pasażerowie ignorowali klaksony i krzyki kierowców, którzy musieli zjeżdżać na przeciwny pas ruchu, żeby wyminąć zaparkowany samochód. Z każdą sekundą, kiedy on czekał, ludzie z KGB byli coraz bliżej celu, ku któremu zostali skierowani.

Nie mógł tego zrobić. Nie mógł przejść obok samochodu. Ulicę wypełnił kobiecy śmiech, który odwrócił uwagę Chamberlaina. Zobaczył dwie pary, idące pod ramię do jakiegoś klubu. Młode, beztrioskie, rozrabiane. Muzyka, która zdawała się dochodzić zewsząd, nagle wydała mu się piękna. A jeśli pasażerowie peugeota zauważyli go i wciągnęli właśnie w zasadzkę?

Bał się przejść obok samochodu.

Nie obawiał się, że jeśli go zauważą, straci swoją szansę. Nie bał się też, że utraci Charlesa Hammonda. Bał się, że Rosjanie go zabiją. Doświadczał tego czasami — i teraz właśnie strach był jak ogrodzenie z żelaznych prętów, przez które Chamberlain mógł patrzeć, ale którego nie mógł sforsować.

Miał trochę mdłości. Nigdy nie kwestionował teorii głoszącej, że trzeba być wariatem, by zostać nurkiem w oddziałach dywersyjnych; nie można wykonywać takiej roboty zamartwiając się, że coś się nie uda. Teraz jednak uświadomił sobie, że to, co właśnie przeżywa, świadczy o tym, że nie jest szaleńcem.

Rosjanie rozwiążali ten dylemat za niego. Uruchomili silnik i odjechali. Chamberlain rozejrzał się za jakąś tylną strażą, ale nie zauważył nikogo. Wbiegł w zaułek. Już kilka kroków dalej uliczka tonęła w ciemnościach i nie wyglądała obiecująco. Jedna ze ścian należała do budynku, gdzie mieściło się pornograficzne kino. Schody przeciwpożarowe wspiwały się w górę, do czarnego nieba. Po drugiej stronie ulicy widniał szereg ciemnych wejść. Amerykanin minął stertę pojemników na śmieci i przykucnął za nimi, by jego sylwetka nie odcinała na tle oświetlonej ulicy, którą przed chwilą opuścił. Nasłuchując, czy gdzieś nie płaczą się



mężczyźni z samochodu, omiótł uliczkę miniaturowym radiolokatorem. Niczego nie zarejestrował i ruszył nagle dalej, trzymając urządzenie w lewej ręce.

Niespodziewanie dotarł do końca uliczki, dużo szybciej, niż się spodziewał. Znalazł tam uchylone pojedyncze drewniane drzwi. Odwrócił się twarzą w stronę ulicy i sprawdził teren. Radiolokator wskazywał, że w dalszym ciągu nikt go nie śledzi. Pchnął drzwi i skierował przyrząd w ciemność. Nic. Zawahał się. Radiolokator wykrywał tylko obecność ruchu. Aparat działający w podczerwieni mógłby zarejestrować ciepło ciała przyczajonego napastnika, ale Chamberlain nie dysponował takim urządzeniem. Miał latarkę, ale obawiał się ściągnąć na siebie ogień.

Prześliznął się wąską szczeliną między drzwiami i futryną, przesunął kilka stóp bokiem przy ścianie, a potem stanął, starając się zgadnąć, co tu nie pasuje. Odpowiedzi dostarczył punkcik światła wysoko nad głową. Nadal był na dworze. Wszedł po prostu na podwórko. Kiedy jego oczy przystosowały się do ciemności, zobaczył nieregularne zarysy ścian różnej wysokości na tle nieco mniej ciemnego nieba. Dziedziniec otaczało kilka budynków i nie sposób było zgadnąć, w którym zniknęli ludzie z KGB.

Usłyszał głośny łoskot i okrzyk przerażenia, szybko stłumiony. Zamykając jedno oko, by zachować zdolność widzenia w ciemnościach, zapalił na sekundę latarkę, kierując ją w stronę, z której dobiegł dźwięk. W krótkim błysku światła dostrzegł otwarte drzwi, a za nimi schody. Wbiegł do środka, omijając stertę doniczek, która dzieliła go od drzwi.

Szybko wchodził po schodach. Hałas dobiegał z otwartego okna na piętrze. W ciemnościach toczyła się zaciekle walka. Słyszał głucho uderzenia pięści, łoskot ciał wpadających na ściany, odgłos wciąganego ciężko powietrza, z bólu lub wysiłku. Rozległ się świszczący dźwięk, a po nim wrzask.

Rozbłysło elektryczne światło, zalewając bielą obskurny, zdemolowany pokój, i na wpół oślepiając Chamberlaina. Jeden z Rosjan leżał nieruchomo na podłodze, a z jego gardła buchała krew. Drugi zwarł się w walce z mężczyzną równie potężnym jak on sam, który starał się uwolnić swój nadgarstek z uchwytu Rosjanina. Agent KGB walczył o życie. Jego przeciwnik trzymał długi, lśniący nóż, spływający krwią poprzedniej ofiary.

Żaden z nich nie zapalił światła. Chamberlain odwrócił się, słysząc z

tyłu jakiś szelest. To, co zobaczył, wydało mu się nieprawdopodobne. W rogu siedział jakiś mężczyzna, jednak to nie on włączył światło, gdyż ręce i nogi miał przywiązane do oparcia i nóg krzesła. Chamberlain patrzył oniemiały. Widział już tę oszalamiająco piękną kobietę, która teraz obracała pistolet w kierunku jego głowy — w Brukseli, na ulicy przed domem Daitcha.

Ciągle jeszcze próbował odróżnić niemożliwe od realnego, kiedy pistolet z dzwoniącym chrupnięciem wylądował na jego skroni i straszliwa błękitna błyskawica bólu rzuciła go na kolana. Ostatnią rzeczą, jaką widział Chamberlain, gdy ból odbierał mu świadomość, był mężczyzna z nożem, który uwolnił się i błyskawicznie wziął zamach swoją lśniąca bronią. Ostrze ze świstem przecięło powietrze, migocząc jak długi, cienki odłamek potłuczonego szkła.

# Rozdział trzynasty

— Muszę się napić — wysapał Trefle.

Lady Janet na chwilę oderwała wzrok znad kierownicy wynajętego renault'a. Droga wzdłuż wybrzeża rozwijała się przed pędzącym samochodem jak czarna wstążka. W przyćmionym świetle deski rozdzielczej kobieta zobaczyła, że ręce Francuza drżą.

— Mam w torbie brandy.

Trefle pogrzebał w bagażu, z okrzykiem triumfu wydobył srebrną piersiówkę, odkręcił i przechylił ją do ust. Poruszał krtanią, kiedy brandy spływała mu do gardła. W końcu opuścił flaszkę. Lady Janet odebrała mu ją, łyknęła szybko i oddała piersiówkę z powrotem.

— Dokończ to.

— Mam taki zamiar.

— Dlaczego ich zabiłeś? — Już w momencie, kiedy się odezwała, wiedziała, że to głupie pytanie.

— Żeby oni nie zabili mnie.

— To byli Rosjanie, prawda?

— Na to wygląda — przytaknął Trefle.

Lady Janet skupiła się na serii zakrętów. Wypytywali właśnie starego żołnierza Legii Cudzoziemskiej, który prowadził hotelik w pewnym zaułku w Marsylii, kiedy przerwali im Rosjanie. Legionista zapewniał nocleg najemnikom, których opuściło szczęście i tymczasowo nie mieli żadnych zleceń.

Kobieta poczuła na sobie wzrok Trefle'a i kiedy droga wyprostowała się, lady Janet odwzajemniła jego spojrzenie. Brandy wpłynęła na mężczyzną uspokajająco; mięśnie na policzkach już mu nie drgały.

— Byli silniejsi ode mnie — powiedział. — Nie tak szybcy, ale silniejsi.

To wyznanie zdumiało ją. Nie chodziło o to, że uznał ich przewagę, ale że zawracał sobie głowę wyjaśnianiem, dlaczego ich zabił. Jeszcze nie skończył.

— Nie mam już tyle siły. Za dużo piję. Może zestarzałem się. Ale mam wolę. I wiem, jak to zrobić. Lepiej, niż którykolwiek z nich.

Lady Janet stwierdziła, że trudno jej sobie wyobrazić Trefle'a w złej formie.

— Może powinieneś mieć pistolet.

— Może — zatrzymaj się tam!

Rój świateł wskazywał niewielki zajazd z kilkoma samochodami zaparkowanymi przed wejściem do baru.

— Nie mamy czasu.

Trefle złapał kierownicę i skierował samochód do motelu. Jego uchwyt był silny i Angielka musiała wybierać: wpakować się w stojące samochody czy zahamować. Stanęli.

— Henri.

Wybiegł chwiejnie, wpadł do baru i pojawił się ponownie z butelką.

— Ruszaj.

Wyjechała na czarną szosę, a on mocował się z korkiem.

— Proszę, nie rób tego — zaprotestowała, kładąc mu rękę na udzie i rozkładając palce jak wachlarz.

— Myślałem, że nie mamy czasu — rzucił jej z ukosa pożądliwe spojrzenie.

— Może później, kiedy odpoczniemy. Jeśli nie będziesz pijany.

Trefle pociągnął łyk z butelki.

— Gdy byliśmy kochankami, często myślałem, że ostatnią rzeczą, jaką zobaczę na tej ziemi, będziesz ty, wbijająca mi nóż w serce, kiedy dochodzimy do spełnienia.

— Czarujące — powiedziała chłodno, w taki sposób, jaki lubił. — Dlaczego ciągnąłeś nasz romans? Miałeś wtedy samobójcze skłonności?

— Wydawało mi się, że to niewielka cena za rozkosz. Pamiętasz, jak krzyczałaś?

— Kiedy mnie zaspokoileś.

— Może powinienem ściągnąć cię na tylne siedzenie i zaspokoić teraz.

— Skoncentrujmy się raczej na Charlesie Hammondzie, dobrze?

— Nie martw się, pożyczylbym ci mój nóż — roześmiał się i zaczął jeszcze raz podnosić butelkę do ust, ale zamiast tego naprężył mięśnie pod jej palcami. — To miłe — powiedział marząco. — Wiesz, Janet, gdybym cię zgwałcił, załóżę się, że poczekałabyś z tym nożem, aż zaczniesz mi być dobrze. Mam rację?

— Może, gdybyś był trzeźwy — odparła z uśmiechem. Ku jej ogromnej uldze zakręcił butelkę i położył ją na podłodze, gdzie toczyła się tam i z powrotem, gdy samochód zarzucał na górskiej drodze.

Dobrze im szło w Marsylii, dopóki nie wmieszali się Rosjanie. Uprowadzenie Charlesa Hammonda było wśród najemników przedmiotem wielkiego zainteresowania. Wielu pamiętało jego zdradę w Somalii. Innych fascynowała brawura akcji. Nikt nie słyszał o licytacji Pendragona i nikt nie miał pojęcia, że Grandzau żyje. Snuli luźne spekulacje na temat porywaczy Hammonda i wielu oświadczało, że zna osobiście ludzi, którzy są w to zamieszani. Każdy chciał mieć jakiegoś dawnego kumpla biorącego udział w wielkim interesie. Zmuszeni odsiewać prawdę od fantazji, lady Janet i Trefle oceniali reputację swoich informatorów i charakter ich domysłów. Tych, którzy twierdzili, że ich przyjaciel został wynajęty przez polityków lub rywali w interesach, nie brali pod uwagę. Pomijali także tych, którzy wiedzieli na pewno, że Hammond został uprowadzony przez terrorystów. Szukali kogoś, kto znał jakieś prawdopodobne szczegóły planu Grandzaua.

Potem natrafili na burdel dla żołnierzy, do którego wcześniej wtargnęli Rosjanie. Nikogo nie zabili, ale kilku mężczyzn było paskudnie pokiereszowanych. Rosjanami zajął się Trefle, a Angielka wypytywała kobiety. Dowiedzieli się, że nie było to pierwsze miejsce, które zaatakowali Rosjanie. Przetrzęsali Marsylię, zadając wszędzie te same pytania. Gdzie jest Grandzau? Kto dla niego pracuje? Przestraszona prostytutka, dziesiętnastoletnia Greczynka uzależniona od heroiny, powiedziała lady Janet, że grupa żołnierzy, stacjonujących w pensjonacie na podwórku

obok kina porno, została wynajęta przez Grandzausa. Dziewczyna zapomniała dodać, że wcześniej powiedziała to samo Rosjanom.

Trefle i lady Janet dotarli tam pierwsi i Trefle zaczął właśnie grozić weteranowi wojny w Algierii, który prowadził ten lokal, kiedy pojawili się Rosjanie. Mężczyzna zaczął mówić i to, co powiedział spowodowało, że skierowali się do Lionu. Pojechaliby pociągiem albo samolotem, ale martwe ciała, które zostawili za sobą, zostały z pewnością odkryte przez policję. Uciekając, słyszeli syreny radiowozów. Marsylski port lotniczy i dworzec kolejowy z pewnością będą się roić od glin.

Marsylska policja zajęła się kompleksowo sprawą zamordowanych rosyjskich agentów z KGB. Ekipy dochodzeniowe, technicy laboratoryjni, detektywi od spraw narkotyków i ludzie z *Deuzième Bureau* przetrząsnęli pokój, w którym znaleziono ciała, w poszukiwaniu odcisków palców, broni, śladów krwi, resztek naskórka, fragmentów paznokci i próbek włosów.

W tym samym czasie para detektywów, korsykańskiego pochodzenia, z wydziału zabójstw wciągnęła Petera Chamberlaina do pokoju przesłuchań na tyłach komisariatu. Ocucili go wiadrem lodowatej wody i zasugerowali, że oszczędziłby sobie mnóstwa kłopotów, gdyby przyznał się do podwójnego morderstwa. Chamberlain potrząsnął głową, by trochę oprzytomnieć. Zastanawiał się mętnie, jakie skutki będzie miało skumulowanie urazów odniesionych podczas wybuchu w Brukseli i ostatniego, kiedy ta silna kobieta prawie wygięła lufę pistoletu na jego głowie. Widział, jak mężczyzna, który oblał go wodą, bierze zamach, by uderzyć go otwartą dłonią. Był zbyt zamroczony, żeby uniknąć ciosu, który spadł na jego policzek.

Uderzenie odrzuciło mu głowę na bok, ale jednocześnie przywróciło jasność myślenia.

— W porządku, chłopaki — odezwał się, osłaniając podniesionymi rękami. Były skute kajdankami. Posadzili go na krześle z prostym oparciem, w ostrym świetle lampy. Wrzeszczeli po francusku, ale kiedy popatrzył na nich tępo, wrócili do angielskiego, od którego zaczęli. Pomaçał w kieszeni, ale portfel z paszportem zniknął. Zatem znali jego

nazwisko, narodowość i wiedzieli, dla kogo pracuje. Nie było czasu na zgrywanie samotnego bohatera.

Wszystkie kieszenie miał puste. Zauważył ich zawartość na parapecie okna. Wskazując ostrożnie na stos papierów i urządzeń, zapytał:

— Czy mógłbym dostać mój portfel?

Gliniarz, który uderzył go poprzednio, znowu podniósł rękę, jednak partner powstrzymał go i odsunął na bok. Obaj nosili lśniące, szare garnitury i ciemnoniebieskie koszule. Obaj byli niscy i mocno zbudowani, i obaj wyglądali na całkiem zadowolonych, że będą mogli mu dołożyć, zanim się przyzna.

— Co? — zapytał policjant.

— Czy mogę zadzwonić do mojej firmy? Oni mogą za mnie poręczyć.

— Poręczyć, że jesteś mordercą? To już wiemy.

— Jeśli ja jestem mordercą, to kto powalił mnie na podłogę?

— Twoja druga ofiara uderzyła cię w momencie, kiedy rozplatałeś jej gardło.

— Zaczekaj — odezwał się Chamberlain, widząc, że drugi gliniarz podchodzi bliżej, by znowu go uderzyć.

Policjant nie zatrzymał się.

— Zaczekaj! Facet na krześle. On widział, co się wydarzyło. Zapytajcie go.

Jeden z policjantów uderzył Chamberlaina, a drugi chwycił za włosy i nachylił się nad jego twarzą.

— On powiedział, że związałeś go i torturowałeś, a potem zabiłeś Rosjan, którzy ci przeszkadzili.

— Co takiego?

Uderzyli go jeszcze raz. Chamberlain poczuł w ustach krew. Policjanci odbijali go, tam i z powrotem, między sobą. Poczuł, jak budzi się w nim niezwykły, głęboki gniew. Fakt, że ci pajace mówili po angielsku, oznaczał, że nie byli po prostu parą stukniętych facetów, którzy mają specyficzne poczucie humoru. Mieli rozkaz wydobyć z niego zeznanie.

Chamberlain zerwał się z krzesła i biorąc zamach skutymi rękami, powalił jednego z detektywów pojedynczym uderzeniem, a potem kopnął drugiego w krocze, tracąc przy tym równowagę i padając ciężko na beton. Pierwszy policjant ruszył na niego chwiejąc się. Chamberlain przeturlał się na bok i stanął na nogi.

Ten, którego kopnął, leżał skrzęcając się z bólu, ale drugi znowu go atakował. Pozbierał się z podłogi i wyciągnął z kieszeni pałkę. Chamberlain próbował zgadnąć, z której strony przeciwnik uderzy. Stracił inicjatywę. Jedyne, co mógł teraz zrobić, to starać się zminimalizować obrażenia.

Lady Janet drżała w zimnej mgle, która unosiła się znad Rodanu i osiadała w nadrzecznych uliczkach Lionu. Była trzecia nad ranem, a ona czekała w samochodzie, gdy Trefle wywazał zamek jakiegoś magazynu po przeciwnej stronie ulicy. Pomachał ręką. Wyśliznęła się z samochodu, bezgłośnie zamknęła drzwi i pobiegła do niego.

Trefle odsunął drzwi na bok i przecisnął się do ciemnego wnętrza. Lady Janet poszła za nim. Wyjęła pistolet i kryła Trefle'a, gdy zamykał drzwi. Przypominały jej się ostatnie dni narkotykowych interesów Grandzaua, kiedy chińscy handlarze coraz szczerzej kontrolowali rynek i wysyłali uzbrojonych ludzi, by ukrócić niezależne transakcje. Grandzau opierał się im, dopóki mógł, codziennie zbierając zyski, aż musieli uciekać, by ratować własną skórę. Nieraz przyciskała się wtedy do ściany i mierzyła z pistoletu we wrogą ciemność.

Usłyszała trzask i zmrużyła oczy. Sekundę po tym ostrzeżeniu Trefle zapalił latarkę. Znajdowali się w niskim pomieszczeniu zastawionym kartonowymi pudłami z winem, przygotowanymi do wysłania na zamorskie rynki. Lady Janet rozpoznała etykietkę *vin rouge* — przypadkowa mieszanina bez podanego rocznika, której w tym kraju nikt by nie pił. Wypuściła długo wstrzymywane powietrze. Byli sami. Widzieli z zewnątrz, że okna są zabezpieczone okiennicami, więc zapalili światła.

Przeszukali pomieszczenie, nie znajdując nic oprócz pudełek, i ruszyli dalej. Trefle badał niską piwnicę, a kobieta wspięła się po stromych schodach na pierwsze piętro. Weszła właśnie w wąskie przejście pomiędzy spiętrzonymi kartonami z winem, kiedy Trefle krzyknął.

Zbiegła na dół, przeskakując po dwa stopnie naraz, minęła parter i zeskoczyła pospiesznie do piwnicy. Wylądowała cicho na ugiętych nogach. Trefle wskazał solidną szafkę. Jej drzwi były otwarte, a w środku



znajdowały się uchwyty na broń, puste, z wyjątkiem jednego.

- Odjechali.
- Kurwa mać.

Sejf mieścił kiedyś sześć pistoletów. Trefle wyciągnął ostatni i obejrzał go z profesjonalnym zadowoleniem. Lady Janet rozpoznała M76, pistolet maszynowy firmy Smith and Wesson, którego nie produkowano już od lat. Był szybki, celny i lekki. Z rozłożoną kolbą mierzył dwadzieścia cali długości. Złożony, pasował do średniej wielkości podręcznej torby.

Kobieta znalazła na dnie szafki parę pudełek dziewięciomilimetrowych nabołów do parabellum.

- Złóż go — poleciła Trefle'owi. — Zabiorę to.
- Szefowa jest dobrym człowiekiem.

Lady Janet położyła na pustym uchwycie dwa banknoty tysiącfrankowe i zamknęła drzwi szafki.

Drzwi do pokoju przesłuchań marsylskiego komisariatu otworzyły się z trzaskiem i do środka wtargnął siwowłose inspektor w cywilu w towarzystwie dwóch umundurowanych gliniarzy. Szybkim spojrzeniem ocenił sytuację.

Chamberlain cofnął się o krok. Detektyw, którego kopnął, podniósł się z bolesnym wysiłkiem. Drugi schował pałkę do kieszeni i nerwowo zasalutował starszemu oficerowi. Umundurowani policjanci rzucili się na Chamberlaina i chwycili go z dwóch stron.

Siwowłose inspektor powiedział coś gwałtownie po francusku. Kiedy skończył, detektywi potrzęsnęli głowami.

- *Non.*

Chamberlain domyślał się, że przełożony pytał, czy zatrzymany się przyznał.

- Czy mogę zadzwonić do mojej kompanii? — zapytał głośno.

Siwy mężczyzna popatrzył na niego. Chamberlain wytrzymał wrogie spojrzenie, czując, jak serce w nim zamiera. To nie był wybawca. Potem w otwartych drzwiach dostrzegł krótko ostrzyżone włosy Kreegana. Steward wepchnął się do pokoju. Inspektor odwrócił się do niego i było oczywiste, że rozmawiali już wcześniej.

- Nie wolno panu tu wchodzić.

Kreegan zlekceważył go.

— To pan Chamberlain. Czy mogę zabrać go ze sobą?

— Nie rozumie pan. Zostanie oskarżony o morderstwo.

— Pan żartuje — zadrwił pogodnie Kreegan. — Pete nie skrzywdziłby muchy. Właśnie ściągam tu z milego przyjęcia amerykańskiego konsula, żeby wam powiedział, że pan Chamberlain jest szanowanym obywatelem Stanów Zjednoczonych.

Siwy był nieporuszony. Odezwał się chłodno:

— Konsulowi amerykańskiemu odpowiem to samo, co panu. Ten człowiek będzie oskarżony o morderstwo. I żadna siła, z wyjątkiem francuskiego sądu, nie uwolni go spod naszej opieki.

— Daj pan spokój.

— Proszę się wynosić. — Inspektor strzelił palcami i do pokoju wpadło dwóch następnych gliniarzy, którzy chwycili Kreegana.

— Cholera — rzucił steward. — Robicie paskudny błąd.

— Pan będzie następnym aresztowanym.

Kreegan po raz pierwszy odwrócił się do Chamberlaina.

— Przykro mi, sir. Oni mają naprawdę zakute łby.

Chamberlainowi przyszła nagle do głowy pewna myśl.

— Zadzwoń do tego faceta z Dassaulta.

— Racja! — krzyknął Kreegan, a siwowłosy mężczyzna uniósł brwi. W zamyśleniu pogładził nos, obserwując policjantów, którzy eskortowali Kreegana, wychodzącego z pokoju przesłuchań. Chamberlain patrzył z lękiem, jak Korsykanin sięga po pałkę.

Siwy powstrzymał go gestem.

— Dassault? — zapytał Chamberlaina.

— Tak. Może słyszał pan o nich. Budują samoloty mirage, chlubę francuskiego przemysłu zbrojeniowego. Nasze kompanie współpracują ze sobą.

Siwowłosy policjant jeszcze raz potarł nos.

— Zobaczmy — powiedział i gestem nakazał korsykańskiemu detektywom opuścić pokój. Pozostali wyszli za nimi i zamknęli drzwi, zostawiając odsłoniętą kratę. Chamberlain usiadł i czekał, obserwowany zza kraty przez umundurowanego gliniarza.

Było to długie oczekiwanie. Po chwili więzień wyciągnął się na twardej podłodze i spróbował uciąć drzemkę. Obudził go szczełk otwieranych drzwi i zobaczył szare światło poranka, sączące się przez okna pokoju.

Sala przesłuchań raptem się zapełniła. Siwowłosy inspektor pojawił się z powrotem, a także kilku umundurowanych oficerów i Kreegan, sprawiający wrażenie zadowolonego. Wszedł też bardzo młody naburmuszony Francuz we fraku. Obrzucił Chamberlaina spojrzeniem pełnym głębokiej pogardy, podniesionym głosem wyrzucił z siebie potok francuskich słów, skierowany do siwowłosego inspektora, a potem czekał ze skrzyżowanymi ramionami, gdy Chamberlainowi zdejmowano kajdanki i zwracano jego własność, włącznie z obrzynkiem. W końcu pozwolono Kreeganowi wyprowadzić go na zewnątrz.

— Chwileczkę — odezwał się Chamberlain.

— Chodźmy, póki wszystko idzie dobrze — odparł Kreegan, ponaglając go.

— Cofnij się — warknął Chamberlain. Przepchnął się obok inspektora i odezwał do mężczyzny w wieczorowym stroju:

— Pan jest z Dassaulta?

— Tak, jestem — odpowiedź padła przez zaciśnięte wargi. — Paul Gallitan.

— Dzięki za wyciągnięcie mnie z tego. Chcę teraz wiedzieć, co ci pajace wydobyli z tego starego, przywiązanego do krzesła.

Gallitan wznosił oczy ku niebu.

— Chcę iść do domu, *monsieur*.

— Ja także. W pokoju, w którym zabito Rosjan, był facet przywiązany do krzesła. Tam, gdzie znaleźli mnie gliniarze. Prawdopodobnie mają go tutaj. Chcę wiedzieć, co im powiedział.

— *Monsieur*.

— Mister, jeśli szef mógł wysłać pana, żeby mnie pan stąd wydostał, może też dać panu takiego kopa w tyłek, że wyląduje pan po drugiej stronie Pirenejów, jeśli go o to poproszę.

Elegancko ubrany mężczyzna wzruszył ramionami i rozłożył ręce w geście „czego-pan-ode-mnie-chce”, ale szepnął coś inspektorowi.

— *Non!*

— *Oui!* — ryknął młody człowiek. — *Immédiatement!*

Tym razem to inspektor wzruszył ramionami. Rzucił rozkazy, a detektywi przynieśli mu kopię maszynopisu. Tekst był po francusku. Chamberlain spojrzał na kamienną twarz inspektora i doszedł do wniosku, że wydobył już z niego tyle, ile mógł.

— Dziękuję panu — odwrócił się do człowieka z Dassaulta. — Chodźmy.

Kreegan wyprowadził ich z komisariatu do czekającej limuzyny. Gallitan protestował po drodze.

— Wypuścimy pana, kiedy tylko pan to przetłumaczy. Proszę wsiadać.

Kreegan prowadził. Chamberlain z wdzięcznością zagłębił się w pluszowe poduszki siedzenia i zapytał:

— Co tam jest?

Francuz przejrzał dokument.

— To formularz oficjalnego zeznania. Świadek stwierdza, że jakiś mężczyzna i kobieta przyszedli do pensjonatu, który on prowadzi, przywiązali go do krzesła i grozili mu uszkodzeniem ciała, jeśli nie odpowie na ich pytania. Powiedział im, że zastosuje się do poleceń. Pytali, czy pięciu mężczyzn, którzy mieszkali u niego, nagle wyjechało. Potwierdził to. Zapytali, dokąd tamci wyjechali, a on powiedział, że do Lionu.

— A konkretnie?

— Nie powiedział policji.

— A mnie powie?

— Tylko wtedy, jeśli dostanie solidną łapówkę. Widzi pan, ci weterani, koloniści i najemnicy, znają się wszyscy wzajemnie i, oczywiście, trzymają razem. Nie powiedzieliby mu dokładnie, dokąd jada, ale mógł się tego domyślać. W każdym razie, nie powiedział policji.

— Co jeszcze zeznał?

— Mówił, że tych pięciu to strzelcy wyborowi.

— Kiedy wyjechali?

— Tego ranka.

— Jest pan pewien?

— Tak.

— To nie ma sensu. Zakładam, że wynajął ich Grandzau — człowiek, który porwał Charlesa Hammonda — ale to stało się trzy dni temu — popatrzył na światło wczesnego poranka, kładące się na szczytach domów. — Cztery dni temu — poprawił się. — Och, na miłość boską! Czy my wszyscy szukamy wiatru w polu?

— Nie sądzę — odparł Gallitan. — Nazwisko „Grandzau” pojawia się kilka razy w tym protokole.

- Co takiego?
- Marsylska policja wie, czego szukacie, pan i Rosjanie. Od kilku dni obserwują KGB i CIA. Dlatego wypytywali. Weteran oświadczył, że w poprzednim tygodniu Grandzau odwiedził jego budę.
- Kreegan. Zatrzymaj się przy telefonie!
- Steward stanął. Francuz otworzył drzwi.
- Wezmę taksówkę.
- Pan zostaje tam, gdzie pan jest. Zadzwoń. Potem pojedziemy zobaczyć się z tym starym, a pan będzie tłumaczył.
- *Monsieur*, zostawiłem pewną damę...
- Mój szef w Comptelu będzie bardzo wdzięczny pańskiemu szefowi. Będzie pan miał jutro co świętować ze swoją damą.
- Chamberlain wykręcił kierunkowy numer do Londynu i połączył się z Farquharem, który wydawał się być bardzo zadowolony.
- Mamy ten samolot w Islandii.
- Hammond?
- Żadnych pasażerów. Władze Islandii zatrzymały pilota, ale on przysięga, że został zatrudniony do transportu maszyny ze Stornoway do Reykjaviku. Są poszlaki, że mówi prawdę.
- To znaczy, że Hammond wysiadł na Hebrydach.
- Prawdopodobnie. W tej chwili przeszukujemy wyspy Lewis i Harris.
- Czy powinienem się tam pojawić?
- Nie sądzą, żebyśmy go tam znaleźli. Na wyspach jest co prawda dużo odludnych miejsc, ale tubylcy znają się wszyscy nawzajem. To nie byłoby zbyt bezpieczne miejsce na kryjówkę. Hammond może być w jakiejś zagrodzie na odludziu, ale dużo bardziej prawdopodobne, że wywieziono go stąd łodzią rybacką.
- A droga powietrzna?
- Nie ze Stornoway, chociaż helikopter mógł go zabrać z którejś z wysp zewnętrznych. — Farquhar przerwał, a potem dodał z zadumą: — Możemy założyć, że przebywa na naszym głównym terytorium.
- Anglia i północna Europa.
- Trzeba przyznać, że to duży obszar. Jest jeszcze coś, co może pana zainteresować. O waszych wspólnikach. Pan Nagumo wyjechał dość nagle do Rzymu na zaproszenie tamtejszej ambasady japońskiej.

A handlarz bronią, pan Streicher, wyjechał do Niemiec, gdzie błyskawicznie zniknął.

- I co z tego?
- Zanim wyruszyli, zjedli razem obiad.
- No, no!
- Moim zdaniem wygląda na to, że dowiedzieli się czegoś o Hammondzie i zawarli nowe porozumienie.
- Chyba tak — przyznał ponuro Chamberlain.
- Rozumiem, że miał pan kłopoty w Marsylii.
- Nie takie jak Rosjanie. Wkrótce porozmawiamy. Myślę, że na coś wpadłem.

Stary weteran wojny algierskiej wyglądał tak, jakby od długiego czasu nie opuszczał mieszkania. Miał stwardniałą skórę i przymrużone oczy, od długiego przebywania na pustynnym słońcu, ale jego cera była śmiertelnie blada. Tak, jakby uciekł od słońca w dniu, w którym przeszedł do cywila. Zaprotestował słabo, kiedy zobaczył Chamberlaina. Kreegan i człowiek z Dassaulta czekali na Chamberlaina w skromnym, niewielkim, schludnym mieszkaniu.

Gallitan dostał instrukcje. Mówił uprzejmie po francusku, tłumacząc mężczyźnie, że Chamberlain chce wiedzieć tylko to, co stary już powiedział marsylskiej policji. Tłumacz dodał pośpiesznie, że *Américain* nie żywi do niego specjalnego żalu o fałszywe zeznania dotyczące śmierci Rosjan. Mógłby zresztą o wszystkim zapomnieć w zamian za szybkość i uczciwą odpowiedź. Ostrzegł, że Amerykanin zna już część jego zeznań, więc fałszywa odpowiedź może zostać rozpoznana. Będzie to uważane za przejaw wrogości i przedłuży obecność trójki obcych. A przecież, bez wątpienia, właściciel mieszkania nie chce nic więcej, tylko iść do łóżka.

— *Où est Grandzau?*

Algierski weteran przez długą chwilę wpatrywał się w Gallitana. Jego odpowiedź była długa i gniewna. Kiedy skończył, Gallitan przetłumaczył ją Chamberlainowi.

— Pyta, jak zwykły *concierge* może znać miejsce pobytu człowieka, który porwał wielkiego Charlesa Hammonda.

— Powiedział coś więcej — rzekł Chamberlain.

Gallitan zawahał się.

— No, tak. Powiedział, że jest pan tak samo głupi jak policja. Prosi nas, żebyśmy sobie poszli.

— Niech pan się dowie, kiedy był tu Grandzau? Ile razy? I kogo wynajął?

Gallitan odezwał się po francusku.

Weteran wzruszył ramionami i odparł coś z irytacją. Chamberlain obserwował jego złe oczy, wypatrując mimowolnego zmrużenia powiek, towarzyszącego kłamstwu. Zastanawiał się, jakim żołnierzem był ten człowiek przed trzydziestu laty. Mógł służyć w Wietnamie we wczesnych latach pięćdziesiątych, kiedy ciągle jeszcze nazywano ten kraj Francuskimi Indochinami, a tubylcy nie stworzyli jeszcze najbardziej niebezpiecznych oddziałów piechoty na świecie.

— Grandzau przyjechał dwa razy — przetłumaczył Gallitan. — Tydzień temu i jakiś miesiąc wcześniej. Za pierwszym razem wynajął pięciu mężczyzn. Zabral ich ze sobą. W ubiegłym tygodniu wrócił i zatrudnił jeszcze pięciu, ale oni wyjechali dopiero wczoraj, kiedy usłyszeli, że poszukują ich Rosjanie. Nie wie zbyt wiele o pierwszej piątce. Nie siedzieli tu długo. Drugą grupę poznał lepiej. Wszyscy byli świetnymi strzelcami wyborowymi. Dwa razy w tygodniu wyjeżdżali na wieś i ćwiczyli. Raz pojechał za nimi popatrzeć.

— Z jakiej broni strzelali?

— Mówi, że mieli karabiny i kilka pistoletów.

— Jakiego typu?

— On mówi, że już czas, żeby pan albo wyszedł, albo zaczął płacić za informacje.

Chamberlain skinął na Kreegana, który wyciągnął gruby zwitek banknotów i odwinął z niego sto franków. Legionista wepchnął je do kieszeni spodni i odpowiedział na pytanie.

— Pistolety kalibru 9 mm i karabinki automatyczne Uzi — przetłumaczył Gallitan. Po chwili Francuz odezwał się ponownie: — Chce więcej pieniędzy.

— Daj mu — warknął Chamberlain. Poszcęściło mu się z tym facetem i chciał wydobyć z niego wszystko, co tamten wiedział. Kreegan podał parę banknotów stufrankowych.

Gallitan tłumaczył:

— Pojechali do Lyonu, żeby dostać więcej broni.

— Dokąd?

Weteran nie wiedział. Obliznął wargi, patrząc na zwitek Kreegana,

Chamberlain widział, że żołnierz bardzo chciałby znać adres arsenału w Lyonie.

— O jaki rodzaj broni chodzi?

Francuz odpowiedział z ożywieniem. Kiedy skończył, wyciągnął rękę po pieniądze. Kreegan dał mu następne sto franków, podczas gdy Gallitan próbował przetłumaczyć. Niepewność sprawiła, że jego rodzimy akcent stał się mocniejszy.

— Firmy Smith and Wesson — powiedział, zniekształcając „Smith” długim „iii”. — Pistolet maszynowy?

— Zgadza się.

— M76. Powiedział, że dziewięćmilimetrowy.

Chamberlain uniósł brwi. Piękna broń. Ale dlaczego dopiero teraz wchodzili do akcji? Hammonda uprowadzono cztery dni temu. Pierwsza ekipa dokonała porwania. Czy druga miała stanowić ochronę licytacji?

— Czy Grandzau był sam, kiedy przyjechał za pierwszym razem?

— Był w towarzystwie jakiegoś Maltańczyka — przetłumaczył Gallitan. — Za drugim razem też.

— Dokąd wybierali się najemnicy po zdobyciu karabinów w Lyonie? — zapytał, bez wielkiej nadziei, że uzyska odpowiedź. Ku jego zdumieniu, weteran powiedział:

— Brest.

— Brest — powtórzył Gallitan.

— To zrozumiałem — zachnął się Chamberlain. Brest leży na północnozachodnim skraju Francji, w miejscu, gdzie Kanał La Manche łączy się z Atlantykiem. — Dlaczego zdradzili to temu facetowi?

Algierski weteran wyszczerzył zęby w uśmiechu i wyciągnął rękę po pieniądze Kreegana. Chamberlain kiwnął głową i steward odwinął jeszcze kilka dużych banknotów.

— W zeszłym tygodniu wiele razy dzwonili do Brestu. Prosilili go bez przerwy o drobne na telefon. Potem słyszał, jak robili rezerwację w hotelu.

— Jakim hotelu? — warknął Chamberlain. Gallitan powtórzył pytanie.

— Nie wie.

— Cholera!



Dlaczego Grandzau trzymał te dwie grupy oddzielnie? Czy na początku łatwiej było pracować z mniejszą grupą? Łatwiej uciec? A może sięgał po świeże rezerwy? Drugiej grupie oszczędzono napięcia towarzyszącego porwaniu. Ale dlaczego Brest? Potrzebne mu były zapisy rozmów międzymiastowych z Brestem, żeby mógł odnaleźć hotel. Musiało to być jednak zrobione dyskretnie, w tajemnicy przed francuską policją, Interpolem, CIA i przekłętymi Rosjanami. Prawdopodobnie Comptel ma tu dobre układy z ludźmi od telefonów. Zrzuci to na głowę Helen Thorp.

Było coś jeszcze. Weteran patrzył na niego, oczekując następnego pytania, by jeszcze raz sięgnąć do zasobów Kreegana.

— Niech pan go spyta, kim była para tych ludzi, którzy mi przyłożyli i zabili Rosjan.

Wyraz gotowości raptownie zniknął z twarzy żołnierza. Powiedział, że nic o nich nie wie. Chamberlain nie wierzył mu, ale nagłe przerażenie w oczach mężczyzny upewniło go, że ani pieniędzmi, ani groźbami nie wydobędzie się z niego prawdy. Może nie wiedział. Może był to po prostu zdrowy strach przed mężczyzną i kobietą, którzy mogli zaszlachtować dwóch osiłków z KGB i rozciągnąć na ziemi byłego żołnierza z amerykańskich FOK w czasie krótszym, niż potrzeba, żeby o tym pomyśleć. Wbrew sobie, Chamberlain uśmiechnął się do legionisty. Banknoty olbrzymich nominalów zaścielały kolana mężczyzny i wystawały mu z kieszeni jak ozdobna sałata.

— Lepiej idź do banku, staruszk, zanim ktoś cię obrabuje.

Gallitan zaczął gorliwie tłumaczyć, ale Chamberlain był już za drzwiami i gestem ręki wzywał jego i Kreegana, żeby poszli za nim. Nie miał wątpliwości, że wykorzystał Marsylię do cna, a do tej pory w willi Comptelu powinny się już znaleźć odpowiedzi na pytania, które zadał ubiegłej nocy.

Stos wydruków z dalekopisu piętrzył się na wyłożonej jasnymi kafelkami podłodze sypialni, z okien której rozciągał się widok na basen i morze. CIA, centrum informacyjne Comptelu i Helen Thorp, wszyscy przekazali swoje informacje.

Zadzwoił do CIA i uciął sobie długą pogawędkę z Arnie Fastem, którego informacje były świeższe niż inspektora Farquhara.

Zarówno Streicher jak i Nagumo znowu byli w akcji. Co gorsza, to samo dotyczyło Rosjan. Rozmawiając, Chamberlain czytał odpowiedzi na pytania, które postawił Comptelowi i Agencji. Skończywszy z Arnie'm, przeczytał ostatnią stronę, pochodzącą od Helen Thorp.

Duża czcionka dalekopisu zawsze wyolbrzymiała ważność informacji, ale komunikat Helen Thorp miał rangę trzyliniowego nagłówka na siedem kolumn z nowojorskiego „Timesa”. Zaczynał się: CO PAN, DO DIABŁA, SOBIE MYŚLI... i oskarżał Chamberlaina o zniszczenie porozumienia między firmami mającymi zgromadzić okup, a kończył się słowami: A COMPTEL NIGDY NIE UPOWAŻNIAŁ, ANI NIGDY NIE UPOWAŻNI SWOICH PRACOWNIKÓW DO MOKREJ ROBOTY.

Chamberlain odwrócił się do klawiatury i wystukał: NIE ZROBIŁEM TEGO.

Minutę później podniósł słuchawkę dzwoniącego telefonu.

- Oczywiście, mam nadzieję, że to prawda — rzekła Helen Thorp.
- Marsylscy gliniarze wierzą mi.
- Marsylscy gliniarze wierzą samolotom mirage. Gdzie jest Hammond?
- W odległości krótkiej podróży łodzią z Brestu.
- Co takiego? Brest, Francja? Jest pan pewien?
- Raczej tak.
- Skąd pan wie?
- Nie mam pewności, ale wszystko zdaje się wskazywać na Brest. CIA mówi, że tam kierują się Rosjanie. Najemnicy, którzy wymknęli mi się tutaj, w Marsylii, udawali się do Brestu — z przesiadką w Lyonie na zabranie karabinów. W tym samym czasie Comptel informuje, że firma, której Grandzau używał kiedyś jako pośrednika, nabyła cały stos urządzeń mikrofalowych od naszej filii we Francji.

— A co te diabelskie urządzenia mikrofalowe mają wspólnego z porwaniem Charlesa Hammonda? — dopytywała się Helen Thorp.

— Niech pani posłucha, *madame*, byłem na nogach przez całą noc i jacyś ludzie bili mnie kłopotliwie często, może więc po prostu pozwoli mi pani skończyć?

Ku zaskoczeniu Chamberlaina, była pełna skruchy.

— Przepraszam, Pete. Jestem bardzo spięta, siedząc tutaj i nie mogąc kontrolować tego, co się dzieje. Proszę robić swoje.

— Nie wiem, do czego będą mi służyć urządzenia mikrofalowe, ale są mu potrzebne w Breście. Tam właśnie kazał je przesłać frachtem!

— Och!

— W dodatku, pewien przyjaciel z Londynu...

— Inspektor Farquhar?

— Tak... mówi, że Hans Streicher i Kaga Nagumo ostatniej nocy zjedli obiad w Savoyu. Razem. Potem Streicher poleciał do Essen, a Nagumo pojechał do Rzymu. Zadzwoń mi więc do znajomych mojego najlepszego przyjaciela w Langley, którzy poinformowali mnie, że Hans Streicher opuścił Essen dziś późnym rankiem, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Nagumo wyjechał z Rzymu.

— Rozumie pan, co to znaczy? — zapytała ostro.

— Może złapali jakiś trop.

— Może. Ale nie dzielą się tym. Wyłamują się z konsorcjum z powodu tego fiaska w Brukseli. Skończy się na tym, że będziemy próbowali przebić jeden drugiego, a Rosjanie odejdą z Hammondem. Cholera, Pete! Jak pan myśli, dokąd oni jadą? Do Brestu?

— Być może. Powiedziano mi, że Streicher jest w samolocie czarterowym. Nie zgłosił lotu do Brestu, ale udaje się mniej więcej w tym kierunku. Nagumo leci do Paryża. Nie zrobił rezerwacji na lot do Brestu, przynajmniej nie na swoje nazwisko, ale jest tam pociąg, niemal tak samo szybki.

— Hmm! Co pan zatem, do diabła, robi w Marsylii?

— Czekam, aż naprawią podwozie w samolocie.

— Co takiego?

— Proszę się nie denerwować. Wszystko nie może za każdym razem działać bezbłędnie. Naprawiają to i ciągle jeszcze mam szansę dotrzeć do Brestu szybciej niż lotem rejsowym.

— Ależ to wariactwo — krzyknęła. — Płacimy im za to, co robią!

— Wszystko nie może za każdym razem działać bezbłędnie — powtórzył uspokajająco Chamberlain, kiedy Kreegan z żalonym spojrzeniem wręczył mu wiadomość z lotniska. Helen Thorp głośno dała wyraz

swojej wściekłości, a Kreegan uderzył pięścią w złożoną dłoń, jak środkowy atakujący w krykiecie, który przed kamerami telewizji stracił łatwą piłkę.

— Do widzenia — odezwał się Chamberlain. — Wyjeżdżam na lotnisko. Jeśli nie naprawią tej maszyny, kupię nową. — Zaczął odkładać słuchawkę, kiedy przypomniał sobie o hotelu. — Przy okazji, panno Thorp. Proszę o przysługę. Czy może pani dotrzeć do jakiejś grubej ryby we francuskiej sieci telefonicznej i sprawdzić rozmowy, jakie przeprowadzono w ostatnim miesiącu z tego numeru do Brestu — podał numer telefonu w pensjonacie. — Powinno być kilka rozmów z jakimś hotelem. Niech pani spróbuje jednak utrzymać to w tajemnicy. Myślę, że dzięki temu uda nam się wyprzedzić pozostałych o głowę.

— Pete — szepnęła cicho.

— Tak? — Czy chciała mu powiedzieć, żeby był ostrożny?

— Naprawdę wszystko pan spieprzył.

# Księga druga

# Rozdział czternasty

Tak, jak obawiała się tego Helen Thorp, wydarzenia wymykały się spod kontroli.

Podczas rozmowy telefonicznej Chamberlain wydawał się być zmęczony i pokonany. Bóg jeden wie, co się teraz wydarzy. Helen Thorp, oteęiała po długiej, ciężkiej nocy i potwornie wczesnej pobudce, wyszła na spacer w nadziei, że chłodne powietrze rozjaśni jej w głowie. Szła w kierunku Szóstej Avenue, z lubością otulając się swoimi ciepłymi sobolami. To wspaniałe futro z kapturem zawdzięczała Hammondowi. Pośrednio. Tak samo, jak zawdzięczała mu tyle innych rzeczy w swoim życiu.

Doszła do wniosku, że Hammond musiał wyglądać podobnie jak Pete Chamberlain, kiedy sam miał trzydzieści lat — atletycznie zbudowany, o szerokich ramionach, niezbyt wysoki. Solidna klatka piersiowa i lekki krok. Wzruszyła ramionami, odpędzając tę myśl. Niektóre cechy innych mężczyzn, współpracowników, nawet obcych przechodniów, często przypominały jej Hammonda. Ponieważ Charles Hammond nie jest człowiekiem, którego łatwo wyrzucić z myśli. Nic to jednak nie znaczyło. Różnice wkrótce stawały się bardziej widoczne niż podobieństwa.

Charles Hammond wpadał do pokoju, jakby chciał pożreć przebywających w nim ludzi. Chamberlain wchodził ostrożnie, szybko przeszukując pomieszczenie czujnymi oczami, jak średniej wielkości drapieżca, gotowy do walki o życie, jeśli ucieczka stanie się niemożliwa.

Pierwszy raz oglądała oszałamiający spektakl „ubijania interesów” — jak nazywał to sam Charles Hammond — pięć lat temu przy stole konferencyjnym w Pałacu Elizejskim. Rząd francuski był poręczycielem przy podpisaniu umowy na sieć łączności krótkofalowej w Mozambiku. Comptel wygrał przetarg na zbudowanie stacji wzmacniających. Alfred zatrudnił Hammonda, by pośredniczył w negocjacjach z rządem Mozambiku. Szef wysłał tam Helen jako swojego reprezentanta. To było jej pierwsze poważne zadanie dla Alfreda. Zadecydowało o jej karierze.

Widok Hammonda oszołomił ją. Starszy od Helen o prawie dwadzieścia lat, promieniował seksualną energią. Miał orzechowe oczy, rude włosy i intrygujące usta, nieco ukryte pod intensywnie rudym szpeci-niastym wąsem. Wpadł do sali, a przy stole rokowań zademonstrował swój błyskotliwy umysł, który stał się już legendarny. Pirat, myślała wtedy, bystry, głodny, zmysłowy pirat — całkowicie olśniewający, tak pewny siebie, że jego zadufanie było pełne erotyzmu.

Prowadzenie tego interesu było odpowiedzialną pracą, kontrolowaną przez Francuzów, którzy rozszerzali swoje wpływy we wschodniej i południowej Afryce. Ale Hammond pięknie sobie z tym radził, zbierając jednocześnie dodatkowe pomniejszych kontrakty dla paryskiego oddziału Comptelu. Podczas zawitych i delikatnie prowadzonych negocjacji jego błyszczące, orzechowe oczy niekiedy zwracały się do niej i kobieta szybko zorientowała się, że Hammond zdobywa dodatkowe punkty na Francuzach jedynie po to, żeby sprawić jej przyjemność.

Zaprosił ją na obiad. Miała wtedy dwadzieścia osiem lat i po raz pierwszy w swoim życiu bała się mężczyzny. Hammond był zbyt potężny, żeby umiała sobie z nim radzić. Zburzyłyby bariery, które wzniosła pomiędzy swoim życiem zawodowym i osobistym. Był dość potężny, by ją pochłonąć, wziąć za rękę i wciągnąć w wir namiętności. Miała co do tego tę samą pewność, z jaką wiedziała, że nie może sobie pozwolić na to, by dać się pochłonąć komukolwiek. Miała już swój cel — zostać

naczelnym dyrektorem Comptelu, zanim ukończy trzydzieści pięć lat — i żeby go osiągnąć, kontrolowała swoje emocje, przyjmując przyjemności w takich porcjach, z jakimi mogła sobie poradzić.

Odrzuciła zaproszenie i kiedy tylko otrzymała umowy Comptelu, wsiadła na pokład concorda i odleciała do Nowego Jorku. „Zaloty” — przypominała sobie z uśmiechem — to zbyt łagodne słowo na określenie pościgu Hammonda. Tropił ją jak oddział wojska, ruchliwy, wszechobecny, egzotyczny i wytrwały. Wkrótce po negocjacjach w Paryżu Alfred przechwycił całą partię nowych mikroprocesorów krzemowych, których bardzo potrzebowała Mishuma Inc. Alfred wysłał ją do Tokio, żeby zorientowała się, jak bardzo są im niezbędne. Podczas trwania negocjacji biedny pan Nagumo ulokował ją w pięknym domu z ogrodem w centrum Tokio. Zatelefonował Hammond, ponownie zapraszając ją na obiad. Znowu odmówiła, chociaż wspomnienia o nim przejmowały jej umysł i ciało dreszczem. Złapała go, kiedy wspinał się przez mur ogrodu z jedwabną torbą pełną orchidei. I pozwoliła mu zostać na herbatę.

Wkrótce potem Comptel pracował nad trójstronnym porozumieniem z Decca i rządem indyjskim w sprawie budowy naziemnej stacji dla satelitów w północnej części kraju. Ludzie z Decca mieli kontakty w Indiach, a Comptel dysponował nowym, łatwym w obsłudze odbiornikiem, ale z jakichś przyczyn ustalanie szczegółów szło opornie. Alfred wysłał ją do Londynu, żeby zorientowała się w sytuacji. Wsiadła do tajemniczo pustego przedziału pierwszej klasy w samolocie Pan Am, a kiedy wchodziła po schodach do położonej na górnym pokładzie jadalni, zastała tam Hammonda, czekającego samotnie przy jedynym stoliku, nakrytym dla dwojga.

Wstał, olśniewający, w białej muszce.

— Szampana?  
— Nie lubię, kiedy chwyta się mnie w pułapkę, jak teraz.  
— Nie zostanę tu bez pani pozwolenia — nacisnął przycisk wzywający obsługę. Pojawił się uśmiechnięty steward ze spadochronem i pomógł Hammondowi go włożyć.

— Proszę zaczekać — roześmiała się Helen. — Gdzie są wszyscy inni pasażerowie?

— W samolocie rejsowym. Ten wyczarterowałem.  
— Cały samolot? Business i economy class także?



Hammond wzruszył ramionami.

— Mogliśmy mieć ochotę na przechadzkę po obiedzie.

— Linie Pan Am brały udział w spisku, by ściągnąć mnie na pokład?

— Są mi winni parę przysług. Proszę posłuchać, zanim zjemy. Chodzi o pani interesy z Decca. Są wściekli. Nie przywykli ustępować komukolwiek pierwszego miejsca w dziedzinie najnowszej techniki i z pewnością nie chcą znaleźć się w trudnej sytuacji wobec swoich indyjskich klientów. Proszę więc zrobić coś dla ratowania twarzy i może pani wracać do domu. Szampana?

Przy posiłku, podczas nocy spędzonej nad Atlantykiem, był podniecający i czarujący, jak żaden mężczyzna, którego do tej pory spotkała. Zdawał się być oczarowany nią w takim samym stopniu, w jakim ona znalazła się pod jego urokiem. Przez kilka godzin rozmawiali przy stole, przespacerowali się po pustym samolocie, obejrzeni wschód słońca z kabiny pilotów i wrócili do jadalni na śniadanie. Wydawało się, że zna jej najskrytsze myśli i chociaż dotknął ją tylko po to, by uścisnąć dłoń, zdawał się znać każde pragnienie jej ciała. Kiedy znalazła się z powrotem w Nowym Jorku, osiągnąwszy porozumienie z Decca, czekał na nią prezent — kryształowe podróżne lustro w złotej oprawie, w pudełku z różanego drewna. „Widzisz, jakie mam szczęście?” — było napisane na bileciku. „Zobacz, co mogę oglądać”.

Potem było futro. Zgodziła się na lunch w tygodniu, nie z powodu lustra, ale ze względu na piękny bilecik. Zabrał ją do Barbetta i zdarzyło się wszystko, czego się obawiała.

Próbowała wyjaśnić, że wie, iż ich związek ją pochłonie, ale wyszło to niezgrabnie. Słyszała samą siebie, jak mówi to samo, co powiedziałyby jakakolwiek kobieta, próbująca zapewnić dowolnego mężczyznę, że ona też ma swoją karierę, tak samo ważną i błyskotliwą jak jego.

— Muszę poświęcić się temu bez reszty — zakończyła bez przekonania, odległa o setki mil od tego, co miała na myśli.

— Stać cię na więcej — uśmiechnął się Hammond, gładząc jej dłoń, czym przyprawił ją o dreszcz i zapragnęła, by jego ręka spoczywała na jej piersi, z brodawką sutkową pomiędzy palcami, i by jej usta znalazły się na jego uśmiechniętych wargach. — Kiedy byłem w pani wieku, robiłem daleko mniejsze wrażenie. Jest pani wystarczająco silna, by robić

jedno i drugie — mieć wszystko. Może pani mieć Comptel i być jednocześnie szczęśliwa ze mną.

— Nie z panem, nie mogłabym.

Złożył na jej dłoni gorący pocałunek i tylko spotkanie z asystentem sekretarza stanu, czego nie mogła odwołać, utwierdziło jej determinację, z jaką broniła własną karierę. Tej nocy Revillon dostarczył futro z norweskich srebrnych lisów. Odesłała je, wycofała z giełdy, podczas hossy, dwuletnie zyski i sama kupiła sobie sobole. Jej zwycięstwo było bardziej symboliczne niż rzeczywiste. Wiedziała bowiem, że dla Hammonda nie jest to porażka, a jedynie opóźnienie. Będzie spiskował, by być zawsze w pobliżu i na tysiąc sposobów przyprawiać ją o dreszcze.

Helen zadrżała, przypominając sobie rozkosz jego ostatecznego „zwycięstwa”. Jej „porażki”.

Zderzyli się głowami wsiadając do limuzyny. Właściwie rozcięła jego cienką, celtycką skórę i nachyliła się, by zetrzeć palcem czerwoną plamkę. Pocałował ją w szyję. Oszołomiona jego bliskością i zapachem, wzięła twarz mężczyzny w swoje dłonie i przycisnęła usta do jego warg. Polecieli na jakąś wyspę. Prawdopodobnie gdzieś na Karaibach, bo nie było to daleko. Naprawdę nie mogła sobie przypomnieć tych nieistotnych szczegółów. Wynajął łódź. On był jak satyr, a ona była więcej niż gotowa mu się oddać i właściwie — jak pamięta — jej ciało drżało na samą myśl o tym. Owładnęła nim tak samo, jak on opętał ją.

— Wyjdiesz za mnie? — zapytał bez ogródek, kiedy w końcu dotarli do Nowego Jorku, spleceni jak wodorosty, które przyplływ wyrzuca na plażę. Ona jednak powiedziała z namysłem coś, co Hammond zdawał się rozumieć:

— Daj mi pięć lat.

„Kto by przypuszczał — pomyślała smutnie — że pod koniec tych pięciu lat Charles Hammond zostanie porwany, a Helen Thorp będzie jednym z wielu oferentów, zaproszonych, by licytować się o jego życie”.

Po ciągłych opóźnieniach w naprawie odrzutowca Comptelu, Chamberlain poleciał rejsowym lotem z Marsylii do Brestu. Kreegan był razem z nim, dzieląc rozczarowanie, gdy okazało się, że najemnicy opuścili

już hotel w Breście. Steward zajął się wynajęciem samochodu, a Chamberlain skontaktował się z Comptelem i placówką Agencji w Breście.

Comptel przekazał wiadomość od Helen Thorp. Jakąkolwiek to miało wartość, chciała, żeby wiedział, że René Rice pojawił się z wkładem pięciu milionów dolarów do wspólnego funduszu na okup. Na zakończenie zażartowała:

— Może pan także powinien zająć się giełdą rolną. To z pewnością bardziej opłacalne od budownictwa. — Żałował, że podczas długiej nocy, kiedy z gabinetu Cowana prowadzili poszukiwania Hammonda, wspominał jej o propozycji brata.

CIA okazała się bardziej użyteczna i mniej sarkastyczna. Na dobry początek powiedzieli Chamberlainowi, że Hammond w ostatnim roku odbył pięć potajemnych podróży do Brazylii i przynajmniej dwa razy konferował długo z siłami bezpieczeństwa Południowej Afryki. Kiedy szef placówki w Breście przekazywał mu te informacje, nadeszła wiadomość od jednego z ich agentów operacyjnych. Kaga Nagumo przyjechał z Paryża i tego ranka spotkał się z Hansem Streicherem w rybackiej wiosce u wybrzeży Kanalu.

Kreegan wynajął Citroëna. Kiedy wyjeżdżali z miasta, Chamberlain doszedł do wniosku, że umie prowadzić dużo lepiej i przejął kierownicę. Kreegan, któremu to ulżyło, rozwinął mapy i pilotował Chamberlaina. Kierowali się na północ w stronę wybrzeża. Amerykanin jechał coraz szybciej i szybciej, w miarę, jak nabierał wprawy w pokonywaniu licznych zakrętów i serpentyn.

— Powinniśmy zaraz ją zobaczyć — stwierdził Kreegan, stukając palcem w mapę. Wjechali na szczyt wzniesienia. Przed sobą mieli szarość Kanalu, słabo widocznego zza zasłony nisko wiszących chmur, i pobliską zatokę, znaczoną światłami francuskiej portowej wioski.

Budynki były z kamienia, kryte dachówką. Stały stłoczone wokół wygiętego brzegu Kanalu — miniaturowej sztucznej przystani, utworzonej przez dwa kamienne pirsy, które wrzynały się w morze, zamykając naturalny basen, chroniony masywną stalową śluzą przyływową. Wewnątrz mogły się pomieścić dwa lub trzy małe przybrzeżne frachtowce.

Przystań robiła wrażenie pustej, kiedy jednak toczyli się w dół zbocza, Chamberlain zauważył, że wrota pływowe są otwarte.

Wcisnął pedał gazu do dechy i citroën popędził ze wzgórza na dół. Wjechał między kręte uliczki, przeganiając klaksonem stare samochody i zablocone wiejskie ciężarówki. Okrążył niski, kamienny magazyn, który oddzielał nabrzeże portu od ulicy. Obok przysadzistego dźwigu czekał, zacumowany, smukły, drewniany angielski kuter torpedowy. Szary jak chmury i morze, wyglądał jak z czasów drugiej wojny światowej i przypominał amerykańską PT. Miło było na niego popatrzeć, w przeciwieństwie do amfibii, spoczywającej obok na specjalnie przystosowanej ciężarówce.

— Jezu Chryste! — jęknął Kreegan — to Mowag Piranha 6x6.

Chamberlain wysiadł z samochodu, obrzucając spojrzeniem łoża przygotowane na przednim pokładzie kutra, w którym zamierzano umocować piranę, i lufy jej wieżyczki — sześć osiemdziesięcimilimetrowych wyrzutni rakietowych typu oerlikon.

— Zaczekaj tutaj — nakazał Kreeganowi i ruszył pospiesznie, wymijając francuskich dokerów i rybaków, obserwujących z rozbawieniem gorączkowe przygotowania, toczące się wokół kutra torpedowego.

Hans Streicher, którego masywne cielsko obleczone było w buchający parą narciarski sweter, głośno instruował zgraję krzepkich młodych Niemców. Niemcy mocowali się z płataniną łańcuchów, zwisających z zardzewiałego, poruszanego parą dźwigu, który sapał i piszczał zło-wieszczo. Mały Nagumo, schludny w swoim niebieskim garniturze, chodził krok w krok za handlarzem bronią jak robot, a jego kroki ubezpieczało z pół tuzina japońskich goryli.

Niemłody Francuz w niebieskim kombinezonie stał oparty o tablicę kontrolną dźwigu, mrużąc jedno oko przed dymem tłącego się papierosa, przyklejonego do warg. Na jego twarzy gościło pełne niedowierzania oczekiwanie. Co pewien czas kiwał głową, akceptując uwagi, wykrzykiwane przez przyglądających się dokerów, i uśmiechał się szyderczo, kiedy Niemcy rzucali mu groźne spojrzenia.

— *Dumkopf!* — Streicher wyrzucił z siebie potok wyzwisk, kiedy jednak Chamberlain podszedł bliżej, stwierdził, że Niemiec stara się ukryć uśmiech zadowolenia. Pomimo chaosu na nabrzeżu, Streicher sprawiał wrażenie bardzo szczęśliwego. Dostrzegł Amerykanina, podobnie jak Nagumo. Japończyk zmarszczył brwi i powiedział coś do swoich goryli.

— *Bonjour*, przyjacielu — huknął Streicher. — Co za poranek. —

Szerokim gestem masywnej ręki zdawał się obejmować w posiadanie wschodzące słońce, błękitniejące niebo, szary Kanał i zielone wzgórza Francji.

— Dzień dobry — odparł Chamberlain. — Dzień dobry, panie Nagumo..

Streicher obdarzył uśmiechem swoją amfibię.

— Rozumie pan moją ideę?

— Chyba łapię ogólny sens.

Streicher energicznie skinął głową.

— Tę łódź przerobiono na jacht motorowy. Usunięto uzbrojenie i wymieniono silniki rolls roysa na mniejsze, dieslowskie, żeby zaoszczędzić paliwa — uśmiechnął się znowu, spoglądając na pojazd spoczywający na transporterze. — Ale to znowu doda jej zębów.

— Skąd, u licha, wytrzasnął pan tę piranę?

Dobry humor Streichera przybladł.

— Mam ich czterysta. Rdzewieją w porcie w Rotterdamie, gdzie utknęły w oczekiwaniu na to, kiedy Charles Hammond będzie wolny, żeby zakończyć negocjacje z szejkiem z Emiratów, który obiecał je kupić.

— Gdzie jest Hammond?

— Och, tak, ależ to jest tajemnica — uśmiechnął się Streicher.

— Zgodziliśmy się pracować razem, panie Streicher, panie Nagumo.

Nagumo wyprostował się sztywno.

— Tak było zanim dostał pan amoku w Brukseli, panie Chamberlain. Musieliśmy zakwestionować pańską poczytalność.

Chamberlain poczuł się znowu jak w szkole podstawowej, kiedy wyrzucono go z przyjęcia urodzinowego, bo bawił się za ostro.

— Moją poczytalność? Wasza współczesna Oś Berlin-Tokio zamierza wsadzić tę amfibię na łódź i gdzieś sobie postrzelać? Widząc to, Grandzau wpadnie w furję, a Hammond skończy jako trup.

— Nie zobaczy, jak nadpływamy — odparł Nagumo, ruchem głowy wskazując niemieckich żołnierzy na pokładzie kutra z pudłami oznaczonymi napisem: „Ostrożnie”. — To zagłuszacze, które zablokują ich radar.

— Grandzau jest na jakimś statku?

Streicher odezwał się:

— Moi ludzie trafili na ślad zakupu dużej partii min przeciwpiechotnych dla frachtowca wyczarterowanego przez fikcyjną francuską korporację, za pośrednictwem której Grandzau kupował kiedyś wyposażenie i wynajmował domy na kryjówki. Stary statek, który musi trzymać się blisko brzegu. Pan Nagumo dowiedział się, że pewien japoński ekstremista sprzedał mu potężne urządzenia blokujące radary, najwyraźniej po to, żeby uczynić frachtowiec niewykrywalnym dla sprzętu elektronicznego. Japoński rząd dostarczył urządzeń o przeciwnym działaniu, które pomogą się nam przedostać.

— Co skłania pana do hipotezy, że on jest gdzieś w pobliżu?

— Tak uważa pańska CIA.

Chamberlain poczuł, jak traci animusz. Arnie nie powiedział mu o tym statku. Co tu się, do diabła, dzieje?

— Po co mu miny? — zapytał.

— Ostateczna obrona — odparł wesoło Streicher. — Zaminuje statek.

— Ale Hammond...

— Grandzau nie wysadzi ani siebie, ani Hammonda. Charles Hammond jest jego przepustką zapewniającą bezpieczeństwo.

— On przez pana zginie.

— Za bardzo się pan martwi.

— Cholernie słusznie się martwię.

— Już na to za późno, panie Chamberlain — rzekł Nagumo. — Miał pan swoją szansę i stracił ją pan.

— Płynę z wami.

— Nie. — Nagumo skinął głową i dwóch ludzi z jego ochrony przysunęło się bliżej Chamberlaina. — Zostanie pan z tymi dżentelmenami, dopóki pan Streicher i ja nie dostaniemy Hammonda.

Chamberlain przyjrzał się ich sylwetkom, rękom i muskularnym torsom. Domyślał się, że prawdopodobnie mógłby sobie z nimi poradzić, kosztem tygodnia spędzonego w szpitalu.

— Jeśli nawet pokonacie jakoś Grandzaua, nie zabijając przy tym Hammonda, odbiorą go wam i tak Rosjanie.

— Nie, jeśli dostaniemy się tam pierwsi.

— Myślałem, że CIA także wie wszystko.

— Nie wiedzą tyle, co my — powiedział Streicher, odwracając się z powrotem w stronę żurawia.

Nagumo przynaglił Japończyków. Strażnicy Chamberlaina dali mu do zrozumienia, że powinien wrócić do samochodu. Pozostali zdjęli swoje niebieskie marynarki i krawaty, zawinęli rękawy koszul i zajęli się splątanymi łańcuchami. Streicher rozkazał swoim ludziom:

— Wnieście wszystko na pokład.

Zaczęli ładować żywność, wodę i amunicję, podczas gdy ludzie Nagumo przeciągali łańcuchy pod piranha. Wielka ciężarówka z windą hydrauliczną wjechała z łoskotem na keję. Streicher zapłacił plikiem banknotów kierowcy, który wyładował na nabrzeżu rząd trzydziestogalonowych bębnow z paliwem dla silników diesla. Ludzie Streichera, przeklinając wagę beczek, przetoczyli je po trapie na pokład.

Krzyki na nabrzeżu i sapnięcia parowego dźwigu ściągnęły ich na pokład. Japończycy owinęli piranhę łańcuchami i operator dźwigu zaryzykował właśnie próbne podciągnięcie. Żołnierze Streichera i francuscy gapie przyglądali się w oczekiwaniu. Nagumo odsunął się od przygotowanego łożyska, lecz Streicher wdrapał się na nie i ponownie zaczął wykrzykiwać do operatora żurawia polecenia i wskazówki, poparte zamaszystymi, entuzjastycznymi gestami. Liny podnośnika naprężyły się i powoli osiem kół uzbrojonego transportera uniosło się z platformy, aż piranha zawisła w powietrzu z kołami zwieszającymi się jak mysie ogonki.

Zdaniem Nagumo, pojazd, który wyglądał tak, jakby ważył dziewięć lub dziesięć ton, przechylał się niebezpiecznie. Jeden z członków jego ochrony zdawał się podzielać ten pogląd; brwi młodego człowieka zmarszczyły się wyrażając troskę. Jednakże pozostali strażnicy uśmiechali się szeroko, dumni z pracy przy skrzypiących łańcuchach, a dźwigowy zachowywał kamienny spokój. Złośliwie ignorując uwagi wykrzykiwane przez Streichera, podniósł piranhę kilka stóp wyżej i powoli przesunął ją znad ciężarówki, nad nabrzeżem i paskiem wody szerokości stopy, pomiędzy portem i kutrem motorowym. Następnie zawiesił ją nad Streicherem stojącym na łożysku dla transportera.

Francuz po raz pierwszy wyjął papierosa z ust. Potem wystawił głowę przez otwarte okno kabiny i syknął tak głośno, że słycać go było na całym nabrzeżu:

— *Raus!*

Przesunął dźwignię i piranha opadła na pokład łodzi jak walący się zamek. Uśmiechnięty szeroko Streicher wygramolił się z kolebki i złożył ręce, kiedy jego uzbrojenie wylądowało w samym środku, z kołami wpasowanymi między czekające kliny. Łódź jeszcze bardziej pogrążyła się w wodzie.

— Jak niemowlę na kolanach mamusi — zawołał do Francuza. Dźwigowy zapalił nowego papierosa i rozkoszował się nim, kiedy Japończycy luzowali łańcuchy i wyciągali je spod pojazdu. Francuz zabezpieczył dźwig, zamknął kocioł parowy i zszedł na dół. Nim skończyli, przyplływ podniósł się, zakrywając skały u ujścia portu. Streicher obrzucił przeciągłym spojrzeniem piranhę i smukły, głęboko zanurzony kuter, a potem kazał zakryć transporter plandeką.

— Moglibyśmy zaalarmować francuską marynarkę wojenną — krzyknął żartobliwie. Podszedł do Chamberlaina i ze współczującym grymasem poklepał go po ramieniu. — Nie miej takiej smutnej miny, przyjacielu. Na świecie toczy się wiele bitew. Znajdziesz sobie inną.

Potem wskoczył na łódź, wdrapał się na pomost nawigacyjny, sprawdził przyrządy, upewnił się, że dwie sprzężone dźwignie zmiany biegów znajdują się w położeniu neutralnym i uruchomił przełącznik lewego startera. Na rufie słuchać było dudnienie spalin. Streicher wcisnął rozrusznik silnika z prawej burty i drugi silnik zadygotał, i zapalił. Chamberlain słuchał, jak rozgrzewają się przy ośmiuset obrotach na minutę. Niemiec i Japończyk byli głupcami; przeciążony i niedostatecznie uzbrojony kuter przy dużym szczęściu zrobi dwanaście węzłów. Streicher krzyknął. Jego ludzie zgromadzili się na pokładzie, dudniąc o pokład spadochroniarskimi butami. Nagumo także wszedł na kuter i przyłączył się do Niemca na mostku. Jeszcze jeden rozkaz i odcumowali.

— Twój obrzyn jest pod siedzeniem — powiedział Chamberlain Kreeganowi. — Pokaż go tym pajacom. Zamierzam się dostać na kuter.

— Idę z panem — odrzekł Kreegan, podnosząc broń z podłogi i wymachując nią przed nosem najbliższemu strażnikowi.

— Nie. Zostań. Sprowadź jakieś wsparcie lotnicze. Sprawdź, w jakim kierunku popłyniemy. — Zaczął biec po kamieniach. Brama portu była



szeroko otwarta, wpuszczając do basenu wody niskiego przypływu. Streicher obejrzał się, zobaczył nadbiegającego Chamberlaina i sięgnął po dźwignię przekładni.

Od kutra, powoli oddalającego się od nabrzeża, dzieliło Amerykanina jakieś trzydzieści stóp, kiedy Streicher dał całą naprzód. Kuter torpedowy wybuchnął ścianą ognia, przekręcił się na bok i zatonął jak kamień.

# Rozdział piętnasty

— Powinnam cię za to zabić — warknęła lady Janet. Jej ręka spoczywała głęboko w kieszeni płaszcza przeciwdeszczowego.

Henri Trefle obdarzył ją kosym spojrzeniem.

— Nie, nie powinnaś. Potrzebujesz mnie.

— Potrzebuję cię tutaj, ty sukinsynu, a gdzie ty, do diabła, byłeś? — Wskazała kciukiem obskurny hotel, oddzielony szerokością ulicy od baru, w którym popijał Trefle. Chłód od morza wypełniał nisko sklepioną salę. Był późny ranek. Znajdowali się w Breście.

— Czy na tym polega twoje poczucie humoru?

Trefle wzruszył ramionami.

— Słyszałem, jak mówiłaś kierownikowi hotelu, że będziesz się z nim pieprzyć, jeśli zdradzi, dokąd pojechali ludzie Grandzaua.

— Zakładałam, że będziesz miał dość zdrowego rozsądku, by wyciągnąć mnie stamtąd, kiedy zdobędziemy już informacje.

— Zrezygnowałem z prób odgadywania twoich gustów — z niewinnym uśmiechem zareplikował Trefle. — Jaki był?

Czerwona plamka gniewu pojawiła się na każdym z jej opalonych policzków.

— Musiałam złamać mu rękę. — Bluzka Janet była mokra w miejscu, gdzie ten świntuch ślinił się na jej piersi. Zerwał kilka guzików i zostawił ślady na skórze. Lady Janet schowaną w kieszeni dłonią wyczuwała pistolet i wściekłość podszeptowała jej, by zastrzelić Trefle'a,

ale on miał rację. Bardzo go teraz potrzebowała. Wstrzykiwała sobie morfinę, żeby złagodzić ból, i amfetaminę, żeby zachować przytomność. Ale teraz narkotyki doprowadzały ją do szaleństwa.

— Co ci powiedział?

— Ostatniej nocy taksówka zabrała ich na wybrzeże i wysiedli przy wiejskim zajezdzie.

Trefle odstawił szklanę.

— Jedźmy.

Wyszła za nim do samochodu. Prowadziła, a Trefle drzemał, dopóki nie wyjechali z Brestu kierując się na zachód. Kiedy się obudził, dodała:

— Kierownik powiedział mi, że przed nami było tu dwóch Amerykanów. Także szukali ludzi Grandzaua.

— CIA — mruknął Trefle.

— Zdaje się, że to ten facet z Belgii, którego ogłuszyłam w Marsylii.

— Czy on też zaproponował, że będzie się pieprzył z kierownikiem hotelu?

— Nie prowokuj mnie, Henri.

Zdawało się, że szklany nóż wyskoczył wprost z jego ręki. Mimo swojej sprawności, nic nie mogła zrobić. Samochód poruszał się z prędkością stu kilometrów na godzinę, a droga skręcała raz w prawo, raz w lewo. Trefle przyłożył jej nóż do gardła.

— Zrobię z tobą to, na co będę miał ochotę.

Siedziała tak sztywno, jak tylko mogła, nie zwalnając ani nie przyspieszając. Poruszała się tylko na tyle, żeby skrócić kierownicę. Była głupia, pozwalając, by zawładnął nią gniew. Teraz nic nie mogła zrobić. Co tego szaleńca obchodzi prędkość, z jaką ją dą?

— Co powinienem z tobą zrobić? — zapytał cicho, przyciskając nóż do gardła. Nagłe pieczenie było dowodem, że przeciął skórę nad krtanią.

— Zaczekaj, aż dostaniesz Hammonda — wyszeptwała.

— Już cię nie potrzebuję. Jesteśmy blisko.

— A jeśli to nieprawda? Jak zdobędziesz pieniądze?

— Jesteśmy blisko. Czuję to.

Nic nie powiedziała. Zaprzeczanie temu, w co wierzył, było niebezpieczne. To wariat. Ona sama bywała wystarczająco szalona w pewnych

momentach życia, by wiedzieć, jak niewiele dzieli ją teraz od śmierci. Trefle zrobi dokładnie to, co będzie chciał. I to nie zastanawiając się.

— Henri. Przed nami jest skrzyżowanie. Zwalniam. Muszę zatrzymać się na światłach. Zapaliło się czerwone.

— Nie zwalniaj.

Czuła cienką stróżkę krwi, ściekającą wzdłuż gardła. Ciepły strumyczek laskotał skórę. Trzymała stopę nieruchomo na pedale gazu, kiedy szybko zbliżali się do krzyżówki. Była pusta. Potem zobaczyła cysternę, zbliżającą się z prawej strony, a za nią sznur samochodów, zablokowanych przez wolno poruszający się pojazd. Henri zdawał się tego nie zauważać. Kiedy jednak dodała gazu, żeby przeciąć skrzyżowanie przed cysterną, uśmiechnął się i pokręcił głową.

— Nie. Nie przyspieszaj.

Od skrzyżowania dzieliły ich sekundy.

— Henri. Proszę.

Boleśnie przydepnął jej stopę, wciskając pedał gazu do podłogi. Samochód przeskoczył skrzyżowanie, minął o centymetry trąbiącą cysternę i pomknął wzdłuż wybrzeża.

Trefle zdjął stopę z jej nogi i odsunął nóż od gardła. Z powrotem usiadł na swoim fotelu, uśmiechając się do siebie. Kobieta stopniowo zaczęła normalnie oddychać. Chusteczką starła krew z szyi, potem przycisnęła tkaninę do rany, dopóki krwawienie nie ustało.

Po chwili mężczyzna poruszył się. Z powrotem wsunął szklany nóż do pochwy wiszącej pod pachą. Kiedy się odezwał, jego głos brzmiał smutno.

— Chcę dostać Hammonda równie mocno, jak ty chcesz Grandzaua. Dużo bardziej chcę zabić Hammonda niż ciebie. Ale chciałem zobaczyć, że się boisz.

Lady Janet bez słowa wpatrywała się w drogę.

— Błagałaś, kiedy cię chłostali?

— Nie.

— Tak myślałem. Ale tym razem błagałaś. Bardzo było mi to potrzebne.

Minęli drogowskaz wskazujący boczną szosę, która zdawała się prowadzić nad morze.

— Trzy mile, Henri.

— Przejeżdż dwie i pół. Nie mogę biegać tak, jak kiedyś.

Zatrzymali samochód za żywoplotem i szli pieszo, dopóki nie zobaczyli światła zajazdu w odległości ćwierć mili. Było tuż po południu. Jeśli najemnicy znajdowali się tam, mogli jeść lunch. To był dobry czas na atak.

— Dokąd mieliście płynąć? — zapytał Chamberlain jednego z japońskich ochroniarzy. Mężczyzna wpatrywał się w wodę.

— Pan Nagumo nie powiedział, dokąd się wybierają. Tylko on i ten Niemiec to wiedzieli.

Chamberlain zastanawiał się, co teraz zrobić. Wrócił Kreegan.

— Żaden z nich nie wie, szefie.

— Z kim rozmawiałeś? — spytał Chamberlain.

— Z Krautsem. Komandosami. Pracowali dla Streichera już wcześniej, obstawiali transporty broni i tego typu zadania. Robili, co im kazano i nie zadawali pytań. Jak pan sądzi, co to było? Gazy zebrane w zęzie?

— Nie. Łódź miała silniki diesla.

Kiedy znaleźli się w samochodzie, Kreegan spojrział we wsteczne lustro.

— Gliny.

Chamberlain słyszał już syreny, zbliżające się do wioski.

— Wyośmy się stąd. Potrzebny mi telefon.

Steward zaczął, aż minęły ich wjeżdżające na nabrzeże policyjne furgonetki, potem zawrócił i szybko odjechał.

— Najpierw do hotelu, który widzisz — polecił Chamberlain. — Tam. Doskonale. Wyrzuć mnie i zdobądź jakiś sprzęt do nurkowania. Butle i kombinezon.

Arnie Fast podał numer placówki w Breście, kiedy Chamberlain dzwonił do niego z Marsylii. Amerykanin zameldował się u nich, kiedy tylko przyjechał. Teraz jednak na hasło podane przez Chamberlaina ktoś po prostu odłożył słuchawkę. Chamberlain połączył się z Langley i zdobył nowe hasło, ale gdy ponownie zadzwonił do Brestu, z początku nikt się nie zgłaszał, a potem odezwała się automatyczna sekretarka. Teraz Kreegan usiłował się połączyć, a Chamberlain sprawdzał ekwipunek do nurkowania.

— Co takiego? To jakieś wariactwo. Mówiłem pani, że rozmawialiśmy z nimi dziś rano. Dwa razy. Kilka godzin temu... Och!

Dobrze. Dziękuję.

Ledwie nad sobą panując, Kreegan delikatnie odłożył słuchawkę na widelki.

— Rozłączyli się. Tak po prostu. Mają nowy numer, ale jest zastrzeżony.

— Daj mi telefon.

Chamberlain jeszcze raz zadzwonił do Langley, ale sekretarka Arnie'ego powiedziała, że jej szef jest na konferencji.

— Kiedy mam zadzwonić?

Jej głos był równie obojętny jak krupiera w kasynie.

— Będzie na konferencji do późnego wieczora, a potem jedzie bezpośrednio na kolację.

— Niech mu pani powie, że rozumiem.

Odłożył słuchawkę i wpatrywał się w sufit. Kreegan okazał się, delikatny, nie zadając pytań. Po chwili Chamberlain zdjął nogi z łóżka, rozebrał się i wcisnął w kombinezon do nurkowania. Steward pomógł mu założyć kurtkę. Chamberlain zasunął suwak i zapiał zatrzaski w kroku. Potem założył na gumowy kombinezon płaszcz i buty, a Kreegan spakował butle, zawór i resztę ubrania do walizki, w której przyniósł ekwipunek.

Chamberlain rozejrzał się po wynajętym pokoju, sprawdzając, czy niczego nie zostawił. Spróbował pomyśleć o tym, jak się czuje, pozbawiony jakiegokolwiek pomocy.

— Wiesz, co się stało? — zapytał Kreegana. Steward zdawał się zakłopotany taką bezpośredniością.

— Chyba się domyślam.

— Poszedłem w odstawkę.

— Nie ma pan nic przeciwko temu, żebym zapytał, sir? — odezwał się Kreegan. — Czy nadal pan dla nich pracuje?

— Nie. Naprawdę stamtąd odszedłem. Pracuję dla Comptelu. Moi starzy przyjaciele z Agencji oddają mi czasem jakąś przysługę, ja też się im rewanżuję. To dla nich dobry interes, mieć kogoś w dużej korporacji międzynarodowej. To się opłaca obu stronom. Dostają mnóstwo informacji od swoich byłych pracowników, takich jak ja.

— W takim razie dlaczego pana odprawili?

- Nie wiem.

Wiedział, ale teraz zachował ostrożność. Był sam. Po raz pierwszy, odkad wstąpił do FOK.

- To nie ma sensu — sprzeciwił się mężczyzna. — Dlaczego zmienili zamiary w stosunku do pana?

- Nie wiem — powtórzył Chamberlain. Mówił szorstko, żeby zamknąć usta Kreeganowi. Wiedział dokładnie, dlaczego go odprawili. I nie miało to nic wspólnego ze zmianą zamiarów co do niego czy utratą zaufania. Przestali mu pomagać w operacji na rzecz Comptelu z tej prostej przyczyny, że rozpoczęli swoją własną.

Był ich osłoną. A osłonę porzuca się tylko po to, żeby wysunąć się do przodu. Posługując się nim i śledząc KGB, znaleźli Grandzaua. Czuł się trochę głupio. Prawdopodobnie dał im klucz i sam o tym nie wiedział.

Wszystko, co mógł teraz zrobić, to próbować dotrzymać im kroku. Jeśli dostaną się tam pierwsi i urzędują rozróbę, Charles Hammond będzie martwy. Można było im ufać, że sprawnie przeprowadzą operację. Nie byli takimi przygłupami, jak pisano w gazetach. Ale jeśli KGB idzie tym samym tropem? Wybuchnie mała regularna wojna, a Charles Hammond znajdzie się w jej centrum.

Panna Thorp wynajęła go właśnie po to, by temu zapobiegł.

Zatem musi dostać Hammonda pierwszy. Bez pomocy ze strony rozsypującego się konsorcjum i Arnie Fasta z CIA. Okazuje się, że Grandzau ma dodatkową broń w postaci agenta wśród swoich przeciwników, jako że wybuch na kutrze Jiie był przypadkowy. Helen Thorp przekazała ostatnią wiadomość od Grandzaua:

**HERR STREICHER I HERR NAGUMO WYCOFALI SWOJE OFERTY Z LICYTACJI PENDRAGONA — LANCELOT.**

# Rozdział szesnasty

Wynajęty przez Chamberlaina Citroën zatrzymał się gwałtownie na pofalowanym piasku, na skraju wąskiej plaży. Čwierć mili dalej, wzdłuż wybrzeża, znajdował się zamknięty służą port, w którym wyleciał w powietrze kuter Streichera. Niedaleko brzegu rybackie łodzie kołysały się gwałtownie. Słońce było już nisko i przygasało szybko za gęstniejącymi chmurami; wody Kanału były niespokojne i wiał zimny wiatr.

Amerikanin odpoczął trochę w hotelu, czekając, aż osłabnie aktywność policji. Kilka godzin później, kiedy światła radiowozów ciągle jeszcze pulsowały na kamiennych ścianach domów wioski, mężczyzna nie zamierzał dłużej czekać.

Zapiął płaszcz, wysiadł z samochodu i wskazał ostatnią z długich skalnych ostróg, strzegących wejścia do portu.

— Tam założę ekwipunek. Kiedy odpłynę, pójdź tam i zabierz płaszcz i buty. Potem odwróć samochód. Kiedy wyjdę z wody, bądź gotowy do drogi, na wypadek, gdyby ściagały mnie gliny.

Kreegan popatrzył na zimną, szarą wodę. Rosnący przypływ z pluskami rozbijał się o plażę.

— Po co pan nurkuje, sir?

— Cel podróży Streichera i Nagumo znajdował się dostatecznie blisko Hammonda, i dlatego zostali zabici. Mam nadzieję, że ich mapa nie splonęła.



Nióśł sprzęt w prawej ręce, żeby nie widać go było od strony wioski. Chowając się za główkami portu, założył zbiorniki i pletwy. Łodzie rybackie nie poruszały się i nie widział nikogo na pokładzie. Sama plaża była opustoszała, a pobliskie domy na wzgórzach były ciemne. Ustalił swoje położenie względem ujścia portu i końca ostrogi, która wcinała się w morze, jak szacował, na odległość ćwierć mili od brzegu. Potem wszedł do wody i szybko zniknął.

Było zimno, ale płynąc w ocieplonym kombinezonie szybko się rozgrzał. Okrążył główkę portu i skierował się do jego wejścia. W zmaconej wodzie panował przekłety mrok. Nurek co pewien czas patrzył na zegarek i kompas, wziął poprawkę na siłę prądu i poczuł dumę, kiedy włączwszy latarkę, ujrzął przed sobą stalowe wrota portu. Znowu były zamknięte, gdyż przyływ już opadł. Chamberlain wymacał drogę pod bramą. W środku, gdy osłabł prąd wody, mężczyzna wypłynął na powierzchnię, żeby przyjrzeć się nabrzeżu po drugiej stronie. Ciągle była tam policja, ale nie dostrzegł żadnego sprzętu do nurkowania. Spotkanie pod wodą policyjnego nurka było ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył.

Oceniając odległość na nieco poniżej trzystu stóp, wziął kolejny namiar na kompasie, ponownie zszedł pod wodę i popłynął do wraku. Woda z dala od wysokich fal przyływu była bardziej spokojna i widoczność sięgała dziesięciu stóp. Port stawał się głębszy w miarę, jak Chamberlain zbliżał się do nabrzeża. Kiedy więc znalazł strzaskany kuter torpedowy, jego kadłub spoczywał na zaskakującej głębokości czterdziestu stóp.

Łódź leżała na lewym boku; widział prawą burtę, która była zwrócona w stronę kei. Tu właśnie poszła główna siła eksplozji i większa część drewnianego poszycia została po prostu zmieciona. Ziejące dziury ułatwiały dostęp do wnętrza. Amerykanin wpłynął pomiędzy dwie rozłupane wręgi, uważając, żeby się między nimi nie zaklinować, i znalazł się w maszynowni. Niskie pomieszczenie zdawało się być stosunkowo mało uszkodzone, a zaskakująco niewielkie silniki diesla nadal spoczywały na swoich podstawach.

Potem odkrył splątany gąszcz rur i drutów oraz dużą dziurę, wyrwaną w dnie i obu burtach. Znajdowała się praktycznie na śródkręciu i jasne było, że właśnie w tym miejscu nastąpiła eksplozja. Przepłynął tamtędy, wydostał się nad kadłub i zbadał uzbrojony transporter, przykryty plandeką. Pojazd ześliznął się z kutra, a jakiś idiota zostawił

otwarte pokrywy wjazdu, gdyż inaczej amfibia unosiłaby się na powierzchni. Teraz stała na dnie portu, zanurzona po koła w mule. Wszystkie sześć wyrzutni raketowych sprawiło wrażenie, że są w doskonałym stanie.

Chamberlain wrócił na miejsce wybuchu, żeby przyjrzeć mu się jeszcze raz. Wyglądało na to, że ktoś przemycił na pokład łodzi Streichera duży ładunek. W jaki sposób go zdetonował? Prawdopodobnie założył wyłącznik czasowy, ale to ciekawy zbieg okoliczności, że wybuch nastąpił właśnie wtedy, kiedy kuter odpływał. Eksplozja na śródookręciu zatopiła łódź i nie miało to nic wspólnego z raketami na samochodzie pancernym.

Wróciwszy do maszynowni Chamberlain przyjrzał się bliżej silnikom w przyćmionym świetle podwodnej latarki, zastanawiając się, jak on wysadziłby tę łódź. Znalazł coś, co mogło być dodatkowym przewodem elektrycznym, podłączonym do generatora, zasilanego przez pas transmisyjny z silników diesla. Prześledził przebieg drutu, przesuwając po nim dłonie. Był przymocowany zaciskami do spodniej strony długiego brasu, a następnie biegł w gąszczu pionowych i poziomych mosiężnych prętów. Pręty wychodziły na pokład i wzdłuż osi statku prowadziły do przekładni redukcyjnej. Chamberlain był zdumiony. Facet, który założył ładunki, zadał sobie mnóstwo trudu, podłączając je do przekładni i w ten sposób zyskując gwarancję, że wybuchną dokładnie wtedy, kiedy łódź będzie opuszczała port. Zamiast użyć baterii, czerpał zasilanie z generatora, eliminując możliwość, że wybuch nastąpi zbyt wcześnie, jeśli ktoś będzie majstrował przy przyrządach na mostku. Zastanawiał się, po co tyle zachodu? Był to dobry sposób, żeby pozbyć się wszystkich zaangażowanych w sprawę, ze Streicherem włącznie, ale to samo można osiągnąć stosując wyłącznik czasowy, ustawiony z pewnym opóźnieniem.

Chamberlain wzdrygnął się, kiedy zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Wybuch nie był przypadkowy. Porywacz Charlesa Hammonda stosował taktykę obronną atakując. Grandzau wyszedł z ukrycia, by przypuścić szturm na swoich myśliwych. Co oznacza, że śledził tropicielei — obserwował ich.

Zemsta dotknęła Streichera w momencie, kiedy handlarz bronią zbyttnio zbliżył się do celu. Czy Grandzau uderzył także w KGB?

Od Marsylii Rosjanie zniknęli z pola widzenia. A co z CIA? Czy oni także pchali się w zastawioną pułapkę?

Chamberlain unosił się nieruchomo wewnątrz zniszczonego wybuchem kadłuba, rozważając różne możliwości. Nie, doszedł do wniosku z uczuciem goryczy. To była jedna z przyczyn, dla których CIA go odprawiła; natychmiast zorientowali się, że Grandzau przeszedł do ataku i zdecydowali — słusznie, jak się okazało — że rozwikłanie tego wszystkiego w pojedynkę zajmie Chamberlainowi zbyt dużo czasu.

Czy on będzie następny? Czy Grandzau obserwował także jego?

Absurdalne. Chamberlain wytknął głowę z wnętrza wraka i rozejrzał się dokoła w mętnej wodzie. Robi się takie rzeczy, kiedy jest się pod wodą. Strach narasta, dopóki nie osiągnie punktu krytycznego, którego nurek nie może już znieść. Tym razem Amerykanin odpędził swój strach.

Pomyślał o Kreeganie, siedzącym samotnie w samochodzie. A jeśli dostali już stewarda i czekają spokojnie na plaży, żeby zestrzelić pierwszą głowę, która ukaże się na powierzchni? Postanowił rozejrzeć się z ostrogi, zanim wyjdzie na plażę. Najpierw jednak popłynął na mostek, gdzie miał nadzieję znaleźć mapy Streichera.

Zerknął na zegarek. Powietrza zostało mu na dwadzieścia minut. Wyśliznął się z kadłuba przez dziurę w pokładzie i przez kabinę popłynął w stronę wąskiego przejścia, które powinno prowadzić na mostek. Nagle przysłała mu na myśl kobieta, którą widział w Brukseli. Kobieta, która załatwiła go w Marsylii. Dziwka. Agentka Grandzaua? Czy ten niemiecki sprzedawca tajemnic miał współpracę? Czy ona była jego oczami pośród myśliwych?

A potem wszystko to zaczęło nabierać sensu. Agentka Grandzaua. Kazała wysadzić kuter przy nabrzeżu, żeby wszyscy wiedzieli, co się stało. Chcieli, żeby wiadomość dotarła do pozostałych. To była przestroga. Przestroga ze strony słabych, a nie silnych. Grandzau nie mógł zaatakować ich wszystkich, więc wybrał jednego. Tego, który dysponował najmniejszymi zasobami. Prawdopodobnie nie spodziewał się, że Nagumo będzie razem ze Streicherem, ale to nie miało znaczenia. Streicher reprezentował tylko siebie. Nagumo był przedstawicielem Japonii. Za kilka godzin jego rodacy wprowadzą na scenę następnego człowieka. Zatem Grandzau niewiele stracił, a zyskał dużo.

Chamberlain przepełnął właśnie przez korytarzyk i dotarł do otwartego mostka, kiedy zobaczył pierwsze ciało. Wybuch zniszczył ubranie mężczyzny. Leżał teraz przygnębiająco nagi, z popalonymi włosami, wplątany w powykęcane szczątki krzesła, przymocowanego do pokładu za urządzeniem sterowym. Następne zwłoki znalazł na rufie, zmiażdżone przez drewnianą belkę.

Chamberlain szukał schowków, w których mogły być zwinięte mapy, mając nadzieję, że płomienie ich nie spopieliliły. Włączył swoją latarkę i przesunął jej promień po tablicy instrumentów nawigacyjnych. Jeśli jego wnioski były słuszne, Kreegan jest bezpieczny. I zanim znajdzie jakieś mapy, CIA prawdopodobnie będzie już przesłuchiwać Hammonda w jakimś hotelowym pokoju w Waszyngtonie.

Wpadł na nieboszczyka, siedzącego w krześle przy kole sterowym i skóra mu ścierpła, gdy spojrzął w jego martwe oczy. Streicher. Oczywiście. To on był przy sterze. Coś unosiło się w wodzie za nim. Delikatnie, uważając, by nie rozedrzeć przesiąkniętego wodą papieru, Chamberlain uwolnił ciało Streichera z krzesła i wyciągnął mapę, na której Niemiec siedział. Ciało handlarza uchroniło papier przed spalaniem.

Chamberlain przesunął światło po papierze, unoszącym się w wodzie. To była mapa kanału La Manche wydana przez Brytyjską Admiralicję — ogólny widok zachodniego końca Kanału i części Atlantyku. Wyglądało, że wykreślono na niej ołówkiem kurs, ale w słabym świetle nie mógł tego stwierdzić na pewno. Złożył mapę, rozejrzał się po raz ostatni i sprawdził kompas, szykując do przepłynięcia portu w poprzek.

W zasięgu wzroku pojawiło się nagle czwarte ciało. Zanim zorientował się, że tym razem jest żywe, dojrzał maskę i butle. Przeklął własną głupotę, która kazała mu zbyt długo penetrować wrak. W końcu pojawili się nurkowie policyjni.

Chamberlain wyłączył latarkę i pospiesznie opuścił kuter, szukając schronienia w ciemnościach. Nurek wykonał szybki ruch i do Chamberlaina dotarło, że się pomylił; policyjny nurek nie goniłby go z dwunastocalowym nożem w ręce.

Chamberlain obrócił się, chwycił mężczyznę za nadgarstek i odkrył, że pomylił się po raz trzeci w ciągu kilku sekund. Zamiast uciec, wybrał walkę z dwukrotnie silniejszym od siebie mężczyzną.

Napastnik uwolnił się bez wysiłku, jakby Chamberlain był dzieckiem, i zamarkował pchnięcie nożem. Amerykanin uchylił się przed ciosem. Nurek czekał na niego i olbrzymim ramieniem objął tors przeciwnika. Przycisnął Chamberlaina do klatki piersiowej i teraz jego nóż godził w plecy mężczyzny.

Amerykanin spróbował trafić przeciwnika w kolano, chybił, ale dzięki temu, że gigant odskoczył, zyskał chwilę. Przekreślił się w bok o kilka cali. Nóż zadzwonił o zbiorniki powietrza, przeciął gumę kombinezonu i ześliznął się po żebrach, wywołując piekący ból. Chamberlain poczuł, że ostrze drasnęło kość. Ból konwulsyjnie wygiął mu plecy. Obie ręce miał unieruchomione, przyciśnięte przez napastnika do karku. Szarpnął się ze wszystkich sił i zerwał maskę z twarzy mężczyzny, ściągając ją w dół. Czując napływ zimnej wody nurek wpadł w panikę i puścił przeciwnika.

Chamberlain odskoczył natychmiast, zniknął w ciemnościach i obawiając się, że uderzy w keję, desperacko starał się odczytać wskazania kompasu. Nagle czyjaś ręka zacisnęła się z niezwykłą siłą na jego łydce i pociągnęła go do tyłu. Olbrzym próbował pochwycić swój nóż, który wisiał na pasku u nadgarstka drugiej ręki. Założył już maskę, ale była ona nadal pełna wody.

Chamberlain podążył za szarpnięciem, jeszcze raz zerwał maskę z twarzy napastnika, wbijając mu palce w jedno oko i wyrwijając z ust zawór. Mężczyzna przestał szukać noża i starał się złapać swój reduktor, jednocześnie zaciskając uchwyt na nodze Chamberlaina. Zdumiony i przerażony nieludzką determinacją obcego, Chamberlain wyszarpnął własny nóż z pochwy na drugiej nodze.

Nurek znalazł swój ustnik, wydmuchnął wodę i chwycił nóż. Amerykanin zatopił czubek ostrza w dłoni mężczyzny i wyrwał się z uchwytu. Szczęśliwym kopnięciem jednej z płetw jeszcze raz wyrzucił ustnik przeciwnika i rzucił się do ucieczki. Bliski paniki, nie zważał na przeszkody, które może napotkać w wodzie.

Po chwili odzyskał panowanie nad sobą, obejrzał się, a ponieważ niczego nie zobaczył, popłynął dalej. Potem stanął i upewniwszy się, że jest sam, sprawdził kompas. Śluzy portu znajdowały się w przeciwnym kierunku. Szerokim łukiem okrążył łódź torpedową i popłynął w poprzek portu najszybciej, jak mógł, nie zwracając uwagi na malejący zapas tlenu, opanowany wyłącznie pragnieniem ucieczki.

Wszystko wydarzyło się tak szybko, że nie miał czasu pomyśleć. Kiedy

jednak ściągnął maskę z twarzy mężczyzny, rozpoznał jednego z osiłków KGB z Marsylii. Był wtedy w peugeocie, ale jego twarz mignęła Chamberlainowi, kiedy samochód zatrzymał się. Amerykanin przyspieszył. Nurek musiał przypląć od strony łodzi rybackiej stojącej za główkami portu. Czy jego kumple nasłali na Kreegana innego mordercę?

Na ułamek sekundy Chamberlain wypłynął na powierzchnię, wystawiając czubek głowy i odnalazł wejście do portu o pięćdziesiąt jardów w lewo. Stalowa brama musiała zafalszować wskazania kompasu. Ponownie zszedł pod wodę i skierował się ku wrotom. Dziesięć stóp dalej zatrzymał się w wodzie jak wmurowany, hamując rękami.

Rosjanin czekał pod bramą. Poprawił maskę i reduktor, i znowu trzymał nóż we właściwej ręce. Patrzył przed siebie i Chamberlain, który nadpływał z boku, znajdował się poza zasięgiem jego wzroku. Gdyby Amerykanin miał wystarczająco dużo powietrza, mógłby poczekać. Facet pewnie zastanawiał się, czy Chamberlain nie przepłynął już pod bramą. Jednak Pete nie miał powietrza, a nabrzeże roilo się od francuskich gliniarzy, którzy nakryją go, jeśli spróbuje wyjść na ląd. Z drugiej strony, policjanci mogliby uratować Kreegana, a mirage prawdopodobnie przyszedłby Chamberlainowi na ratunek tak jak w Marsylii. To miało dużo więcej sensu, niż walka z Rosjaninem, który przewyższał go wagą, jeśli nie klasą i determinacją. Zaczął się wycofywać. Rosjanin odwrócił głowę, spostrzegł Chamberlaina i ruszył na niego jak torpeda.

Amerykanin zrobił unik, a następnie prześliznął się pod wrotami, uderzając butlami o przeszkodę. W tym momencie jego powietrze zaczęło się kończyć, i to strasznie szybko. Sięgnął do tyłu, uruchomił pięciominutową rezerwę i popłynął naprzód ze wszystkich sił.

Rosjanin był po prostu zbyt szybki. Jego wielkie nogi, długie i grube jak słupy telegraficzne, pchały go przez wodę z niewiarygodną prędkością. Dogonił przeciwnika w ciągu kilku sekund. Nagłe osłabienie uświadomiło Chamberlainowi, że nie jest już dwudziestotrzyletnim podwodnym saperem, a prawie trzydziestopięcioletnim człowiekiem, który szybko się męczy.

Odwrócił się, żeby nawiązać walkę, wyciągnął nóż z pochwy, ale zaskoczony Rosjanin przemknął obok. Następnie zawrócił, ale to dało

Amerykaninowi sekundę na przygotowanie. Cofał się powoli. Potężne fale na powierzchni rozbijały się o bramę portu. Dwadzieścia stóp niżej tworzyły prąd, który unosił i ściągał w dół nurków oraz wzbijał tumany mułu na dnie portu. Z odległości ośmiu stóp Rosjanin wydawał się nie-materialnym cieniem.

Chamberlain cofał się bardzo powoli, obserwując, jak napastnik zbliża się i szykuje do ataku. Pomyślał, że znowu zaczyna mu brakować powietrza. Cofnął się jeszcze bardziej. Płetwy otarły się o stalowe wrota. Zatrzymał się.

Mglisty kształt Rosjanina unosił się w wodzie w odległości ośmiu stóp, wznosząc się i opadając. Chamberlain skierował na niego latarkę i włączył ją. Przesuwał promień z boku na bok, w górę i w dół, jakby szukał. Przez cały czas obserwował cień Rosjanina. Sylwetka napastnika nagle wydłużyła się i Chamberlain wiedział, że mężczyzna rusza przed siebie. Najpierw nóż, potem wielka głowa, dzięki gumowemu kapturowi przypominająca kształtem rekina, gruba szyja i olbrzymie barki.

Chamberlain poczuł, że prąd zaczyna spychać go w dół. Złożonymi rękami gwałtownie odgarnął wodę i zanurkował, schodząc z linii ataku. Potem raptownie odbił się do góry, szybko zanurzając nóż w brzuchu nurka.

Nie było takiej potrzeby. Olbrzym uderzył głową w stalową bramę. Zanim Chamberlain podpłynął do niego, unosił się bezwładnie ze zwisającym ustnikiem i głową zgiętą pod straszliwym kątem.

Chamberlain czuł przez chwilę żal, że nie wziął tego faceta żywcem, żeby coś z niego wydusić, ale nagle skończyło mu się powietrze. Chwytał Rosjanina, zanim prąd go odciągnął, i zaczerpnął oddech z jego ustnika. Potem odpiął jego butle i pozwolił ciału zatonać. Sam powoli opływał ostrogę, kierując się w stronę plaży i ciągnąc jedną ręką butle Rosjanina. Wylądował sto jardów od samochodu i leżał w płytkiej wodzie przy brzegu, obserwując plażę, wodę i Citroëna.

Plaża i ostrogi nadal były puste. Zapadał zmrok, zrobiło się niewątpliwie chłodniej, chociaż nie mógł tego stwierdzić, leżąc w wodzie. W tych warunkach było mało prawdopodobne, żeby ktoś wybrał się na spacer. Nie dostrzegł żadnego znaku obecności agentki Grandzaua czy

kogokolwiek innego, obserwującego samochód. Wydawało się, że z Kreeganem wszystko w porządku. Siedział za kierownicą, bez ruchu, ale pod naturalnym kątem. Łódź rybacka nadal była zakotwiczona w pobliżu główki portu i wyglądało, że jest pusta. Chamberlain wiedział jednak, że ci, którzy wypatrują nurka, zobaczą go, kiedy będzie przecinał plażę. Odczołgał się więc na głębszą wodę i popłynął pod powierzchnią wzdłuż plaży, aż znalazł się dokładnie za samochodem. Potem, ponownie leżąc w płytkiej wodzie, zrzucił zbiorniki i płetwy, zebrał swój ekwipunek, sprzęt Rosjanina zostawiając w wodzie, i powłócząc nogami wyszedł na plażę.

Kiedy zbliżył się do samochodu, Kreegan uchylił drzwi od strony pasażera. Chamberlain rzucił puste zbiorniki na podłogę i opadł na siedzenie, wyczerpany.

Kreegan uśmiechnął się nieśmiało.

— Złapałem Rosjanina, sir.



# Rozdział siedemnasty

Chamberlain odwrócił się wolno. Rosjanin, który zsunął się nisko z tylnego siedzenia, był żyłastym mężczyzną w ciemnym swetrze i robionej na drutach żeglarskiej czapce.

— Jedyne problem, że chciał zatrzymać swój pistolet.

Broń, skierowana w tył głowy Kreegana, przesunęła się szybko w kierunku twarzy Chamberlaina. Rosjanin trzymał pistolet tak, jakby się na tym znał. Miał kamienny wyraz twarzy, ale jego oczy były czujne.

Steward odezwał się ponownie, tym samym lekkim, niefrasobliwym tonem:

— Wypróbowałem go. Nie sądzę, żeby mówił po angielsku. Myślałem, że jeśli zaczekam na pana, może będziemy mogli wziąć go żywcem. Siedzi tutaj, jakby czekał na kogoś, kto powie mu, co ma robić. Gadałem bez przerwy do niego i do siebie, więc przyzwyczylił się do mojego głosu. Pod moim fotelem jest broń i pod pańskim też. Jak pan myśli, co zrobimy?

Chamberlain obserwował oczy Rosjanina.

— Skąd przyszedł?

— Jakiś facet przywiózł go gumowym pontonem z tej łodzi rybackiej.

Chamberlainowi zaczęły się trząść ręce. Był wyczerpany. Walka zbiegała swoje żniwo w postaci szoku i strachu. Plecy pulsowały boleśnie i czuł, jak całe ciało poddaje się, spragnione odpoczynku i zapomnienia.

Głos Kreegana dochodził do niego z daleka, jakby tamten wołał do niego z plaży.

— Wszystko w porządku, sir?

Chamberlain gwałtownie potrząsnął głową, próbując odzyskać jasność myśli.

— Jak cię podszedł?

Głos Kreegana zdradzał, że czuje się urażony.

— Pozwoliłem na to, proszę pana. Udawałem, że śpię. — Od chwili, gdy Chamberlain wsiadł do samochodu, steward nie oderwał oczu od tylnego lusterka.

— Dlaczego? — wymamrotał Pete, któremu kręciło się w głowie.

— Żebyśmy wzięli go żywcem i spróbowali się dowiedzieć, jakie są plany jego towarzyszy.

— Ale on nie mówi po angielsku.

— Nie wiedziałem o tym. Ale niech się pan nie martwi. Weźmiemy tłumacza. Firma musi mieć paru w Europie. Prawda?

— Prawda. Gdzie się podział facet z pontonu?

— Wrócił do łodzi.

— Wielki, potężny, olbrzymi gość?

— Nie. Taki kurdupel.

— To znaczy, że jest ich co najmniej dwóch.

— Trzech — rzekł Kreegan. — Wydaje mi się, że widziałem nurka, wyskakującego przez burtę. Obserwowałem wodę na wypadek, gdyby wyszedł na plażę.

— On nie żyje — oświadczył Chamberlain.

Rosjanin nie zwrócił na to żadnej uwagi. Siedział spokojnie, równie daleki jak nieznajomi przy stole w kafeterii.

Kreegan spojrzął na Chamberlaina. Amerykanin próbował pokazać mu gestem, żeby zachował spokój, ale otwarta twarz stewarda zastygła w zdumieniu.

— Jezu! Pan krwawi jak zarzynana świnia.

Pod wpływem zimnej, słonej wody rana od noża otworzyła się. Na siedzeniu samochodu zebrała się kałuża krwi.

— Niech on się o tym nie dowie.

Rosjanin zauważył jednak zaniepokojenie Kreegana. Usiadł prosto i machając pistoletem kazał im pochylić się do przodu, na deskę rozdzielczą. Potem nachylił się nad oparciem przedniego siedzenia i zobaczył krew.

Na chwilę zbladł, potem poczerwieniał. Wskazał kluczyki samochodu, gestykując gniewnie, dopóki Kreegan nie wyjął ich ze stacyjki i nie podał mu. Rosjanin wodził za nim lufą pistoletu, której nie opuścił nawet na chwilę. Tyłem wycofał się ostrożnie z samochodu, obszedł pojazd, stanął i zaczął wpatrywać się w nich przez przednią szybę.

Kreegan zwilżył wargi.

— Co on zamierza zrobić?

— Wie już, że zabilem jego kumpla, ty przeklęty głupcze. A jak ty myślisz, co on zrobi?

Rosjanin przez szybę wycelował w punkt między oczami Chamberlaina.

— Chce pan, żebym sięgnął po pistolet? — zapytał Kreegan. — Jest tuż pod moim siedzeniem.

— Nie, na miłość boską. Ten facet jest pięć stóp od nas.

— Nie widzi mojej ręki.

Chamberlain poczuł, jak ze strachu drętwieją mu wargi. Obok niego Kreegan napiął mięśnie — amator udający zawodowca.

— Nie! — szepnął z naciskiem Pete.

— On zastrzeli nas tak czy inaczej, sir.

— Mógł to zrobić w samochodzie. Wysiadł z jakiegoś powodu. Teraz, na miłość boską, siedź spokojnie, zanim się tego nic dowiesz.

— Dlaczego on tam stoi?

— Nie wiem — odparł łagodnie Chamberlain. Kreegan był ciągle napięty, gotów do skoku. — Nie prowokuj go, żeby nas zabił, Kreegan.

Steward pochylił się do przodu.

— Zauważył pan jego broń? — zapytał. SIG P-220. Bardzo interesujący rewolwer. Może działać z samonapinaniem kurka lub bez tego. Tania broń — aluminium i tłoczony metal. Ale ma naprawdę sprytny automatyczny bezpiecznik zamiast...

— Zamknij się. Widzi, że mówisz i myśli, że coś knujesz.

Rosjanin lekko zakołysał samochodem, opierając kolana na przednim zderzaku. Pistolet nadal trzymał wycelowany w głowę Chamberlaina.

Kreegan przełknął ślinę.

— Przepraszam, sir. Ja naprawdę, naprawdę się boję.

Chamberlain przestał wpatrywać się w lufę pistoletu i spojrzął na Kreegana.

— Po prostu bądź cicho — powiedział łagodnie. — Proszę.

Ich strażnik podniósł drugą rękę nad głowę i pomachał nią z boku na bok. Chamberlain odchylił się na oparcie siedzenia.

— Daje sygnał swojemu kumpłowi. Dzięki temu zyskujemy na czasie.

Kreegan westchnął.

— Nie sięgaj po swój pistolet. Po drodze masz kierownicę i nigdy ci się to nie uda. Zaczekamy na lepszą okazję.

— Przepraszam za całą tę gadaninę, sir.

— Odpręż się tylko — rzekł Chamberlain. Trochę kręciło mu się w głowie i nie wiedział, czy to z powodu utraty krwi, czy jakiejś reakcji nerwowej. Chciał się obejrzeć, żeby wiedzieć kto przybywa z łodzi rybackiej, ale bał się odwrócić głowę, by nie zaalarmować Rosjanina.

Chamberlain obserwował strażnika, czekając, aż tamten spojrzy w stronę nadchodzącego mężczyzny i na moment osłabi czujność. Musi być taka chwila, kiedy poczuje się bezpiecznie, bo przybył jego szef. W tym momencie Chamberlain go zabije.

— Jest w połowie drogi — mruzczał Kreegan. — Dwadzieścia stóp. Zabawne, on nie korzysta z laski. Po prostu ją niesie.

Chamberlain patrzył przez szybę w nieruchome, uważne oczy mężczyzny, który celował z pistoletu w jego głowę.

— Dziesięć stóp — oznajmił Kreegan.

Chamberlain był gotów do skoku. *Popatrz teraz* — pomyślał — *teraz*. Wyczuł, że mężczyzna z laską podchodzi do samochodu od strony Kreegana.

— O, cholera — szepnął Kreegan. — Wyciągnął broń.

Chamberlain, zmęczony, opadł na oparcie fotela, czując, jak krew chlupocze w jego nurkowym kombinezonie. Było mu zimno.

— Zapomnij o tym — wymamrotał do Kreegana. — Nie da rady.

— Tak jest, sir.

Chamberlain zauważył, że Rosjanin nadal się w niego wpatruje. Nawet na chwilę nie spuścił z niego wzroku.

— On chce wejść, sir — Kreegan skinął głową w kierunku mężczyzny w czerni, który zastukał laską w boczne okienko. Chamberlain widział tylko chudy jak szkielet tors i czarne skórzane rękawiczki, trzymające laskę i pistolet.

— Odkręć okno — polecił Chamberlain. — Dowiedz się, czego on chce.

Steward odkręcił szybę, a Chamberlain, pomimo wzbierającego w nim gniewu na Kreegana, który wpakował go w to gówno, podziwiał jego śmiało, lekceważące: „Tak?”

Mężczyzna w czerni pochylił się, aż jego koścista twarz pokazała się w otworze okna.

— Gdzie jest Grandzau?

# Rozdział osiemnasty

Lady Janet od lat nie widziała Henri'ego Trefle'a tak zadowolonego z siebie. Rzucił swojego jeńca twarzą w dół na tylne siedzenie samochodu, wyjął jedną z jego sznurówek i użył jej, by skrępować mu ręce na plecach.

— Czy on żyje? — spytała lady Janet.

— Jasne — Trefle wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Poklepałem go tylko trochę po karku.

Pamiętała, by odpowiedzieć uśmiechem, żeby podtrzymać jego dobry nastrój.

— Ładnie zrobione, Henri.

Rozejrzeli się po polach i drzewach, żeby upewnić się, że nikt ich nie widzi w ciemniejącym świetle popołudnia. Wyprowadzili samochód zza żywopłotu i pomknęli w głąb łądu, zwiększając odległość dzielącą ich od najemników, których zaskoczyli w nadmorskim hotelu.

Trefle zachichotał, składając sobie gratulacje.

— To było doskonale. Uciekali na wszystkie strony. Jeden nawet skoczył z urwiska. A ten, oczywiście, wszedł do łóżyska strumienia, tak jak przewidywałem. Zanurkował w moje ramiona, myśląc może, że jestem skałą, która osłoni go przed twoimi kulami.

— Po prostu skałą — powtórzyła lady Janet.

Trefle zaśmiał się.

— Jakąś skałą.

Prowadziła samochód wąskimi polnymi drogami. Dwa razy dotarła na podwórka gospodarstw i szybko zawróciła. Za trzecim razem znalazła to, czego potrzebowali — opuszczoną stodołę obok zawalonej kamiennej chaty.

Zatrzymała samochód i wyłączyła światła. Trefle sprawdził teren, obchodząc go pieszo. Lady Janet została za kierownicą. Więzień poruszył się na tylnym siedzeniu, podciągnął na związanych rękach i spróbował usiąść. Kobieta dotknęła jego głowy zimną lufą.

— Nie rób tego.

Kątem oka zobaczyła cień Trefle'a, wychodzącego zza budynków i wchodzącego do stodoły. Chwilę później wrócił do samochodu.

— Wjedź do środka.

Na światłach postojowych wprowadziła samochód do budynku. Zaczekała, aż Trefle zamknie drzwi, krzywo wiszące na zawiasach, i dopiero wtedy włączyła silniejsze światła. Znajdowali się w małej stodole, wypełnionej zapachem wilgoci i porzuconej tak dawno, że siano i słoma zmieniły się w pył i błoto.

Trefle wywłókł więźnia z samochodu. Pojmany miał nieco mniej niż trzydzieści lat, wyglądał na twardego Polaka czy Czecha — jednego z tych, którzy uciekli od komunistów i stwierdzili, że wszystko, co potrafią, to tylko walczyć. Zamrugnął ze złością w świetle reflektorów i z szybkością błyskawicy rzucił się do ucieczki. Trefle uderzył go w splot słoneczny i kiedy mężczyzna zgiął się w pół, lady Janet pomogła powiesić jeńca głową w dół na krokwi.

Mężczyzna zwiślał kilka stóp nad podłogą stodoły, z oczami na poziomie oślepiających światel samochodu. Twarz mu poczerwieniała, gdy napłynęła do niej krew. Lady Janet uklękła obok niego i przystawiła mu pistolet do czoła.

— Nie zrobimy ci krzywdy, jeśli powiesz nam, gdzie mieliście spotkać się z szefem.

Nie odpowiedział.

Powtórzyła pytanie po francusku. Zrozumiał i splunął jej w twarz.

— Henri.

Odeszła na bok, żeby wytrzeć twarz, kiedy Trefle przyklęknął obok mężczyzny. Wyciągnął nóż. Szkło zaślniło jak diament. Uśmiechnął się,

patrzac mężczyźnie w oczy i odwrócił swoją twarz tak, żeby więzień mógł go lepiej widzieć. Uśmiechał się groteskowo, prezentując ostrą jak brzytwa klingę.

— Wiesz, kim jestem? — zapytał po francusku.

Pytanie zaskoczyło żołnierza i przykuło jego uwagę. Skupił wzrok na pokrytej plamami i obrzmiałej twarzy Trefle'a, potem na nożu. Raptownie otworzył szerzej oczy.

— Moje nazwisko? — spytał Francuz.

— Henri Trefle — wymamrotał żołnierz.

— Nie słyszę cię.

Mężczyzna odchrząknął. Jego twarz była teraz bardzo czerwona. Odpowiedział głośno i wyraźnie:

— Henri Trefle.

Najemnik uśmiechnął się ponownie, pochylił bliżej nad twarzą mężczyzny i przystawił mu ostrze do gardła.

— Pytam cię jeszcze raz. Gdzie mieliście się spotkać z szefem?

— Na statku.

— Jakim statku?

— Nie wiem.

W gardle Francuza zabulgotał mrozący krew w żyłach pomruk. Zaciśnął potężną rękę na karku wiszącego i zaczął przesuwając ostrzem po jego gardle. Żołnierz wrzasnął.

— Czekał, czekaj. Motorówka. Zabiera nas z przystani motorówką.

— Kiedy?

— Dziś w nocy. O północy. Przysięgam.

— Z jakiej przystani?

— Przy hotelu. Mieliśmy zebrać się na kei o północy.

— Skąd wiecie, że płyniecie na statek? — spytała lady Janet. — Dlaczego nie na drugą stronę Kanału albo wzdłuż wybrzeża, albo na jakąś wyspę? Myślę, że on kłamie, Henri.

— Nie, nie, mówię prawdę. Powiedzieli nam, że będziemy na statku.

— Dlaczego mieliby zawracać sobie tym głowę? — spytała Trefle'a.

— On kłamie.

— Nie — krzyknął więzień. — Kazali nam udowodnić, że pływaliśmy na statkach i nie będziemy mieć choroby morskiej.

— Dokąd płynie statek?



- Proszę.
- Dokąd? — warknął Trefle.
- Proszę. Ja nie wiem.
- Henri — odezwała się lady Janet. — Chodź tutaj.

Odeszli w najdalszy kąt stodoły. Urywany, przerażony oddech więźnia odbijał się echem w wilgotnym wnętrzu. Wyglądało, że Trefle denerwuje się, odwracając do niego plecami. Lady Janet obserwowała, jak mężczyzna kołysze się lekko. Miała wrażenie, że słyszy śnieg, uderzający w cienkie ściany.

- Jak myślisz, co zrobi reszta?

Trefle wzruszył ramionami.

— Do tej pory domyślili się już, w jaki sposób ich podeszliśmy i że prawdopodobnie było nas tylko dwoje czy troje. Jeśli obiecano im duże pieniądze, pójdą na nabrzeże wcześniej, przygotują sobie silną pozycję i spróbują wejść na pokład motorówki.

- Podejmą olbrzymie ryzyko.

— To najemnicy. Jeśli pieniądze są niezłe, podejmą ryzyko. Ja bym tak zrobił.

- Co powiedzą Karlowi?

— Mogą mu powiedzieć, że ten człowiek zdezerterował. Zwłaszcza, jeśli Grandzau nie będzie obecny na łodzi.

- A nie będzie, prawda? — zastanowiła się.

— Nie — zgodził się Trefle, wyczekująco spoglądając na wiszącego najemnika.

Lady Janet spróbowała sformułować następne pytanie i uświadomiła sobie nagle, jak bardzo jest zmęczona, zziębnięta i głodna. Jechali przez większą część nocy i o świcie zaczęli objeżdżać hotele w Breście. Całe ciało miała obolałe, bo napinała mięśnie, by opanować ból. I wyglądało na to, że czeka ich długa noc.

- Po co byliście wynajęci? — zawołała z drugiego końca stodoły.

Odległość dodała najemnikowi odwagi.

- Nie powiedziano nam — odparł ponuro.

Henri Trefle doskoczył do niego w kilku susach i przycisnął nóż do gardła mężczyzny. Przeciął skórę, jak zrobił to wcześniej lady Janet i przyglądał się z satysfakcją cienkiej strużce krwi wędrującej po szyi mężczyzny i spadającej kroplami z jego szczęki.

- Mój przyjacielu, lepiej, żebyś się domyślił.

Nagły atak przełamał ostatni opór najemnika. Słowa popłynęły z jego ust przerażonym potokiem.

— Grandzau powiedział nam, że będziemy pracować tylko przez kilka dni. Najwyżej tydzień. Tysiąc franków dziennie dla każdego. Obiecał, że nie będzie ciężkiej broni, artylerii, czołgów ani innych żołnierzy. Obiecał prostą robotę. Pytaliśmy, jak prostą. Powiedział, że to będą tylko obowiązki strażników. Będziemy utrzymywać porządek, powiedział. Utrzymywać porządek. Pieniądze były niezłe, pan wie, pułkowniku Trefle.

Francuz uśmiechnął się blado, słysząc swój dawny stopień. Najemnik z nadzieją uczepił się tego uśmiechu.

— Nie chcieliśmy wchodzić w drogę, *Mon Colonel*. My, ja, nie wiedzieliśmy, że to pańska walka. Nie wziąłbym takiej roboty. Nie służyłbym przeciwko pułkownikowi Trefle. Ale nie wiedziałem. Pieniądze były dobre, roboty jest mało, a *Mon Colonel* na pewno rozumie...

Lady Janet słuchała z rogu stodoły, ale słowa mężczyzny przestały mieć sens. Bełkotał, bojąc się tego, co może się stać, jeśli przerwie. Spojrzała na zegarek. Piąta. Muszą coś zjeść, odpocząć i zaplanować, co dalej.

Czuła, że niewiele brakuje, aby Grandzau się wyśliznął. Fakt, że zatrudnił oddział najemników do pełnienia straży, był bardzo znaczący. Wynikało z niego, że Grandzau porzuca swoje dotychczasowe siły — ludzi, którzy dokonali porwania — co prawdopodobnie znaczyło także, że opuszcza swoją dotychczasową kryjówkę. Wynajęcie oddziału do utrzymania porządku oznaczało, że Grandzau był pewien, iż żadne siły go nie zaatakują. Ten oddział będzie go chronił w mało prawdopodobnym przypadku, gdyby ktoś próbował przeprowadzić jakąś akcję podczas negocjacji. Fakt, że Grandzau nie spodziewał się ataku z zewnątrz, znaczył, że ma misterny, złożony i zabezpieczony na wszelkie okoliczności plan ochrony licytacji Pendragona.

— Henri. Odetnij go, zwiąż i jedźmy.

— Będzie mówił.

— Nie, nie będę. Nie będę, *Mon Colonel*. Przysięgam.

— Zwiąż go dobrze. Uwolnienie się zajmie mu cały dzień. Do tego czasu wyjedziemy. — Wsiadła do samochodu i sięgnęła po kluczyki.

Trefle westchnął, wstał i cofnął się. Chwycił linę, na której wisiał najemnik i podniósł nóż. Lady Janet przekreśliła kluczyczek w stacyjce i rozrusznik zamruczał niepewnie.

— Cholera — wymamrotała, wyłączając światła, by uzyskać więcej mocy z przeciążonego akumulatora. Tego tylko brakowało, żeby utknąć w oborze gdzieś w polu, z rozładowanym akumulatorem. Ponownie przekreśliła kluczyczek i rozrusznik, nie obciążony zasilaniem świateł, uruchomił silnik. Przez chwilę przyciskała gaz i kiedy była pewna, że silnik nie zgaśnie, z powrotem włączyła reflektory.

Ścisnęło ją w żołądku. Najemnik zwisał bezwładnie. Jego głowa znajdowała się poniżej linii jej wzroku, ale krew na nożu Trefle'a świadczyła o tym, co zrobił Francuz. Uśmiechał się w świetle reflektorów, z szalonym błyskiem w oczach, i wycierał krew o ubranie nieboszczyka.

Chamberlain żałował, że nie zaryzykował sięgnięcia po swój pistolet, chociaż byłyby to samobójcza próba. W głosie Rosjanina dźwięczał jakiś szalony, przerażający ton. Amerykanin rozważał nową sytuację. Szanse były jeszcze mniejsze niż poprzednio. Pistolet mężczyzny w czerni był o parę cali od Kreegana, a pierwszy Rosjanin wciąż mierzył w jego głowę. Co gorsza, obaj byli bez wątpienia profesjonalistami, podczas gdy on i Kreegan reprezentowali jednego zmaltretowanego zawodowca i jednego amatora, który przypadkiem lubił broń.

Zanim Chamberlain zdołał coś powiedzieć, Kreegan spróbował zgrywać twardziela. Odpowiedział pytaniem na pytanie:

— Koleś, myślisz, że siedzielibyśmy tu i rozmawiali, gdybyśmy wiedzieli, gdzie jest Grandzau?

Mężczyzna w czerni odczekał dwie czy trzy sekundy. Potem błyskawicznym uderzeniem złamał Kreeganowi nos swoją laską. Steward krzyknął z bólu, ukrył twarz w dłoniach i pochylił się do przodu. Chamberlain pomyślał, że sięga pod siedzenie po pistolet, ale Kreegan po prostu jęczał; wybito mu z głowy chęć do walki.

— Gdzie jest Grandzau?

— Nie wiemy — odpowiedział spokojnie Chamberlain.

Mężczyzna w czerni sięgnął przez otwarte okno i włączył wewnętrzne

oświetlenie pojazdu. Spoglądał na Amerykanina ponad schyloną głową Kreegana.

— Nurkowałeś, żeby dowiedzieć się, dokąd płynął Streicher. Co znalazłeś?

— Nic.

Spojrzenie mężczyzny było mrozące, jakby wiedział, że zrobi coś okropnego i odkładał to na później, rozkoszując się oczekiwaniem.

— Mój nurek ciągle jest na dole. Jak przypuszczasz, co znalazł?

Chamberlain wiedział, że nie ma sensu kłamać. Zdradzała go rana na plecach. Starał się, by jego głos brzmiał obojętnie, a zachowanie nie było wyzywające. Intuicyjnie wyczuwał, że ten Rosjanin stanowi śmiertelne zagrożenie. Chamberlain próbował zignorować pełne bólu jęki Kreegana.

— Twój nurek złamał kark. Wpadł na wrota śluzy.

— Nigdy nie był lekkomyślny.

— Miałem szczęście — odparł Chamberlain, starając się znaleźć sposób na uspokojenie mężczyzny. Narastało w nim wrzenie, które zapowiadało wybuch.

— Zatem musisz zdać raport zamiast niego. Dokąd płynął Streicher? Gdzie jest Grandzau?

— Nie wiem.

Świszczący oddech wydobywał się z ust Kreegana. Nadal był zgięty w przód, trzymając twarz ukrytą w dłoniach.

Mężczyzna w czerni spojrział na stewarda, a potem odezwał się do Chamberlaina.

— Wsiadaj z samochodu.

Miał na muszce Chamberlaina, kiedy ten otwierał drzwi i podnosił się. Mężczyzna przed samochodem przeniósł spojrzenie na Kreegana. Człowiek w czerni kazał Chamberlainowi obejść Citroëna i stanąć plecami do siebie. Amerykanin poczuł, jak w mętnym świetle reflektorów Rosjanin bada jego ranę od noża.

Od wody wiał przejmujący wiatr, który przenikał przez rozcięcie gumowego kombinezonu. Był on izolowany, żeby chronić ciało przed utratą ciepła pod wodą, ale na powietrzu ten kombinezon był przewiewny jak sito. Chamberlain zaczął się trząść w nie kontrolowany sposób. Chłodny żwir plaży ziębił bosc stopy. Wydawało mu się, że krwotok ustał, ale czuł się słabo.

Mężczyzna w czerni stanął przed nim, z chudą twarzą, niesamowicie białą w świetle samochodowych reflektorów. W jednej ręce trzymał laskę, w drugiej beretkę. Miotające nim uczucia zdawały się dochodzić do zenitu, ale był na tyle ostrożny, by nie stanąć na linii strzału swojego partnera. Chamberlain przygotował się na uderzenie laską.

— Gdzie jest Grandzau?

Amerykanin nic nie powiedział.

Człowiek w czerni skinął na swojego towarzysza, który zwrócił całą swoją uwagę na Chamberlaina. Potem przekreślił laskę i wyciągnął jeździecką szpicrutę, prawie tak długą, jak jej futerał. Chamberlain zastanawiał się, czy ktokolwiek w portowej wiosce mógł dostrzec słabo oświetlony samochód na plaży.

— Gdzie jest Grandzau?

— Nie wiem.

Mężczyzna w czarnym ubraniu sprawdził, czy jego partner trzyma Chamberlaina na muszce, potem schował pistolet do kabury pod pachą i rozkazał:

— Zdejmij kombinezon.

— Czekaj — rzekł Chamberlain, nie całkiem wierząc w to, co się właśnie działo. — Nie wiem, gdzie jest Grandzau i bicie mnie tym...

— Zamknij się!

— Mówię tylko, że to nie zmieni faktów — spokojnie upierał się Chamberlain, bacznie obserwując pejecz.

Mężczyzna w czerni obdarzył go śmiercionośnym spojrzeniem.

— Nie mam czasu, żeby się z tobą spierać. Nie przechytrzysz nas. Chcemy Hammonda i CIA nas nie powstrzyma.

— Nie jestem z CIA.

— Zdejmij kombinezon — powtórzył, przesuwając pejecz w dłoni. — Albo mój człowiek cię zastrzeli.

Chamberlain wiedział, że mężczyzna nie żartuje i skapitulował. Odpiął zatrzaski w kroku i odsunął suwak kurtki. Ręce Rosjanina drżały, jakby był podniecony. Amerykanin przypuszczał, że to wolny strzelec. Zatrudnianie psychopatów nie pasowało do tak zrównoważonej i pozbawionej poczucia humoru organizacji jak KGB.

— Stój!

Chamberlain zamarł, żeby pokazać, że nie ma broni.

— Ręce na kark!

Podniósł ręce i stał, drżąc, zupełnie bezbronny. Rosjanin sięgnął między otwarte poły kurtki i ostrożnie wyjął rozmoczoną mapę, którą Chamberlain zabrał z zatopionej łodzi Hansa Streichera. Rozłożył ją na bagażniku samochodu i oświetlił latarką-ołówkiem.

Chamberlain patrzył kątem oka. Na mapie faktycznie wykreślono ołówkiem kurs. Streicher kierował się na północny wschód, w stronę Wysp Normandzkich. Linia kończyła się niedaleko Sark, około dwustu mil od Brestu.

Rosjanin podniósł wzrok znad mapy i popatrzył w ciemność, gdzie stała na kotwicy rybacka łódź. Wydał głęboki, gardłowy dźwięk, który, jak wiedział Chamberlain, musiał być przekleństwem. Łódź była bezużyteczna — zbyt wolna jak na taki dystans. Rosjanin potrzebował samochodu. Najpierw samochodu, a potem innej łodzi. Rzucił rozkaz i wskazał na Kregana.

Chamberlain zaczął się cofać, z rękami nadal na karku. Nie trzeba było znać rosyjskiego, żeby zorientować się, że ludzie z KGB mają zamiar zabrać samochód i pozbyć się świadków. Mężczyzna w czerni wyprostował się i z gniewem schował swój pejcz. Jego ciemne oczy spojrzały na Chamberlaina, spostrzegł, że jeniec się poruszył. Wyciągnął broń równie szybko, jak wąż wysuwa język i zmierzył się do strzału.

Jego towarzysz otworzył drzwiczki i wyciągnął Kregana za klapy. Rosjanin krzyknął, kilka sekund za późno. Obrzyn Kregana huknął jak wybuch dynamitu, odrzucając przeciwnika w ciemność. Oślepiony wystrzałem, Chamberlain rzucił się na piasek i szybko poczołgał wokół samochodu. Usłyszał szybkie: *trzask! trzask!* beretty, wrzask Kregana, a sekundę później *bum!* z obrzyna.

W blasku wystrzału Chamberlain spostrzegł, że mężczyzna w czerni biegnie w kierunku morza. Amerykanin szarpnięciem otworzył drzwiczki samochodu, schwycił pistolet, który Kregan zostawił mu pod siedzeniem i wypalił w stronę, w którą pobiegł Rosjanin. Strzał ponownie oświetlił plażę, jak błysk lampy fotograficznej. Chybił. Rosjanin skreślił w prawo.

Chamberlain wypalił jeszcze dwukrotnie. Dwa strzały z beretty powiedziały mu, że nie trafił. Podniósł broń. Z drugiej strony samochodu usłyszał szept Kregana.

— Niech pan stąd ucieka, sir. Nie ma pan odpowiedniego zasięgu. Zdejmie pana na odległość. Do samochodu.

— Możesz prowadzić? — wyszeptał Chamberlain, wyraźnie świadomy, że wewnętrzne oświetlenie jest ciągle włączone, a wyłącznik znajduje się po drugiej stronie.

Kreegan zdobył się na wymuszony śmiech.

— Prowadzić? — zachichotał. — Ledwo mogę utrzymać broń.

— Jesteś ranny?

— Niech pan ucieka, sir. Dopóki pan może. Nie ma pan odpowiedniego zasięgu.

— Trzymaj się — zawołał Chamberlain. Poczłogał się, okrążając tył pojazdu i wskoczył w otwarte drzwi od strony kierowcy, by zgasić oświetlenie wnętrza. Znalazł wyłącznik, a potem zamknął drzwi. Strzał zabrzmiał od strony morza, a kula zadzwoniła o blachę. Rykoszet, to znaczy, że przeciwnik ostrzeliwał bok pojazdu pod ostrym kątem. Był tuż za samochodem.

Chamberlain macał drogę w ciemnościach, pełząc po piasku i kamkach do miejsca, gdzie leżał na brzuchu Kreegan, trzymając obrzynek w obu rękach i celując w stronę wody.

— Proszę mnie nie ruszać, sir.

— Muszę wsadzić cię do samochodu.

Kreegan odtrącił go z jękiem.

— Jestem martwy, sir. Nie ma sensu, żeby bolało jeszcze gorzej niż teraz.

— Nie jesteś jeszcze martwy. Zabieram cię do szpitala.

— Przepraszam, że to spieprzyłem.

— Nie bądź idiotą, Kreegan. Będziesz tam za godzinę.

— Dziękuję, że pozwolił mi pan pójść ze sobą, sir.

— Co takiego? — Chamberlain w ciemnościach nie widział ran Kreegana. Delikatnie przesunął ręką po jego plecach, ale mężczyzna został postrzelony z przodu i kule z beretty widocznie utkwily w ciełe.

— Wie pan, chciałem mieć trochę zabawy, jak kiedyś w czasie służby.

— Gdzie jesteś ranny?

— Dzięki, sir.

— Trzymaj się, Kreegan. Wydostaniemy się stąd.

Ranny nie odpowiedział. Chamberlain dotknął go, ale tamten leżał nieruchomo. Wyciągnął rękę i poszukał tętna. Nie wyczuł go, a kiedy

przyłożył ucho do piersi Kreegana, nie usłyszał nic, z wyjątkiem szumu fal i hałasu, który powodował Rosjanin, krążący coraz bliżej po kamienistej plaży.

Chamberlain znalazł broń Kreegana i oddał kilka strzałów w stronę tych odgłosów. Oślepiający blask oświetlił pustą plażę. Gdzieś w pobliżu mężczyzna w czerni czołgał się po ziemi. Chamberlain wśliznął się do samochodu, uruchomił silnik i wcisnął gaz do dechy. Ruszył ostro do przodu zatrzaszkując drzwi.

Poprzez huk silnika usłyszał trzask dwóch wystrzałów. Kula trafiła bok pojazdu, nisko, obok kół. Rosjanin strzelał w opony.

Potem Amerykanin znalazł się poza zasięgiem strzału. Włączył światła. Przed samochodem wychynęła kamienna ściana. Chamberlain ostro wziął zakręt, minął mur o centymetry i pomknął przez portową wioskę, z trudem prowadząc samochód.

Czuł, że traci świadomość. Gdy czołgał się wokół samochodu, rana znowu się mu otworzyła. Czuł, jak wyciekają z niego siły i wola.

Zacisnął ręce na kierownicy i wystawił częściowo twarz za okno, pod strumień zimnego powietrza. Samochód przyspieszał, kołysząc się z boku na bok na wąskich uliczkach. Pete mgliście zdawał sobie sprawę, że musi jechać do Brestu. Rozpaczliwie potrzebował pomocy, ale Kreegan nie żył.

Musi dostać się na lotnisko. Jeśli ma szczęście, naprawili już samolot Comptelu i przylecieli do Brestu. Sprowadzą mu lekarza. I polecą z nim na Wyspy Normandzkie. Jeśli nie umrze, zanim dotrze na lotnisko.

Stał swoim Citroënem na światłach w połowie drogi przez Brest, kiedy zza rogu wyjechało niebieskie Renault i zaczęło z dużą szybkością oddalać się w kierunku, z którego nadjechał Amerykanin. Prowadząca pojazd blondynka była tą kobietą z Brukseli i Marsylii, którą uważał za współpracowniczkę Grandzaua.

Chamberlain gwałtownie obrócił kierownicę i spróbował wyjechać z rzędu samochodów, czekających na zmianę światel. Cięcie od noża na plecach zapiekło paskudnie. Znowu rozerwał tę przeklętą ranę. Zazgrzytał zębami, cofnął się i ze złością wrócił na swoje miejsce. Wiedział, że rana nie jest głęboka, ale nie była przez to mniej bolesna. Ani nie przedstawiała krwawic.



Ulice były zakorkowane i zdawało się, że żaden wracający do domu francuski pracownik, wart swojej płacy, nie zamierza ustąpić nawet o cal bogatemu człowiekowi w Citroënie. Chamberlain w końcu zawrócił, ale nie mógł ryzykować jazdy z dużą prędkością po ulicach miasta, gdyż żandarmeria zadawałaby zbyt dużo pytań kierowcy w kombinezonie nurka. Jego ubranie znajdowało się na tylnym siedzeniu, tam gdzie położył je Kreegan. Rosjanin odsunął je na bok, ale Chamberlain widział, że było tam wszystko, łącznie z portfelem.

Wydawało mu się, że dostrzeża światła renaulta, który zatrzymał się na skrzyżowaniu. Gdy podjechał bliżej zorientował się, że chociaż jest to renault, to jednak nie błękitne, lecz czerwone i prowadzone przez księdza. Spojrzał w lewo, w prawo i przed siebie. Wszędzie były samochody i uświadomił sobie, że nie ma szans na odnalezienie kobiety. Objechał kwartał i skierował się znowu na lotnisko.

Ubrał się w samochodzie i poszedł do stanowiska dla prywatnych samolotów, poruszając się tak pewnym krokiem, jak tylko to było możliwe. Zobaczył wcześniej, jak źle wygląda, gdy czesał się przed wstecznym lusterkiem. Dyżurna spoglądała na niego nerwowo.

— Gdzie jest samolot Comptelu?

— Ach! — W jej głosie brzmiała ulga. — *Oui, monsieur.* — Objasniła go przy pomocy łamanego angielskiego i gestów.

Chamberlain wyszedł przed hangar i znalazł samolot we wskazanym miejscu, z oświetlonymi oknami i opuszczonym trapem. Z trudem wciągnął się po stopniach i załomotał w drzwi, zamknięte dla ochrony przed zimnem. Drugi pilot otworzył i wyjrzał w ciemność.

— Chamberlain.

— Nic panu nie jest, sir? Kompania próbowała pana odszukać.

Chamberlain zacisnął obie ręce na poręczy trapu i stwierdził, że nie może się ruszyć.

— Owszem. Potrzebuję lekarza. I obawiam się, że mam dla was złe wieści. Kreegan...

— Hej, kto, do diabła...

Chamberlain obrócił się do połowy, gdy jakiś człowiek wypadł jak burza z kryjówki pod odrzutowcem, wbiegł po trapie i wepchnął Amerykanina oraz drugiego pilota do środka.

# Rozdział dziewiętnasty

— Hej, Pete! Wyglądasz na trochę poszarpanego, chłopie.

— Arnie!

Chamberlain uwolnił się od przerażonego pilota i wpatrywał w Arnie'ego Fasta. Był to potężny facet, siwiejący, z surową twarzą i dobrym uśmiechem. Tak jak Chamberlain, miał dziwne blizny, rozrzucone wokół ostrego nosa i na wysokich policzkach. Rozpięta kurtka odsłaniała zimowy kombinezon bojowy i wielki pistolet na biodrze. Wyglądał na zmęczonego, a Chamberlain znał go wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że jest też trochę pijany.

— Masz tu miły, mały samolocik, Pete. Ma też przypadkiem bar?

— Tędy. — Lekko pchnął Arnie'ego do głównego salonu, zasunął zasłonę i zwrócił się do drugiego pilota, który wpatrywał się w krew Chamberlaina na swoich dłoniach.

— Potrzebuję natychmiast jedzenia. Gorącego i dużo. On także. I będę musiał zadzwonić do Nowego Jorku.

— Spróbuję, sir. Kuchnię zajmuje się Kreegan.

— Znajdź kogoś, żeby przejął obowiązki Kreegana. Ale najpierw lekarza — zerknął na kurtynę i szepnął: — Powtórz kapitanowi, że startujemy dzisiejszej nocy. Powiedz mu, żeby znalazł pas do lądowania na Wyspach Normandzkich. Na Sark, jeśli mają tam jakiś. Jeśli nie, to na Cherbourg. I dodaj, że obu was czeka premia, kiedy tylko wrócimy do Nowego Jorku.

Przecisnął się przez osłoniętą kuchenkę, niewielką kabinę, gdzie Kreegan niegdyś przygotował mu miejsce do spania, aż dotarł do głównej kabiny. Arnie stał oparty o bar. Pomachał szklaneczką.

— Uszy do góry, chłopie.

— Pieprzę cię!

Arnie wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Spotykamy się pierwszy raz w tym roku, na obcej ziemi, a ty mówisz do mnie: „pieprzę cię”? To jest podziękowanie za to, że pomagałem ci przez cały tydzień?

— Byłem dla was osłoną. Użyłeś mnie, żeby zbliżyć się do Hammonda.

— Na wypadek gdybyś tego nie wiedział, przeciętny amerykański podatnik nie może dzwonić do swojego miejscowego człowieka z CIA po ostatnie informacje ze starego komputera.

— Wielkie dzięki. Gdy tylko byliście blisko, poszedłem w odstawkę.

— Co zrobiliśmy?

— Dziś rano placówka w Breście wyłączyła swój telefon. Gdy zadzwoniłem do Waszyngtonu, twoja sekretarka dała mi cholernie jasno do zrozumienia, że będziesz na konferencji przez większą część roku.

— To było dziś rano.

— Co tu robisz?

— Prawdę mówiąc, byłem w pobliżu. — Podniósł butelkę szkockiej i przechylił ją w stronę Chamberlaina, ale raptem spoważniał. — Dokładnie rzecz biorąc, wybieram się na Cherbourg — zlekceważył ostre spojrzenie Chamberlaina. — Myślałem więc, że wpadnę zobaczyć, jak ci idzie tu, w Breście. To tylko jakieś dwieście mil — obrzucił spojrzeniem luksusową kabinę. — Oczywiście, ja leciałem lotem rejsowym, w przeciwnieństwie do moich starych kumpli na emeryturze, który zwiłali z Agencji, kiedy potrzebowała ich najbardziej — przytknął szklaneczkę do ust.

— Ja nie zwiłem. Po prostu się przeniosłem.

— Wiesz, Pete, półzawodowe szpiegostwo to coś w rodzaju półzawodowej piłki. Dużo bardziej pół, niż zawodowe.

— Arnie, jest mi zimno, jestem ranny i zmęczony. Czego chcesz?

— Coś nowego na temat Grandzaua? — Jeszcze raz wysunął butelkę w kierunku Chamberlaina. Ten skinął głową.

— Bez lodu — stuknęli się szklaneczkami. Chamberlain wypił, by się ogrzać i odprężyć. Paliło cudownie. — Może mam jedną czy dwie informacje dla ciebie, ale wiedząc, jak odprawileś mnie dziś rano, chcę, żebyś najpierw odpowiedział na parę moich pytań.

Dolał sobie alkoholu i usiadł.

— Pospiesz się, Pete. Skończmy to okrężne pieprzenie.

— Nie mam nic przeciwko temu. Myślę, że Grandzau ma swojego agenta wśród nas. Kobietę. Piękną. Blondynkę. Wygląda na bogatą trzydziestolatkę. Kto to jest?

— Rysopis pasuje do dawnej dziewczyny Grandzaua. Angielka. Lady Janet Isling. Córka jakiegoś lorda. Bogata i świrnięta. Próbowaliśmy ją znaleźć, kiedy zaczęły się telegramy od Lancelota, ale zniknęła ze swojego domu na południu Francji. Widziałeś ją?

— Ogłuszyła mnie w Marsylii.

— To w jej stylu. Przemyciała narkotyki dla Grandzaua, kiedy walczył z chińskimi handlarzami. Włóczyła się kiedyś po Paryżu z francuskimi najemnikami. Wie, jak dać sobie radę. Myślałem, że do tej pory zaćpała się już na śmierć. Ten typ zwykle tak kończy.

Chamberlain chciał wypróbować swoją teorię.

— Albo może szpieguje nas dla Grandzaua.

Zdawało się, że na Arnie'em nie wywarło to wrażenia.

— Ktoś załatwił Streichera i Nagumo — powiedział Chamberlain.

— Prawda. Jakie jest twoje drugie pytanie?

— Prawdopodobnie agent KGB. Rosjanin albo mieszkaniec środkowej Europy. Trzydzieści czy czterdzieści lat, trudno powiedzieć. Wysoki, kościsty. Bardzo dziwny. Nosi szpicrutę schowaną w lasce i lubi jej używać.

— To brzmi zabawnie, ale nigdy o nim nie słyszałem.

— Zapytaj swój komputer. — Chamberlain wezwał drugiego pilota, który oznajmił, że przyjechała lekarka. — Dobrze. Zaprowadź ją do kabiny na ogonie i zamów rozmowę z Langley w Wirginii — wręczył słuchawkę Arnie'emu. — Do zobaczenia wkrótce. Idę dać się połatać i założyć jakieś suche ubranie.

— Moi ludzie obserwują samolot.

— Świetnie wykorzystujesz swoje siły.

Chamberlain otworzył lekarce drzwi i poprowadził ją do kabiny. Była to postawna, surowa francuska matrona o wielkich dłoniach.

Pomogła mu zdjąć koszulę i odsunąć kurtkę kombinezonu. Leżał twarzą do dołu na łóżku, kiedy badała ranę od noża. Zrobiła mu kilka zastrzyków przeciwbólowych wokół cięcia i zaczęła szyć.

— Dużo pan stracił krwi? — zapytała po angielsku, kiedy skończyła szycie.

— Tak.

— Proszę się ostrożnie odwrócić.

Wyjęła dwie plastikowe paczki, pokryte rosą, widocznie niedawno wyjęte z lodówki, i rozpoczęła transfuzję przez żyłę lewej ręki.

— Pańska grupa krwi była w dokumentach kompanii.

— Pracuje pani dla Comptelu?

— Oczywiście.

— Jak źle jest z moimi plecami?

— Jestem pewna, że dolegliwości są dużo gorsze, niż faktyczny stan pańskiej rany. Przez parę dni będzie się pan musiał poruszać ostrożnie.

— Zamarzam. Czy mogę wziąć gorący prysznic?

— Nakleiłam wodoodporny plaster.

Dwadzieścia minut później lekarka pomogła mu założyć szarą marynarkę od garnituru, odświeżoną i uprasowaną, i zapytała, jak się czuje.

— Nieźle. Bardzo dziękuję.

Poprawiła mu krawat i wyszła z uśmiechem.

Kiedy Chamberlain dołączył w głównej kabinie do Arnie'ego, na przenośnym stoliku stały już dwa nakrycia, a steward w białej kurtce czekał, żeby podać zupę. Arnie opuścił swój kieliszek z sherry.

— Wyglądasz lepiej.

— Czego się dowiedziałeś?

— W aktach europejskich agentów KGB nie ma nikogo, kto odpowiadałby temu opisowi. Będziemy jeszcze szukać.

— Miałem wrażenie, że to wolny strzelec — rzekł Chamberlain. Szybko zjadł swoją zupę i kazał stewardowi bezzwłocznie przynieść główne danie.

— Moja kolej — stwierdził Arnie. — Co wiesz?

Od chwili wejścia do samolotu Chamberlain zastanawiał się, czy powiedzieć mu o mapie Streichera. W pierwszej chwili miał ochotę sam popłynąć na wyspę, ale Rosjanin wiedział także o kryjówce Grandzaau. Amerykanin nie był w stanie dzisiejszej nocy, bez żadnego przygotowania,

stawić czoła jednocześnie i jemu, i porywaczowi. Drużyna Rosjan straciła czterech ludzi od czasu spotkania w Marsylii, więc mężczyzna w czerni ma swoje własne problemy. Jeśli nawet wspomaga go reszta europejskiego KGB, potrwa kilka godzin, zanim będzie mógł zrobić coś takiego, jak nocny atak na jakąś skałę na kanale La Manche.

Chamberlain popatrzył Arnie'emu w oczy.

— Wiesz cholernie dobrze, że nie chcę, byście zrobili jakiś błąd i spowodowali śmierć Hammonda, ale muszę ci powiedzieć, że prawdopodobnie Rosjanie rano zaatakują Grandzaua.

— Gdzie?

— Jest na małej wyspie na Kanale, na zachód od Sark.

— Cholera! To wszystko, co wiesz?

— To moje przypuszczenia.

— Tak, wielkie dzięki za to, Chamberlain. Straciłem cały oddział szturmowy na tej pieprzonej skałe dzisiejszego popołudnia.

— Co...? — wysapał Chamberlain.

— Poskładaliśmy fragmenty, łącznie z kilkoma, o których nie wiedziałeś, i obejrzelśmy to miejsce z powietrza. Pogoda była koszmarna i coś oglupiało radary naszego wsparcia lotniczego tak, że nie mogliśmy wycofać oddziału szturmowego.

— Kupili zagłuszacze radarów od pewnego japońskiego ekstremisty.

— Cudownie to teraz słyszeć, Pete.

— A jak, do diabła, miałem ci o tym powiedzieć?

Arnie wpatrywał się w niego oczami głęboko zapadniętymi ze zmęczenia.

— W każdym razie, Grandzau przygotował nam niezłe powitanie. Naszpikował tę pieprzoną plażę minami przeciwpiechotnymi. Miał kilka niezłych ulokowanych karabinów maszynowych. Więc nie udało im się ocalić tyłków. Kilku z twoich dawnych kumpli z FOK... Nie, nie znałeś ich. Młodzi faceci...

— Hammond?

— Myślisz, że byłbym tutaj, gdybym miał Hammonda?

— Dlaczego tu jesteś?

— Na mało prawdopodobny wypadek, gdybyś odkrył coś, o czym jeszcze nie wiemy.

— Frontalny atak wydaje się dość głupi, Arnie. To porwanie, a nie wojna.

Arnie podniósł się ze złością.

— Jesteś trochę bliżej? Grandzau zniknął, uciekł, nie ma go. Ten cholerny Szwab urządził nam jatkę. Nawet KGB się zagubiło. Wszyscy się zagubili.

— Przykro mi, że nie zgadaliśmy się o tych zagłuszaczach radarów.

— Tak, mnie także.

Arnie przeszedł obok nowego stewarda, przecisnął się przez drzwi i zszedł po trapie. Gniewnie machnął na kilka cieni, które zmaterializowały się w postaci ludzi i wszyscy pomaszerowali do budynku terminalu. Chamberlain skończył swój stek, a potem sięgnął po porcję Arnie'ego. Zabrzączał interkom i drugi pilot oznajmił, że mają połączenie z Nowym Jorkiem. Chamberlain westchnął i bez powodzenia spróbował pocieszyć się jeszcze dwoma łykami szkockiej. Przynajmniej Hammond nie został zabity. A kiedy skończył opowiadać Helen Thorp o ostatnich porażkach, mógł pójść do łóżka.

— Głupcy — stwierdził Henri. — Wszędzie, tylko nie tam, gdzie my jesteśmy.

Schowali swoją smukłą, niską łódź pod mołem. Stąd był dobry widok na keję i skalne ostrogi, które tworzyły wejście na kotwiczowisko. Było tu niewiele miejsca, a ponieważ wzbierał przypyływ, musieli dwukrotnie poprawiać liny, przywiązane do pali mola. Za to znajdowali się w głębokim cieniu, niewidoczni z nabrzeża.

Lady Janet była niemal zrozpaczona. Jak ukraść łódź w styczniu na północnym wybrzeżu? O tej porze roku na wodzie były tylko kutry rybackie, a one nie rozwijały wystarczającej prędkości, by nadążyć za motorówką, którą wyśle Grandzau. Potem Trefle wpadł na pomysł, żeby ukraść łódź z jakiegoś zimowego hangaru.

Włamali się do basenu jachtowego na przedmieściach Brestu. Z powodu zimna, pory dnia i świąt, mieli to miejsce wyłącznie dla siebie. Wciągnęli na wózek szybką, przystosowaną do podróży morskich motorówkę, i zaopatrzyli ją w parę wielkich przyczepnych silników. W czasie, gdy Trefle sprawdzał silniki i podłączał akumulatory, kobieta rozejrzała

się po okolicy i wzięła z pół tuzina dodatkowych zbiorników z ropą. Zaczepili wózek do renaulta, zaopatrzyli się w paliwo z zaryglowanego dystrybutora na przystani jachtowej, i pojechali na wybrzeże do sąsiedniego portu. Zmarzli, przemokli i wytrzęśli kości, spuszczać w ciemnościach łódź na kotwicowisko. Wreszcie Trefle pchnął mocno i motorówka ze straszliwym łomotem uderzyła w powierzchnię wzburzonego morza.

— Która godzina? — zapytała lady Janet.

— Dziesiąta. Obudź mnie o jedenastej — powiedział i zaraz usnął, pochrapując lekko.

Lady Janet jeszcze raz przyjrzała się przystani, zobaczyła, że żaden z najemników nie zmienił pozycji, i skierowała uwagę na pomosty. Wyteżała uszy, nasłuchując dźwięku łodzi Grandzaua. Była przemoczona i zamarzała z zimna, a działanie ostatniego zastrzyku skończyło się o kilka godzin za wcześnie. Zgłodniała, wbiła zęby w ser, oderwała kawałek chleba, zjadła i popiła podkradzionym Trefle'owi łykiem czerwonego wina.

Miała ochotę na następny zastrzyk. Wytrzymała do dziesiątej trzydzieści.

Trefle obudził się o jedenastej.

— Prześpij się trochę.

— Jestem w porządku. Czuję się całkiem nieźle.

Nie widziała wyraźnie twarzy, ale czuła jego spojrzenie i wydawało jej się, że dostrzega, jak światło ulicznej latarni odbija się w jego oczach. Patrzył na nią.

— Używasz mnóstwo tego towaru.

— Nie brałam od roku. To tylko z powodu bólu.

— Zawsze tak jest.

Podawała mu lornetkę i ułożyła się na poduszkach, gdzie poprzednio leżała. Czasami, kiedy była mocno odurzona, nie pamiętała, dlaczego poluje na Grandzaua. Chłód i ból, i nienawiść były odległe. Wyobraziła sobie ból i nienawiść, siedzące na kei. Wpakowane do pudełek, klatek, czekające, żeby je podnieść i wysłać na morze. Czekające razem z najemnikami na łódź Grandzaua.

Wyobraziła sobie, że wstaje i spogląda na nabrzeże, i widzi stojącą tam klatkę. Patrzyła na nią przez długi, długi czas. Trefle potrząsnął nią.

— Wstawaj! Coś nadpływa.



Chwiejnie usiadła. Trefle nabrał w dłonie wody zza burty i spryskał jej twarz.

— W porządku. W porządku.

— Posłuchaj.

Doleciał ją cichy warkot silnika.

— Coś jest nie tak — szepnęła. — To nie dochodzi z wody. Trefle zaklął cicho.

— Odwiąż ster.

Rzuciła linę do wody. Czula pośpiech Trefle'a. Nie było czasu na odwiązywanie motorówki od pała. Trefle odciął nożem cumę dziobową. Zanim łódź oddryfowała kawałek, usiadł za kołem sterowym, z ręką na kluczyku startera, drugą ręką przytrzymując się pała pomostu. Lady Janet przewiesiła przez ramię pistolet maszynowy i sprawdziła nabrzeże przez noktowizor.

— Patrzą w stronę ulicy — zameldowała. — Myślę, że oni też nie wiedzą, co to jest. Wyciągnęli broń.

— Może to po prostu ktoś wyjechał na przejażdżkę — powiedział z powątpiewaniem Trefle. — Widzę światła.

Para reflektorów wspięła się na wzgórze i zjechała szybko.

Trefle zaklął. Lady Janet obserwowała najemników. Ten na dachu miał broń skierowaną na nabrzeże. Światła zniknęły za budynkiem i chwilę później pojawiły się ponownie na kei.

Samochód zawrócił i stanął frontem w stronę ulicy. Ktoś krzyknął:

— Merlin!

— Teraz! — wrzasnęła lady Janet.

— Merlin! Merlin! — stary kod Grandzaua. Jego hasło. Najemnicy biegli w stronę samochodu. Trzech wystartowało z bramy, pędząc przez otwartą przestrzeń.

Trefle nacisnął jednocześnie oba startery. W następnej sekundzie wielkie, ryczące silniki mercury weszły na najwyższe obroty i łódź frunęła przez kotwiczowisko.

Lady Janet zerwała z ramienia pistolet i skierowała jego perforowaną lufę na samochód. Trzech najemników było już w środku, a ostatni ześlizgiwał się po rynnice.

Nacisnęła spust i pistolet odezwał się płynną serią.

Trefle podbił lufę.

— Nie zabij kierowcy!

Francuz zatoczył łuk wzdłuż nabrzeża i stracił kontrolę nad nabierającą prędkości łodzią. Uderzyli ciężko w nabrzeże. Rzuciło ich na dno, w płataninę lin, poduszek, siedzeń i pospiesznie podłączonych kabli instalacji elektrycznej. Lady Janet uwolniła się pierwsza, wdrapała na wysokie nabrzeże i wciągnęła za sobą broń.

Samochód oddalał się. Tylne drzwi wisiały otwarte. Ostatni żołnierz dogonił pojazd i skoczył. Pozostali wciągnęli go do środka i samochód z piskiem opon wziął zakręt.

Lady Janet biegła ze wszystkich sił, błyskawicznie pracując nogami i udało jej się nieco zmniejszyć dystans, ale kierowca wrzucił dwójkę i odjechał. Zrozpaczona kobieta wystrzeliła długą serię w opony.

Samochód zarzucił na zakręcie, okrążył budynek i zniknął z pola widzenia. Kilka sekund później Angielka zobaczyła jego tylne światła wjeżdżające szybko na wzgórze. Przebiegła jeszcze kilka jardów, powłócząc nogami przeszła następne parę kroków i zatrzymała się na środku ulicy, z opuszczoną bronią w ręce.

W domach zapaliły się światła i ktoś ostrożnie uchylił drzwi. Lady Janet nie zwracała na to uwagi, nie odrywała wzroku od szczytu wzgórza. Zasapana patrzyła, jak samochód ucieka. Oślepiły ją gorące łyzy.

— Chodź! — krzyknął Trefle.

Kobieta nie mogła się ruszyć.

Niejasno uświadamiała sobie obecność światła w oknach i dolatujące skądś krzyki ludzi. Nie dbała o to. Nadbiegł Trefle. Miał krew na twarzy.

— Wynośmy się stąd.

— Nie przyszło nam do głowy, że nadejdą od strony łądu — wyszeptwała.

— Później.

— Grandzau odwrócił uwagę wszystkich — powiedziała zrezygnowana — i skierował ją na kanał La Manche. — Broń wyśliznęła się z jej dłoni i zadzwoniła o kamienie. Kilku mężczyzn wyszło na ulicę. Dużych mężczyzn. Ośmielił ich widok kobiety, samotnego mężczyzny i leżącego pistoletu.

Trefle warknął. Podniósł broń, zarzucił sobie lady Janet na ramię i zaniósł ją z powrotem do łodzi.

### *Muszę uciec.*

Charles Hammond powracał do życia. Jego umysł znowu pracował, przeżywał problem, wydobywał się z letargu, spowodowanego narkotykami, szokiem, strachem i pozbawieniem wolności. Przynieśli mu herbatę w cynowym kubku. Uderzył nim głóśno o żelazne drzwi.

Kto go porwał? Dlaczego? Gdzie znajdowało się to pozbawione okien pomieszczenie ze stalowymi drzwiami? Gdzieś na północy. Było zimno i wilgotno, i mężczyzna musiał stać blisko grzejnika. Zmieniano miejsce jego pobytu wielokrotnie, ale był zbyt oszołomiony narkotykami, żeby pamiętać coś więcej poza tym, że przewożono go samolotami, helikopterami i ciężarówkami. Nie wiedział jednak nic o swoich porywaczach. Nie wiedział, czego chcieli. Nie wiedział, czego potrzebowali. Nie wiedział, jak zamierzali to dostać.

W bardziej sprzyjających okolicznościach — powiedzmy, w bezpiecznym schronieniu malgaskiej willi, w pachnącym ciepłe tropikalnych ogrodów — sytuacja Charlesa Hammonda, pośrednika, który nie miał o niczym pojęcia, mogła być ironicznie zabawna.

Informacja to było jego życie, jego praca, jego umiejętności i talent. Żeby odnieść sukces w negocjacjach, najpierw trzeba wiedzieć, czego się chce. A potem, kogo? Kto jest potrzebny? Kto się liczy? On znał właściwych ludzi: tych, którzy się liczyli — nieustannie zmieniającą się bandę zwycięzców — tych, którzy przeżyli i pokonanych. Znal ich pragnienia. I co najważniejsze, znał ich potrzeby. Dowcip jednak polegał teraz na tym, że role się odmięniły. To on był jedynym potrzebującym i nie wiedział, co się, do diabła, dzieje. Wiedział tylko, że musi uciec. Porwanie nie mogło się zdarzyć w gorszym momencie, nawet gdyby Bóg We Własnej Osobie wskazał go palcem.

Jego strażnikami byli Francuzi. Poprawka, mówili po francusku, z różnymi akcentami.

Może znalazł się w rękach francuskiej Legii Cudzoziemskiej.

Kiepski żart przybliżył go do prawdy. Najemnicy.

Uśmiechnął się i mocniej załomotał kubkiem.

Miał jakiś fakt. I to taki, który mu się podobał. Wynajęci strzelcy wykonujący swoją robotę. Zawodowcy, którzy nie wpadną w panikę i nie zaczną wariować. Poprzednio starał się ignorować swój strach. Teraz

strach zniknął jak mgła na wietrze. W czyichkolwiek rękach się znajdował, ten człowiek nie był szaleńcem. Hammond nie miał przynajmniej do czynienia z fanatykami, którzy zabiliby go z jakiegoś powodu albo wysłali jego ucho w paczce, by dowieść, że poważnie myślą o interesach.

Kto ich wynajął? Przez głowę przemknęło mu z tuzin możliwości. Miał kilku wrogów, ale któż ich nie ma, jeśli prowadzi skomplikowane interesy. Bardziej prawdopodobna była jednak możliwość, że któryś z jego klientów posiada rywali, oni zaś nie mają nic przeciwko temu, żeby na jakiś czas popadł w tarapaty. Kiedy o tym pomyślał, doszedł do wniosku, że niektórzy z jego klientów są zaangażowani w negocjacje tak makiaweliczne, że mogli na jakiś czas umieścić go w odosobnieniu.

Wrogowie już by go jednak zabili. I — na miłość boską — były prostsze sposoby na przedłużanie rozmów, niż porywanie negocjatora. Ktoś mógł zawsze powiedzieć, że jego rząd czyni trudności. Albo, jeśli zdarzyło się, że ktoś reprezentował jakiś rząd, mógł wszystko zwalić na biurokrację. *Co zwykle i tak robili* — pomyślał kwaśno Hammond.

Zabębnił ponownie kubkiem, mając nadzieję, że motywy porywaczy nie są tymi najbardziej oczywistymi. Z okupem mogły być różne kłopoty. Drzwi otworzyły się.

Stał w nich jego maltański szofer, ten mały łajdak, który rozpylił mu w twarz gaz usypiający. Hammond był ciekaw, czy zamierzali zwrócić go żywego, więc podjął ryzyko. Walnął pięścią Maltańczyka w usta — co zaskoczyło tamtego i przyprawiło Hammonda o satysfakcjonujący ból dłoni — i zaczął biec kamiennym korytarzem.

Maltańczyk doszedł do siebie i wielkimi susami popędził za więźniem. Przed nimi były drzwi. Nie zamknięte na klucz. Hammond otworzył je gwałtownie i znalazł się na kamiennym tarasie z widokiem na zasnutę mgłą morze. Słyszał nadbiegającego kierowcę. Schody. Odwrócił się do nich, ale młodszy mężczyzna złapał go łatwo. Usta mu krwawiły i był wściekły, ale nie próbował się zrewanżować.

Dobrze. Strażnicy mieli rozkaz nie tykać go.

— Chcę się widzieć z twoim szefem.

Maltańczyk wciągnął go do środka i zaczął wpychać z powrotem do celi.

Hammond zgiął się wpół, jakby chwyciły go konwulsje, i przycisnął rękę do piersi. Maltańczyk zeszywniał. Potem pobiegł korytarzem, wzywając pomocy, a tymczasem Hammond wił się na kamiennej podłodze. Kierowca wrócił po kilku sekundach, za nim pojawił się niski, wychudzony, siwowłosy, sześćdziesięcioletni mężczyzna.

Za mężczyzną spieszyli uzbrojeni strażnicy z torbą lekarską. Maltańczyk wyglądał na przerażonego. Siwy mężczyzna ze skupioną twarzą i czujnymi oczami przykleknął obok Hammonda.

— Słyszysz mnie pan?... *Herr* Hammond, słyszysz mnie pan? Niemiecki akcent.

— *Herr* Hammond?

Był wystraszony jak ostatni głupiec.

— Podskórny — rzucił Niemiec. Fachowo nabrał strzykawką adrenaliny z ampułki. Strażnik odpiął rękaw Hammonda. — Myślę, że on przestał oddychać, sir.

*Wiedzą o moim sercu* — pomyślał więzień. — *Zorganizowani. Przygotowani. Czyli potrzebują mnie żywego. Doskonale.* — Usiadł z uśmiechem.

— Nic mi nie jest.

Niemiec wypuścił oddech.

— Dlaczego bawi się pan ze mną w takie gierki? — zapytał nadąsany.

— O ile nie jest pan tutaj po to, żeby uratować mnie z rąk porwaczy, pan także bawi się ze mną w gierki.

— To nie była zabawna sztuczka. — Wycisnął adrenalinę na podłogę i wręczył strzykawkę Maltańczykowi.

— Kim pan jest?

— Zabierzcie go z powrotem do jego celi.

Strażnicy postawili Hammonda na nogi odrobinę mniej delikatnie niż Maltańczyk, i powlekli go korytarzem, a Niemiec odchodził w drugą stronę.

— Zrobię dla pana interes — krzyknął Hammond.

— W pana sytuacji nie może pan dla nikogo robić interesu.

— Jeszcze jak mogę.

— Co ma pan na myśli? — Niemiec odwrócił się i Hammond, który wyciągał szyję, żeby lepiej widzieć ponad ramionami strażników, wiedział, że już go ma.

— Każdy, kto ma coś do zaoferowania, może zrobić interes.

— Pana nie stać na okup. Nie ma pan pieniędzy.

Więc chodziło o okup. Ale skąd, u licha, ten Szwab wiedział, że on nie ma pieniędzy?

— Nie mówię o okupie.

— Nie może pan zapłacić okupu. Nie ma pan nic. I tak długo pozostanie pan w zamkniętym na klucz pokoju, dopóki nie pozwolę panu wyjść.

— Ubezpieczenie.

— Co takiego?

— Mogę zaproponować ubezpieczenie.

— Jakie ubezpieczenie?

— Jeśli powie pan, kim pan jest i co zamierza pan ze mną zrobić, ubezpieczę pańskie przedsięwzięcie na wypadek niepowodzenia.

Niemiec zbliżył się do niego, zaintrygowany. Gestem nakazał strażnikom puścić Hammonda.

— Co chce pan przez to powiedzieć?

— Powiedziałem panu, że mam coś do zaoferowania. — Hammond uśmiechnął się. — Zatem usiądźmy i porozmawiajmy o interesach. Ma pan biuro?

— Podoba mi się pańska odwaga — z namysłem powiedział Niemiec.

— Tak. Chodźmy.

Zaprowadził go korytarzem i po schodach na górę, do podniszczonego, wygodnego salonu z węglowym kominkiem i pluszowymi fotelami — relikdami z lat trzydziestych. Dywan i poźółkłe abażury też pamiętały lepsze czasy. Hammond rzucił przez zasłonięte okno jeszcze jedno spojrzenie na morze, ale nic mu z tego nie przyszło, więc zajął miejsce we wskazanym przez gospodarza fotelu. Ogień był miły, ale w celi Hammonda było ciepłej, dlatego poprosił o jakiś koc. Maltański szofer przyniósł pled i troskliwie otulił mu nogi. Niemiec kazał podać herbatę.

— Tak. Przepraszam za ten chłód. Jestem pewien, że o tej porze roku brakuje panu ciepła pańskiej wyspy.

Hammond skinął głową.

— Od czasu kłopotów z sercem, zdaje się, że nie mogę już znieść tu-tejszej pogody.

— Sam miałem robiony bajpas, kilka lat temu. Nie oszczędzam się zbyt... z tym, że uprawianie miłości stało się ryzykowne.

Hammond uśmiechnął się, dumny z przejęcia kontroli nad sytuacją.

— To jest właśnie mój pomysł na to, jak odejść, jeśli będzie trzeba.  
— Zdumiał się, myśląc nagle bardzo intensywnie o Helen Thorp i dodał poważniej, niż miało to zabrzmieć: — Uprawianie miłości jest w porządku. Zakochiwanie się, albo odkochywanie, to właśnie zabija.

Niemiec wzruszył ramionami.

— Zatem, co jest z tym ubezpieczeniem?

— Premią jest informacja. Kim pan jest? Jaki jest pana plan?

— A co dostanę w zamian?

— Ubezpieczenie okupu.

— Ubezpieczenie okupu?

— Oczywiście. Jeśli coś się nie uda w pańskim planie — a obaj przeżyjemy — zapłacę panu w ciągu sześciu miesięcy milion dolarów.

Niemiec gapił się na niego. Potem wybuchnął śmiechem, a jego rysy zmarszczyły się jeszcze bardziej, kiedy uśmiech rozciągnął mu wargi i brwi wokół długiego, cienkiego nosa.

— Cóż, to bardzo sprytne, ale okup, jakiego się za pana spodziewam, będzie dużo większy niż milion dolarów. Szacuję go na jakieś pięćdziesiąt milionów, może więcej.

— Powiniennem mieć taką nadzieję — padła riposta Hammonda. — Jak w przypadku większości ubezpieczeń, lepiej wychodzi się, jeśli nie trzeba ich pobierać. A wszystko, co pan posiada, to kilka informacji.

— Skąd mam wiedzieć, że pan mi zapłaci?

Rysy twarzy Hammonda stwardniały.

— Jeśli wie pan o mnie wystarczająco dużo, żeby mnie porywać, to zna pan cholernie dobrze wagę słowa Charlesa Hammonda.

— Tak. Dostatecznie.

— Zatem mamy umowę.

— Dlaczego nie? Nie przegram, ale to zabawna myśl.

— Kim pan jest?

Niemiec przedstawił się z uśmiechem:

— Nazywam się Karl Grandzau.

Hammond znał to nazwisko. Szpieg i oszust. Tani, mały pośrednik, notorycznie grający do obu bramek. Grandzau prowadził szpiegowską

grę Wschód — Zachód, posługując się kradzionymi tajemnicami średniej wagi, które często były już nieaktualne, zanim pieniądze przeszły z ręki do ręki. Potem zniknął z pola widzenia. Właściwie Hammondowi zdawało się, że on już dawno nie żyje, ale uśmiezek na twarzy gospodarza wskazywał, że widocznie — i niestety — nie było to prawda.

Ze wszystkich głupich ludzi na świecie, którzy mogli go porwać, porwał go właśnie ten — i właśnie teraz, a nie kiedykolwiek indziej. Przekłety, najgorszy pech. Akurat wtedy, kiedy miał sfinalizować interes swojego życia, wielką sprawę, interes, który zakończy wszystkie interesy. Był o krok od rajy, zanim chwycił go ten typ. Musi uciec.

— Dlaczego sądzi pan, że nie stać mnie na okup? — zapytał swobodnie.

— Wie pan o mnie bardzo mało — odparł Grandzau. — Pan zna wszystkie fakty i wszystkich ludzi, których one obchodzą. Ale ja znam tajemnice.

— Uważa pan, że jest różnica między faktami a tajemnicami? — zripostował Hammond, kryjąc się ze swoją pogardą, dopóki nie wymyśli, jak poradzić sobie z tym pajacem.

— Och, jest ogromna różnica między pańskimi faktami a moimi tajemnicami.

— Na przykład?

Grandzau zaczął mu to objaśniać, ze wszystkimi szczegółami, tajemnicę po tajemnicy. Więzień słuchał, osłupiały, a kiedy Niemiec skończył, Charles Hammond czuł się chory i cały drżał. Grandzau wyjaśnił mu, dlaczego to nie był przypadek, że został porwany.

Ucieczka nie wchodziła w rachubę. Hammond mógł mieć jedynie nadzieję, że właściwi aukcjonariusze wygrają go na czas podczas licytacji Pendragona.

— Jeszcze herbaty?

Podczas opowieści Maltańczyk napełnił filizanki i zostawił czajniczek z poplamioną pokrywką.

— Odpieprz się.

— Jest pan okropnie nerwowy, jak na człowieka, po którym można się spodziewać, że zachowa spokój podczas nawałnicy — rzekł drwiąco Grandzau. — Charles Hammond, negocjator. Wielki pośrednik. Chłodny faktor.



- Mam po dziurki w nosie robienia interesów i pan o tym wie.
  - Proszę się nie denerwować, *Herr* Hammond. Rozczarowanie pańskich nowych przyjaciół nie leży w moim interesie.
- Pośrednik podniósł zmizerowaną twarz.
- Dotrzyma pan słowa? Wypuści mnie pan na czas?
  - Oczywiście — zakładając, że ktoś będzie się o pana ubiegał.
  - Co takiego? Co ma pan na myśli?
  - Proszę się odprężyć — powiedział uspokajająco Grandzau. Ja tylko żartuję, rewanżuję się po prostu za ten „atak serca”. Oczywiście, będą się o pana licytować. Zapłacą królewski okup... Muszą zapłacić za człowieka, który będzie królem.

# Księga trzecia

# Rozdział dwudziesty

OCZEKUJĘ TWOJEGO UDZIAŁU W LICYTACJI PENDRAGONA W HOTELU SAVOY W LONDYNIE. LANCELOT.

— Londyn? To co ja, do diabła, robię w Nowym Jorku?

— Zobaczysz się pan z panną Thorp — oznajmiła mu jej sekretarka. Wzięła z powrotem telegram, który wręczyła Chamberlainowi, kiedy przyjechał, i wprowadziła go do gabinetu Helen Thorp. Kobieta konferowała z młodym dyrektorem w garniturze od Cardina.

Chamberlain pomyślał, że dzięki podwyższonym ramionom marynarki ten facet wygląda tak, jakby miał odlecieć na małych skrzydełkach. Pete był w paskudnym nastroju. Helen odnotowała jego przybycie szybkim spojrzeniem i wróciła do wydawania poleceń.

— Zróbcie do dwustu pięćdziesięciu tysięcy egzemplarzy. Powyżej tej sumy proszę mnie najpierw zawiadomić.

Facetowi zadrżały ręce. Zapytał:

— Mogę dojść do miliona?

— Nie bez powiadamiania mnie.

Wstała i obeszła biurko, odprowadzając mężczyznę do drzwi. Facet popatrzył na Chamberlaina, jakby był ze szkła — widocznie zdenerwował się, że Chamberlainowi pozwolono wejść, zanim on skończył swoje spotkanie. Pete obserwował kątem oka Helen Thorp. Miała na sobie ciemną, plisowaną spódnicę z rozcięciem i jasnoblękitną jedwabną

bluzkę, zapinaną pod szyją. Kiedy szła i gdy sięgnęła po gałkę drzwi, jej gęste, ciemne włosy falowały, a piersi zakolysały się atrakcyjnie pod jedwabiem. Uśmiechnęła się.

— Jeśli nie będzie mnie w mieście, a zdarzy się coś pilnego, Mildred może mnie złapać. Dziękuję za przybycie, Brian. Pan Cowan i ja uważamy, że robisz cholernie dobrą robotę.

Zamknęła drzwi i obrzuciła Chamberlaina chłodnym spojrzeniem spod długich rzęs. — Ale nie mogę tego powiedzieć o panu.

— Jeśli kazała pani swojej sekretarce wpuścić mnie wcześniej, żeby zademonstrować, jaka jest pani ważna, to zadziałało. Jestem pod wrażeniem.

— To dlatego, żeby pokazać, jaki pan jest ważny.

— Jeśli jestem tak ważny, to dlaczego, do diabła, muszę przyjeżdżać do Nowego Jorku, skoro licytacja jest w Londynie?

— Dlaczego? — powtórzyła głosem, w którym dźwięczał lód. — Żeby trzymać pana z dala do czasu, aż wykupimy Hammonda.

Chamberlain popatrzył gniewnie, a ona odwzajemniła jego spojrzenie.

— Alfred Cowan niepokoił się, że może pan zniweczyć licytację w Savoyu, ale powiedziałam mu, żeby się nie martwił. Hammond jest bezpieczny, bo jeśli celuje pan w Savoy, to trafi w Dorchester.

— Jeśli chce pani mnie wylać, proszę to zrobić. Ale niech mi pani oszczędzi tego sarkazmu.

— Oszczędzić panu? Czy kiedykolwiek dotarło do pana, że odrobina ironii to jedyne, co powstrzymuje mnie od wrzeszczenia na pana bez opamiętania? Może pan sobie wyobrazić, jak się czułam, odbierając pańskie meldunki przez te kilka dni? Charlesa Hammonda szukało pięć grup. Pan i Rosjanie zajmujecie ex equo czwarte miejsce.

— Pierwszy, drugi i trzeci zginęli.

Zbyła jego sprzeciw machnięciem ręki.

— Jednak numer trzy, pana przyjaciele z CIA, omal nie zabili Hammonda, a przecież zatrudniliśmy pana, żeby tego uniknąć.

Chamberlain napotkał wzrokiem jej gniewne spojrzenie, potem odwrócił oczy. Nie była tego typu człowiekiem, żeby tracić czas na wyzywanie się na nim, gdyby miała zamiar go zwolnić. Odzyskanie Hammonda nadal było zbyt dobrą okazją, żeby zmarnować ją wdając się w walkę z panną Thorp. Popatrzył na zegarek. Czwarta po południu według

czasu nowojorskiego. Wyruszył z Brestu zaraz, kiedy zadzwoniła.

— Ma pani rację, panno Thorp. Fakty tak wyglądają, że nie jestem bliżej Hammonda, niż byłem trzy dni temu w tym samym gabinecie.

— Prawie cztery.

— Cztery. Właśnie teraz w Londynie jest dziesiąta wieczorem i ja powinienem tam być.

— Obawiam się, że najpierw będziemy musieli odebrać instrukcje co do licytacji od pana Cowana. Czeka na nas. Powiedział, żebym wprowadziła pana do jego gabinetu, kiedy tylko pan przybędzie.

— To dlatego ściągnęła mnie pani z powrotem do Nowego Jorku? Żeby spotkać się z panem Cowanem?

— Tak.

— Za dużo gadam. Przepraszam.

— Nie każmy Alfredowi czekać — poprowadziła go przez biuro Mildred do gabinetu Cowana. Chamberlain szedł za nią zakłopotany, czując się głupio i rozkoszując zapachem jej perfum.

Cowan odbywał konferencję telefoniczną. Siedział przy biurku z nogami na wysuniętej szufladzie i mówił do przełączonego na głośnik aparatu. Skinął głową Helen i Chamberlainowi.

— Przepraszam, chłopcy, muszę kończyć. Spróbujcie to przepracować i prześlijcie do mnie z powrotem rano.

Wyłączył telefon i powiedział:

— Siadajcie. Jak panu leci, Pete?

— Bywało lepiej.

— Nie zadziało tak, jak myśleliśmy, prawda?

— Nie, sir.

— Jaki jest pana następny ruch?

— Przypuszczam, że to zależy od pana i panny Thorp, sir.

— Uważa pan, że powinniśmy licytować?

— Pyta pan o moją opinię?

— Tak, do cholery. Jestem trochę zajęty, jak na zwykłe pogaduszki.

— Tak, powinniście licytować. I uważam, że powinniście skierować cały wysiłek na odbudowanie konsorcjum, żebyście mogli przelicytować Rosjan. Oni rozpaczliwie chcą go mieć.

— Dlaczego go chcą?

— Nie wiem, sir. Ale to pewne jak diabli.  
— Helen?  
— Alfredzie, to się po prostu kupy nie trzyma. Czym więcej o tym myślę, tym mniej ma to sensu. Ale oni chcą go mieć.  
— Co z CIA? — zapytał Cowan.  
— CIA będzie teraz prawdziwym problemem. Prawdopodobnie potraktują swoją porażkę bardzo osobiście.  
— Dlaczego, u licha? — warknął Cowan. — Myślałem, że to powinni być profesjonalści.  
— I są, ale kilku ważnych ludzi jest teraz odpowiedzialnych za utratę całego oddziału szturmowego. Tajnego oddziału szturmowego, który nawet nie powinien istnieć, a teraz dowiedziało się o nim mnóstwo ludzi. I ci ludzie, prawie na pewno, postanowią przynajmniej oczyścić swoje akta. Będą musieli odnieść duże zwycięstwo, a jedyne zwycięstwo, jakie będzie teraz cokolwiek znaczyło, to zapobieżenie temu, żeby Hammond wpadł w ręce Rosjan.  
— Cholera!  
— To prawdopodobnie ma swoją jasną stronę, Alfredzie — rzekła Helen Thorp.  
— Tak? — ryknął Cowan. — Jaką?  
— Grandzau, czy kimkolwiek jest Lancelot, wykonał bardzo dobrą robotę, chroniąc do tej pory Hammonda. Być może ma sposób, żeby bezpiecznie przeprowadzić licytację, a w tym przypadku możemy go wykupić. Z pomocą naszych partnerów.  
— Co o tym sądzisz, Pete?  
— Panna Thorp ma rację. Najwyraźniej on ma cholernie dobry plan.  
— Jak, do diabła, może przeprowadzić licytację o okup w hotelu Savoy?  
Helen popatrzyła na Chamberlaina. Wiedział, że spodziewa się od niego odpowiedzi, ale nie był pewny, co ma odrzec.  
— Chcę powiedzieć, że to najbardziej zwariowana rzecz, o jakiej kiedykolwiek słyszałem — dodał Cowan.  
— Trudno to stwierdzić — rzekł wolno Chamberlain. — Może powie nam tylko, gdzie mamy się udać. Albo — przypuszczam, że to możliwe — zorganizuje licytację w prywatnej sali konferencyjnej. Jestem pewien, że mają tam wszystkie rodzaje udogodnień do prowadzenia konferencji.

— Wiem tylko, że ostatnio, kiedy się tam zatrzymałem i zmieniałem pokoje, bo dołączyła do mnie żona, przeniesienie moich bagaży zabrało im osiem godzin. Teraz mówi mi pan, że wezmą Hammonda do Savoyu?

— Bardzo mało prawdopodobne. Raczej będą go trzymać w jakimś innym miejscu i połączą się telefonicznie, żeby udowodnić, że jest żywy.

— Mam nadzieję — powiedział złowieszczo Alfred Cowan — dla dobra Hammonda, że tak się nie stanie. Ponieważ ty — wskazał Helen — nie weźmiesz pieniędzy Comptelu na żadną licytację, na której go nie będzie. Nie weźmiesz ani grosza nigdzie, gdzie nie będziesz miała gwarancji, że możesz wykupić go żywego.

— Jasne, że nie, Alfredzie.

— Nie mów mi: „jasne, że nie”. Nie robię od tego żadnych wyjątków. Jeśli Grandzau chce na tej aukcji pieniędzy Comptelu, musi pokazać Hammonda.

Popatrzył na Chamberlaina, który skinął głową, bo wydawało się, że nie ma żadnego powodu, żeby tak nie zrobić. Cowan jeszcze raz wskazał Helen.

— Ta sprawa może okazać się gwoździem do trumny.

— Z pewnością nie sugerujesz, Alfredzie, że człowiek o talentach Hammonda, odnoszący takie sukcesy, zorganizował własne porwanie dla kilku milionów dolarów?

— Mało prawdopodobne — przyznał Cowan. — Ale chcę dowodu, że on żyje, zanim zapłacę za niego choćby centa.

Helen uśmiechnęła się.

— Powtarzasz się, Alfredzie.

— Kładę nacisk, kochanie. Kładę nacisk.

— Jak wysoko możemy licytować?

— Myślałem, że może powinniśmy podnieść wkład Comptelu do dziesięciu milionów dolarów.

Helen Thorp wpatrywała się w niego.

— Dziękuję ci, Alfredzie. Bardzo ci dziękuję.

— Pamiętaj tylko o warunkach. I jeszcze jedno; chcę, żebyś tam była. — Odwrócił się do Chamberlaina, który miał nadzieję, że jego irytacja nie jest widoczna. Tego tylko potrzebował, żeby w Londynie deptała mu po piętach. — Pete, sądzę, że lepiej, by przez pewien czas przyjął pan taktykę obronną. Niech pan obserwuje CIA i Rosjan, ale nie ściga

Grandzaua. Myślę, że najlepiej będzie polegać na jego zdrowym rozsądku. Jak do tej pory radził sobie całkiem dobrze, nie sądzi pan?

Chamberlain usłyszał własną odpowiedź:

— Tak jest, sir. Radził sobie bardzo dobrze.

— W porządku. Dzięki, że przybył pan tak szybko. Myślę, że teraz najlepiej będzie, jeśli wskoczycie z powrotem do samolotu i polecicie do Londynu.

— Tak jest, sir — powtórzył Chamberlain. Wstał z uśmiechem: — Wydajecie więcej na moje podróże samolotowe niż na moją pensję.

Cowan popatrzył na niego beznamiętnie.

— Paliwo jest drogie.

Chamberlain żałował, że nie ugryzł się w język.

— Tak jest, sir.

— Jeszcze jedna rzecz, Pete.

— Tak?

— Niech pan uważa na pannę Thorp. Nie chcę, żeby znalazła się w jakimkolwiek niebezpieczeństwie. Nie żartuję. Jeśli o mnie chodzi, ona jest ważniejsza od Hammonda.

— Akcjonariusze mogą się z tobą nie zgodzić — sprzeciwiła się Helen.

Cowan zignorował ją. Przez długi czas spoglądał Chamberlainowi w oczy swoim twardym, niewzruszonym wzrokiem. W końcu wygramolił się zza biurka, niezręcznie poklepał Helen po ramieniu i wymamrotał:

— Uważaj na siebie.

Chamberlain dostrzegł człowieka z KGB. A trzydzieści stóp od niego, po przeciwnej stronie hallu, agent CIA czytał wydruki Serwisu Informacyjnego Reutera, które hotel Savoy udostępniał swoim gościom. Chamberlain kupił paryską „Herald Tribune” w stoisku z gazetami i usiadł na fotelu w połowie drogi między nimi. Kiedy odnalazła go tam Helen Thorp, zdążył dojść już do wniosku, że obie superorganizacje szpiegowskie zmieniły taktykę.

Agent CIA miał siwe włosy, świeżą opaleniznę, okulary w rogowej oprawie i luźną marynarkę w pepite, co kojarzyło się z emerytowanym -



biznesmenem ze Środkowego Zachodu, który wyciągnął swoją żonę w jeszcze jedną podróż po świecie. Miał dobroduszny, pasujący do stylu ubioru wyraz twarzy, i chociaż dysponował większą krzepą, niż typowy emeryt, to jednak mógł łatwo uchodzić za człowieka, który dwa razy w tygodniu gra ze swoim doktorem w squasha.

Facet z KGB wyglądał równie dobrotliwie, dokładnie jak profesor uniwersytetu z Europy Środkowej, z lekką chmurką białych włosów wijących się wokół łysiejącego czubka głowy, okularami w drucianej oprawie i w źle skrojonym wełnianym garniturze. Prezentował się trochę zbyt zgrzebnie jak na Savoy, ale mógł być uczestnikiem jakiejś konferencji.

— Zdjęli osiłków — powiedział Pete do Helen. — Jedni i drudzy cofnęli się i obserwują. Ci pajace nie mają nawet płaszczy. Nie mogliby wyjść za nami na ulicę.

— Może osiłki stoją na zewnątrz.

— Już sprawdziłem. Nie ma. Nie, chyba postanowili nie atakować.

— Tak, jak my.

— Zgadza się. Grandzau zastraszył nas wszystkich.

— Dobrze. Chodźmy.

Minęli kilka przecznic kierując się w stronę City, gdzie miała swoje biura firma All Seas. Recepcjonista poinformował ich, że René Rice'a tego dnia nie ma.

— Ale ja byłam umówiona — oznajmiła Helen.

— Pan Rice upoważnił mnie, bym przeprosił państwa w jego imieniu. Musiał wyjechać w sprawie nie cierpiącej zwłoki.

— Jestem w Savoyu. Muszę się z nim porozumieć. Chodźmy, Pete.

Chamberlain wyszedł za nią. Kiedy znaleźli się na ulicy, powiedziała:

— Unika mnie. Nie może sobie z tym poradzić.

Rozejrzała się po wąskiej ulicy i zerknęła na zegarek.

— Cholera. W porządku, wracamy do hotelu. Będziemy rozmawiać z pozostałymi. Niech pan złapie taksówkę.

Chamberlain zatrzymał taksówkę. Podczas drogi powrotnej siedziała w kącie, wyglądając przez okno i przygryzając wargę. Była poirytowana podczas lotu, a nocny wypoczynek niewiele zmienił.

Chamberlain współczuł jej. Grandzau miał ich wszystkich zamkniętych w Savoyu. Czekali.

— Czy nie powinniśmy rozejrzeć się po apartamencie gościnnym? — zapytała, gdy wrócili do hotelu.

Chamberlain wiedział, że to pytanie retoryczne. Szedł za nią po schodach, myśląc ponownie, że Grandzau był bliski geniuszu, kiedy przyszło do manipulowania ludźmi czekającymi na licytację. Wynajął salon na pierwszym piętrze, na firmę Pendragon Ltd, i wyposażył go w bar z kelnerem, który rezydował za okazałym stołem z zimnymi przystawkami.

Oferenci zaproszeni na licytację Pendragona, znudzeni i niespokojni, zbrali się w salonie, jakby byli uczestnikami jakiejś konferencji. Popijali, snuli plany i spekulowali, jaki będzie dalszy ciąg. Gdy Helen Thorp i Chamberlain weszli do środka, nowy przedstawiciel Mishumy rozmawiał właśnie z mężczyzną, który oświadczył, że odziedziczył interes Streichera. Mówił, że zgodnie z informacjami hotelowego gońca, Pendragon Ltd, wynajęła całe piętro w hotelu, poczynając od pojutrze.

— Na siódмого, to się zgadza. Przeprowadzi aukcję właśnie tutaj.

Człowiek z Dessaulta pogardliwie potrząsnął głową. ,

— To śmieszne. Nie będzie prowadził licytacji w hotelu. Na wczesny ranek, siódмого, zarezerwowano pięć limuzyn. To się odbędzie w jakimś wiejskim domu, gdzieś na Surray.

— Mówimy w Surray, a nie na Surray — poprawił go Anglik, który reprezentował British Hovercraft.

Francuz popatrzył na niego i rzucił z ironią:

— Ci Anglicy... — potem dostrzegł Helen Thorp i rozpląnął się w uśmiechach.

— Panna Thorp. Co pani słyszała? Gdzie odbędzie się licytacja?

— Nie mam pojęcia, ale cieszę się, że wszyscy panowie tu jesteście. Teraz jest równie dobry czas jak każdy inny, żeby odtworzyć konsorcjum aukcyjne i sfinalizować nasze zobowiązania.

Rozejrzała się dokoła, obrzucając spojrzeniem z tuzin mężczyzn, znajdujących się w pokoju. Kilku, widząc wyraz jej twarzy, odstavilo swoje kieliszki na bar. Odezwała się do barmana i kelnera:

— Czy mogłabym panów przeprosić? Jak na razie to wszystko. — I

pan także — dodała, kiedy tamci już wyszli, wskazując głową Rosjanina. Mężczyzna z nieszczęśliwym wyrazem twarzy wzruszył ramionami, z wysiłkiem podniósł swoje cielsko z fotela w rogu i wyszedł, odprowadzony przez wszystkich spojrzeniem.

— Czy jest ktoś jeszcze, kto zamierza licytować się o Hammonda indywidualnie i nie przyłączy się do konsorcjum?

Mężczyźni popatrzyli jeden na drugiego i nic nie powiedzieli.

— Czy ktoś wie jeszcze o kimś, kto powinien tu być?

— Jest pewien szejk z Kataru, który bierze udział w licytacji — powiedział Niemiec.

— Czy ktoś go widział? Okazało się, że nikt.

— Prawdopodobnie to plotka.

— Co z Rice'em? — zapytał Francuz.

— Próbuje się z nim skontaktować — oznajmiła Helen.

— Nikt z nas go nie widział — powiedział Francuz. — Może udział Rice'a w licytacji to także plotka.

Kilku ludzi roześmiało się.

— Jestem pewna — lodowato odparła Helen Thorp — że własna firma Charlesa Hammonda wniesie pokaźny wkład do funduszu aukcyjnego, który zapoczątkował Comptel.

Mężczyzna z Dessaulta podniósł szklaneczkę i w zamyśleniu zadzwonił kostkami lodu.

— Kto mówi — rzekł, nie zwracając się do nikogo w szczególności — że Comptel Incorporated ma kierować konsorcjum do wykupienia Charlesa Hammonda?

— Każda firma, wnosząca większy udział niż Comptel, może objąć, sprawiającą wątpliwą przyjemność, przewodnictwo konsorcjum.

— Zatem, ile wnosi Comptel? — indagował Francuz.

Helen Thorp stała tam, gdzie znalazła się po wejściu do pokoju, kilka stóp od drzwi, z rękami w kieszeniach płaszcza, a Chamberlain znajdował się nieco za nią, po prawej stronie.

— Jeśli Grandzau nie założył podsłuchu w tej sali, to prawdopodobnie zrobiło to KGB albo CIA, lub Scotland Yard. A może wszyscy naraz. Proponuję więc, żebyśmy napisali nasze wkłady na kartkach papieru i podali je mnie, a ja przekażę przewodnictwo konsorcjum największemu udziałowcowi.

— Czy możemy ufać, że pani to zrobi?

— Poślę potem kartki obiegami i każdy będzie mógł sprawdzić. Następnie zbiorę je i spalę.

Chamberlain stwierdził, że podziwia jej nieskończoną cierpliwość. Nic, co Francuz powiedział, nie wyprowadzało jej z równowagi. Zdjęła płaszcz, podała go Chamberlainowi i usiadła. Wyjęła złoty długopis i szybko napisała sumę na papierowej serwetce. Nie było żadnego innego papieru pod ręką, więc inni poszli w jej ślady. Kiedy byli zajęci pisaniem, Helen Thorp swobodnie osuszyła wargi inną serwetką. Podali jej kartki. Kiedy dostała ostatnią, zgarnęła je razem i zaczęła przeglądać, nie zmieniając wyrazu twarzy. W końcu ułożyła wszystkie w schludny stosik i wstała.

— Cóż — odezwał się Francuz.

Chamberlain widział, jak na policzku kobiety pojawia się mała czerwona plamka. Przeszła przez salę i wręczyła serwetki Japończykowi. Człowiek z Mishumy uklonił się, zerknął na serwetki i podał je następnemu mężczyźnie. Następnie podniósł się z fotela i odchrząknął.

— Zachęceni przez Comptel Incorporated zebraliśmy, jako konsorcjum, olbrzymi fundusz na wykupienie pana Hammonda. My, z Mishumy, czujemy się zaszczytzeni, przewodnicząc tak szczodremu gremium.

Ktoś zaczął klaskać i kilku innych przyłączyło się do niego.

Chamberlain przyglądał się Helen Thorp. Klaskała uprzejmie, jak podczas jakiejś banalnej ceremonii. Czerwona plamka zniknęła z jej policzka i nie mógł zorientować się, o czym myśli, choć miał wrażenie, że zaczęła się odprężać.

Chamberlain przyjrzał się serwetkom wędrującym od jednego mężczyzny do drugiego. Większość studiowała je skwapliwie. Jeden lub dwóch wyglądało na zmartwionych, jakby ich firmy wniosły zbyt mało. Kilku spoglądało z nabożnym lękiem na człowieka z Japonii. Coś niepokoiło Chamberlaina i w końcu wiedział co. Większość amerykańskich kompanii wymieniła swoich wysłanników po śmierci Kaga Nagumo i Hansa Streichera. Teraz była to młodsza i bardziej agresywna grupa. W pierwszym spotkaniu uczestniczyło grono prawników. Tym razem firmy przysłały inny typ ludzi, jakby zdecydowały, że ich młodzi pracownicy ze szczytu kadry kierowniczej będą lepiej przygotowani, żeby poradzić

sobie z aukcją. Tak jak CIA i KGB, kompanie, które chciały odzyskać Charlesa Hammonda, traktowały Grandzaua bardziej serio. Obserwował ich, kiedy wracali do baru i robili sobie następne drinki.

Coś go w nich nadal niepokoiło. Na tym spotkaniu nie odczuwało się paniki jak na poprzednim. Pokręcił głową, zastanawiając się, co każe mu myśleć, że kryje się w tym jakiś problem?

# Rozdział dwudziesty pierwszy

— Ile zadeklarowali?

Szli szybko wyłożonym dywanem korytarzem. Helen zdawała się bardzo podekscytowana.

— Około sześćdziesięciu milionów dolarów, nie licząc Japończyków.

— A z Japończykami?

Odwróciła się do niego, mówiąc z podziwem:

— Japończycy dokładają trzydzieści milionów. Muszą mieć poparcie rządu. Może pan sobie wyobrazić, co robi dla nich Hammond, że jest aż tak cenny?

— Dziewięćdziesiąt milionów dolarów za jednego faceta? On nie może być tyle wart.

— Miejmy nadzieję, że Rosjanie będą podzielać te odczucia, Pete.

— Grandzau jest geniuszem — stwierdził Chamberlain. — Hammond nie może być tyle wart dla żadnej pojedynczej grupy. Ale razem...

Doszli do hallu, kiedy przerwała mu:

— Ktoś do pana.

— Hello! Inspektorze Farquhar, to jest panna Helen Thorp, mój szef w Comptelu. Inspektor Farquhar ze Scotland Yardu. Był niezwykle pomocny tuż po porwaniu.

Farquhar uściślił rękę kobiety, potem przywitał się z Chamberlainem.

— Pan Chamberlain przesadza. Właściwie pomagaliśmy sobie nawzajem.

— Jak się ma Wheeler? — spytał Amerykanin.

— Ładnie powraca do zdrowia. Prosi o wypisanie, ale to jeszcze trochę potrwa. To ochroniarz Hammonda — wyjaśnił na użytek Helen.

— Tak, odwiedziłam już dziś pana Wheelera. — Chamberlain popatrzył na nią, zaskoczony. Nie wspomniała mu o tym.

Farquhar zwrócił się do Chamberlaina:

— Zastanawiam się, czy mógłby mi pan poświęcić chwilę czasu.

— Jasne.

— Będę na górze — oznajmiła Helen. — Proszę do mnie zadzwonić, kiedy pan skończy.

Farquhar przyglądał się jej, kiedy szła do windy.

— Dobry Boże, człowieku. Gdzie mogę się dopisać do listy wielbicieli?

— Zgłoszenia przyjmuje się w londyńskim biurze.

— Wolałbym jej biuro. Napije się pan czegoś?

— Jasne.

— Mój samochód czeka. Jest tu miły, niewielki pub przy St Martin's Lane. Pojedziemy?

Chamberlain rozejrzał się, kiedy wyszli na ulicę. Teraz ludzie z CIA i KGB obserwowali go z zainteresowaniem. Samochód Farquhara był regularnym wozem Metropolitan Police.

— Wolałbym opuszczać ten hotel czymś mniej rzucającym się w oczy — zauważył Amerykanin.

Farquhar roześmiał się.

— Strasznie przepraszam. To wszystko, co mamy. — Kiedy już znaleźli się w pubie, z piwem w ręce, inspektor powiedział: — Przejdę do sprawy. Dwóch spraw, właściwie. Pierwsza jest ważna, druga interesująca.

— O co chodzi?

Farquhar odchrząknął. Wydawał się zakłopotany, ale i zdeterminowany, a kiedy mówił, jego determinacja pogłębiała się.

— Śledziłem pana krętą wędrówkę po kontynencji z pewną uwagą.

— Co to znaczy, „śledził pan”?

— Powiedzmy, że Interpol łatwo szedł pańskim tropem. Nic dziwnego, powszechna śmierć i okaleczenia towarzyszyły pana wizytom w różnych miastach i miasteczkach. Moje zainteresowanie przerodziło się jednak w zaniepokojenie, kiedy dowiedziałem się, że przyjeżdża pan z powrotem do Londynu. To całkiem proste, kolego, nie możemy pozwolić na takie rzeczy tutaj, w Anglii.

— Wystarczająco szczerze wyznanie. A jaka jest ta ciekawa sprawa?

— Nie pozwolimy. Otrzymałem rozkazy. Mamy się nie mieszać do licytacji Pendragona, ale jednak nie możemy pozwalać na masową rzeź na ulicach. Deportujemy każdego, bez względu na powiązania, kto będzie brał udział w jakiegokolwiek brutalnej akcji.

— Uważa pan, że Grandzau przeprowadzi licytację tutaj, w Savoyu?

Farquhar uśmiechnął się, odczuwając wyraźną ulgę, że zakończył swoją oficjalną misję. Zamaszystym ruchem zabrał kufel i przyniósł jeszcze dwa piwa z baru. Kiedy wrócił do okrągłego stolika w rogu, Chamberlain obserwował ulicę zza zasłony. Opuścił tkaninę i wziął szklany kufel, który podał mu Farquhar.

— *Cheers* — rzekł Farquhar.

— *Cheers*. Myśli pan, że Grandzau przeprowadzi licytację w hotelu Savoy?

— To jest moja ciekawa sprawa.

— Przeprowadzi?

— Nie. Prawdopodobnie jest pan świadom, że niektóre z naszych concordów nigdy nie weszły do powszechnej komunikacji. Te biedactwa wozi się promami wszędzie, gdziekolwiek ktoś mógłby je kupić i od czasu do czasu, rzadko, wyczarterowuje się je do prywatnych zadań.

— Dlaczego pan mi o tym mówi?

— Wyobrażam sobie, że księgowi są szczęśliwi, wprowadzając cokolwiek na stronę przychodów. W każdym razie dowiedzieliśmy się właśnie, że ktoś, kto paskudnie przypomina Grandzaua, wynajął concord.

Chamberlain odstawił swój kufel.

— Na kiedy?

— Na siódmego.

— Dokąd?



— Tego nie wiemy. Ale zażądał pilotów, którzy znają państwa Zatoki Perskiej. Proszę wyciągnąć własne wnioski.

— Zatoka Perska? Dlaczego, do diabła, wszystkie drogi tam prowadzi?

— Dlaczego nie? — zapytał Farquhar. Rejon Zatoki może zachęcić do udziału niektórych z arabskich klientów Hammonda. Będą się czuli bezpieczniej na własnym terytorium. Był mocno zaangażowany w jakieś zakupy dla armii tych małych państweczek. Właściwie był jedynym agentem Hansa Streichera w Zatoce.

Chamberlain skinął głową.

— Jasne. Po upadku szacha każdy szejek ze zbywającymi dwoma miliardami dolarów tworzy swoją własną armię.

— Jak pan sądzi, dlaczego mój rząd jest tym tak zainteresowany? Hammond miał cudowne kontakty w mniejszych państwach. Zbyt długo koncentrowaliśmy się na Iranie i Arabii Saudyjskiej. Nasi ludzie z wojskowości stwierdzili, że Hammond może zrobić dla nich dużo więcej, niż oni sami, w takich miejscach jak Katar, Emiraty czy Kuwejt. Mówią, że ma świetne podejście do mniej cywilizowanych ludów.

— Ale dlaczego Grandzau miałyby przeprowadzać licytację na terytorium Hammonda?

— Zdaje się, że zaplanował wszystko bardzo starannie. Z pewnością nie musi się tam martwić o ataki CIA czy KGB.

— Musi się za to martwić o Arabów — stwierdził Chamberlain.

— Można sobie wyobrazić, że zawarł jakieś porozumienie.

Amerikanin pociągnął łyk piwa. To nie miało wielkiego sensu.

— Dlaczego concord? — zapytał. — Wyobraża pan sobie, ile to kosztuje?

— Wydaje mi się, że słyszałem, iż sama kaucja wystarczyłaby na dziesięć lat beztróskiego życia.

— Uświadamia pan sobie, ile to całe porwanie kosztowało Grandzaua? — zdumiał się Chamberlain. — Napad, samolot, podróż na wyspę — słyszał pan o wyspie?

— O, tak. Pogrom CIA był powodem pewnego zadowolenia w kręgach europejskich.

— A teraz ten concord? Pieniądze, pieniądze, pieniądze. Kto, do diabła, za to płaci?

— Grandzau mógł odejść na emeryturę raczej dobrze zaopatrzony.

— Musiał — rzekł Chamberlain. — Musi też mieć sponsora. Bardzo bogatego sponsora.

— Możliwe — zgodził się Farquhar. — Ale co nam z tego przyjdzie?

— Zwłaszcza, jeśli siedzi on teraz w jednym z państw arabskich i czeka, aż zabawa się zacznie.

— Grandzau dobrze sobie radził.

— Zastanawiam się, dlaczego zadawał sobie trud z wynajęciem concorda — głowił się Chamberlain.

— Prędkość. Do Zatoki jest daleko.

— Oczywiście, ale wyszedłby na tym lepiej, zabierając nas zwykłym samolotem, żebyśmy byli wyczerpani i w kiepskim stanie, i nie mogli sprawiać mu żadnych kłopotów podczas licytacji. Ja bym tak zrobił.

Farquhar osuszył kufel.

— Ja także, ale też żaden z nas nie wpadł na sprytny pomysł porwania Hammonda. Obawiam się, że muszę lecieć. Mogę pana podrzucić.

Chamberlain jeszcze raz podniósł storę i sprawdził ulicę.

— Czy ten facet śledzi mnie?

Farquhar wyjrzał.

— Ten w czapce z materiału? Tak. Odkąd wylądował pan ostatniej nocy na lotnisku. Mam ludzi obserwujących każdego, kto będzie na licytacji. Myślmy całkiem poważnie o zmniejszeniu rzezi do minimum.

— Wydawało mi się, że widziałem go przy biurze René Rice'a parę godzin temu.

— To nowy człowiek — rzekł sucho Farquhar. — Nie umie jeszcze tyle, co jego partner.

Chamberlain skrzywił się z niesmakiem, a Farquhar roześmiał.

— Przykro mi, kolego.

— Gdzie jest René Rice?

— Jeszcze dwie godziny temu prowadził nieustanne rozmowy telefoniczne z Madagaskarem. Oczywiście mamy jego telefony na podsłuchu, na wypadek gdyby porywacze połączyli się z nim bezpośrednio.

— O czym rozmawia?

Tym razem to Farquhar się skrzywił.

— Prawdę mówiąc, nie mam najmniejszego pojęcia. Nie możemy

znaleźć jednego człowieka na całych Wyspach Brytyjskich, który mógłby zrozumieć tę odmianę malgaskiego. Jest on wielozgłoskowy i to do przesady. Malgasze łączą całe szeregi fraz w tasiemcowe niewymawialne słowa.

— Jak w niemieckim?

— Dużo gorzej. Francuzi wysłali nam tłumacza. Wie pan, to była kiedyś ich kolonia. Okazał się nieprzydatny. Przedstawił dosłowny przekład, całkiem niezrozumiały. Rice musi wiedząc, że go podsłuchujemy i jest ostrożny.

— Mógłbyś powiedzieć, jakie wrażenie sprawiał Rice?

— Zaniepokojonego. Nazwisko Hammonda pojawiała się regularnie.

— Dwie godziny temu?

— Tak. O tej porze telefony na Madagaskar ucichły.

— Tak po prostu?

— Tego się spodziewano. Jedna z malgaskich partii politycznych wezwała do strajku generalnego, żeby zaprotestować przeciw jakimś nieprawidłowościom związanym z wyborami. Aresztowania kandydatów, takie rzeczy. W każdym razie biedny pan Rice poszedł do domu, słuchać przez radio rządowych audycji. Wybory są za dwa dni. Tego samego dnia, co wasza licytacja, dokładnie.

— Jezu! Chcę, żeby Rice skupił się na Hammondzie, a nie na przeklętych wyborach w Republice Malgaskiej. Czy ma pan też na podsłuchu jego dom?

Farquhar kiwnął głową.

— Pełna obserwacja. Aresztowaliśmy kilku zbirów z KGB, którzy włóczyli się wokół biur All Seas. Nie chcemy ryzykować, że porwą Rice'a.

— Chciałbym z nim porozmawiać — rzekł Chamberlain. — Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

— Absolutnie nic.

— Gdzie on mieszka?

— Podrzucę pana. To po drodze.

Gdy Farquhar zatrzymywał taksówkę machnięciem swojego złożonego parasola, Chamberlain podszedł do mężczyzny, który go śledził. Wyglądał na przemarzniętego. Mokry śnieg przyprószył jego czapkę i ramiona brudną bielą. Chamberlain popatrzył mu w oczy i obszedł dookoła.

— Bazar na Covent Garden zamknęli jakieś osiem lat temu, więc jesteś jedynym facetem w dzielnicy teatralnej, który nosi czapkę z materiału. Kiepskie przedstawienie.

Młody człowiek poczerwieniał, ale miał dość rozsądku, żeby zachować niewzruszony wyraz twarzy. A potem pospiesznie odszedł. Chamberlain wgramolił się do taksówki Farquhara.

— Niezły.

— Wierzę zatem, że udzielił pan temu chłopcu jakiejś zachęty.

— Jasne.

Jechali w milczeniu przez kilka minut. Chamberlain przemyślał nad znaczeniem wyczarterowania concorda. Ekstrawagancja, chyba że szybkość była kwestią życia i śmierci? Ale jeśli była, dlaczego Grandzau nie wysłał uczestników licytacji tam, gdzie chciał ich mieć, zamiast lokować w Savoyu?

U Rice'a drzwi otworzył potężny, otyły mężczyzna o kamiennej twarzy. Chamberlain przypomniał sobie, że sekretarz Rice'a jest byłym pracownikiem FBI. Zanim jednak zdołał się odezwać, Rice wyjrzał zza ramienia sekretarza i skinął głową.

— Monsieur Chamberlain. W porządku, Patterson. Ja się tym zajmę.

Patterson z kamienną twarzą wrócił do pokoju. Ponad głową Rice'a Chamberlain widział, że apartament jest umeblowany skromnie kilkoma eleganckimi, czarno lakierowanymi chińskimi sprzętami. Wspaniały dywan na intarsjowanej podłodze stanowił kolorową plamę na środku pokoju. Gazowe ogrzewanie płonęło w niewielkim, marmurowym kominiku, obok którego stał fotel. Na stoliku obok fotela znajdowała się wielka krótkofalówka. Smutne oczy Rice były na wpół zamknięte z wyczerpania.

— Mogę wejść?

— Czego chce panna Thorp? — ręce mu drżały.

— Uważam, że oczekuje potwierdzenia wkładu All Seas.

— Zadzwoń do niej jutro.

— Sir?

— O co chodzi?

— Kogo odwiedził pan Hammond tego ranka, kiedy został porwany?

Rice odpowiedział bez namysłu.

— Tego ranka, kiedy został porwany, pan Hammond zjadł śniadanie z japońskim ambasadorem w Wielkiej Brytanii.

— Chciałem wiedzieć, z kim się spotkał tam, gdzie go uprowadzono?

Rice zawahał się.

— Czy powiedział pan policji, z kim się tam zobaczył?

— Och, tak. Może ich pan zapytać.

— Albo pan może mi powiedzieć.

Rice wzruszył ramionami.

— W tym momencie nic naprawdę nie ma znaczenia, prawda?

Chamberlain nie odezwał się. Człowiek na stanowisku Rice'a miał głęboko zakorzeniony nawyk zachowania dyskrecji. Małgasz ponownie wzruszył ramionami.

— Odwiedził starego przyjaciela. Niejakiego majora Ramseya, który mieszka w Overseas Club.

— Oficer wywiadu? — zapytał Chamberlain, myśląc jednocześnie, że wcześniej powinien był pójść tym tropem.

— Emerytowany.

— Czy major Ramsey i pan Hammond robili kiedyś ze sobą interesy?

Rice jeszcze raz się zawahał. Czy żałował, że rozmawia na ten temat?

— Może zanim zostałem przyjęty. Pracuję dla pana Hammonda dopiero od ośmiu lat. — Twarz zaczęła mu drżeć. — To był po prostu zwyyczajny poranek. Był spóźniony, jak zwykle, i telefonowałem, żeby to wyjaśnić. Potem Patterson i ja pojechaliśmy na lotnisko, żeby przygotować samolot. Następne spotkanie miał w siedzibie Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku — mówił Rice łamiącym się głosem. — W jednej chwili wszystko było normalnie, a w następnej — chaos.

— Czy panna Thorp spodziewała się was?

— Nie mieszam się w prywatne życie pana Hammonda.

Kiedy Chamberlain wrócił do swojego pokoju, zastukał w drzwi prowadzące do apartamentu Helen. Gestem zaprosił ją do łazienki, usiadł na brzegu wanny i odkręcił do końca kurek od zimnej wody.

— Dyskrecja — wyjaśnił poprzez szum strumienia wody.  
— Czy trochę nie przesadzasz?  
— Łódź Streichera nie wyleciała w powietrze sama z siebie. Grandzau przez cały czas ma tu kogoś. Zgromadzenie oferentów w tym samym hotelu pozwala mu po prostu mieć nas wszystkich na oku — przestał mówić i gapił się na nią. Ubrana była w jedwabną obcisłą suknię srebrnoszarego koloru, która pasowała do jej pięknych oczu i kruczych włosów. Wybuchnął: — Jezu Chryste, jest pani wspaniała.

Zmarszczyła brwi zdumiona i rozdrażniona jednocześnie.

— Daj spokój, Pete. Nie mam na to czasu.

— Przepraszam — odparł, zastanawiając się, czy ona sypia z Hammondem. Sprawiała wrażenie bardziej przejętej tym, jak to porwanie może wpłynąć na perspektywy jej awansu, niż zdrowiem Hammonda. Może łączyły ich tylko interesy. Zastanawiał się także, dlaczego wydaje mu się to takie ważne. Kiedy spotkał ją po raz pierwszy, nie obchodziło go, z kim sypia. A teraz jasne jest, że pośrodku całego tego szaleństwa zakochał się w tej kobiecie. I musi czekać, aż sprawa się wyjaśni, zanim wykona jakiś ruch. Tak, była wspaniała, ale przypadkiem trzymała w rękach jego przyszłość. A jego przyszłością w tym momencie był Charles Hammond. Obdarzył Helen lekkim uśmiechem i powiedział:

— To mi się po prostu wymknęło.

— Cóż, zachowaj to dla siebie. Co powiedział Farquhar?

— Uważa, że Grandzau wynajął concorda, żeby jutro przerzucić uczestników aukcji do Zatoki Perskiej.

— Ostatnie pogłoski w hotelu mówią, że Grandzau wysłała nas pociągiem do Szkocji. Twoja wersja bardziej mi się podoba.

— Mam następną, jeszcze lepszą.

— Jaką?

— To po prostu mój pomysł. Nikomu o tym nie mówiłem.

— Co to za pomysł?

— A jeśli Hammond zaaranżował własne porwanie?

Chłodno kiwnęła głową i Chamberlain doszedł do wniosku, że musiały ją nachodzić podobne myśli. Oczywiście, знаła Hammonda bardzo dobrze. Jak dobrze, mógł tylko zgadywać z niewyraźnej aluzji Rice'a o prywatnym życiu Hammonda.

— W jaki sposób — zapytała — doszedłeś do takiego wniosku?

— Podsumowałem koszty porwania. Ktoś musiał włożyć w to fortunę.

— A ponieważ Charles Hammond jest poważnie zadłużony, zakładasz, że wydał pieniądze na upozorowanie swojego własnego porwania. Czy to twoja jedyna przesłanka?

Chamberlain zaczął czuć się nieswojo.

— Nie. Następną to fakt przeprowadzania licytacji w jakimś państwie Zatoki Perskiej. Czulby się bezpieczniej między swoimi arabskimi przyjaciółmi.

— Coś jeszcze? — spytała chłodno.

— Znalazłem Rice'a.

— I?

— Przede wszystkim, ciągle nie daje mi spokoju, dlaczego on jest taki lekkomyślny. To tak, jakby Hammond nie ufał nikomu sprytnemu w swoim otoczeniu.

— To śmieszne — stwierdziła Helen.

— W każdym razie, Rice powiedział mi, że Hammond odwiedził pewnego emerytowanego szpiega kilka minut wcześniej, niż został porwany. Prawdopodobnie to była wizyta towarzyska.

— Zatem?

— Zabawny zbieg okoliczności. Zabawny rodzaj przyjaciół, jak na takiego zajętego faceta jak Hammond. Towarzyska wizyta w środku dnia. Ile takich wizyt zdarzyło się pani, na przykład, odbyć?

— Czysto towarzyskich? W ogóle. Ale to ja. Naprawdę nie mam przyjaciół. A jednak to były święta i prawdopodobnie zatrzymał się, żeby złożyć kurtuazyjną wizytę. Ludzie często robią tak podczas świąt. Hammondowi też mogło się to zdarzyć. Zatrzymał się, żeby odwiedzić starego człowieka, samotnego w klubie podczas świąt Bożego Narodzenia.

— Wpadłem na myśl o ewentualnym sfingowaniu porwania Hammonda w związku z tym, co powiedział pan Cowan, że w porwaniu i licytacji kryje się coś niejasnego.

— Coś jeszcze?

— Tak. Wątpię, czy Rice ma z tym coś wspólnego. Wydaje się zbyt załamany.

— Coś jeszcze?

— Nie... nie sprawia pani wrażenia przekonanej.

— Ani się zgadzam, ani się sprzeciwiam. Gromadzę argumenty za i przeciw. Chcę wszystko to przemyśleć i uważam, że powinnam porozmawiać z Alfredem.

Podeksycytowany Chamberlain ruszył do drzwi.

— Dokąd idziesz?

— Pani porozmawia z Cowanem. Ja sprawdzę Ramseya w klubie.

— Nie. Nie rób tego — wstała, a sukienka zamigotała na jej piersiach.

— Dlaczego nie?

— Ponieważ chcę, żebyś tu był, kiedy Grandzau zrobi jakiś ruch.

— Nic się nie zdarzy aż do pojutrze.

— Nic mamy pewności. Farquhar snuje przypuszczenia o concordzie. Grandzau jest całkowicie nieobliczalny.

— Ale nie zacznij licytacji bez wszystkich uczestników.

— Pete — powiedziała zdecydowanym tonem, ocierając się o niego, gdy przechodziła do apartamentu. — Chcę, żebyś był ze mną.

Chamberlain zirytowany poszedł za nią.

— Panno Thorp, to może być jakiś trop.

— Na przykład? Postanowiliśmy przecież zaprzestać polowania na Grandzaua i robić, czego on chce.

— A jeśli w tym kryje się jakieś oszustwo?

— To nie — powiedziała gniewnie.

— Czy mogę coś zasugerować?

— Co takiego?

— Żeby chronić firmę. Żeby ochronić nas. Nie zaszkodzi, jeśli kilku z waszych analityków spróbuje zorientować się w finansach Hammonda. I nie zaszkodzi, pani i mnie, jeśli pojedziemy zobaczyć się z majorem Ramseyem. To są dwa ostatnie tropy. Bylibyśmy szaleni, lekceważąc je.

Jej oczy stały się zimne i bardzo twarde. Widział ten sam wyraz oczu u Alfreda Cowana, kiedy prezes firmy wydawał bezpośrednie rozkazy. Było to zimne spojrzenie zawodowego gracza, który podjął decyzję, że uderzy.

— Masz rację — powiedziała. — Zadzwońię do Nowego Jorku. Potem pojedziemy zobaczyć się z tym człowiekiem — uśmiechnęła się — To lepsze, niż tkwić w tym głupim hotelu.



— Założę jakieś suche buty — powiedział Chamberlain. Zatrzymał się w drzwiach łączących jego pokój z jej apartamentem. Kobieta sięgała już po telefon.

— Hej, dzięki — rzekł Chamberlain. — Wielkie dzięki.

— Za co? — zapytała, unosząc brwi.

— Za to, że mnie pani wysłuchała.

Helen Thorp popatrzyła na niego przez chwilę. Potem znowu się uśmiechnęła.

— Spotkamy się w hallu. Za dziesięć minut. Obok szpiega z KGB.

Wzięła go pod ramię, kiedy okrążali Harrodsa i znaleźli się w cichym zakątku na tyłach wielkiego domu towarowego.

— Nie przeszkadza ci to?

— Zupełnie nie.

Śnieg pokrył chodniki szklistą powłoką i jej buty na skórzanej podszwie ślizgały się na lodzie. Czuł przez płaszcz jej palce.

— Tak się cieszę, że wyszliśmy — powiedziała. — Nie mogę znieść tego siedzenia.

Chamberlain spojrział na nią, kiedy przechodzili przez ulicę. Wyglądała na równie szczęśliwą, jak na to wskazywał jej głos. Pomimo nie najlepszej pogody, która wymiotła z ulic ludzi robiących popołudniowe zakupy, Helen nalegała, żeby zostawili taksówkę na Knightsbrigde i przespacerowali się kilka ostatnich przecznic. Zimne powietrze zaróżowiło jej policzki, a płatki śniegu leżały na czarnych włosach jak gwiazdki.

— Lubi pani dużo spacerować? — zapytał.

— Och, tak. Nienawidzę ćwiczeń. I niech mnie cholera, jeśli będę biegać po mieście w dresie. Raczej założę jakieś normalne ubranie i obejrzę solidny kawałek Nowego Jorku. Gdzie to jest?

— Zaraz za rogiem, jak sądzę. Tutaj, Herbert Crescent.

Poszli nieco wygiętą uliczką, aż dotarli do Overseas Club, znajdującego się w połowie rzędu kamienic z holenderskimi fasadami. Ulica kończyła się jakieś sto stóp dalej małym ogrodem, otoczonym czarnym, żelaznym płotem. Przez płot i bezlistne drzewa widzieli następną ulicę.

Wspięli się po stopniach do Overseas Club. Helen zadzwoniła. Chamberlain rozejrzał się dookoła.

— Niesamowite, prawda? — spytała Helen. — Chwycili Hammonda właśnie tutaj. — Dwa niewielkie angielskie auta były zaparkowane w miejscu, gdzie musiała wtedy stać limuzyna.

Portier otworzył drzwi i wprowadził ich uprzejmie do przedsionka, zanim zapytał, w jakiej sprawie przyszli. Chamberlain zauważył wyrzuczenie na jego liberii, tam mogła być ukryta broń. Helen spytała, czy mogą widzieć się z majorem Ramseyem.

— Czy byliście państwo umówieni?

— Obawiam się, że nie. Ale jeśli będzie pan uprzejmy powiedzieć majorowi Ramseyowi, że nazywam się Helen Thorp i jestem przyjaciółką Charlesa Hammonda, myślę, że major nas przyjmie. — Portier poszedł zapytać.

— Nagle zachowuje się pani okropnie po angielsku — zauważył Chamberlain.

— Kiedy jest się w Anglii... To opłacało się Hadrianowi i opłaca się mnie. — Rozejrzała się po hallu, oceniając malowidła na ścianach i rozkoszując się nimi w ciszy, dopóki portier nie wrócił. Major prawdopodobnie spotka się z nimi we frontowym salonie. Chamberlain pomyślał, że ten hall, dużo mniejszy niż w większości klubów, wygląda na bardzo łatwy do obrony, rzecz bardzo cenna w domu dla emerytowanych szpiegów.

Salon był słabo oświetlony i pogrążony w grobowej ciszy — wielki pokój wypełniony skórzanymi krzesłami stojącymi na wypłowiałym dywanie, ciężkimi draperiami i olejnymi portretami osobistości z lat czterdziestych. Major Ramsey siedział obok węglowego kominka. Podniósł się, kiedy zobaczył Helen Thorp, uścisnął jej rękę, potem przywitał się z Chamberlainem i zaprosił ich, by usiedli przy ogniu.

Chamberlain pomyślał, że Ramsey musi mieć siedemdziesiąt pięć lat. Schludny, dobrze ubrany mężczyzna, z niewielkim, krótko przystrzyżonym wąsikiem i różową skórą na głowie. Miał małe, błyszczące oczka i czysty głos.

— Skąd znacie państwo Charlesa Hammonda?

— Pośredniczył w interesach kompanii, w której pracuję, Comptel Inc. — wyjaśniła Helen. — Pan Chamberlain jest zatrudniony w dziale ochrony i pomaga mi w naszych staraniach o uwolnienie Hammonda z rąk porywaczy.

— Jakież nowe wiadomości o licytacji? — zapytał Ramsey.

— Skąd pan wie o licytacji? — spytała Helen, rzucając Chamberlainowi zaniepokojone spojrzenie.

— To drobiazg. Mogę przecież prosić starych przyjaciół o jakąś przysługę od czasu do czasu. Wiedzą, jak niepokoję się o Charlesa Hammonda.

— Nie ma nic nowego, odkąd zebraliśmy się w Savoyu.

— Dlaczego chcieliście się ze mną zobaczyć?

— Zastanawialiśmy się, czy mógłby nam pan powiedzieć, w jakiej sprawie Charles — pan Hammond, przyjechał się z panem zobaczyć tuż przed porwaniem.

Ramsey zapatrzył się w ogień i odparł cicho:

— Przyjechał życzyć mi szczęśliwego Nowego Roku.

— To wszystko? — spytał Chamberlain.

— Dla mnie to dużo znaczy. — Machnięciem ręki powstrzymał sprzeciw Chamberlaina. — Nie, nie. Rozumiem, co ma pan na myśli. Przepraszam. To była czysto towarzyska wizyta, bez związku z porwaniem, z wyjątkiem jednej rzeczy.

— Jakiej?

— Zaplanował to spotkanie ze mną wcześniej. Zatem ten podstawiony szofer mógł zawiadomić swojego szefa. Chcę pomóc uratować Charlesa, ale nie mogę. Nie mam nic do dodania.

— O czym rozmawialiście?

Ramsey popatrzył na Chamberlaina.

— CIA?

— Kiedyś.

— Właśnie... Gawędziliśmy, jak gawędzą przyjaciele. — Nagle rozjaśnił się. — Wiecie co?

— Co? — zapytała Helen. Przyglądała mu się z uśmiechem, podczas gdy Chamberlain zadawał pytania. Teraz pochyliła się do przodu, życzliwie i z uwagą. — Co powiedział Charles?

— Zaprosił mnie, żebym przyjechał i zamieszkał na Madagaskarze — w Republice Malgaskiej. On wie, że w Anglii dokuczają mi zimno. Widzi pani, pracowałem przez wiele lat we Wschodniej Afryce. Bardzo dawno, panie Chamberlain. A mówiąc dokładnie, zanim pańska CIA wiedziała, gdzie leży Afryka Wschodnia.

— To cudownie. Czy pojedzie pan?

— Powiedziałem mu, że pojedę. Ale teraz... Tak, pojedę, jeśli Charles to przeżyje. Powiedział, że mogę mieszkać na jednej z jego plantacji.

Albo w Tanie. Albo i tu, i tam. Wiecie, on także zamierza osiedlić się na Madagaskarze, kiedy odejdzie na emeryturę. Bardzo...

— On zawsze o tym mówił — rzekła Helen. — Cóż, dziękujemy, że się pan z nami spotkał...

— Powiedział, że skończy z interesami. „Żadnych więcej interesów”, powiedział. „Odchodzę na emeryturę”.

— Charles Hammond na emeryturze — Helen wybuchnęła śmiechem. — Trudno w to uwierzyć.

— Mnie także było trudno.

— Tak tylko mówił, jak przypuszczam. Do widzenia, majorze.

Gdy zaczęli schodzić po schodach z Overseas Club, Chamberlain zatrzymał się gwałtownie, Helen pośliznęła się i musiała chwycić go za ramię.

— Co się stało?

— Tam. Po drugiej stronie ogrodu.

Przez nagie drzewa i krzaki ujrzał mężczyznę, ledwie widocznego za zasłoną skrzącego się, mokrego śniegu.

— Co? O co chodzi?

— Widzi pani faceta spacerującego po drugiej stronie ogrodu? Właśnie tam skręcił, idzie w tę stronę.

— W czarnym płaszczu. Tak.

— To ten człowiek z KGB, który zabił Kreegana.

# Rozdział dwudziesty drugi

— Co on tu robi?

Chamberlain przeklął swoją głupotę, która kazała mu nie zabierać pistoletu. Wziął z samolotu obrzyn, ale schował go w pokoju hotelowym. Londyn nie był miejscem, w którym można było dać się złapać z bronią. Inspektor Farquhar aż nazbyt wyraźnie dał mu do zrozumienia, na jak niewielką pomoc może liczyć, jeśli znajdzie się w kłopotach.

Mężczyzna zniknął z pola widzenia, potem znowu się pojawił. Szedł w stronę Herbert Crescent i teraz nie ulegało już wątpliwości, że jest ubrany całkiem na czarno i trzyma krótką laskę. Chamberlain popatrzył na Helen. Nie mogła uciekać w swoich butach, ale musiał usunąć ją z drogi tego człowieka. Spojrzał w górę ulicy, w kierunku, z którego przyszli. Zbyt daleko.

— Szybko. Niech pani wraca do klubu. — Wprowadził ją, mimo protestów, z powrotem po schodach Overseas Club. — Proszę, niech pani posiedzi jeszcze z Ramseyem. Wrócę, jak tylko skończę z tym pajacem.

— Co chcesz zrobić?

— To, za co mi płacą. Proszę wejść do środka.

— Zaczekaj chwilę — powiedziała zirytowana.

— Stawia mnie pani w niebezpiecznej sytuacji. Proszę, czy może pani wejść do środka?

- To nie może być ten sam człowiek. Co on tu robi?
- To jest pierwsza rzecz, o jaką go spytam, jeśli tylko zejdzie mi pani z drogi.

Zadzwoiła do drzwi. Kiedy się otworzyły, Chamberlain zaczął schodzić po schodach.

Usłyszał, jak portier zaprasza ją, żeby schroniła się przed śniegiem. Za późno.

Pozbycie się jej zabrało zbyt dużo czasu. Mężczyzna w czerni już wyszedł z parku i był daleko na Crescent Herbert. Szedł, uderzając laską o nogę i obrzucając ulicę nerwowym spojrzeniem. W momencie, gdy zobaczył Chamberlaina schodzącego ze schodów Overseas Club, odwrócił się i pobiegł.

Miał przewagę trzydziestu jardów. Zaskoczony Chamberlain rzucił się za nim, jak dźgnięty ostrogą. Ten facet uciekał, ponieważ nie wiedział, że Chamberlain jest bez broni i w pojedynkę. Co znaczyło, że i t a m t e n jest sam. I być może także nie nosi pistoletu.

Człowiek w czerni biegł niczym strach na wróble, powiewając połami płaszcza i komicznie wysoko podnosząc nogi. Mimo że jego ucieczka po śliskim chodniku wyglądała niezdarnie, stale zwiększał odległość i kiedy dotarł do końca Herbert Crescent, miał już przewagę czterdziestu jardów.

Chamberlain gonił go ile sił w nogach, ślizgając się i potykając, skrępowany przez własny płaszcz, ogarnięty paniką z powodu niesamowitej szybkości tego faceta. Dotarłszy do ogrodów, Rosjanin z wahaniem skręcił w lewo. Chamberlain okrążył narożnik kilka sekund później, ignorując ostrzegawczy głos w mózgu, który wołał, że ścigany może zaciąć się w odległości dziesięciu stóp, z pistoletem wycelowanym w jego głowę.

Nie stał. Mężczyzna biegł nadal, zwiększywszy dystans. Odległość między nimi wzrosła tak, że marznący deszcz i śnieg częściowo przesłaniały Chamberlainowi sylwetkę uciekiniera. Kiedy skręcił za róg, wiatr omal nie zwałił go z nóg, syjąc w oczy oślepiającą bielą, piekąc w policzki. Pomyślał z wdzięcznością o szczęśliwym przypadku, że kupił buty na grubej, gumowej podeszwie, kiedy czekał na Helen w hallu. Dawały mu pewną przyczepność. Mimo to okrążył róg szerokim łukiem i musiał zwolnić na sekundę, by odzyskać równowagę.

Znowu pomknął naprzód, wysoko podnosząc kolana pod połamami płaszcz. Rosjanin ponownie skręcił w lewo. Zanim Chamberlain minął zakręt, tamten prawie zniknął z oczu, daleko, w długiej, wąskiej uliczce, która odchodziła od ulicy, biegnącej obok Harrodsa.

Chamberlain wyrwał guziki i zrzucił płaszcz.

Rosjanin zrobił nagły skręt w prawo, kiedy dobiegł do końca wąskiej uliczki. Chamberlain biegł na oślep, dopóki nie dotarł do rogu. Ślizgając się wziął zakręt, znowu zlekceważył możliwość, że jak baran wpadnie na lufę pistoletu Rosjanina i zaczął desperacko szukać jakiegoś śladu ściganego mężczyzny.

Harrods zajmował całą lewą stronę ulicy; wysoka, ceglana ściana z ciemnymi oknami. W gęstniejącym śniegu ulica była pusta. Uliczne lampy lśniły blado w półmroku. Pobiegnął. Za nim rozległ się klakson jakiegoś samochodu. Obejrzał się przez ramię. Taksówka. Biegł dalej.

Przed nim była Sloane Street, zapełniona samochodami i autobusami, poruszającymi się wolno po zatłoczonej jezdni. Jeśli Rosjanin dotarł tam, nigdy go nie znajdzie. Nagle poprzez śnieg zamigotał splechetek czerni, przecinający ulicę i znikający wewnątrz Harrodsa.

Chamberlain dopadł drzwi kilka sekund później. Wbiegłszy przez przedsionek do głównej sali, znalazł się raptem w tłumie. Przepychał się, oddychając ciężko. W magazynie było ciepło. Śnieg natychmiast stopniał mu na ramionach.

Stanął na palcach i spróbował rozejrzeć się ponad głowami i kapeluszami kupujących. Mężczyzna w czerni przecinał przestrzeń między stoiskami prawie sto jardów dalej. Chamberlain ruszył za nim, przebiegając przez puste przestrzenie, a potem przepychając się łokciami między grupkami klientów.

Ominął okolice kas, zapuszczając się w głąb domu towarowego. Dwa razy stracił mężczyznę z oczu, odnajdując go znowu, uwięzionego tak jak on wśród tłoczących się klientów. Ludzie skupiali się wokół wind i schodów, i Chamberlain uświadomił sobie, że jest już prawie piąta, zbliża się pora zamknięcia sklepu. Jeszcze raz stracił z oczu mężczyznę w czerni. Wspiął się na ladę wystawową, którą sprzedawczyni pokrywała muslinem, i nie zważając na to, że zdumiona, zaczęła domagać się wyjaśnień, rozejrzał się po gigantycznym magazynie.

Człowiek w czerni zbiegał po schodach. Chamberlain zeskoczył z wystawy i rzucił się za nim. Przeskakiwał po dwa stopnie naraz i znalazł się w wyłożonym białymi kafelkami stoisku z rybami i mięsem. Rzeźnicy pakowali swoje towary, a pomocnicy wygarniali lód z pustych tac na ryby. Zostało jeszcze dwóch klientów, którzy płacili przy kasie, ale mężczyzna w czarnym ubraniu zniknął.

Chamberlain dostrzegł dwa wyjścia. Miotał się od jednego do drugiego. Rosjanin mógł uciec każdym z nich. Wybrał drzwi prowadzące do najbardziej ruchliwej części domu towarowego, wyszedł na ulicę i zaczął przyglądać się twarzom wychodzących klientów. Nic z tego. Rozejrzał się jeszcze po ulicy. Chodniki zatłoczone były ludźmi, kierującymi się do metra.

Podejmując ryzyko, wszedł na stację i zjechał ruchomymi schodami na perony. Rosjanin mógł udać się w kilku kierunkach. Chamberlain szedł zatłoczonym peronem, szukając znajomej twarzy i ubrania, ale kiedy dwa pociągi pojawiły się i odjechały, uświadomił sobie, że to beznadziejne. Zniechęcony i drżący z zimna, ponieważ pot wysychał w mroźnym powietrzu, wyszedł z powrotem na ulicę. Pomaszerował Sloane Street i okrążył Harrodsa, udając się z powrotem do Overseas Club.

Odnalazł swój płaszcz, który jakiś zmyślny obywatel powiesił na żelaznym płocie, i założył go pełen wdzięczności. Włosy miał mokre od topiącego się śniegu. Zapiął płaszcz pod szyję, idąc szybko w stronę Herbert Crescent. Śnieg pokrył długie, będące świadectwem poślizgów ślady stóp, które on i człowiek w czerni zostawili na ulicy.

Portier pamiętał go.

— Pan Chamberlain, tak. Powiem pani, że pan wrócił.

Helen Thorp wyszła za pięć minut. Przywitała Chamberlaina powściągliwym uśmiechem.

— Gdzie jest twój niebezpieczny jeniec?

— Zgubiłem go.

— Zachowywałaś się bardzo dramatycznie.

Chamberlain nic nie powiedział. Stał, gdy portier pomógł Helen założyć sobole. Zaproponował im, że zadzwoni po taksówkę, ale mogą mieć więcej szczęścia, żeby ją złapać na Sloane Street, ponieważ są właśnie godziny szczytu.



Helen Thorp doszła do wniosku, że przespacerują się kawalek, ale kiedy zeszli po schodach, okazało się, że śnieg zamienił się w zamieć. Zmieniła więc decyzję.

— Lepiej weźmy jednak taksówkę. — Znowu ujęła go pod ramię.

— Ramsey powiedział pani coś jeszcze?

— Nie.

— Coś jeszcze o decyzji odejścia Hammonda na emeryturę?

— Właściwie nie. Myślę, że Charles mógł powiedzieć o emeryturze, żeby zachęcić Ramseya do przyjęcia jego gościny. Wiesz, powiedział pewnie, że będzie samotny na Madagaskarze i Ramsey, przyjeżdżając, oddałby mu przysługę. Przykro mi, Pete. Ja także miałam nadzieję, że pójdzie trochę lepiej. Ale to były po prostu świąteczne odwiedziny.

— Jest pani pewna, że mówił prawdę? — zapytał podejrzliwie Chamberlain, Doświadczony agent mógł łatwo odgrywać rolę na wpół zidiociałego starca. Helen była jednak pewna.

— To po prostu miły staruszek, który był szczęśliwy, mając gościa. — Ścisnęła jego ramię tak, że Chamberlain odwrócił się do niej. — Wiesz, co on zrobił? — zapytała z uśmiechem.

— Co?

— Zabrał mnie do swojego pokoju pod pretekstem pokazania kolekcji afrykańskich masek i klepnął w pośladek.

— Będzie panią wspominał przez cały tydzień.

— Byłam tam wystarczająco długo, tak że może wspominać mnie przez miesiąc. Hej, bierzemy taksówkę, czy nie?

— Kiedy tylko jakąś dojrzymy.

— Co z tobą?

— Nic, czemu nie mogłoby zaradzić złapanie tego rosyjskiego sukiny-syna.

Zatrzymała się i popatrzyła na niego przesywającymi, ciemnymi oczami.

— Wyglądasz na przeziębionego i jesteś przemoczony, a ja znam lepsze lekarstwo. Chodź, postawię ci drinka.

Byli na Sloane Street, ściśnięci między cizbą kupujących, spieszących w stronę metra i tłumkiem, walczącym o taksówkę.

— Nie mam nic przeciwko temu — odparł Chamberlain, rozglądając się w poszukiwaniu pubu.

— Nie tutaj. Chodź, przejdziemy przez ulicę i zajdziemy do Motcomb. — Szli przez pięć minut ulicami, które stawały się coraz spokojniejsze, aż skręcili do pubu, położonego między domami i małymi sklepikami. W środku powietrze było gęste od papierosowego dymu i wypełnione stłumionym rozgwarem pijącego tłumu, który obsiadł bar i wszystkie stoliki.

Był to miejscowy lokal, do którego wstępowali wracając z pracy mężczyźni i kobiety w każdym wieku. Było ciepło i panowała przyjacielska atmosfera. Wybór tego pubu powiedział Chamberlainowi, że Helen Thorp bardzo dobrze zna tę część Londynu. Jeszcze raz próbował odgadnąć, w którym mieszkaniu zatrzymywała się, przebywając w Londynie.

Wcisnęła się pomiędzy ludzi przy barze, wymieniając uśmiechy i uwagi z tymi, których potrąciła, i wróciła do Chamberlaina z dwiema szklaneczkami.

— Podwójna whisky. Mam nadzieję, że to lubisz.

— Doskonała. Dziękuję.

— *Cheers*.

— *Cheers*. — Przez chwilę patrzył jej w oczy, zdumiewając się tą stroną osobowości Helen, której do tej pory nie znał. Tym, jak swobodnie i dobrze czuła się w zatłoczonych barach i umiała rozkoszować życiem. Zreflektował się. Spotkał ją przecież w najgorszym momencie, zaraz po porwaniu Hammonda. I jeszcze raz zastanowił się, na czym polega jej związek z Hammondem.

— Mieszkałaś w Londynie? — zapytał, porzucając formę „pani”.

— Od czasu od czasu. Po kilka miesięcy naraz. A ty?

— Nie. Nowy Jork jest moim jedynym dużym miastem.

— A co z Waszyngtonem?

— To nie jest miasto.

Roześmiała się.

— To prawda. Uważam, że każdy prawdziwy nowojoreczyk potrzebuje wiejskiego domu w Londynie.

Chamberlain odpowiedział uśmiechem na jej uśmiech. Miała piękne, pełne usta.

— Gdzie się wychowałeś? — spytała.

Opowiedział jej trochę o Connecticut i swojej pierwszej wizycie w Nowym Jorku, i o tym, jak zamieszkał w Greenwich Village, gdzie chodził do collegu.

— New York University? Musiałeś być zdolny. Tamtejsza Business School stanowiła dla mnie alternatywę Wharton. Ciężko było się tam dostać.

— Myślę, że aby utrzymać proporcje, jeśli chodzi o pochodzenie społeczne studentów, musieli przyjmować takich małomiasteczkowych typów z wywiadu jak ja, jeśli tylko umieliśmy czytać i pisać. Schody zaczęły się wtedy, kiedy poprosili mnie, żebym myślał.

— Miałbyś ochotę na następnego drinka?

— Jasne. Pozwól, że ja to załatwię.

Tłum zaczął się przerzedzać o szóstej trzydzieści i do siódmej pub był prawie pusty. Helen odezwała się:

— W Covent Garden jest miłe miejsce na obiad. To tuż za rogiem naszego hotelu. Masz ochotę przyłączyć się do mnie?

— Jasne. Dzięki.

— Będzie wesoło. Wróćmy i przebierzmy się.

Nadal padał śnieg i ulice były puste. Poszli pieszo do Belgrav Square i znaleźli taksówkę, która wiozła ich wolno i ostrożnie przez miasto. Chamberlain czuł się szczęśliwy, czekając na obiad z Helen. A jeśli udałoby mu się to spotkanie jakoś wykorzystać? Porwanie zbliżyło ich do siebie bardziej, niż kiedykolwiek byłoby to możliwe z uwagi na wysoką pozycję Helen w hierarchii Comptelu. Może będzie jej potrzebny nie tylko jako ochrona, może mogliby jakoś pracować razem. Albo, chociaż dotychczas nie myślał o tym, coś innego ich p o ł a c z y. Mogło się tak po prostu zdarzyć...

Jak to było w zwyczaju w tym hotelu, portier z Savoyu otwierając drzwiczki taksówki powiedział:

— Dobry wieczór, *madame*. Dobry wieczór, *sir*. — Potem dodał ledwie słyszalnym szeptem: — Policja czeka w hallu, panie Chamberlain. Na panią.

Chamberlain dogonił Helen w obrotowych drzwiach i szepnął jej do ucha:

— Mamy wizytę glin. Nie wiem, dlaczego.

Odwróciła twarz ku niemu, jakby chciała go pocałować, i odpowiedziała szeptem:

- Inspektor Farquhar siedzi na kanapie. Chcesz wziąć nogi za pas?  
— Co takiego?  
— Żartuję, ty idioto — pocałowała go w usta. — To powinno dać mu coś do myślenia. Dowiedzmy się, czego chce.

Przeszła przez drzwi, a Chamberlain za nią. Smak i miękkość jej warg dały mu do myślenia równie dużo, jak ich pocałunek — Farquharowi.

Inspektor wstał szybko. Chamberlain zauważył dwóch jego pomocników w cywilu, którzy, niby przypadkowo, podeszli bliżej. Obserwatorzy z KGB i CIA gapili się niemal otwarcie. Uprzejmy uśmiech Farquhara nie był skierowany do nikogo w szczególności. Wyglądał na stuprocentowego gliniarza. Stuprocentowego rozżłoszczonego gliniarza. Powiedział „hello” z chłodnym błyskiem w oczach i przeszedł do rzeczy.

— Panno Thorp, obawiam się, że będę musiał zadać pani kilka trudnych pytań. Czy możemy pójść do pani apartamentu, czy pani...

— Mój apartament będzie dobry, zakładając, że powie mi pan najpierw, o co chodzi.

— O zamordowanie majora Donalda Ramseya w jego pokoju w Overseas Club dziś wieczorem.

Chamberlain popatrzył na Helen, ale ta nie dała niczego po sobie poznać. Była spokojna, jak przy swoim biurku w Nowym Jorku, i powiedziała dokładnie to, co on pomyślał:

— Zamordowany?

— Znaleziono go po pani wyjściu.

— Sugeruje pan, że powinnam mieć prawnika, kiedy będzie mi pan zadawał swoje pytania? — rzuciła spojrzenie Chamberlainowi, a on zastanawiał się, jak bardzo jest twarda? Czy tak, jak ta jej gra? Czy to w ogóle jest gra?

— To pani decyzja — odparł Farquhar.

— Wezmę na świadka pana Chamberlaina.

W milczeniu wjechali windą na górę. Chamberlain pomyślał, że cała ta wymiana zdań w hallu musiała wyglądać jak zwykłe spotkanie w interesach dla każdego, kto nie słyszał słów. Uznał, że Farquhar zachowywał się trochę teatralnie, ale prawdopodobnie to jego sposób na zmiękczenie świadka. Zwłaszcza jeśli był to ktokolwiek mniej twardy niż Helen

Thorp. Jak Farquhar mógł ją podejrzewać? Szkoda, że nie słyszał, jak mówiła o tym starym człowieku. Trzeci oficer w cywilu stał przed apartamentami Comptelu z rękami założonymi na plecach, w postawie „spocznij”. Farquhar skinął mu głową i tamten odszedł na bok. Weszli do apartamentu i zamknęli drzwi. Helen usiadła w kącie, w fotelu.

— W porządku, inspektorze. O co w tym wszystkim chodzi?

Jej ton, ostrzegający: „żadnych nonsensów”, rozwścieczył Farquhara. Brytyjski inspektor poczerwieniał w widoczny sposób. Nie wysiłał się, by ukryć swoje uczucia. Naśladując jej ton, odpowiedział:

— Chodzi o milego starszego dżentelmena, patriotę, bohatera wojennego, oddanego publicznej służbie, zamordowanego z zimną krwią w klubie, który wybrał na swój ostatni dom. I chodzi o fakt, że pani była jego ostatnim gościem.

— Czy widziano go żywego po moim wyjściu?

— Nie.

— Dlaczego więc każe mi pan słuchać tych bzdur, zamiast mnie aresztować?

— Bardzo mnie kusi... Gdybym miał jeszcze choć cień dowodu...

— Ale nie ma pan żadnego — odpaliła Helen.

— Chwileczkę — wtrącił się Chamberlain. — Zaczekajcie chwileczkę, oboje. Farquhar, znał pan osobiście majora Ramseya?

— Miałem ten zaszczyt — Farquhar wyprostował się z godnością.

— Przykro mi. I jestem pewien, że panie Thorp także jest przykro. Ale ona z pewnością go nie zamordowała. Wie pan o tym dobrze, Farquhar.

— Przykro mi — powiedziała spokojnie Helen. — To wszystko wyprowadziło mnie z równowagi.

— Mnie też — przyznał Farquhar. — I dlatego może powinienem przeprosić, że dałem się ponieść emocjom.

— Jak możemy pomóc? — spytał Chamberlain.

— Powiedzcie mi, dlaczego złożyliście mu wizytę? — poprosił Farquhar.

Helen Thorp wpatrywała się w podłogę. Z początku Chamberlain przypuszczał, że kobieta zastanawia się nad odpowiedzią, ale potem uświadomił sobie, że ona nie usłyszała.

— Helen? — zapytał delikatnie. W pubie łatwo zaczęli mówić sobie po imieniu. — Panno Thorp?

Wstrząsnęła się i kiedy podniosła oczy, były w nich łzy.

— Przepraszam — wstała i wyszła do sypialni. Farquhar i Chamberlain wymienili spojrzenia. Nie była więc taka twarda. Wyglądało na to, że po prostu jej pierwsza reakcja polegała na tym, by pozostać niewzruszoną. Później, kiedy myślała, że jest bezpieczna pozwoliła, by do głosu doszły uczucia.

— Wróci — powiedział spokojnie Chamberlain. — Mogę odpowiedzieć na to pytanie, jeśli pan chce.

— Proszę.

— Hammond został porwany tuż po spotkaniu z Ramseyem. Chcielibyśmy wiedzieć, o czym rozmawiali.

Chamberlain czekał na odpowiedź, ale Farquhar milczał. Przeszedł po pokoju kilka kroków tam i z powrotem, potem podszedł do kanapy. Dwaj mężczyźni przez kilka minut siedzieli w ciszy, dopóki Helen Thorp nie wróciła z sypialni.

Osuszyła oczy i najwyraźniej poprawiła makijaż. Była jednak śmiertelnie blada i sprawiała wrażenie, że walczy o utrzymanie kontroli nad sobą. Chamberlain przypomniał sobie jeszcze raz, z jakim ożywieniem opisywała Ramseya, który zabrał ją na górę, żeby obejrzała jego afrykańskie maski. Stary major musiał potrącić jakąś bardzo głęboką strunę w sercu Helen Thorp.

— Proszę mi wybaczyć, inspektorze. Odpowiem teraz na pańskie pytania.

— Czy zechciałaby pani usiąść? — poprosił Farquhar.

— Będę stała.

— Pan Chamberlain wyjaśnił mi, dlaczego poszliście państwo do majora.

— Tak. Pete miał wrażenie, że możemy dowiedzieć się czegoś o ostatnich działaniach Hammonda, co mogłoby okazać się pomocne. Wydawało się, że warto spróbować.

— Cóż, czy mogłaby mi pani powiedzieć, w skrócie, o czym dyskutowaliście z majorem?

Chamberlain podniósł się i podszedł do okna. Odsunął grube zasłony i popatrzył na śnieg. Rosjanin musiał zawrócić i wejść do klubu tylnym wejściem, albo przez okno, i zaskoczyć starego człowieka w jego pokoju wtedy, kiedy on i Helen byli w pubie.

Gdy Helen zdała relację z rozmowy z Ramseyem, inspektor zadał kilka krótkich pytań, a potem powiedział:

— Dziękuję pani za współpracę. — Podniósł się z kanapy i zwrócił się twarzą do Helen, która stała przez cały czas. — W zwykłym trybie — rzekł — prosiłbym panią o pozostanie w Londynie, dopóki nie zakończę śledztwa, ale mam świadomość, że może będzie pani musiała opuścić Londyn, żeby wziąć udział w licytacji. Jeśli mi pani przyrzeknie, że wróci natychmiast, jeśli — i kiedy — będę pani potrzebował, nie czynię przeszkód.

— Ma pan moje słowo — odparła Helen Thorp.

— Dziękuję. Panie Chamberlain, czy może mi pan służyć swoim towarzystwem przez godzinę lub coś koło tego?

Chamberlain popatrzył na Helen, chociaż pytanie Farquhara było raczej retoryczne.

— Dobrze się czujesz?

— Tak. Idź śmiało. Chciałabym zostać sama.

— Jesteś pewna?

— Zobaczymy się rano.

— Mogę ci coś przynieść.

— Zamówię coś do jedzenia do pokoju. Dobranoc, Pete. Dobranoc, inspektorze Farquhar.

Kiedy znaleźli się w korytarzu, Farquhar zwolnił cywilną obstawę. Gdy szli do windy, odezwał się:

— Przerwałem wam bardzo miły wieczór.

— Znam lepszą porę na takie wizyty — przyznał Chamberlain. — Co mogę dla pana zrobić?

— Ostrzegłem cię, kolego, żebyś nie rozrabiał w Londynie. — Ze złością wdusił guzik windy i Chamberlain przekonał się, że pomimo delikatności z jaką traktował Helen Thorp, inspektor nadal kipi gniewem i to tak bardzo, że przestał go nawet tytułować „panem”.

— Byliśmy ciekawi — powiedział Chamberlain. — Po prostu poszliśmy porozmawiać z tym facetem, to wszystko.

Przyjechała winda i wsiedli do środka. Chamberlain rozejrzał się w poszukiwaniu mężczyzn w cywilnym ubraniu, ale widocznie zbiegli już po schodach. Drzwi zamknęły się, a Farquhar wybuchnął gniewem:

— A potem urządziłaś za jakimś człowiekiem pogoń po ulicach i rozbijałaś się po Harrodsie jak zwariowany gówniarz. Kierownik zadzwonił do mnie ze skargą. Dlaczego nie otworzyłaś do niego ognia? O tej porze nie mogło być tak wielu klientów.

— Nie noszę broni.

— I lepiej dla ciebie, kolego, żeby tak było, albo przytrzymam cię w Dortmoor do Dnia Sądu Ostatecznego. Obszukał obie poły marynarki Chamberlaina szybkimi, fachowymi ruchami i sprawiał wrażenie zawiedzonego, kiedy nie znalazł broni. Chamberlain zastanawiał się tymczasem, jak przemycić na pokład samolotu Comptelu pistolet, który trzymał w swoim pokoju. Drzwi windy otworzyły się i obaj mężczyźni wyszli z hallu na szalejącą śnieżycę.

Kiedy znaleźli się poza zasięgiem uszu portiera, Farquhar zapytał:

— Wyobrażasz sobie, że gdzie ty, do diabła, jesteś? W jakiejś republice bananowej, gdzie zabawiasz tubylców szpiegowskimi awanturami? Kogo ścigałeś?

— Rosjanina. Prawdopodobnie z KGB. Zastrzelił pewnego faceta, który pracował ze mną w Breście. Wczoraj.

— Pracownika twojej firmy?

— Tak.

Farquhar zatrzymał się na rogu.

— I miałeś zamiar pomścić go na ulicach Londynu? — zapytał z niesmakiem.

Chamberlain zatrząsł się. Mokry śnieg topniał na jego głowie i znowu miał wilgotne włosy.

— Szukam Charlesa Hammonda — rzekł. — Chciałem wiedzieć, co, do diabła, ten facet robił przed Overseas Club.

— I jak sądzisz?

— Wydaje się, że to cholerny zbieg okoliczności, ale przypuszczam, że miał ten sam pomysł, w tym samym momencie, co panna Thorp i ja.

— Jaki pomysł?

— Żeby sprawdzić, czym zajmował się Hammond. Myślę, że chwycił każdą możliwość jak tonący brzytwę. Podobnie jak my.

— Sądzisz, że wrócił i zabił Ramseya?

— Czy Ramsey był bity?

— Odkryliśmy pojedynczy ślad na jego twarzy — powiedział Farquhar, spoglądając przenikliwie na Chamberlaina. — Nie byliśmy pewni co do przyczyny.

— Czy od tego zginął?

— Zginął od strzału.

— Z beretty?



— Tak. Widocznie Ramsey sięgał po własny rewolwer, ale był zbyt wolny.

— Ten facet jest szybki jak błyskawica.

— Major także — rzekł Farquhar, wpatrując się w śnieg.

— Czy oddał strzał? — spytał Chamberlain.

— Nie — powiedział Farquhar. — Nie tym razem — podniósł rękę. Dalej na Strandzie ciemny jaguar z długą anteną radiową, zaparkowany przed Simpsonsem, włączył światła i z poślizgiem zjechał z pokrytego topniejącą breją krawężnika.

— Jak to się stało, że znalazłeś Ramseya? — zapytał Chamberlain.

Farquhar zawahał się.

— Cóż, prawdę mówiąc, spotkaliśmy się w Kenii. Wykonywałem pewne zlecenie dla policji kolonialnej, a on był tam kapitanem, kimś związanym z M15. Działał przeciwko rebeliantom Mau mau.

I to raczej owocnie, jak się okazało. Wróciłem do Scotland Yardu, a on siedział tam przez całe lata, nawet po uzyskaniu przez Kenię niepodległości. Niesamowicie zdolny facet. Nie było takiej rzeczy o Afryce Wschodniej, której by nie wiedział.

Ujął Chamberlaina za ramię, kiedy jaguar, zarzucając, zatrzymał się przed nimi.

— Opowiedz mi więcej o tym Rosjaninie.

Helen Thorp, zaróżowiona, wyszła z kąpieli, wytarła się ręcznikiem ogrzanym na ocieplanej parą pólce, zdjęła czepek kąpielowy i potrząsając głową rozrzuciła długie, ciemne włosy. Zawinęła się w gruby szlafrok frotté i weszła do sypialni.

Mężczyzna w czerni czekał w fotelu obok jej łóżka. W jednej ręce trzymał pistolet, a w drugiej laskę. Powiedziała:

— Kto...

A on aksamitnym głosem zapytał:

— Co powiedział ci major Ramsey?

— Co takiego? Kim jesteś?

Widziała pulsowanie krwi na jego kościstej skroni. Siedział z jedną nogą założoną niedbale na drugą, ale cała jego postać zastygła w napięciu.

— Skończył mi się czas — warknął. — Nie dam się wywieść w pole przez CIA.

— Ja nie jestem z CIA!

Zignorował protest i przyszpilił ją spojrzeniem swoich błyszczących oczu.

— Zabiję cię, jeśli nie powtórzysz mi, co powiedział ci major Ramsey.

— Nic mi nie powiedział.

Mężczyzna w czerni podniósł pistolet.

— Nie możesz strzelać. Wszyscy usłyszą.

— Ściany są grube. Nikt nie usłyszy. A jeśli nawet, to to, co stanie się ze mną, nie zmieni faktu, że ty będziesz martwa.

Helen Thorp pobladła.

— Nie powiedział mi nic. Po prostu rozmawialiśmy o jego przeszłości.

— Kłamiesz.

Czmychnęła w stronę salonu. Podciął jej nogi laską i przydusił ją swoim ciałem, kiedy upadła na podłogę. Zatkanął jej usta silną dłonią, żeby nie krzyczała. Potem przycisnął jej szyję przedramieniem, przygniatając tchawicę. Leżała rozciągnięta na plecach, walcząc o odzyskanie oddechu.

— Nie mam czasu — wymamrotał. — Nie mam czasu.

Wierzgnęła, aż szlafrok zsunął jej się z nóg. Mężczyzna tęsknie zatrzymał na nich wzrok.

— Nie mam czasu, nie mam czasu — wymamrotał ponownie, ale kiedy wypowiadał te słowa, w jego oczach pojawił się dziki błysk, pożądliwy i zupełnie szalony.

Podniósł ją z podłogi, nadal zaciskając na jej ustach jedną ze swych kościstych dłoni, a potem rzucił na łóżko tak mocno, że jej ręce i nogi zamachały bezwładnie, jak u szmacianej lalki. Szybko przekręcił kobietę na brzuch, wciskając jej twarz w kołdrę, usiadł na jej pośladkach i paskiem od szlafroka związał jej ręce. Kiedy wygięła plecy w łuk, próbując wrzasnąć, błyskawicznie wepchnął jej w usta perfumowaną chustkę. Obróciła się i uderzyła go kolanem w krocze. Jęknął i spadł z łóżka. Przeturlała się w stronę telefonu.

Był tam pierwszy, rzucił ją na łóżko i z powrotem obrócił na brzuch. Następnie chwycił leżące na komodzie rajstopy i związał jej nogi w kostkach. Cofnął się i popatrzył, jak oddychała głęboko, dygocząc.

— Co powiedział Ramsey?

Podniósł laskę. Leżała, oddychając z wysiłkiem i obserwowała go. Przekreślił kościaną rękojeść laski i z uśmiechem oddzielił rączkę, wyjmując długą, cienką szpicrutę.

Helen Thorp, z niedowierzaniem, szerzej otworzyła oczy.

— Możesz kiwnąć głową, kiedy będziesz gotowa mówić.

Podniósł pejcz i świsnął nim ostro w powietrzu. Potem chwycił brzeg jej szlafroka i podniósł go wolno. Spazmatyczny dreszcz przebiegał ciałem Helen od głowy po czubki palców, kiedy przesuwiał włochatą tkaninę po jej nogach.

— Lepiej, żebyś miała coś do powiedzenia.

Gwałtownie potrząsnęła głową.

Uśmiechnął się, odsłaniając zęby równie białe jak jego okropne, kościste policzki.

— Wstydz się. Pytam jeszcze raz. Co powiedział Ramsey?

Podniósł bicz pod sufit i powoli, cal po calu, odsłaniał jej ciało.

## Rozdział dwudziesty trzeci

— Będzie strasznie rozczarowany, jeśli mu powiesz — wycodziła drwiąco od drzwi lady Janet.

Mężczyzna w czerni zamarł ze szlafrokiem Helen Thorp w jednej ręce i wysoko wzniesionym pejcem w drugiej. Tylko jego oczy poruszyły się, a kiedy spoczęły na długich jasnych włosach, blade wargi lady Janet rozchyliły się w uśmiechu ponad pistoletem, który trzymała w obu dłoniach. Wycelowany był w głowę mężczyzny.

— Odwróć się. Bardzo wolno.

Człowiek w czerni wypuścił szlafrok i zaczął obracać się w stronę drzwi.

— Odwróć się zupełnie. I podnieś wyżej obie ręce. Obie!

Obok Janet pojawiła się zwałista postać Henri'ego Trefle'a w nowym płaszczu i kapeluszu z szerokim rondem, który naciągnięty był głęboko na pokrytą plamami twarz. Mruknął ostrzegawczo.

Mężczyzna w czerni ruszył jak błyskawica. W jednej chwili stał spokojnie przy łóżku, z rękami wysoko w górze i biczem nadal zaciśniętym w palcach. W następnym momencie przelatywał już nad łóżkiem. Jeszcze w powietrzu wsunął wolną rękę pod marynarkę i wyciągnął swoją beretę.

Lady Janet trzymała go cały czas na muszce, a kiedy spod marynarki ukazała się broń, kobieta wypaliła dwukrotnie, a potem jeszcze dwa razy.

Cztery stłumione uderzenia, nie głośniejsze od trząśnięcia drzwiami. Kiedy mężczyzna w czerni uderzył o podłogę po drugiej stronie łóżka, pistolet wypadł mu z dłoni i leżał teraz na dywanie.

Henri przeszedł przez sypialnię dwoma gigantycznymi krokami, przykleknął obok ciała i podniósł rękę.

— *Mort.*

Lady Janet schowała broń do kieszeni, podeszła do trupa i popatrzyła nań z wyrazem zamyślenia na twarzy. Zbyt długo była na środkach odurzających, żeby czuć wiele, ale jej najważniejszym celem nadal pozostawał Karl Grandzau. Odczuwała jednak większą satysfakcję, niż się spodziewała. Bo ten potwór, który torturował ją tak okrutnie, odczuwał strach i zginął wiedząc, że się zemściła.

Henri czekał, milcząc.

W końcu Janet pochyliła się nad Helen Thorp i wyjęła jej knebel z ust.

Amerykanka zaczęła mamrotać z ulgą:

— Dziękuję. Dzięki Bogu. Dzięki wam.

Lady Janet przyglądała jej się chłodno.

— Masz szczęście.

— Och, wiem, wiem. Dziękuję... Czy mogłabyś... rozwiązać mi rękę?

Proszę.

— Gdzie jest licytacja?

— Co takiego?

— Gdzie jest licytacja Grandzaua?

Lady Janet niecierpliwie przesunęła ręką po włosach, a Helen Thorp gapiała się na nią z głupim wyrazem twarzy. Nie mogła uwierzyć, że ta wybawczyni nie ma zamiaru jej rozwiązać.

— Henri!

Mężczyzna przesunął w palcach szpicrutę. Uśmiechając się do Helen, wymruczał:

— Szkoda, że nie mamy czasu na dłuższe przesłuchanie. — Rzucił pejcz na łóżko, przekręcił Helen na plecy i wyciągnął spomiędzy fałdów płaszcza swój długi, przezroczysty nóż. Obrócił go lekko, najpierw w jedną stronę, potem w drugą, żeby pokazać jej refleksy światła na ostrej jak brzytwa krawędzi.

— Gdzie jest licytacja Hammonda?

— Czekaj! — wrzasnęła Helen, starając się uciec przed nożem.  
Henri zacisnął swoją wielką rękę na jej karku i przyciągnął ją do ostrza.

— Czekaj! Ja nie wiem. Jeszcze nam nie powiedzieli. Po prostu kazali nam przyjechać do Savoyu.

Lady Janet przyglądała się temu z obojętnym wyrazem twarzy. Oszałałe oczy Helen przenosiły się z noża na nią i na Henri'ego.

— Przypuszczamy, że jest zaplanowana na siódmego. Pojutrze.

— Gdzie?

— Powiedziałałam wam, nie wiem. Nie powiedzieli.

— Henri.

— Zaczekaj, proszę. Zaczekaj! Policja. Scotland Yard. Powiedzieli, że człowiek, który przeprowadza aukcję...

— Grandzau.

— Tak. Uważają, że on wyczarterował concordę, żeby zawieźć nas nad Zatokę Perską.

Lady Janet popatrzyła z niedowierzaniem na Henri'ego, który pokręcił głową.

— To prawda — krzyknęła desperacko Helen. — Przysięgam.

— Kiedy?

— Prawdopodobnie jutro w nocy albo następnego dnia.

— Z jakiego lotniska?

— Nie wiem, z jakiego lotniska. To szaleństwo. Zapytajcie ich. Z jakiego lotniska odlatują concordy?

Jeszcze raz popatrzyli na siebie.

— To wszystko, co wiem — powiedziała zrezygnowana Helen. — Proszę, rozwiążcie mnie.

— Chodźmy — odezwała się kobieta.

— A co z nią?

— Ktoś przyjdzie. Chodźmy.

— Ale ona widziała, jak go zabiłaś — wskazał głową leżące na podłodze ciało.

Helen zbladła.

— Nie. Nie widziałam, nic nie powiem.

— Nigdy już mnie nie zobaczy — stwierdziła kobieta. — Poza tym ani ja, ani ty, ani prawdopodobnie on, nie wjechaliśmy do Brytanii przez biuro imigracyjne. Zaryzykuje.

— Musimy ją zabić.

- Nie, Henri. To tylko przysporzy nam kłopotów. Zostaw ją.
- Idź pierwsza — powiedział olbrzym, stukając płazem noża w dłoń.
- Ja się tym zajmę.

— Och, jest jedna sprawa — powiedział Chamberlain, gramoląc się z samochodu Farquhara przed Savoyem. — Helen Thorp wspomniała, że nowy rząd wyrzucił majora Ramseya z Kenii, kiedy Anglicy wyjechali. Ale ty powiedziałaś, że on został.

— To była dość śliska sprawa — odparł Farquhar. — Najpierw dali mu kopa. Wkrótce po tym zorientowali się, że potrzebują ludzi z takim doświadczeniem, więc zaprosili go z powrotem. Jesteś pewien, że nie napijesz się drinka? Jest tu miły amerykański lokalik na sąsiedniej ulicy. Trochę teatralny, ale osmielę się powiedzieć, że nie odmówią rodakowi.

Chamberlain chciał sprawdzić, czy Helen czeka na niego.

- Lepiej pójdę. Jutro czeka mnie, być może, długi dzień.
- Cześć.
- Dobranoc.

Chamberlain wszedł z korytarza do swojego pokoju, mając nadzieję, że drzwi do jej apartamentu zastanie otwarte. Pomylił się. Jego pokój był ciemny, gorący i duszny. Poszła prosto do łóżka. Rozważył możliwość poszukania baru, o którym wspominał Farquhar. Potem zauważył światło pod drzwiami łączącymi pokoje. Miał zamiar zapukać, ale zastanowił się przez chwilę. Mogła usnąć, zostawiając światło w salonie.

Pomyślał o telefonie. Jeśli jednak zapomniała zawiadomić centralę telefoniczną, obudzi ją, co nie jest dobrym pomysłem, zważywszy, że niedawno była wytrącona z równowagi. Lepiej zostawić ją w spokoju.

Potem usłyszał głosy. Niskie tony w głosie mężczyzny dudniły zza drzwi.

— Sukinsyn — wymamrotał Chamberlain, zastanawiając się, czy to ten facet, u którego zatrzymywała się zwykle w Londynie.

Tyle, jeśli chodzi o jej zdenerwowanie.

Odezwała się jakaś kobieta, nalegająco, z perswazją. Nie przypominało to głosu Helen. Potem usłyszał jej głos. Przycisnął ucho do drzwi.

Nie słyszał słów, ale wydawała się przestraszona. Głosy były odległe, jakby rozmawiali w sypialni.

Chamberlain przyłożył do drzwi urządzenie podsłuchowe z elektronicznym wzmacniaczem i nasłuchiwał z uwagą. Wsunął je z powrotem do kieszeni i delikatnie przekręcił klucz, koncentrując się na tym, by bez zgrzytu odsunąć zasuwę. Cichutko otworzył drzwi i zajrzał do salonu. Był pusty, a głosy dochodziły wyraźnie z sypialni. Mężczyzna i kobieta spierali się. Ona mówiła jak Angielka — Angielka z wyższych sfer — w jego głosie słyhać było francuski akcent.

Pomyślał o agentce Grandzaau, lady Janet Isling, i cicho podkraść się do swojej szafy, gdzie ukrył broń Kreegana. Potem wśliznął się do salonu i ostrożnie dążył w kierunku głosów. Był już w połowie drogi, kiedy usłyszał, jak Helen Thorp krzyczy z przerażenia. Porzucił ostrożność i wszedł prosto do sypialni.

Helen leżała skulona na łóżku, częściowo osłonięta płaszczem kąpielowym, ze związanymi rękami i nogami. Mężczyzna, który zasztytował w Marsylii agentów KGB, trzymał nóż na jej gardle. U jego stóp leżał martwy Rosjanin w czarnym ubraniu. Trzy rany od kul widniały w kółku o sześciociałowej średnicy pośrodku jego piersi. Były dziełem lady Janet Isling, która stała z pistoletem w ręku.

Poczuł jakiś ruch po lewej stronie, uchylił się przed ciosem, chwycił lady Janet za ramię i wykręcił je gwałtownie do tyłu, zmuszając ją do wypuszczenia pistoletu. Następnie obezwładnił kobietę i przystawił do jej głowy rewolwer. Potem krzyknął do mężczyzny z nożem.

— Cofnij się!

Helen wpatrywała się w niego zdumiona. Jednak wielki facet z nożem dotknął jej gardła ostrzem i posłał Chamberlainowi bezczelny uśmiech.

— Być może, *monsieur*, dbam o swoją damę mniej niż pan o swoją.



## Rozdział dwudziesty czwarty

Chamberlain chwycił mocniej lady Janet i przycisnął biodro do jej pośladków, aby nie mogła kopnąć go w krocze.

— Cofnij się — powtórzył, prowadząc ją na drugą stronę pokoju, by ustawić się pod lepszym kątem do strzału.

Francuz obrócił się w ich stronę, nie usuwając noża z szyi Helen i trzymając ją między sobą i Chamberlainem.

— Nie, *monsieur*. Niech się pan cofnie. Ona naprawdę nic dla mnie nie znaczy.

— Być może, mister, ale jeśli zasztyletuje pan moją damę, a ja zastrzelę pańską, nadal będę miał rewolwer, a pan tylko nóż.

Francuz patrzył na niego bez lęku.

— Odbierałem już rewolwery ludziom pańskiego pokroju.

— Ten strzela bardzo grubym śrutem.

To zamknęło mu usta na chwilę i Chamberlain z ulgą stwierdził, że jeśli tamten nie dba nawet o życie kobiety, to przynajmniej własne obchodzi go na tyle, że o nim pomyśli.

— Henri — syknęła kobieta. — Hammond. Pamiętaj. Pamiętaj o Hammondzie.

— O czym ona, do diabła, mówiła? — zastanawiał się Chamberlain.

— *Alors?* Dla tego gnojka mógłbym się ostatecznie wycofać.

— Tak! — rozkazała i zadrżała z wysiłku. — Rób, co on mówi, Henri. Pamiętaj!

Francuz nie kupił tego. Amerykanin obserwował go w poczuciu bezsilności. Nie mógł strzelić z obrzyna tak blisko Helen.

— Henri Trefle nie cofa się. To kwestia honoru.

Chamberlain przeklinał się w myśli za to, że rozłościł tego faceta. Nie powinien urażać jego dumy.

— To sytuacja, w której nie będzie zwycięzców — powiedział spokojnie. — Najlepiej będzie, jeśli wycofamy się obaj. Wygląda pan na profesjonalistę. Dlaczego nie mielibyśmy wybrnąć z tej patowej sytuacji w sposób profesjonalny?

Facet popatrzył na niego, starając się robić mądrą minę, i Chamberlain uświadomił sobie, że tamten jest na wpół pijany. Kobieta była po jego stronie. Rozluźniła się w jego ramionach, by dać mu to do zrozumienia.

— Tak, Henri. Ten człowiek ma rację. Obaj jesteście zawodowcami.

Henri nic nie powiedział i nie poruszył się. Pochylał się nad Helen jak oszołomiony, zdumiony bawół. Na jego twarzy nie zaszły żadne zmiany, mimo że lady Janet spróbowała jeszcze raz go przekonać.

— Chcemy się stąd po prostu wydostać, Henri. Nie ma znaczenia, co się tu dzieje.

Chamberlain rzucił spojrzenie na Helen. Zaczynała drżeć. Jeszcze minuta i zapomni, że jej życie zależy od tego, by nie drgnęła ani o włos. Popatrzył znowu na Henri'ego. Nic. Pokryta plamami twarz była nieprzenikniona.

Potem Chamberlain poczuł, jak jego koncentracja słabnie. Miało to coś wspólnego z lady Janet. Odkąd dała mu do zrozumienia, że wspiera go, jeśli chodzi o Henri'ego, jej ciało przekształciło się z połączenia napiętych, wrogich kości i mięśni, w miękkie piersi i delikatne krągłości bioder.

To było szaleństwo. W ten sposób da się zabić. Jej zapach był elektryzujący, ale faktem jest, że pistolet lady Janet leżał w pobliżu na dywanie i kobieta mogła starać się usnąć jego czujność. Chamberlain przypomniał sobie, że najmądrzejsza dziewczyna, z jaką kiedykolwiek sypiał, powiedziała mu, że harmonijnie dobrane zapachy wzbudzają największe pożądanie.

Szaleństwo. Kopnął pistolet dalej. Potem poczuł, jak kobieta drży. Trwało to tylko przez moment, kiedy utraciła panowanie nad sobą, potem powtórnie zrobiła się sztywna, by nie dopuścić do powtórzenia się

takiej sytuacji. Ona także to czuła. Ale ta chwila minęła.

Helen Thorp zaczęła dygotać. Nie mogła już dłużej czekać.

— Ja zrobię pierwszy krok — zdecydował Chamberlain. — Odejdę od pańskiej damy.

— Ma pan broń — przypomniał posepnie Trefle. — Co znaczy „odejść”, jeśli ma pan rewolwer?

Chamberlain wypuścił lady Janet i cofnął się dwa kroki, kierując broń w jej stronę.

— Proszę podnieść swój pistolet. — Spojrzała mu w oczy, zanim wykonała jakikolwiek ruch. Jej źrenice przypominały czarne kropki, postawione ołówkiem. Pijak i narkomanka. Co za połączenie. — Nie strzelę — obiecał. — Proszę go podnieść.

Podniosła broń i wycelowała w Amerykanina.

— W porządku, Henri. Możesz ją teraz puścić.

Henri Trefle nic nie powiedział. Popatrzyła na niego, zwilżając wargi.

— Henri!

Helen spróbowała szarpnąć głowę do tyłu, żeby odsunąć się od noża. Trefle zacisnął wielką dłoń na jej karku i pchnął ją w stronę ostrza. Lady Janet pogrzebała w kieszeni płaszcza i podniosła do ust kilka czerwonych pigułek.

Chamberlain pokręcił głową.

— Nie teraz, proszę pani — wymamrotał z rozpaczą. — Proszę, nie teraz.

Helen zaskomlała. Zorientował się, że zaczyna zupełnie tracić panowanie nad sobą.

Lady Janet popatrzyła na pigułki.

— Potrzebujemy pani w dobrej formie — rzekł Chamberlain. — Proszę tego nie robić.

Lady Janet powoli przeniosła na niego wzrok, przechyliła dłoń i pozwoliła pigułkom spaść na podłogę.

— Dziękuję.

— Henri! Idziemy! — w jej głosie brzmiała nowa siła, która złamała opór mężczyzny. Cofnął się od łóżka i schował nóż do pochwy szybkim, płynnym ruchem. Potem z buńczuczną miną podszedł do drzwi, celowo lekceważąc Chamberlaina, ale zerkając na rewolwer, który strzela grubym śrutem.

Chamberlain i lady Janet popatrzyli na siebie. Oddałby kilka lat życia, żeby wiedzieć, o czym myślała.

— Zostanę tutaj — powiedział. — Po prostu proszę wyjść. — A potem dodał cicho: — Będę panią krył.

— Dziękuję — odpowiedziała.

W milczeniu wyszli do salonu i potem na korytarz. Helen wybuchnęła stłumionym łkaniem. Kiedy Chamberlain usłyszał trzask zamykanych drzwi, usiadł obok niej, rozwiązał jej ręce i nogi, i przykrył ją szlafrokiem.

— O, mój Boże! — jęknęła Helen. — Och, mój Boże!

— Już po wszystkim. — Delikatnie wziął ją w ramiona, otulił koldrą, żeby było jej ciepło, i trzymał tak, gładząc po plecach, by się uspokoiła. Stopniowo płacz ucichł, a kiedy już nie wstrząsało nią łkanie, Chamberlain nalał przy barze w salonie solidną porcję szkockiej. Trzymał szklanczkę przy jej wargach, dopóki nie wzięła jej sama i nie usiadła, żeby wypić alkohol.

— Jak się czujesz?

— Okropnie. Proszę, obejmij mnie jeszcze. — Chamberlain otoczył ją ramionami, dopóki nie przestała drżeć.

— Chcesz o tym porozmawiać teraz? Czy później, jak wezwę policję?

— Po co?

— Mamy nieboszczyka w apartamencie.

— Wezwij ich teraz. Chcę, żeby go stąd zabrano.

Zadzwoił do Scotland Yardu i połączył się z sierżantem, który zgodził się zadzwonić do inspektora do domu. Farquhar przybył o północy, a do tego czasu Helen wróciła już do siebie na tyle, że przebrała się w swoją obcisłą jedwabną suknię, wyszczotkowała włosy do połysku i zrobiła makijaż. Siedziała w fotelu, spokojnie pijąc drugą szkocką, podczas gdy Chamberlain w skrócie zrelacjonował wydarzenia, a rozgniewany inspektor Farquhar oglądał ciało.

— Dałem ci wyraźne ostrzeżenie — odezwał się do Chamberlaina.

— Ja go nie zabiłem — zaprotestował Chamberlain. — Ta kobieta to zrobiła.

— Tak, a kim była ta kobieta?

— Nie wiem — skłamał Chamberlain. Czuł wobec niej dług wdzięczności za to, że pomogła mu złamać upór Francuza. — Była blondynką i mówiła z wyraźnym niemieckim akcentem.

Helen Thorp wpatrywała się w swoją szklanę.

— Czy mógłbyś jeszcze raz wyjaśnić kolejność zdarzeń?

Chamberlain powtórzył to, co powiedziała mu Helen. Następnie Farquhar zwrócił się do Helen i poprosił ją, żeby przedstawiła swoją relację. Opowiedziała tę samą historię.

Farquhar słuchał z zaciśniętymi wargami, potem przeprowadził kilka rozmów telefonicznych i sprowadził do apartamentu paru detektywów i szefa nocnej zmiany hotelu Savoy, z którym wdał się szeptem w rozmowę. Detektywi sfotografowali pokój i wszystko, co się w nim znajdowało, potem wzięli odciski palców zmarłego i włożyli je do przenośnego faksu, który podłączyli do telefonu.

Kierownik, sprawiający wrażenie zdenerwowanego, wyszedł, a Farquhar popatrzył niecierpliwie na telefaks.

— Nie znajdziecie jego odcisków palców w kartotece Scotland Yardu — rzekł Chamberlain.

— Nie szukam w Scotland Yardzie — zareplikował Farquhar.

— MI5?

— Dlaczego nie pilnujesz własnych interesów, kolego?

— Nie znajdziesz ich tam także.

— Skąd ta pewność?

— Już ci mówiłem, że CIA nie ma jego akt, a oni wymieniają ten rodzaj informacji z waszym wywiadem. Wiesz o tym.

— Może my katalogujemy nasze dane inaczej — oschle odparł Farquhar. — Teraz powiedz mi coś więcej o tym Francuzie.

— Wielki facet. Co najmniej dwieście pięćdziesiąt funtów. Bardzo duży. Widziałem go przez sekundę w Marsylii, kiedy wymachiwał tym swoim szklanym nożem. Hartowane szkło. Wyglądał, jakby był pijany, ale w Marsylii poruszał się zbyt szybko jak na pijaka.

— Mów dalej.

— Kobieta nazwała go „Henri”. Mówił o sobie „Henri Trefle”, jakby jego nazwisko miało jakieś specjalne znaczenie. Wspaniała reputacja, jak sądzę. Przypuszczam, że to najemnik.

— Na to wygląda. I kobieta z francuskim akcentem?

— Niemieckim.

— A, tak. — Farquhar przeprowadził jeszcze jedną długą rozmowę

przez telefon. Chamberlain usiadł obok Helen. Wzięła go za rękę i trzymała mocno, kiedy policyjny stenograf notował jej odpowiedzi na pytania zadawane przez ludzi Farquhara. Kiedy inspektor odłożył słuchawkę, Chamberlain zapytał:

— Czy ona nie powinna mieć prawnika?

— Wszystko w porządku, Pete — powiedziała Helen. — Nic mi nie jest.

— Nie mam nic przeciwko obecności prawnika — rzekł Farquhar, ale możesz być pewien, że nie będzie żadnego dochodzenia. MI5 porozumiało się z Ministerstwem Spraw Zagranicznych. Zidentyfikowali nieboszczyka i odłożą całą sprawę *ad acta*.

— Kto to jest? — spytał Amerykanin. Farquhar wyciągnął zdjęcie lady Janet.

— Czy to mogła być ta kobieta?

— Chyba nie — odparł Chamberlain.

— To dość wyraźna fotografia.

— To nie ona.

— Panno Thorp?

Helen spojrzała na zdjęcie.

— Przykro mi, inspektorze. Nie mogę sobie nic przypomnieć. Byłam zbyt przerażona.

— Spójrz jeszcze raz, Peter.

Chamberlain posłusznie przyjrzał się fotografii. Miała profesjonalną jakość. Kobieta wyglądała młodo, była w stroju do jazdy konnej i uśmiechała się ponuro. Od tego czasu jeszcze wypiękniała.

— To nie jest kobieta, którą widziałem.

— Dziwne. Przypuszczamy, że spędziła pewien czas z Trefle'em. Nawiasem mówiąc, miałeś rację. To najemny żołnierz. Wkrótce będę wiedział o nim więcej. Rzecz w tym, że ta kobieta była także związana z herr Grandzauem.

— Żartujesz?! — wykrzyknął Chamberlain, który zaczynał żałować, że wplątał się w to kłamstwo. Ale stało się i nie było teraz sensu psuć sobie układów z Farquharem, przyznając się do winy. — Kim ona jest? — zapytał, przeciągając szaradę poza granice logiki.

— Lady Janet Isling. Bardzo skomplikowana młoda dama. Jej ojciec był baronetem i jednym z bardzo niewielu przedstawicieli ziemiaństwa, którzy właściwie powiększyli swój stan posiadania pod rządami Partii

Pracy, ten stary miał przedziwny talent do zwalczania socjalistów.

Większości tego Chamberlain dowiedział się już wcześniej od Arnie'ego Fasta. Ważną rzeczą, która wyszła na jaw dzisiejszej nocy, było to, że mylił się uważając lady Janet za agentkę Grandzaaua.

— Ale dlaczego ona i Trefle pytali o licytację?

— Nie mam bladego pojęcia, stary. Nie chcesz wiedzieć, kim jest ten facet na podłodze?

— Ona go znała — przerwała Helen Thorp. — I on ją znał. Przeraził się, kiedy usłyszał jej głos.

— Raczej wątpię, czy on kiedykolwiek w życiu był przerażony — rzekł Farquhar.

— Jak się nazywa?

— Ivor Pejczeski.

— Nigdy o nim nie słyszałem. KGB?

— Niezupełnie. Dostał *carte blanche*, jeśli chodzi o ich możliwości w Europie: ludzi, samochody, broń, pieniądze. Ale był po prostu gościem. To nie jego terytorium.

— A gdzie było jego terytorium?

Wydawało się, że odgrywanie roli szafarza informacji sprawia Farquharowi przyjemność. Teraz jednak wyglądał na szczerze zmieszanego.

— Afryka Wschodnia.

— Tak, jak Ramseya?

— Jak majora Ramseya.

— Nie rozumiem — przyznała Helen Thorp.

Farquhar rozłożył bezradnie ręce.

— Ja także. Zgodnie z tym, co podają moje źródła, wrogowie Pejczeskiego przed laty wysłali go do Afryki, bo był zbyt niebezpieczny, żeby trzymać go w pobliżu Kremla. Mieli nadzieję, że ktoś poderżnie mu gardło podczas jakiegoś plemiennego sporu, lecz on świetnie prosperował. Aranżował zamachy stanu i popełniał morderstwa polityczne w każdym państwie nad Oceanem Indyjskim.

— Ale dlaczego KGB wybrało właśnie jego, żeby przejął Hammonda?

Zadzwoił telefon i jeden z detektywów podał słuchawkę inspektorowi. Podczas rozmowy jego ludzie przyprowadzili wózek na

brudną bieliznę, wladowali do niego ciało Pejczeskiego, przykryli je prześcieradłami i wywieźli z pokoju. Helen przyglądała się temu z niedowierzaniem, podczas gdy Farquhar, słuchając pilnie swego telefonicznego rozmówcy, rzucił Chamberlainowi ciężkie spojrzenie.

— Tak po prostu? — spytała cicho Helen.

— Przypuszczam, że Farquhar trzyma za słowo Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

— Pozbądź się go — szepnęła. — Chcę się położyć.

— Już się robi.

Gdy Farquhar odłożył słuchawkę, Chamberlain podszedł do niego i wprowadził z sypialni Helen do salonu.

— Byłoby dobrze, gdybyśmy na dzisiaj skończyli. Moja szefowa jest skonana.

— Oczywiście, stary. Już prawie kończę. Postawię jednak człowieka pod jej drzwiami. Pod drzwiami was obojga. Tak będzie najlepiej dla wszystkich zainteresowanych, prawda?

— Dzięki — odrzekł Chamberlain.

— Przy okazji dowiedziałem się jeszcze czegoś o Trefle'u — przerzucił notatki, które zrobił podczas rozmowy telefonicznej. — *Colonel Henri Trefle*. Francuski najemnik. W Legii Cudzoziemskiej walczył w Indochinach i Algierii. Weteran z Konga, Angoli, Rodezji, Afryki Południowej, Somalii — przerwał i popatrzył dziwnie na Chamberlaina. — Krążą plotki, w które wielu wierzy, ale nie są potwierdzone, że jego oddział został unicestwiony podczas nieudanego zamachu stanu w Somalii, kilka lat temu. Zdaje się, że został wtedy zdradzony przez niejakiego pana Charlesa Hammonda.

— Hammond był zamieszany w jakiś zamach stanu? — głupio zapytał Chamberlain.

— Organizował go — przynajmniej wszyscy tak mówią. Kto wie, ale na całym wybrzeżu Afryki Wschodniej aż się kotłuje od zamachów w celu przejścia władzy i jej odzyskania, gdyż supermocarstwa zawsze stają po którejś ze stron. Wiesz, ważne morskie drogi komunikacyjne. Wzdłuż wschodniego wybrzeża Afryki, przez Kanał Mozambicki. Tankowce z ropą dla Europy muszą przepływać wzdłuż brzegów Afryki Wschodniej. Europejskie rurociągi, kiedy działają... To linie życia, i jeśli się je odetnie...



# Rozdział dwudziesty piąty

Chamberlain spojrział przez uchylone drzwi sypialni na Helen Thorp. Przez głowę przemknęło mu z tuzin pytań, ale nie mógł ich zadać Farquharowi. Niektórych dlatego, że wydałoby się jego kłamstwo o lady Isling. Innych, ponieważ zachowanie inspektora tej nocy potwierdziło to, co Chamberlain podejrzewał od rana. Farquhar miał zbyt duży dostęp do zbyt wielu informacji, jak na prostego detektywa ze Scotland Yardu. I miał zdecydowanie zbyt duże wpływy. Bardziej pasowało to do Wydziału Specjalnego czy innej z niezliczonych supertajnych agencji M.

— Nie zwracaj sobie głowy ustawianiem twoich chłopaków przy drzwiach — powiedział Chamberlain. — Mogę zatroszczyć się o wszystko sam.

— To żaden kłopot, stary — uśmiechnął się Farquhar.

— Dzięki — Amerykanin odpowiedział uśmiechem, zastanawiając się jednocześnie, jak, do diabła, wyśliznąć się stąd po cichu? — Mogę spokojnie zażywać snu.

— Dobranoc, stary. — Farquhar zarządził odwrót swojego oddziału. Gromadka pokojówek wcisnęła się z korytarza i pospiesznie uporządkowała pokój pod surowym okiem kierownika nocnej zmiany. Kiedy pracowały, Chamberlain podszedł do telefonu i wykręcił numer.

— Do kogo dzwonisz? — spytała Helen Thorp.

— Do przyjaciela w Agencji — odparł. Zauważył, że jest pierwsza w nocy i ciekaw był, co robi Arnie w Waszyngtonie o siódmej wieczorem. Jak się okazało, był przy swoim biurku, a jego głos brzmiał bardziej przyjacielsko niż w Breście.

— Co mogę dla ciebie zrobić?

— To ja mam coś dla ciebie — odparł Chamberlain. — Wyobraź sobie, że czuję się twoim dłużnikiem. Pamiętasz tego Rosjanina?

— Przyjemniaczka z pejczem?

— Pewna dama, o której rozmawialiśmy, zastrzeliła go w hotelowym pokoju mojej szefowej.

— Nie żyje?

— Martwy jak głąz. Nazywał się Pejczeski.

— O, cholera, oczywiście! Ivor groźny. Odkąd pamiętam, załatwiał brudne sprawy w jakimś zakątku Afryki. Od czasu do czasu dawał o sobie znać. Ale co on robił w Londynie? Zaczekaj chwilę. To znaczy, że on jest tym facetem, którego Rosjanie wysłali za Hammondem. To w ogóle nie ma sensu.

— Czy Hammond kiedykolwiek pracował dla was?

— Nie ma na to żadnych szans — prychnął Fast. — Życzyłbym sobie, żebyśmy dalej mieli to szczęście.

Odkładając słuchawkę, Chamberlain zreflektował się. Nie można się było spodziewać, żeby Fast potwierdził coś takiego rozmawiając otwartą linią, jednakże jego zaprzeczenie było tak spontaniczne, że brzmiało prawdziwie.

— Dlaczego mu to powiedziałaś? — spytała Helen.

— Mogę go jeszcze potrzebować.

Za drzwiami sypialni widział sprzątaczkę, która usuwała z dywanu ślady krwi. Portier przykrył to miejsce ręcznikiem, a na to położył jeszcze piękny chiński dywanik. Kierownik nocnej zmiany sprawdził apartament, jeszcze raz przeprosił Helen i wygonił swój personel. W pokojach zapadła cisza i wydawało się, że nocne okropności nigdy się nie wydarzyły.

— Co powiesz na jeszcze jednego drinka? — zaproponował Chamberlain.

— Bardzo proszę.

Kiedy wrócił ze szklaneczkami do jej pokoju, siedziała na łóżku z nogami schowanymi pod koce, które przyniosły pokojówki.

— Jak się czujesz?

— Dużo lepiej. Dlaczego pytałeś, czy Hammond pracował dla CIA? Jeśli Farquhar nie założył wcześniej podsłuchu w apartamencie, to z pewnością zrobił to już do tej pory. Chamberlain pochylił się bliżej i szepnął:

— Chodź jeszcze raz do łazienki. Powiem ci coś.

Pokręciła głową.

— Nie mogę się ruszyć — odpowiedziała szeptem. — Chodź tutaj — dotknęła swojego ucha.

Chamberlain usiadł obok niej na łóżku. Przyciągnęła go bliżej.

— Dzieje się coś zwariowanego — szeptał jej do ucha. — Pamiętasz, że Pejczeski działał w Afryce Wschodniej?

— Tak.

— I Ramsey także pracował w Afryce Wschodniej.

— Zgadza się — skinęła głową, tłumiąc ziewnięcie.

— A teraz to. — Opowiedział jej, co Farquhar mówił o Trefle'u i Hammondzie.

Rozważała to przez pewien czas.

— Po pierwsze, to tylko plotka. Po drugie, nie zdziwiłoby mnie tak bardzo, gdyby okazało się prawdą. Charles maczał palce we wszystkim. Kto zna te powiązania? Co naprawdę robił Trefle? Co robił Hammond? Ważne jest pytanie, co ta plotka ma wspólnego z porwaniem Hammonda przez Grandzaaua?

— Wszystko wskazuje na Afrykę Wschodnią — stwierdził Chamberlain. Jesteś pewna, że major Ramsey nie powiedział nic więcej o interesach Hammonda, kiedy sama z nim rozmawiałaś?

— Całkowicie — odparła sennie.

— Farquhar powiedział mi też, że najpierw Kenijczycy go wyrzucili, a później zaprosili z powrotem.

— Nam powiedział co innego.

— Co jest prawdą?

— Nie wiem. I nie sądzę, żeby to miało jakieś znaczenie. Peter, czuję się tak dziwnie. Jestem zaskoczona, że żyję. Peter...

Chamberlain wystukiwał na kolanie cichy rytm:

— Afryka Wschodnia, Afryka Wschodnia, Afryka Wschodnia... Wracam do tego przekłętego Overseas Club. Może któryś z przyjaciół tego starego wie, co łączyło go z Hammondem — podniósł się i rozejrzył po apartamencie. — Farquhar zostawił w korytarzu swoich strażników —

wyszeptał. — Muszę ich ominąć... Hej, nic ci nie jest?

Helen kiwnęła głową, ale jej oczy napęłniły się łzami.

— O co chodzi? — zapytał, ponownie siadając przy niej.

— Tak się boję.

— Już po wszystkim. Pejczeski nie żyje, a tamta dwójka nie wróci. Poza tym ludzie Farquhara są w całym hotelu. Zamierzam zgubić ich na ulicy.

— Proszę, czy możesz objąć mnie jeszcze raz? — zapytała, błagalnie podnosząc ku niemu twarz. Łzy spływały z oczu delikatnymi strumyczkami. Usta Helen drżały. — Proszę...

Widział w lustrze odbicie Helen, skulonej u jego boku i siebie, obejmującego ją ostrożnie i niezgrabnie, jakby nie był pewien, czego się po nim spodziewa.

Trzymał ją w ramionach przez dziesięć minut. Stopniowo jej oddech uspokajał się. Kiedy pomyślał, że zasnęła, wyłączył nocną lampkę i delikatnie położył ją na poduszce. Gdy zaczął naciągać jej pod brodę koc, szepnęła:

— Zimno mi.

— Przyniosę jeszcze jeden koc.

— Nie.

— Co takiego? — zapytał szeptem.

— Chodź tu do mnie.

Chamberlain roześmiał się, zaskoczony. Było to propozycja bardzo kusząca, ale nie tej nocy.

— Jestem na to zbyt wilgotny — odparł lekko. — Farquhar był prawie tak samo wściekły jak ty na moją wędrówkę w śnieżycy.

Otworzyła oczy.

— Wiesz, co mam na myśli.

— Helen, ty nie chcesz tego. To po prostu reakcja związana z szokiem. Pozwól mi skorzystać z twojego zaproszenia, kiedy będziesz czuła się lepiej. Posiedzę przy tobie, dopóki nie zaśniesz.

Popatrzyła na niego spod zasłony kruczych włosów. A kiedy odezwała się znowu, zobaczył, że uśmiecha się w ciemnościach.

— Czy mam zadzwonić do Alfreda Cowana, żeby kazał ci iść ze mną do łóżka?

— Nie chciałbym, żeby pan Cowan pomyślał, że jestem niesubordynowany — uśmiechnął się Chamberlain. — Ale czy jesteś pewna? Chcę powiedzieć, że zbyt wiele ostatnio przeszłaś.

— Jezu Chryste! Tak, wiele przeszłam. Ale przypadkiem stwierdziłam, że jesteś atrakcyjny i sprawiła mi przyjemność popołudniowa rozmowa. Cholernie chcę się z kimś przespać i wolałabym, żebyś to był ty.

— Teraz to jest zaproszenie, któremu z trudem mógłbym się oprzeć.

— Chcę, żeby ktoś mnie objął. Ale nie ktoś w mokrym ubraniu.

Chamberlain zdjął je i wśliznął się do łóżka. Odwróciła się do niego i opasała go ramionami. Pocałowała gorąco, zamknęła oczy i przywarła do niego. Pozwolił jej dyktować tempo. Czasami po trudnej akcji czuł się wewnętrznie martwy. Czasami z kolei radość, że przeżył, rozpaliała niezwykle seksualne pożądanie. Nie zamierzał się spieszyć, dopóki nie upewni się, czy podobnie jest w przypadku Helen Thorp.

Jej ciało było zaskakująco bujne, obdarzone bardziej pełnymi piersiami i udami, niż to można było sobie wyobrazić oglądając ją, ubraną w szyte na miarę spódnice i bluzki. Poruszała się miękko obok niego, była jednak straszliwie zażenowana. Zatrzymywała się i niespodziewanie znowu zaczynała, drżała z podniecenia tylko po to, żeby się oddalić. Pozostawała samotna, a okropności, które przeżyła, blokowały niespotykaną namiętność. Mocno zacisnęła oczy i przytuliła do niego wyprężone ciało, jakby próbowała przezwyciężyć strach.

Starał się zapanować nad jej nastrojem i kiedy się uspokoiła, wypełnił martwe miejsca czułością. Powoli zaczęła reagować. Sam niezaangażowany, obserwował jej potrzeby, ale w jakimś zakątku jego świadomości kilkakrotnie pojawiała się lady Janet.

W końcu doprowadził Helen do niezbyt silnego orgazmu, wewnętrznego westchnienia, nie przestając obejmować ją i całować z całą delikatnością. Czuł odrobinę swoją wyższość i zasłużoną dumę ze swych talentów. Czekał, aż zaspokojona, zapadnie w głęboki sen. Gdy wydawało mu się, że już śpi, spróbował wydostać się z łóżka ostrożnie, by jej nie budzić.

— Dokąd idziesz?

— Do Overseas Club — szepnął. — Zaśnij.

— Zasłużyłaś na wolną noc — odparła szeptem. Nie mówiąc więcej

ani słowa, ześliznęła się po jego ciele i w końcu zdecydowanie wzięła jego członek do ust, wyrwijąc mężczyznę ze stanu obojętności. W rozkoszy wygiął plecy w łuk, a z ust wyrwał mu się krzyk... Doszedł do spełnienia z oszalamiającą siłą. Nie opuszczała go. Rozpalała go znowu, domagała się więcej, aż drżał lekko, a potem lizała go i znowu naciskała mocno, aż doprowadziła do drugiego, długiego i konwulsyjnego wytrysku.

Nie wypuszczała go z ust. Drżał od głowy aż do stóp i oddychał nierówno suchymi wargami. Wyciągnął ręce do jej twarzy, błagając, by przestała, tak intensywne było elektryzujące pulsowanie jej ust.

Helen odsunęła dłonie mężczyzny i przycisnęła do jego boków.

— Nie ruszaj się — szepnęła. Lecz tym razem, gdy swoimi piśszczotami doprowadziła go do erekcji, wypuściła penisa spomiędzy warg, powoli wspięła się na mężczyznę i wsunęła go w siebie przy akompaniamencie serii krótkich, urywanych westchnień. Odnalazła jego ręce, przycisnęła je do swoich pośladków i wstrząsnęła się konwulsyjnie. Chamberlain poruszał pod nią biodrami, rozkoszując się bujnością jej ciała, a kobieta jeszcze głębiej wsunęła go w siebie i razem doszli do długiego, nieprzytomnego orgazmu.

Sekundy, minuty, lata całe, ocknął się znowu z członkiem twardniejącym w jej rękach. Odwrócił się do Helen, wśliznął w nią, roztopił się w niej i krzyczał razem z nią.

Następną rzeczą, która dotarła do jego świadomości, był widok Helen, siedzącej ze skrzyżowanymi nogami i owiniętej w koce. Pieściła jego stopy i obserwowała twarz, popijając brandy. Popatrzyła mu w oczy i przez długi czas nie odwracała wzroku.

— Opowiedz mi — powiedziała.

Opowiedział jej wszystko, co pamiętał, a ona słuchała go, na wpół uśmiechnięta. Potem wyciągnęła swój kieliszek.

— Jutro będziemy długo spać.

Wypił. Nic nie smakowało mu nigdy lepiej. Odebrała alkohol, wypila do końca i odstawiła kieliszek. Chamberlain z nabożnym podziwem obserwował każdy jej ruch. Był zupełnie wyczerpany. Jej podróznny budzik wskazywał, że już ranek.

— Chodź spać — powiedziała.

Wyciągnął rękę, by dotknąć jej piersi i nie udało mu się. Jego ramię opadło bezsilnie.

— Tak. Muszę wstać wcześniej. Sprawdzić rano ten klub.

Szeptala cicho, kiedy zasypial i slyszal, jak przedrzeznia go delikatnie.

— Tyle teorii. Tyle teorii. Teraz wszyscy sa z Afryki Wschodniej. Wczesniej ta blondynka byla agentka Grandzaua. Ale nie wiedziala, gdzie jest aukcja. Potem Hammond wyrezyszerowal wlasne porwanie, poniewaz byl bankrutem.

— Nie dlatego, ze byl bankrutem — wymamrotal sennie Chamberlain. — Zrujnowal sie, przygotowujac je.

— Zaśnij.

Jej palce poruszaly sie niestrudzenie. Byl zdumiony stwierdzajac, ze jego penis znowu twardnieje, a potem ocknal sie i przez szpare miedzy zaslonami padal promien slonca. Helen Thorp byla ubrana, siedziala w fotelu z filizanka pachnacej kawy i czytala zolty telegram.

# Rozdział dwudziesty szósty

Noc wynurzyła się na powierzchnię jego umysłu i odpłynęła.

— Dzień dobry.

— Od Grandzaua — odparła, machając telegramem. — Kelner przyniósł go razem z kawą. Dziś wieczorem opuszczamy Londyn.

Chamberlain chłonął oczami widok miękkich krzywizn jej, ust i oczu. Stwierdził, że trudno mu wyobrazić sobie cokolwiek pilnego.

— Dzień dobry — powtórzył. — A raczej „miłego popołudnia”.

Pochyliła się nâd nim i pocałowała go w twarz.

— Przeczytaj to. Lepiej, żebyś się ubrał. Będziemy musieli porozmawiać z pozostałymi i pójść do City.

Z kolejnym pocałunkiem i ciepłym uśmiechem upuściła telegram na jego pierś.

— To było wspaniałe. To był ten rodzaj wspaniałości, dla której ludzie się pobierają.

Chamberlain wpatrywał się w Helen, a na jego twarzy pojawił się uśmiech.

— Teraz ubierz się. Mamy mnóstwo rzeczy do zrobienia.

Była to najdłuższa, najbardziej szczegółowa z dotychczasowych wiadomości o Pendragonie.

**UCZESTNICY LICYTACJI PENDRAGONA PRZEKAŻĄ FUNDUSZE DO BANQUE ET SOCIETE DE SUISSE W ZURYCHU. DZIŚ WIECZOREM O 6. ZBIORĄ SIĘ W PRYWATNYM TERMINALU LOTNICZYM**



NA HEATHROW. LICYTACJA ROZPOCZNIE SIĘ O 8 RANO CZASU GREENWICH. PRZERWA O 9 RANO NA ZAWIADOMIENIE PRZEŁOŻONYCH. LICYTACJA ZOSTANIE WZNOWIONA O 10 RANO. OGŁOSZENIE WYNIKÓW O 10.30. PENDRAGON BĘDZIE DOSTĘPNY OD 12 W POŁUDNIE CZASU GREENWICH. TRANSPORT ZAPEWNIONY – LANCELOT.

— Dlaczego przywiązuje tak dużą wagę do czasu? — zapytał Chamberlain.

— Szczegóły dodają poczucia bezpieczeństwa.

Chamberlain wygramolił się z łóżka i poczłapał do salonu, gdzie czekało śniadanie. Nalał sobie kawy, wziął przez serwetkę rogalik i wrócił.

Helen patrzyła na niego nieśmiało.

— Chciałam cię o to zapytać ostatniej nocy, ale nie rozmawialiśmy zbyt wiele. Co stało się z twoimi plecami?

— To tylko blizna. Wpadłem na pewnego rekina z KGB w akwalungu.

— Nie wydaje się, żeby to ci specjalnie przeszkodziło.

Chamberlain odłożył rogalik i kawę, i pocałował Helen. Przywarła do niego, przesuwając rękami po jego skórze, ale kiedy skinął głową w kierunku łóżka, rzekła:

— Skorzystam z tego zaproszenia później. Mamy tylko kilka godzin na przelanie mnóstwa pieniędzy do Zurychu.

Chamberlain szybko wypił kawę, dokończył rogalik, ubrał się i jeszcze raz przeczytał telegram od Grandzaua. Przestudiował go kilkakrotnie. W końcu odkrył, co go niepokoiło.

— Wiesz? To jest wiadomość prywatna.

— Oczywiście. Wszystkie takie są. Alfred nadal dostaje oblędu, próbując dojść, jak wśliznęli się na prywatne połączenia Comptelu.

— Tak, to sprytna sztuczka, ale ja nie to miałem na myśli. Ta wiadomość jest naprawdę prywatna. W rzeczywistości jest skierowana tylko do jednego z oferentów.

Helen przestała wklepywać perfumy za uszami i popatrzyła na niego z ciekawością.

— Co masz na myśli?

— Gwarancja dotyczy czasu przekazania Pendragona. Grandzau nie obiecuje, że Hammond żyje, a tego należałoby się spodziewać od porywacza.

Rozumiesz, wysłanie kosmyka włosów czy palca.

— Przestań — wzdrygnęła się.

— Przepraszam. On także nie obiecuje, że uczestnicy licytacji będą bezpieczni, a to naturalna troska. I nie przesyła żadnych pogroźek w stylu: przyjedź sam, bez pistoletów i noży.

— Przyjmuje za pewnik, że ma do czynienia z rozsądną grupą. Jesteśmy ludźmi interesu. Ja nie chodzę z pistoletem, ani pan Nagumo.

— Pan Nagumo nie żyje.

— Wiesz, o kogo mi chodzi. Jego następcą, pan Soma.

— Jednak ta wiadomość składa się bardzo wyraźnie z jednej tylko obietnicy. Wypuści Hammonda w południe czasu Greenwich.

— Kolejna teoria, Peter?

— I dostarczą go concordem. Dla mnie to może znaczyć tylko jedno. Grandzau wie, że ktoś niezwłocznie potrzebuje Hammonda. W jakimś określonym miejscu i czasie. I zapłaci każdą cenę, żeby go tam dostarczyć. Ty i ja nie dbamy o to, o której godzinie dostaniemy Hammonda jutro, o ile tylko licytacja pójdzie gładko i nikt nie odniesie obrażeń. Ale ktoś potrzebuje od niego w południe jakiejś zupełnie wyjątkowej, określonej usługi. Czegoś, co tylko Hammond może zrobić — w południe lub nieco później, tyle, ile trwa lot concordem. To nie to samo, co ty i pan Cowan. Potrzebujecie go dlatego, że pośredniczy w dziesięciu procentach waszych obrotów. To coś więcej...

— Skąd wiesz, że Hammond negocjował dla nas dziesięć procent obrotów Comptelu? — zapytała ostro.

Idiota. Był tak podekscytowany swoją hipotezą, że pozwolił, by wymknęło mu się to, czego dowiedział się podsłuchując.

— Podsłuchiwałem w twoim biurze, kiedy rozmawiałaś z Cowanem.

— Nie mogłeś. Całe piętro zajmowane przez dyrekcję jest elektronicznie zabezpieczone.

— Przystawiłem szklanekę do ściany.

Szeroki uśmiech rozjaśnił jej twarz.

— Naprawdę? Nie miałam pojęcia, że jesteś taki... — urwała.

— Bystry, jak na mordotłuka?

— Nie — zaprzeczyła, rumieniąc się lekko. — Przebiegły.

— Nie jestem przebiegły. Ale wiem, że trzeba mieć inicjatywę. Czasami to się opląca.

— Cóż, nie powinienś wiedzieć o relacjach między Hammondem i Comptelem, więc zatrzymaj to dla siebie. Co się tyczy twojej ostatniej teorii, nie wiem w ogóle, o co w niej chodzi.

— Naprowadziła mnie na to rozmowa z Fraquharem o concordzie, który wyczarterował Grandzau. Dziwiłem się, że zechciał tyle płacić za wypożyczenie tego potwora, ale po telegramie wiedziałem, że liczy się prędkość. Dlaczego prędkość? Dlaczego południe? Która jest wtedy godzina nad Zatoką Perską?

Helen wzruszyła ramionami.

— Trzecia lub czwarta.

— W hotelu wiedzą. — Zatelefonował do recepcji, a pracownik odpowiedział błyskawicznie, jakby takie szczególne pytania zadawano w Savoyu codziennie. — Tam jest czwarta po południu, kiedy tu jest południe.

— Muszę iść, Peter.

— Nie rozumiesz? Rzecz w tym, że jeśli ktoś tak bardzo potrzebuje Hammonda, być może będzie go potrzebował przez dłuższy czas. Być może nigdy go nie odda.

— To jeszcze jeden powód, żebyśmy upewnili się, że wykupi go nasze konsorcjum.

Z uśmiechem rzuciła mu jego płaszcz. W windzie pocałowała go nagle w usta, jak zrobiła to po raz pierwszy wczoraj, w drzwiach, i powiedziała:

— Musimy znaleźć jakieś miejsce, gdzie ani ty, ani ja nigdy nie byliśmy.

— Żeby tam pojechać?

— Cóż, kiedy uratujemy Hammonda, zasłużymy na wakacje.

Chamberlain popatrzył na nią, czując, jak serce zamiera w nim z radości.

— Bardzo bym tego chciał.

Umówiła się z nim na popołudnie.

— Zadzwoń do mnie, gdyby coś cię zatrzymało.

— Tak jest.

— Hej?

— Tak?

— Dziękuję za wszystko — pocałowała go w usta, wolno i z pasją,

a potem wyszła. Sobolowe futro skrywało ją całą, z wyjątkiem głowy, a wiatr wichrzył jej gęste włosy.

Chamberlain przyglądał się Helen, dopóki nie odjechała taksówką. Potem odetchnął głęboko. Znalazł budkę telefoniczną z wygodnym fotelem i poprosił operatora hotelowej centrali telefonicznej o numer Langley. Zastanawiał się przy tym, czy Arnie będzie z nim rozmawiał. Sekretarka Fasta była tak serdeczna, że kiedy powiedziała, iż jej szef wyjechał z miasta, Chamberlain jej uwierzył.

— Czy zostawił może przypadkiem jakąś wiadomość dla Pete’a Chamberlaina?

— Tak. Przypuszczam, że dla pana będzie to coś znaczyć. — Monotonnym głosem zaczęła czytać wiadomość: „Zbieraj swoją szatę i swój burnus”.

— W porządku. Dziękuję.

Odłożył słuchawkę i zadumał się na chwilę. CIA popędziła do Arabii. KGB nie mogło być daleko w tyle. Ile lotnisk mogą razem obstawić? Czy będą śledzić samolot podczas lotu? Było to bardzo prawdopodobne. Po prostu słaby punkt w planie Grandzaua. Ani KGB, ani CIA nie będą miały najmniejszych kłopotów, tropiąc concorda w Europie. Nawet Szwajcaria może to robić.

Wykręcił następny numer.

— Dzień dobry, inspektorze. Tu Pete Chamberlain.

— Po tej stronie miasta jest już po południu — odparł Fraquhar.

Chamberlain zastanowił się, czy inspektor nie przesłuchiwał aby taśmę ze swojego podsłuchu w sypialni Helen.

— Dostaliśmy telegramy do Grandzaua.

— Dziękuję. Właśnie przed chwilą jeden przeczytałem.

— Po prostu pomyślałem, że chciałbyś wiedzieć.

— To miło z twojej strony — odrzekł chłodno Fraquhar, najwidoczniej nadal obrażony o śmierć rosyjskiego agenta. — Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

— Tak. Czy ten concorde jest aktualny?

— Całkowicie. Nie pytaj, skąd to wiemy, ale zamówili sekretne lądowanie w Abu Dhabi.

— Nie mam zbyt wielu informacji — stwierdził Chamberlain.

— Nie o Abu Dhabi — zgodził się Fraquhar. — *Herr* Grandzau może przeprowadzić licytację na pasie startowym, jeśli Arabowie mu pozwolą,

i nic nie będziemy mogli zrobić. Myślę, że lepiej będzie, jeżeli się z czymś pogodzisz, stary.

- O co chodzi?
- Jedziesz na licytację.

Miał do zabicia trochę czasu przed spotkaniem z Helen, więc wybrał się na spacer w słońcu. Było niemal ciepło, a śnieg, który spadł ostatniej nocy, zniknął już z chodników. Zostawił płaszcz rozpięty i wolno poszedł w stronę Strandu.

Zauważył mnóstwo policjantów. Było ich kilku w okolicach Savoyu i zdawało mu się, że za każdym razem, gdy się odwrócił, widział potężnego mężczyznę w mundurze patrolującego ulicę poważnym, odmierzo-  
nym krokiem.

Jak się domyślał, Farquhar nie chciał podejmować żadnego ryzyka. Jeszcze kilka godzin i Scotland Yard wraz z MI5 będą mogły wrócić do swoich codziennych spraw, martwiąc się o Irlandczyków. Na razie jednak Farquhar otwarcie obstawiał ulice wokół Savoyu.

Wszedł do jakiegoś biura podróży i zaczął studiować wielką mapę świata, wiszącą na ścianie. Somalia, Kenia. Co, co diabła, robił Hammond w Somalii? A w Kenii? Trudno było wyobrazić sobie dwa bardziej odmienne kraje. Kenijczycy rozwinęli się, tworząc prosperującą i suwerenną wersję bogatej angielskiej placówki kolonialnej, podczas gdy Somalia była wstrząsana wojną domową i etiopskimi najazdami, za którymi kryły się imperialistyczne zapędy Rosjan i Kubańczyków. Jeszcze jedna rozmowa z majorem Ramseyem mogła być interesująca. A nieco dalej, po drugiej stronie Kanału Mozambickiego, znajdowała się Republika Malgaska. Chamberlain poczuł się stary. Kiedy uczył się geografii, jego nauczyciel w siódmej klasie nazywał to Cieśniną Madagaskarską.

Robiło się późno. Opuścił biuro podróży i pospieszył do Temple Gardens. Panował w nich spokój, ścieżki były opustoszałe. Wczorajszy śnieg miejscami stopniał, odsłaniając na białej powierzchni plamy mokrej i nieprawdopodobnie zielonej trawy. Wiele z czerwonych budynków tonęło w cieniu, zimowe słońce wcześniej zaszło za wyższe budowle w centrum Londynu.

Chamberlain zatrzymał się pod ceglany łukiem i sprawdził adres,

który dała mu Helen. Chodniki rozchodziły się w kilku kierunkach. Przed nim rozciągał się niewielki biały trawnik, poznaczony zielonymi plamami. Wysoki londyński *bobby* wyszedł zza rogu i skierował się w jego stronę. Zapyta o drogę gliniarza.

— Pete! — usłyszał, że Helen go woła i odwrócił się czując, że puls przyspiesza mu bardziej, niżby się spodziewał. Biegła w jego stronę, z rozpostartymi połam futra i rozwianymi włosami. Machnęła ręką i zwolniła poprzestając na szybkim marszu. Policzki miała zaróżowione.

— Wydawało mi się, że cię zobaczyłam.

— W samą porę. Trochę się zgubiłem.

— Chodź, jesteście spóźnieni. — Ujęła go pod ramię i poprowadziła ścieżką obok wysokiego policjanta, który ze śmiertelną powagą skinął im głową, jakby pozdrawiał każdą parę zakochanych. Chamberlain pomyślał, że do końca życia nie zapomni jej widoku w chłodne popołudnie w cichych ogródach w centrum Londynu.

Weszli przez pomalowane drewniane drzwi i wspięli się po wąskich schodach. Przez foyer obrzeżone półkami, na których zwalone były przewiązane czerwonymi wstążkami akta, wkroczyli do małego, mrocznego biura. Stary urzędnik podniósł wzrok, jakby się ich spodziewał i zaprowadził nowo przybyłych do większego pokoju na zapleczu, gdzie zebrali się pozostali członkowie konsorcjum.

Zajęli pozostawione dla nich dwa wolne krzesła. Japończyk z Mishumy przemówił do zgromadzonych.

— Zwołał spotkanie w tajemnicy, żeby Grandzau nie dowiedział się wszystkiego — wyjaśniła po cichu Helen. — To ma dodać nam animuszu.

— Tak samo, jak wysłanie kogoś na Grandzaua?

— Dokładnie.

Konsorcjum rozszerzyło się do dziewięciu członków, a ponieważ każdy, podobnie jak Helen, miał pomocnika, w pomieszczeniu znalazło się siedemnastu mężczyzn i jedna kobieta. Soma, następca Nagumo z Mishumy, mówił o potrzebie solidarności, z czym wszyscy się już dawno zgodzili, a potem o konieczności uprzedzenia firm, by były gotowe licytować wyżej, jeśli będzie to konieczne w drugiej rundzie. Słyszając to, większość słuchaczy zaczęła wiercić się niespokojnie.

Soma odrobił swoją pracę domową, rozpracował ze szczegółami z

pół tuzina niedoprowadzonych do końca operacji finansowych i manewrów politycznych na Bliskim Wschodzie, które mogą ucierpieć.

— Przede wszystkim, panowie, nic nie zostanie zrobione, dopóki on jest więźniem. Nic. Chaos, który z tego wyniknie, spadnie na nasze głowy.

Chamberlain osunął się nieco ze swojego krzesła i stłumił ziewnięcie. Zastanawiał się leniwie, czy Japończyk natknął się na coś. Czy pogoń Rosjan za Hammondem była zaledwie jeszcze jednym elementem polityki zagranicznej? Czy mogliby przejąć Hammonda i trzymać go tylko po to, by namieszać w polityce bliskowschodniej? Długo potrwa, zanim pozbiera się do kupy kawałki wszystkich rozsypanych interesów Hammonda.

Osunął się jeszcze niżej i zwalczył jeszcze jedno ziewnięcie. Patrząc pod tym nowym kątem, mógł widzieć japońskiego mówcę przez prawe szkło okularów jego asystenta, siedzącego tuż przed nim. O dziwo, nie było żadnego zniekształcenia obrazu. Soczewka zachowywała się jak zwykłe szkło!

Helen poruszyła się niecierpliwie. Pomyślał, że trudno jej grać drugie skrzypce przy Japończyku. Po tym, jak kochali się ze sobą, jego podziw dla tej kobiety nie zmniejszył się, wręcz przeciwnie. Uważał się za szczęściarza, że zna dwie lub trzy kobiety zdolne do wyzbycia się wszelkich zahamowań. Ona nie tyle była żywiołowa, ile wiedziała, czego chce. Rano namiętność czasami wydaje się szaleństwem, jak fantazja, która we wspomnieniach zmienia się w senny koszmar, ale Helen Thorp nie zmieniła się. Stała się obiecującym łącznikiem między dniem i nocą.

Od dawna nie czuł się tak dobrze. Zabawne, jeśli odzyska Hammonda i wszystko się uda, wyjdzie z tego z nową posadą i zakochany w swojej szefowej. Jeszcze zabawniej będzie, jeśli ona także jest w nim zakochana. Upomniał samego siebie, że jak na dorosłych ludzi, to jeszcze trochę za wcześnie, żeby być zakochanym. Z drugiej strony, niewielu zakochanych ludzi na długo pozostaje dorosłymi. To rzecz do dyskusji. Nie ulegało jednak wątpliwości, że dopóki Charles Hammond nie wróci cały, nikt w Comptelu, nie wyłączając Helen, nie nagrodzi za nic Pete'a Chamberlaina.

— Wróć — szepnął do Helen. Cichutko wycofał się z pokoju, odszukał starego urzędnika i zapytał go o telefon. Mężczyzna wpuścił go do prywatnego gabinetu prawnika, ale zaznaczył, że drzwi mają zostać otwarte. Radcy prawnego, gospodarza potajemnego spotkania, nigdzie nie było widać. Chamberlain chwycił za telefon, rozmyślając gorączkowo. Jeśli nawet sekretarka Fasta zgodzi się wysłać wiadomość do Abu Dhabi, potrwa to zbyt długo.

Chamberlain wzruszył ramionami i wykręcił numer biura Farquhara.

— Inspektorze, tu Pete Chamberlain.

— Znowu?

— Chodzi o przysługę, ale nie wiem, czy twoją dla mnie, czy odwrotnie.

— Może ja powinienem to rozsądzić.

— Dam ci informację dotyczącą licytacji Pendragona i chcę, żebyś przekazał ją swojemu partnerowi w CIA.

— O czym ty mówisz, stary? — roześmiał się jowialnie Farquhar. — Ja nie mam partnerów w CIA. Jestem policjantem.

— Daruj sobie te głupoty, Farquhar. Jeśli to jest przypadkiem Arnie Fast, powiedz mu, że jestem naprawdę wkurzony. Ale ktokolwiek by to nie był, powiedz mu, żeby wycofał swoje wtyczki z aukcji.

— Wtyczki? — warknął Farquhar. — Jakie wtyczki?

— Naliczyłem ich pięciu, może sześciu.

— Daj mi numer swojego telefonu, oddzwonię.

— 333 8080.

Chamberlain czekał przy telefonie i zastanawiał się, co myśli stary urzędnik. Pieprzona Agencja nigdy nie dawała za wygraną. Mimo wszystko, była to ładna sztuczka i zrobili cholernie dobrą robotę, upodabniając tych osiłków do biznesmenów, którzy podczas weekendów grywają w tenisa. Jeśli im się uda, Grandzau nawet nie będzie wiedział, skąd padł cios. Jeżeli jednak najemnicy Grandzaua zorientują się i ktoś kogoś rozpozna, będzie prawdziwe zamieszanie i zakończy się to śmiercią Charlesa Hammonda.

Patrzył na ścienny zegar. Było to stary mechaniczny czasomierz z rzymskimi cyframi i sekundnikiem, który siekał każdą minutę na sześćdziesiąt ciężkich sekund. Obserwował cyferblat przez dziesięć minut i zaczął myśleć o ponownym telefonie do Farquhara, kiedy rozległ się dzwonek.



— To do mnie — krzyknął do urzędnika i podniósł słuchawkę. — Chamberlain.

— Hej, stary. Mówiłem im, że ciebie nie wykiwają, ale nikt mnie nie słuchał. Nie jestem ani trochę zdziwiony. Kiedyś musisz mi powiedzieć, co cię na to naprowadziło!

Chamberlainowi wydawało się, że słyszy na linii satelitarne echo i domyślił się, że Arnie Fast jest w Abu Dhabi, ale to go nie obchodziło.

— Zabierz ich stąd, albo coś z tym zrobię.

— Wstrzymaj się, Pete.

— Nie pracuję dla ciebie, Arnie. Pracuję dla ludzi, którzy płacą mi za to, żeby dostać naszego człowieka całego i zdrowego. Ryzykujesz jego życiem.

— Teraz ty mnie posłuchaj...

— Nie wciskaj mi żadnego kitu o lojalności wobec dawnej firmy. Odszedłem, legalnie i uczciwie, i nie złamałem żadnej umowy.

— Mówię o lojalności wobec twojego kraju.

— Tak to nazywasz, ale chodzi ci o lojalność wobec Agencji. I wobec ciebie. Żebyś wyciągnął cię z tego gówna, jakiego narobiłeś w Kanale.

— Nie. Słuchaj. Nie mogę opowiedzieć ci całej historii, ale my też chcemy go dostać z powrotem.

— Ja go dostanę.

— Nie sądzę, żebyś mógł sobie z tym poradzić, staruszk.

— Jak do tej pory, radzę sobie lepiej niż ty.

— A gdzie byś był bez mojej pomocy? Prawdopodobnie właśnie dojeżdżałbyś do Marsylii.

— Prawdopodobnie — przyznał Chamberlain. — Teraz jednak zamierzamy grać według zasad Grandzaua i wydostaniemy Hammonda żywego. Zatem wycofaj swoich ludzi.

— Pete. Proszę, posłuchaj. To tylko środek ostrożności.

— Środek ostrożności? A co się stanie, jeśli wygramy licytację, a twoi tajniacy nie będą mogli dostarczyć swojej części pieniędzy?

— Mogą. Załatwiliśmy to oficjalnie. Ci, których reprezentują, zobowiązali się dostarczyć pieniądze, tak jakby to byli naprawdę ich ludzie.

— Jak ich do tego namówiłeś? — podejrzliwie zapytał Chamberlain.

- Apelując do ich patriotyzmu.
- Arnie.
- Te firmy były zadowolone jak diabli, że nie muszą ryzykować swoich własnych ludzi. Jeśli licytacja pójdzie dobrze, moi ludzie nie zrobią żadnego ruchu. Po prostu zapłacą pieniądze, jak wszyscy inni, i zapewnią mu eskortę, dopóki nie znajdzie się bezpiecznie w domu. Są po twojej stronie, Pete. Ubezpieczenie na wypadek, gdyby coś nie wyszło.
- To mi się nie podoba. Ale jeśli puszcza im nerwy?
- Daj spokój, Pete. To dobrzy chłopcy. Najlepsi, jakich mamy.
- Nie można zebrać dobrego zespołu w jeden dzień.
- Myślisz, że to ich pierwsza wspólna robota? Coś ci powiem. Zorganizuję ci spotkanie z dowódcą grupy. Sam go sprawdzisz. Zobaczysz, co mam na myśli.
- Wyruszamy za trzy godziny.
- Ma się ze mną skontaktować zaraz po zakończeniu waszego zebrania. Powiem mu, żeby z tobą porozmawiał. Wybierz miejsce.
- Cheshire Cheese.
- Nie mogłeś wymyślić nic mniej banalnego?
- To w pobliżu i jest tam wystarczający ruch, żeby zachować dyskrecję i bezpieczeństwo.

Spotkanie już się skończyło i Helen Thorp minęła go otoczona uprzedzająco grzecznymi kolegami. Chamberlain podążył za nimi. Dogonił ją na wąskim chodniku. Rozglądała się.

- Tu jesteś. Słuchaj, jest trzecia, a musimy opuścić hotel przed piątą. Może zjemy spóźniony lunch?
- Obiecałem, że spotkam się z pewnym facetem.
- Czy to ważne?
- Pozwól, że wyjaśnię ci to później.
- Wracasz do klubu?
- Nie, żadnych więcej teorii.
- Rób, co chcesz, ale mnie się to wydaje głupie.
- Nie idę do klubu. Czy możesz wrócić bez problemu do hotelu?
- Pojadę taksówką z Japończykiem — powiedziała, śląc uśmiech do

Somy, człowieka z Mishumy. Rozdzielili się na Strandzie. Helen w towarzystwie Japończyka i jego asystenta łapała taksówkę, a Chamberlain pospieszył w stronę Fleet Street. Wahał się, czy powiedzieć Helen o ewentualnej współpracy z CIA. Czym mniej dopuszczonych do tajemnicy, tym lepiej. Denerwowało go, że czuje pokusę, by zawrzeć porozumienie, jeśli szef zespołu sprawi dobre wrażenie.

Dowódca grupy sprawiał bardzo dobre wrażenie. Tak dobre, że Chamberlain nie rozpoznał wtyczki w prawniku z Lockheeda, ubranym w tweedową marynarkę. Omiótł Cheshire Cheese szczęśliwym spojrzeniem profesora angielskiego z renomowanego amerykańskiego uniwersytetu, który podczas świątecznej przerwy wybrał się na pielgrzymkę do ulubionego pubu doktora Johnsona. Ze stosownie zboląłą miną popatrzył na telewizor nad barem i ponownie skrzywił się, kiedy jego wzrok padł na szafę grającą.

*Pięknie* — pomyślał Chamberlain — *prawdziwy zawodowiec*. Trochę otyły i w średnim wieku, dopóki nie przyjrzeć się uważnie jego dłoniom i stopom, gdzie lata treningu zostawiły ślady, których nie dało się łatwo zmasać. Stał z palcami stóp zwróconymi trochę do wewnątrz, zachowując równowagę, by w każdej chwili odbić się do skoku z końców palców. Jego ręce były nieco napięte, skłonne do błyskawicznego ataku.

Przeszedł przez salę i dołączył do stojącego przy barze Chamberlaina. Występował jako Doug Pickert i powiedział, że w dziale prawnym Lockheeda jest prawdziwy Doug Pickert. Umiał mówić wyraźnym, cichym głosem, który łatwo było zrozumieć, ale który nie niósł się daleko. Chamberlain podał mu ciemne piwo z Newcastle.

Pickert podziękował uprzejmie. Wyciągnął wrzoścową fajkę i zaczął nabijać ją tytoniem. Chamberlain zastanawiał się, ile razy wbijał jej rączkę w czyjeś oko i odchodził jakby nigdy nic, zanim ciało dotknęło podłogi.

Zapałił i odezwał się, mierząc Chamberlaina badawczym spojrzeniem wesołych, łagodnych oczu.

— W pełni dzielimy pańskie pragnienie odzyskania obiektu bez uciekania się do przemocy.

— Z bandą nadmiernie umięśnionych zabójców?

— Proszę myśleć o nas jako o środku ostrożności — odparł łagodnie Pickert.

— Ubezpieczenie?

— Dokładnie tak — Pickert rozpromienił się. — To doskonałe słowo.

— Użył go Arnie Fast.

Pickert westchnął pobłażliwie.

— Pete — nie masz nic przeciwko temu, żebym mówił do ciebie po imieniu?

— Odczep się ode mnie — warknął Chamberlain.

— Nie, to ty się ode mnie odczep — odparł Pickert. — Niepotrzebnie się najeżasz. I wiem, że zdajesz sobie z tego sprawę. Od dłuższego czasu jesteś po prostu cierniem w tyłku. My jesteśmy zespołem numer jeden, Pete. Jesteśmy najlepsi. My nie spieprzymy roboty. To pewne. Więc jeśli Arnie mówi, że jesteśmy ubezpieczeniem, to chce przez to powiedzieć, że naprawdę jesteśmy.

— Powtórzę ci, co powiedziałem Fastowi. Nie można zebrać pierwszorzędnego zespołu w ciągu dwóch dni. Nie obchodzi mnie, jak dobrzy są ci faceci.

— Zacząłem ćwiczyć moich ludzi dwie godziny po porwaniu Hammonda. I nie mów mi, synku, że nie mogę zebrać pierwszorzędnego zespołu w ciągu sześciu dni.

— Kręcę się przy tym od jakiegoś czasu — stwierdził Chamberlain. — Jak to się stało, że nigdy nie widziałem ciebie ani żadnego z twoich chłopców?

— Naprawdę chcesz wiedzieć?

— Tak, chcę wiedzieć. Chcę wiedzieć, kim wy, do diabła, jesteście. Dlaczego nigdy wcześniej was nie widziałem?

— Ponieważ Agencja nie wysyła ludzi takich, jak my, do pracy z takimi łajzami, jak ty.

Najlepszą reakcją, na jaką Chamberlain mógł się zdobyć, była ironia.

— Braliście udział w tej ślicznej małej operacji, którą Fast urządził na Wyspach Normandzkich?

Pickert był spokojny.

— Dobry Boże, nie. Fast jest tak samo kiepski jak ty. Lata po świecie, szukając orderów. Gdybyś tylko zechciał pomyśleć, zrozumiałbyś, że najbezpieczniejszym sposobem odzyskania Hammonda jest uwolnienie

go podczas samej licytacji, a potem, jeśli to będzie konieczne... Czy mogę powiedzieć Fastowi, że jesteś z nami?

Chamberlain utkwiał nie widzące spojrzenie w brudnej podłodze.

— Nie jestem przeciwko wam.

— Zaufaj nam.

— Jasne.

— Wspaniale, Pete. Naprawdę wspaniale. Wrócimy razem taksówką do hotelu?

— Nie, dziękuję. Chyba się przejdę.

— Cóż, do zobaczenia w samolocie.

Chamberlain patrzył, jak Pickert wychodzi z Cheshire Cheese rozpromieniony, lekko się zataczając, jak turysta upojony historyjkami i mocnym angielskim piwem. Kilka minut później sam odbył melancholijną wędrówkę na Fleet Street. Uwzględniając opinię, jaką może mieć o nim Agencja, nie chciał ryzykować dzielenia szczupłej przestrzeni taksówki z człowiekiem o umiejętnościach Pickerta, nawet zanim padł obraźliwy epitet „łajza”.

Przychodziły mu do głowy różne argumenty, których mógł użyć, ale nic nie pomagało. To była jego własna przeklęta wina. Sam to zrobił. Zaatakował zawodowca, a tamten odplacił mu tym samym. Prawdziwy zawodowiec, nie morderca.

W zapadających ciemnościach poszedł Fleet Street na zachód, w stronę Strandu. Chodniki wypełniły się pracownikami biur, którzy napływali z City i wylewali się z redakcji gazet. Chamberlain szedł w tłumie na oślep, z oczami wbitymi w chodnik, a uraza paliła tym bardziej, im usilniej starał się ją zignorować.

W jego myślach nagle pojawił się Kreegan — Kreegan i Wheeler, twardy ochroniarz Hammonda. Obdarzeni odwagą, porcją zdrowego rozsądku i dużą dozą cierpliwości, by trzymać straż w samochodach i przedpokojach innych ludzi, zajmowali najniższe stopnie na drabinie twardych facetów, na którą, zdaniem Pickerta, Chamberlain był za kiepski.

Szedł wolno, rozmyślając o różnicy klasy, która dzieliła jego i Pickerta. Na samym dole drabiny Pickerta znajdowali się strażnicy nieruchomości, ochroniarze, którym płacono trzy dolary za godzinę, wartownicy, stojący w hallach, ludzie obsługujący windy, detektywi pilnujący sklepów, strażnicy banków, eskorta transportów pieniędzy, ludzie od Pinkertona, ochrona lotnisk, większość gliniarzy i ludzi z FBI, pracownicy

departamentu skarbu, Scotland Yard, Interpol. Goryle chroniący ludzi stali o stopień wyżej, poczynając od prywatnych ochroniarzy do Secret Service. Byli szacowani zależnie od pozycji tych, dla których pracowali: szeregowi, jak Kreegan, który dodatkowo pełnił funkcję stewarda, i specjalni, jak Wheeler, który tworzył niesłychanie wyrafinowany system środków bezpieczeństwa.

Wysoki stopień w tej hierarchii twardych facetów zajmowali strażnicy idei, obrońcy wiary, szpiegzy, wywiadowcy i sabotażyści. Na szczycie stał Pickert, nawet nie dlatego, że znał więcej sposobów zabijania gołymi rękami, ale prawdopodobnie dlatego, że miał dość szarych komórek, żeby uniknąć głupich pomyłek, jakich mógł się spodziewać po pomniejszych twardych ludziach, łajzach typu Chamberlaina.

Na rogu Chancery Lane piętrowy autobus ochlapał Chamberlaina lodowatą breją z przepelnionego rynsztoka. Odskoczył od krawężnika zbyt późno i dostrzegł wysokiego policjanta, który przyglądał mu się ponad głowami spieszącego tłumu. Chamberlain odwrócił wzrok, potem pospiesznie obejrzał się, zastanawiając, czy Farquhar przydzielił mu umundurowanego opiekuna, żeby był grzeczny? Ale *bobby* niespiesznie wkroczył na jezdnię, każąc ruszyć taksówce, która blokowała przejazd.

Obrzydzenie, jakie czuł Chamberlain do siebie, a jeszcze bardziej do przepychających się obok tłumów, przekroczyło granice jego wytrzymałości. Przeszedł na drugą stronę Fleet Street i zagłębił się w najbliższą alejkę ogrodów Temple. Spacer okrężną drogą przez puste ogrody da mu czas na rozmyślenia. Potem przez spokojniejsze Embankment wróci do Savoyu w formie lepszej niż obecna, by stawić czoło nadchodzącej nocy. Mimo że znalazł się w Temple Gardens, nie mógł zapomnieć o obeldze, jaką rzucił Pickert.

Przetrzęsnał w pamięci naprawdę idiotyczną listę głupich pomyłek, jakie popełnił przez ostatnie sześć dni. Niektóre wynikały po prostu z tego, że się przeliczył, ale inne były kolosalnymi idiotyzmami, jakich facet w rodzaju Pickerta nigdy by się nie dopuścił.

Pickert nigdy, na przykład, nie traktowałby amatora w rodzaju Kreegana jak starego towarzysza broni. Pickert nie okłamałby Farquhara dlatego, że spodobałby mu się dotyk lady Janet Isling. Ani nie wzięłby sobie do łóżka Helen Thorp, czy kogokolwiek innego związanego z licytacją Pendragona, dopóki robota nie byłaby skończona. No, chyba że

miałoby to służyć zdobyciu jakichś szczególnych informacji. Jedyne, czego dowiedział się w łóżku Helen Thorp, to fakt, że nie miałby nic przeciwko temu, by zostać tam przez długi czas.

Ogrody Temple były pogrążone w mroku. Ścieżkę co kilka kroków oświetlały kałuże bladożółtego światła latarni. Chamberlain zatrzymał się w jednym z oświetlonych miejsc i pomyślał, że może nie jest zbyt późno, by naprawić część szkód. Spojrzał na zegarek i z ulgą poczuł, że puls mu przyspiesza, tak jak zawsze, kiedy znowu przystępował do działania. Do diabła z Pickertem!

Miał akurat czas na sprawdzenie Overseas Club, a potem uda się bezpośrednio na Heathrow. Zadzwoi do Helen Thorp i powie jej, żeby zabrała jego rzeczy do samolotu. Niewielka zmiana w programie. Zostawi obrzyn w pokoju. Comptel może sobie pozwolić na tę stratę, a on i tak nie miał zamiaru przemycić broni przez kordon najemników Grandzaua. Wiedząc, że w godzinach szczytu nigdy nie dojedzie taksówką do Knightsbrigde, Chamberlain zatoczył półkole i zastanawiał się, która linia metra jest bliższa.

Wysoki londyński *hobby* szedł ciężko przez płamę światła za jego plecami, a gwizdek kołysał się w rytm odmierzanych kroków. Zatem Farquhar mimo wszystko kazał go śledzić. Nic dziwnego, że dzisiaj w całym mieście widział policjantów. Podekscytowany, bo znowu był w akcji, Chamberlain przewycięzył resztki złego nastroju i przywołał na twarz szeroki uśmiech. Do diabła z nimi wszystkimi! Dlaczego nie zapytać wywiadowcy Farquhara, gdzie jest najbliższa stacja metra?

Pospieszył w kierunku nadchodzącego gliniarza i złapał go w ciemnym miejscu między dwiema latarniami.

— Przepraszam, panie oficerze. Którędy do najbliższej stacji metra?

Facet był dobry, musiał to przyznać. Nawet nie mrugnął. Przeszedł od razu do ataku.

— Nie wie pan, *sir*, że ogrody Temple po zmroku są zamknięte dla publiczności?

— Przepraszam, nie wiedziałem. Po prostu poszedłem na skróty. Szukam kolei podziemnej. „Kolei podziemnej”, żeby podkreślić, że jest zagubionym turystą. Szarady w szaradach. Z niedowierzaniem patrzył,

jak policjant wyjmuje z kieszeni bloczek mandatowy i zaczyna pisać.

— Pan żartuje — odezwał się Chamberlain.

— Ma pan jakieś dokumenty, *sir*?

Chamberlain podał mu paszport. Pomimo, że było tak ciemno, iż twarz policjanta stanowiła tylko rozmazaną jasną plamę pod kaskiem, mężczyzna napisał na druczku nazwisko Chamberlaina.

— Może pan to uiścić na każdym posterunku policji, *sir*, w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

— Jasne.

— Proszę, *sir* — wyciągnął mandat i paszport, każdy w innej ręce, a Chamberlain wziął je w ten sam sposób.



# Rozdział dwudziesty siódmy

Lady Janet pomyślała, że ostatni pterodaktyl musiał wyglądać równie groźnie jak pierwszy. To samo dotyczyło concorda, którego wyczarował Grandzau. Ostronosego naddźwiękowego odrzutowca, który przysiadł w królewskim odosobnieniu przy rękawie w dalekim końcu lotniska Heathrow. Razem z Henri Trefle'em obserwowali go od kilku godzin, ukryci w zimnym cieniu budki transformatora za ogrodzeniem lotniska. Biorąc pod uwagę możliwości dostania się na pokład, równie dobrze mogli być w Gloucestershire.

Kiedy sforsowali płot, żeby wśliznąć się do samolotu, stwierdzili, że concorde Grandzaua jest strzeżony przez dwóch najemników będących jeszcze pod czujnym okiem całego furgonu londyńskiej policji. Wartownicy stali pod samolotem, odwróceny do siebie plecami. Policja sprawdziła dokumenty obsługi urządzenia zasilającego, zanim zostało ono podtoczone i podłączone do samolotu; tę samą procedurę obserwowali podczas tankowania paliwa. Następnie pojawiła się furgonetka obsługująca kanalizację, która przepompowała chemikalia, potem samochód gastronomiczny z posiłkami dla uczestników licytacji, wreszcie zaś tłumek mechaników, którzy sprawdzili podwozie, opony i klapy. W końcu podjechała cysterna z wodą i człowiek na podnośniku. Mężczyzna wytarł szyby w kabinie pilotów.

— Już wkrótce — rzekł Henri, kiedy air-start zaparkował pod silnikami, a za chwilę policyjny samochód dostarczył inżyniera lotu.

Jeszcze więcej strażników. Lady Janet była zrozpaczona. Jak dostać się na pokład? Wyteżyła umysł. W końcu znowu mogła jasno myśleć. Wyspała się wreszcie w cichym hotelu i od dwudziestu czterech godzin nie brała zastrzyku ani pigułki. Ból utrzymywał się, jak palące przypomnienie tego, co zrobił jej Grandzau i co ona z nim zrobi, jeśli tylko będzie mogła dostać się na pokład samolotu.

Dłonią w rękawiczce uderzyła o beton, na którym leżeli pod osłoną budki.

— Henri! Zrób coś!

— Czy mam uczynić nas niewidzialnymi?

Chamberlain nie wiedział, czy to była refleksja dotycząca Wheelera, czy świadomość, że policjant w nikłym świetle nie mógł widzieć jego nazwiska, kiedy wypisywał ten lipny mandat. Wiedział tylko, że ostrzeżenie nadeszło trochę za późno.

*Bobby* wyciągnął sztylet z rękawa i lśniąca smuga pomknęła w stronę Chamberlaina, szukając dojścia do serca. Był to duży facet jak na posługiwanie się sztyletem, ale i za potężny, żeby można mu go było odebrać. Zajęcie rąk ofiary — to był śmiercionośny podstęp.

Jedyną przewagą Chamberlaina było to, że Farquhar znał sztukę użytą wobec Wheelera. Przyjął mandat i paszport, uchylił się w bok, upuścił druczek, ale pięść zacisnął na paszporcie. Zwinął go w ciasny walek i walnął twardym brzegiem dokumentu w nos napastnika.

Tamten jęknął z bólu, zaskoczony, i sztylet zatrzymał się w połowie drogi. Chamberlain chwycił jedną ręką wysunięte przedramię i użył całej swojej siły, żeby złamać łokieć napastnika na swoim kolanie, jak szczapę drewna.

„Policjant” wrzasnął raz i upadł, zwinięty z bólu, przyciskając ramię i podkurczając nogi. Chamberlain rzucił się na niego z furią, chcąc dowiedzieć się, dlaczego najemnik Grandzaua ruszył za nim zaraz po spotkaniu z Pickertem.

Zanim jednak dosięgnął mężczyzny, „gliniarz” zrobił coś niewiarygodnego. Dmucnął w gwizdek, jak zrobiłby prawdziwy policjant, wzywając pomocy. Chamberlain zamarł, zaskoczony. Czy gwizdzący policjant miał w pobliżu współnika? Czy był prawdziwym policjantem, który

dorabiał sobie na boku? Czy był to tylko samotny spryciarz, który blefuje z gwizdkiem, żeby odstraszyć Chamberlaina? Odpowiedział inny policyjny gwizdek, nieco stłumiony, bo daleki. A potem jeszcze jeden, który odbił się przenikliwym echem od pobliskiej arkady. Chamberlain wiedział, że potrwa kilka godzin, zanim wymówi się od gościnności policji. Kilka godzin, zanim zdoła zaledwie namówić ich, by skontaktowali się z inspektorem Farquharem. A do tego czasu concord Grandzaua z Helen Thorp na pokładzie odleci do Arabii, i w ten sposób Chamberlain zostanie wyeliminowany z licytacji.

Gończkowo popatrzył na powalonego mordercę, który obserwował go spod zmrużonych powiek. Musiał wiedzieć, kto kazał mu zabić Chamberlaina. Jednak gwizdki rozbrzmiewały coraz bliżej. Amerykanin zrobił jedyną rzecz, jaką mógł w tej sytuacji zrobić. Uciekł.

Nie wszyscy zaproszeni licytanci czekali, żeby odrzutowiec Grandzaua zabrał ich na aukcję Pendragona.

Arnie Fast przypadkiem wpadł na swojego kolegę z KGB w dusznym hallu podłego arabskiego hotelu, który każda cywilizowana rasa zamknęłaby już parę lat temu. Żaden z mężczyzn nie tracił czasu na zastanawianie się, dlaczego ten drugi się tu znalazł. Obaj wiedzieli, że droga do arabskich ksiąząt wiedzie przez tylne uliczki bazaru.

— Towarzyszu — odezwał się Fast, kiedy przemykali obok siebie, zrezygnowani, każdy z rękami w kieszeniach — odstrzelimy wam dupę.

Rosjanin obsadzał niegdyś punkt na Czterdziestej Piątej Ulicy, pół kwartału od budynku Sekretariatu Narodów Zjednoczonych i jeszcze bliżej Misji Amerykańskiej przy ONZ. Zanim CIA domyśliło się, co tam robi, zmienił służącą mu za kamuflaż firmę i przeniósł się, jako obiecujący przedsiębiorca z Manhattanu, pod robiący lepsze wrażenie adres w Citicorp Building. Uśmiechnął się chłodno do Fasta i odpowiedział bezbłędną angielszczyzną.

— Nie licz na to, głupku.

Jadąc szybko przez płataninę uliczek na tyłach starego arabskiego portu, Rosjanin pożałował, że dał się sprowokować do odpowiedzi.

W hotelu Arnie Fast podrapał się w głowę i nie wiadomo który raz zastanawiał się, dlaczego Rosjanie tak koniecznie chcą mieć Hammonda.

Na pierwszy rzut oka uczestnicy licytacji Pendragona wyglądali jak przeciętna grupka podróżnych, przeżywająca katusze oczekiwania na samolot. Przysiedli skuleni na niewygodnych krzesłach, z twarzami oblanymi zbyt jaskrawym światłem i z podręcznym bagażem u stóp. Czekali, aż zapowiedziany zostanie ich rejs.

Obserwowali drzwi do rękawa wiodącego do samolotu i ignorowali pozostałą część terminalu za szklaną ścianą, która oddzielała tych, którzy wkrótce mają odlecieć od tych, którzy wyruszą później. Ochrona lotniska wydawała się liczniejsza niż zwykle. Uzbrojeni oficerowie strzegli wejścia do poczekalni i drzwi do rękawa. Uczestnicy aukcji wyglądali na bardziej zdenerwowanych niż zwykli, zaprawieni w podróżach biznesmeni. Trzymali się w grupie, przyglądając się sobie z namysłem, jakby rozważali możliwość zawarcia w ostatniej chwili jakichś układów.

Helen Thorp, otulona sobolami, rozmawiała z Japończykiem Somą, który objął przewodzenie konsorcjum. Soma słuchał uważnie, kiwał głową, uśmiechał się, robił przytakujące gesty i próbował ukradkiem dotknąć jej dłoni. Kobieta co chwila spoglądała na puste siedzenie obok siebie, a kiedy zbliżał się do niej potężnej postury amerykański prawnik, położyła na swoim krześle podręczny bagaż. Prawniki wrócił do swoich, podobnie jak on dobrze zbudowanych kolegów.

Oficerowie służb bezpieczeństwa przychodzili i odchodzili, meldując się u chudego jak szczapa Farquhara, który stał przy wejściu do sali i obserwował wszystko surowym ojcowskim spojrzeniem, wydając rozkazy szybkimi, oszczędnymi gestami. Nagle z głównej części terminalu wtargnął do oszklonego pomieszczenia Arab w obszernych szatach i przepchnął się obok ochrony, zanim Farquhar zdążył go zatrzymać. U jego boku siedł brytyjski prawnik, machając telegramem z zaproszeniem na licytację, i Farquhar przepuścił ich. Japończyk pospieszył nowo przybyłym na powitanie, uśmiechając się i wyciągając pulchną rękę, którą wysoki Arab uściśnił z największą obojętnością.

W mundurze ochrony lotniska i z czapką głęboko nasuniętą na oczy, Pete Chamberlain patrzył przez okna hali. Użył podobnego podstępu jak gliniarz, który próbował go zabić. Najpierw poszedł za strażnikiem do męskiej toalety w odległym kącie obszernego terminalu, zabrał mu mundur, przykuł kajdankami do instalacji wodnej i zakneblował jego własnym pasem. Przebrał się, a teraz próbował wymyślić, w jaki sposób dostać się na pokład concorda, zanim ten, kto wysłał fałszywego policjanta do ogrodów Temple, znowu spróbuje go zabić.

Drużyna Pickerta wydawała się najmniej podejrzana. Ale mógł to być Farquhar. Zarówno Brytyjczyk jak i Arnie Fast — i tylko ci dwaj — wiedzieli, że odkrył wtyczki Agencji wśród uczestników konsorcjum. Grandzau? To mało prawdopodobne. Grandzau wprawdzie posłużył się fałszywym policjantem przy porwaniu Hammonda, ale podejrzewając go, Chamberlain musiałby przyjąć trzy mało prawdopodobne warunki: że Grandzau ma wśród nich człowieka, który podsłuchiwał jego rozmowę z Helen Thorp, kiedy dzielił się z nią swoimi podejrzeniami (Chamberlain nie zapominał, że Farquhar założył podsłuch w pokoju); albo że on, Chamberlain, przypadkowo jest na tropie Hammonda i wcale sobie tego nie uświadamia; albo że morderca zaatakował (przypadkiem?) akurat w tym momencie, kiedy Pete odkrył ludzi z Agencji wśród uczestników konsorcjum i spotkał się z Pickertem. Tak czy inaczej Chamberlain doszedł do wniosku, że będzie bezpieczniejszy na pokładzie concorda, strzeżonego przez najemników Grandzaua, niż pomiędzy swoimi „przyjaciółmi”.

Jakaś policjantka weszła szybkim krokiem do poczekalni i powiedziała coś do Farquhara, który poprosił o ogólną uwagę. Chamberlain przysunął się bliżej drzwi. Strażnicy spoglądali na siebie, jakby zastanawiali się, dlaczego ten przybysz się tu kręci.

Farquhar powiedział:

— Panie, panowie, czy mogę prosić o uwagę? Chciałbym zaznajomić was z procedurą odlotu. Za kilka minut zostaniecie zaprowadzeni schodami na dół na płytę lotniska, skąd autobus zabierze was do samolotu.

Uczestnicy licytacji zaczęli podnosić torby i zapinać płaszcze.

— Przed wejściem na pokład samolotu każdy z państwa zostanie

przeszukany, elektronicznie i ręcznie. Na tyłach tej poczekalni są publiczne toalety i bardzo zalecam, żeby pozbyli się państwo wszelkich przedmiotów, jakie ochrona lotniska Heathrow mogłaby uznać za niepożądane na pokładzie rejsowego samolotu.

Przerwał, ale nikt z osiemnastu uczestników licytacji nie opuścił swojego plastikowego krzesła.

— Zatrzymanie za nielegalne posiadanie broni z pewnością przeszkodzi każdemu w dostaniu się na pokład samolotu *Herr Grandzaau*.

Nadal nikt się nie poruszył. Farquhar przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą i w końcu rzucił ostatecznie ostrzeżenie:

— Proszę nie popełnić błędu. W interesie Wielkiej Brytanii jest zapewnić każdemu z państwa bezpieczeństwo.

Chamberlain widział, że ani Anglik o chłopcym wyglądzie, który reprezentował fabrykantów odrzutowców i czołgów, uzależnionych od Charlesa Hammonda jeśli chodzi o sprzedaż swoich produktów w państwach Zatoki Perskiej, ani masywnie zbudowani konsultanci finansowi z City, którzy wnieśli do konsorcjum poważną sumę w imieniu pewnego brytyjskiego banku i towarzystwa ubezpieczeniowego, nawet okiem nie mrugnęli na tak poważne ostrzeżenie.

— Bardzo dobrze. Pouczono mnie, że kiedy już znajdziecie się państwo w autobusie, będziecie w rękach *Herr Grandzaau*. Jego ochrona także was zrewiduje. Nie mamy powodu podejrzewać, że będziecie państwo w niebezpieczeństwie, a jeśli nawet tak się stanie, to będziemy mogli zrobić niewiele albo zgoła nic, żeby wam pomóc.

Radziłbym więc zastosować się do poleceń podanych w liście.

Musicie państwo mieć na uwadze, że porywacze Charlesa Hammonda posunęli się za daleko, żeby podejmować jakiegokolwiek ryzyko podczas tego ostatecznego spotkania, a już udowodnili, że potrafią zabijać.

Chamberlain ruszył pospiesznie wzdłuż hali, zjechał ruchomymi schodami i znalazł drzwi, które prowadziły na płytę lotniska. Samoloty wyły i jęczały, a powietrze było przenikliwie zimne i przesiąknięte zapachem nafty. Pośród jaskrawych świateł lotniska i jadących w różne strony pojazdów nie było ani śladu autobusu. Jednak w odległości stu jardów Chamberlain łatwo rozpoznał halę odlotów dla uczestników aukcji Pendragona po ludziach z ochrony, rozstawionych przy wejściu na płytę

lotniska. Ruszył śmiało w ich kierunku. Mundur pozwolił mu zbliżyć się na tyle, że widział, jak uczestnicy licytacji przechodzą przez wąskie stanowisko kontroli służby bezpieczeństwa.

Stracili animusz. Pierwszy szedł Soma. Jego japoński pomocnik, jeden z agentów CIA, trzymał się tuż za nim. Potem przyszła kolej na czterech angielskich biznesmenów, dwóch młodych i dwóch w średnim wieku, którzy byli — o ile Chamberlain się nie mylił — legalnymi oferentami. Potem piąty Anglik, który pojawił się razem z Arabem, potem sam Arab. Trzej młodzi amerykańscy prawnicy wsunęli swój podręczny bagaż i teczki na taśmę urządzenia prześwietlającego i stali nieruchomo, oczekując na elektroniczną i ręczną rewizję. Wszyscy trzej byli wtyczkami i Chamberlain pomyślał, że wykonali godną podziwu pracę, ukrywając swoją przerośniętą muskulaturę. Przeszli także Niemcy, potem jeszcze dwaj Amerykanie, bostońscy bankierzy, reprezentujący CIA. Następny był człowiek z Lockheeda, którego nadmiernie rozwinięty, byczy kark zdradzał wszystko, a potem Pickert, który z jowialnym uśmiechem podał do zbadania swoją fajkę. Francuzi, dwaj mężczyźni o długich, pociągłych twarzach, przesunęli się bokiem przez elektroniczną bramkę. Ostry dźwięk alarmu przeszył powietrze.

Ludzie Farquhara zrewidowali ich obu. Chamberlain z niedowierzaniem kręcił głową, przyglądając się, jak wyjmują miniaturowy pistolet dużego kalibru z rękawa jednego z Francuzów. Jego towarzysz poczerwieniał, ale pozwolono mu przejść. Farquhar osobiście aresztował drugiego i kazał go zabrać.

— Moja ambasada o tym usłyszy — syknął Francuz.

— Proszę pójść ze mną, sir.

Helen Thorp była ostatnia. Niosła tylko torebkę, która nie wywołała reakcji ze strony elektroniki. Futro miała odpięte i pozwoliła policjantce przesunąć rękami po swojej bluzce i spódnicy.

Chamberlain stęzał w napięciu. Farquhar wychodził na zewnątrz, widocznie po to, by dać sygnał dla autobusu. Amerykanin stanął na przeciw niego i zagroził rękami przejście.

— Obawiam się, że twój chłopak ma złamaną rękę.

— Peter! Mój Boże, co ty tu robisz?

Chamberlain nic nie powiedział.

— Wszystko w porządku, stary? Czy to ty załatwiłeś tego faceta w ogrodach Temple?

— On był twój? — zapytał chłodno Chamberlain, patrząc mu w oczy.

— Dobry Boże, nie. Prawdopodobnie to ten sam łajdak, który niemal zabił ochroniarza Hammonda. Czulem, że to ty tak go urządziłeś. Dlaczego uciekłeś?

— A ty byś został?

— Och, rozumiem, co masz na myśli. Oczywiście, nie. Cóż, jego sztuczka obróciła się przeciwko niemu. Nasze patrole znalazły go, zanim zdolał uciec. Nie widziałeś jego noża, prawda?

— Nie.

— Szkoda. Musiał go ukryć. W każdym razie, dobrze cię widzieć całego. Wsiadasz do samolotu?

— Jeśli mi pozwolisz.

— Zatem wejdz do środka — rzekł inspektor, biorąc go za ramię. — Przepuścimy cię przez maszyny. Proszę spojrzeć, panno Thorp, Peter wrócił.

— Właśnie widzę — odparła Helen, która obserwowała ich z końca drepczącej grupy.

— Nic ci nie jest?

— Wszystko w porządku.

— To dobrze. Martwiłam się.

— Przepraszam, że się spóźniłem.

Farquhar przeprowadził Chamberlaina przez kontrolę, trzymając cały czas jego ramię. Uwolnił go w drzwiach i szepnął:

— Widzę, że zgodziłeś się współpracować.

— Nie wiem, czy oni mi wierzą.

Farquhar uśmiechnął się.

— Nie wchodź im w drogę, a myślę, że nic ci się nie stanie.

— Jak przypuszczasz, kto wysłał za mną tego sukinsyna?

Farquhar obdarzył go spojrzeniem, które Chamberlain mógł określić tylko jako pełne szczerzego współczucia.

— Nie mam pojęcia, stary. Błędgo pojęcia.

Ścisnął Amerykanina za ramię, otworzył drzwi, wyszedł w ciemność i wrócił z młodym mężczyzną w militarnym stroju. Biznesmeni w eleganckich garniturach gapili się na jego malowniczy ubiór.



Mężczyzna nosił spadochroniarskie buty, panterkę, dwa bandolierzy z amunicją i sznur granatów w pasie. Na głowie miał ciemny beret, wokół szyi jaskrawoczerwoną jedwabną chustkę, a w dłoni groźnie wyglądający pistolet maszynowy.

Chamberlain usłyszał podjeżdżający autobus.

— Przy okazji — odezwał się Farquhar, ignorując najemnika. Mruknął na swoich ludzi, ostrzegając ich, by zachowali spokój. — Skąd wzięłeś odznakę służby bezpieczeństwa, Chamberlain? Jak tu jest napisane, kim jesteś? Posterunkowy McGeedy?

— Jest w kiblu po drugiej stronie budynku.

— Cały i zdrowy, mam nadzieję.

— Po prostu związany. Nic mu nie jest.

— Co byś zrobił, gdybym cię aresztował?

— Musiałbym wtedy założyć, że chcesz mnie zabić.

— I odpowiednio do tego zareagować?

— Zgadza się.

— Tak właśnie myślałem.

Autobus zatrzymał się przy drzwiach z piskiem hamulców. Rozległo się szybkie pukanie i najemnik otworzył drzwi. Jeszcze dwóch ludzi, podobnie ubranych i uzbrojonych, weszło do środka.

— *Allez!*

Jako pierwszego wskazał Chamberlaina. Obmacał go profesjonalnie i przekazał czwartemu najemnikowi, który zaprowadził Amerykanina do autobusu. Pojazd wyglądał jak zwykły autobus do przewozu pasażerów na lotnisku, z wyjątkiem elektronicznej bramki, wbudowanej w drzwi na wypadek, gdyby ochrona lotniska coś przeoczyła. Widząc to, Chamberlain odłożył na ladę bagażową po lewej stronie różne drobiazgi, które nosił w kieszeni.

Przeszedł na tył autobusu, jak polecił mu najemnik, usiadł i wyjrzał przez okno. Wśród zalanych niebieskim, zielonym, czerwonym i białym światłem wielkich przestrzeni lotniska nie było widać concorda. Nic dziwnego. Lotniska zawsze spychają kłopoty na swoje obrzeża. Concord Grandzaua zajmuje więc samotne miejsce na skraju ciemności.

Pomachał ręką, kiedy wsiadła Helen Thorp. Pospieszyła na tył i usiadła obok niego, owijając się szczelniej futrem.

- Zamarzam. Przytul mnie.
- To tylko nerwy. — Chamberlain objął ją, zaskoczony, że kobietą wstrząsają gwałtowne dreszcze.
- Po co jest ta telewizja?
- Chamberlain zauważył już wcześniej ekran nad siedzeniem kierowcy.
- Nie mam pojęcia.
- Pete, gdzie byłeś?
- Poszedłem do Overseas Club. — Nie chciał mówić o ataku w Ogrodach Temple.
- Ico?
- Ci starzy dziwacy byli naprawdę wstrząśnięci sprawą Ramseya, więc ładują swoje służbowe rewolwery. Całe tamto miejsce wygląda jak łagodniejsza wersja Dodge City; gang o stalowych oczach miał nadzieję, że zrobię fałszywy ruch. Niestety, Ramsey nie zaufał żadnemu z nich. Nic nie wiedzą.
- Szkoda.
- Teraz to nie ma znaczenia. Widzę, że Grandzau przyciągnął jakiegoś Araba. To powinno ożywić licytację. Kim jest ten Brytyjczyk, który mu towarzyszy?
- To prawnik specjalizujący się we współpracy z Arabami. — Ruśzamy!

Strażnicy załadowali się do autobusu. Ostatni, który wsiadł, poprowadził pojazd. Przy akompaniamentcie zgrzytania skrzyni biegów autobus wyruszył spod terminalu pomiędzy morze światła. Pilotujący pojazd wyprowadził go z obszaru dworca lotniczego, przez labirynt podjazdów dla taksówek, zatrzymując się i ruszając znowu, by przepuścić autobusy poszczególnych linii lotniczych.

Kiedy wydostali się na drogę, która zdawała się okrążyć pasy startowe, samochód pilotujący zjechał na bok i autobus jechał dalej bez pilota. Chamberlain obejrzał się, ale w ciągu kilku sekund światła samochodu zaginęły wśród tysięcy lamp oświetlających pasy startowe, wśród lampek sygnalizacyjnych migających na skrzydłach i ogonach samolotów oraz ciężarówek dostawczych i jaskrawo oświetlonego terminalu.

Autobus wibrował od ryku startujących i lądujących odrzutowców. To było niemal nie do wytrzymania. Dziesięć minut po tym, jak opuścił ich pilot, autobus skręcił gwałtownie. Przed nimi, w sporej odległości,

czekał concorde, ze swoim cienkim, lekko zakrzywionym w dół dziobem, który wskazywał obrzeżony niebieskimi światłami pas startowy.

Lady Janet zobaczyła, jak światła autobusu nagle oddzielają się od powodzi innych świateł. Obliczyła już moment, w którym wśliznie się na pokład. Po dostarczeniu pilotów policja odjechała. Na płycie było tylko dwóch najemników i mechanicy, zajęci podłączaniem swojej maszyny zapłonowej do silników concorda, które odezwały się wydając cienki gwizd. Teraz zaryczał pierwszy silnik, wprawiając betonową płytę w drżenie. Kiedy drugi silnik zapalił z ogłuszającym grzmotem, najemnicy uciekli na przód samolotu, daleko przed jego ostrym nosem.

— Teraz! — krzyknęła Janet. — Kiedy patrzą na autobus.

Zerwała się na nogi, żeby przebiec niewielką odległość do trapu.

Trefle przydusił ją do ziemi.

— Niemożliwe.

Lady Janet ze złości wbiła paznokcie w jego masywne ramię, ale po chwili przyznała mu rację. Strażnicy, którzy byli na pokładzie samolotu, schodzili teraz po trapie. Doskonale uzbrojeni najemnicy. Grandzau nie dopuszczał żadnego ryzyka. Z goryczą obserwowała, jak podbiegają w stronę autobusu, który zaparkował sto jardów od concorda.

— Dlaczego tak daleko od samolotu? — spytał Henri, kiedy reflektory autobusu zgasły.

Przez ryk silników concorda wyczulone ucho Janet uchwyciło nagle znajomy głuchy dźwięk i niemal jednocześnie przytłumiony łoskot odległego wybuchu. Zanim zdołała odpowiedzieć Henriemu, wszystkie światła jednocześnie zgasły i kurtyna ciemności opadła na Port Lotniczy Heathrow.

## Rozdział dwudziesty ósmy

Lady Janet i Henri Trefle patrzyli z niedowierzaniem. Czarna noc rozciągnęła się nad rozległą płytą. Czarna noc upstrzona nieregularnie światłami pozycyjnymi na skrzydłach, ogonie i kadłubie odrzutowców, które krążyły po omacku nad ciemnym lotniskiem i błędziły po pasach startowych jak stado zagubionych krów. Trzeci silnik concord'a zaskoczył już, ale dudniący hałas, który Janet słyszała w górze, narastał i dostrzegła kątem oka słaby rozbłysk w ciemnościach, w miejscu, gdzie stał zaparkowany autobus.

Nagle zrozumiała zamiar Grandzaua. Z krzykiem rzuciła się do biegu:

— Henri! To podstęp! Autobus, Henri. Autobus!

Chamberlain siedział sztywno, gotów się założyć, że awaria zasilania lotniska w momencie, kiedy kierowca akurat wyłączył reflektory, nie jest przypadkiem.

Złowieszcze wycie odrzutowców, przewalających się w górze w ciemnościach, stało się nagle głośniejsze. Najemnicy Grandzaua otworzyli drzwi. Wtedy dołączył się nowy dźwięk, stłumiony rytmiczny hałas wirników helikoptera.

Śmigłowiec był blisko, coraz bliżej. Sądząc z dźwięku, wydawał się

ogromną maszyną. Amerykanin mógł odróżnić pojedyncze uderzenia dwóch wirników. To był wielki chinook albo jeden z dźwigów powietrznych typu Sikorski. Za chwilę zawisł nad nimi przy akompaniamencie grzmiącego wycia turbin i świstu gigantycznych wirników, który wstrząsał autobusem jak sztormowy wichur.

Kiedy wydawało się, że hałas miażdżący mózg nie może być już głośniejszy, autobus zadrżał od przeciągłego, rozdzierającego łoskotu. Jakby wielki łańcuch kotwiczny przesuwiał się przez kluzę. Kilka sekund później cały zgiełk przycichł nieco. Najemnicy wrócili do autobusu. Zamknęli drzwi. Pasażerowie ponownie usłyszeli dźwięk łańcucha, tym razem dzwonił.

Ktoś mimowolnie krzyknął ze strachu i zaskoczenia. Chamberlain poczuł, jak kurczy mu się żołądek. Chryste! Oni podnosili cały ten cholerny autobus.

Pojazd na chwilę zawisł nieruchomo na niewielkiej wysokości, potem podskoczył do przodu, pochylił się nieco na prawy bok i zaczął szarpnięciami posuwać się w górę, z mozołem wspinając się, jak po schodach, w nocne niebo.

Chamberlain wyrzwał przez tylne okno, kiedy światła pasów startowych ożyły ponownie, mrugając nierówno. Spostrzegł *concorda*, który nadal czekał. Światła zgasły, jeszcze raz pogrążając dworzec lotniczy w ciemnościach. Pracujący ciężko śmigłowiec nabierał prędkości i wysokości. Wkrótce mężczyzna widział tylko skąpo oświetlone, pokryte śniegiem wiejskie okolice.

Śnieg, leżący o tysiąc stóp niżej, rzucał nikłe odbicie, które oświetlało upiornie blade, osłupiałe twarze uczestników licytacji, wiercących się na swoich siedzeniach. Najemnicy przyglądali się im biernie. Dwóch stanęło przy drzwiach — jak się domyślał Chamberlain — na wypadek, gdyby ktoś ogarnięty paniką spróbował tej szaleńczej drogi ucieczki.

Zauważył, że kilku tajnych agentów CIA rzuciło znaczące spojrzenia na Pickerta, jakby pytając: *Co teraz, sir?* Pickert wyglądał na spokojnego. Z nieobecny wyrazem twarzy nabił swoją fajkę, a potem schował ją do kieszeni.

Chamberlain wsłuchał się w wiatr omiatający autobus. Pojazd ten z

pewnością nigdy jeszcze nie poruszał się tak szybko. Z odgłosów zgadywał, że lecą z prędkością około stu węzłów. Huk silników przycichł nieco, kiedy helikopter zakończył wznoszenie. Można się było porozumieć krzycząc. Chamberlain przysunął się blisko Helen i wrzasnął.

— Dobra robota.

— Co takiego?

— Grandzau. Można go prawie polubić, jeśli nie brać pod uwagę samolotów, które akurat podchodziły do lądowania.

— Jak myślisz, dokąd nas zabiera?

— Helikopter ma prawdopodobnie zasięg pięciuset mil.

— To bardzo trafna uwaga.

— Cóż, wiesz, że nie wracamy do Londynu.

— W jakim kierunku lecimy? — odkrzyknęła.

— Na południe, jak myślę. Nie wiem.

Nagle telewizor zapłonął niesamowitym niebieskim światłem, a po chwili rozjaśnił się, ukazując jakąś twarz.

— Jestem Lancelot — huknęło z głośników, silniej niż wiatr, turbiny i młóćące wirniki. Wszyscy popatrzyli na monitor.

— Charles Hammond jest bezpieczny w miejscu, gdzie odbędzie się licytacja. My znajdziemy się tam za kilka godzin.

Jego jedwabisty, niemiecki akcent skojarzył się Chamberlainowi z radiowymi reklamami Czerwonego Barona — łagodny głos oswojonego Huna. Niezupełnie pasował do posępnej, pobrużdżonej twarzy, oczu skrytych pod wydatnymi brwiami i ostrej linii ust.

— Jestem w śmigłowcu, który niesie wasz autobus. Możecie być spokojni, że zarówno wy jak i ja, jesteśmy w dużo mniejszym niebezpieczeństwie, niż gdyby CIA i KGB wiedziały, dokąd się udajemy. Helikopter jest przygotowany do wykonania tego zadania. Amerykanie nazywali go w Azji Południowowschodniej Wesółym Zielonym Olbrzymem — dodał z kamienną-twarzą, zupełnie jakby czytał wcześniej napisany tekst. — Właściwie nie byłbym zdziwiony, gdyby niektóre z korporacji, jakie państwo reprezentujecie, brały udział w przetargu na jakieś jego części.

Grandzau zaśmiał się sztucznie i wtedy ekran telewizora ściemniał.

Podstawieni agenci zaczęli z irytacją spoglądać na Douga Pickerta, czekając na rozkazy. Chamberlain współczuł mu. Wyjście przez okno,

wdrapanie się do helikoptera i uduszenie tego sukinsyna byłoby bardzo satysfakcjonujące. Niestety, nie był to sposób na odnalezienie Charlesa Hammonda.

Pęd powietrza odrzucił lady Janet od helikoptera jak wodna armatka. Poleciała w ciemność, wylądowała na dachu autobusu i ześlizgiwała się przez jego krawędź. Zaszokowana impetem uderzenia i zeszywniała od przenikliwego zimna, desperacko przywarła do nabijanego nitami metalu, a potem uderzyła o jeden z podtrzymujących autobus łańcuchów. Chwyciła ciężkie ogniwa obiema rękami i zaczęła ponownie wspinać się w górę do helikoptera.

— Wariatka! — wrzasnął Trefle, kuląc się w otwartym luku bagażowym autobusu. — Zaczekaj, aż wylądują.

Lady Janet wbijała w ogniwa swoje buty na gumowej podeszwie i wchodziła po łańcuchu jak po drabinie. Tym razem, kiedy dotarła na dach autobusu, poczołała się do tyłu i skryła przed wiatrem za jednym z kół helikoptera. Nie czekała, aż wylądują, bo wiedziała, że Grandzau nigdy nie miałby takiego zaufania do swoich podwładnych, żeby zostawić im tego typu operację.

Grandzau powinien być w kokpicie śmigłowca, a ona zamierzała dostać się na górę, żeby go zabić, dopóki najemnicy są zamknięci w autobusie. Widziała, jak wchodził do autobusu kilka sekund przed tym, zanim helikopter się poderwał. Autobus był już w powietrzu, kiedy ona i Henri wskoczyli do luków bagażowych.

Poczuła zapach soli. Ziemia nie była już biała, więc domyśliła się, że lecą nad morzem. Potężny podmuch od śmigieł uderzył w nią jak żywy napastnik. Zaczęła wspinać się po dźwigarach koła. Tym razem była przygotowana na wszystko. Grandzau nie mógł jej zaskoczyć. Miała dobre rękawiczki, grube buty i kilka warstw dopasowanych ciepłych ubrań. Pod biustem ukryła pistolet, a przez plecy przewieszony był smith and wesson 76, przystosowany do strzelania seriami.

Dotarła do kadłuba śmigłowca, porzuciła ochronę dźwigara koła i podciągała się, cal po calu, po uchwytach na burcie helikoptera. Dźwięk motorów i wirników był równie trudny do zniesienia jak uderzenia wiatru. Kierowała się do miejsca, gdzie kabel, który podtrzymywał stalowe mocowanie łańcuchów, wchodził do kadłuba śmigłowca. Przewód

wysuwał się kilka stóp w dół, więc mogła stanąć na stalowych podporach, trzymając się kabla.

Autobus zakołysał się na obie strony i kabel przesunął się kilka cali w przód i w tył, sprawiając, że otwór, przez który zamierzała dostać się do helikoptera, stawał się niebezpiecznym miejscem. Podczas wspinaczki kabel mógł polecieć w jej stronę. Zaczekała więc kilka minut, obserwując luki zataczane przez kabel, i ruszyła.

Szybko wdrapała się na górę i znalazła w otworze, ale pistolet utknął. Szamotała się chwilę, by go uwolnić. Wiedziała, że kabel z miażdżącą siłą zbliża się do jej nóg. Skuliła się gwałtownie i znalazła w ładowni potężnego śmigłowca.

Leżała nieruchomo, próbując coś w ciemnościach zobaczyć. Nic nie słyszała przez łoskot silników, ale oni także nie mogli jej słyszeć. Było cudownie znaleźć się poza zasięgiem wiatru. Powoli, ufając, że ciemne ubranie ją maskuje, ruszyła naprzód, kierując się słabym, czerwonym światłem, dopóki nie zobaczyła kabiny i sylwetek Grandzaua i pilota, czarnych na tle poświaty urządzeń nawigacyjnych.

Chociaż znała prawdę już od prawie tygodnia, była jednak zaszokowana, widząc go żywym. Przypomniała sobie pogrzeb, który przygotowała w górach dla zwęglonych, zmasakrowanych ciał, które włoska policja wyciągnęła z jego samochodu. Przypomniała sobie, jak go kochała. Potem zdjęła z pleców pistolet maszynowy, założyła pasek na ramię, podniosła jedno kolano i odbezpieczyła broń.

Grandzau odwrócił się, żeby powiedzieć coś do pilota. Wtedy zobaczyła jego twarz.

Czekała, ukryta w ciemnościach, aż coś poczuje. Wstręt, miłość, nienawiść? To była nienawiść, wspaniała, tkwiąca w niej głęboko siła, która nigdy nie przeminie. Wtedy przyszła jej do głowy myśl, dziwna jak letni ptak zimą, coś, co ojciec powiedział na krótko przed tym, jak opuściła dom.

Zatrzymali się, żeby dać odetchnąć koniom, na grzbiecie wzgórze nad starą wioską, gdzie kiedyś mieszkali stajenni i gajowi — ci pasterze jej dzieciństwa, którzy dawno umarli albo przenieśli się do domów starców. Ojciec zapalił papierosa, senior service, włożył go w cygarniczkę z kości słoniowej, wsunął ją między zęby i powiedział o londyńczykach ze średniej klasy, którzy remontowali kamienne chaty przerabiając je na weekendowe domki.



— Jakże urosli maluczy!

Zastanawiała się melancholijnie, w jaki sposób Grandzau miał zmienić jej życie.

Postarzał się wyraźnie w ciągu tych trzech lat i wyglądał, jakby był chory. Ale generalnie był taki sam: pretensjonalny, chciwy, nielojalny, dość popularyzator kryminalistyki. Taki był zawsze.

Przyszło jej na myśl, że może mu wybaczyć oszustwo, ale nie okrucieństwo. Lata samotności pogłębiły jej wrażliwość. Pozbyła się demona, który pędził ją do miejsc, w których wcale nie chciała się znaleźć. To, że teraz mogła zobaczyć dawnego kochanka we właściwym świetle, było wyłącznie jego zasługą. Uwolnił ją od siebie samego, bez względu na to, z jakich powodów. Jednak okrucieństwa, którego doświadczyła, świadomego, zamierzonego okrucieństwa, nigdy nie wybaczy. Opuściła broń. Nie zabije go. Teraz, kiedy zobaczyła, czym Grandzau jest, czego pragnie, знаła słodsza zemstę.

Autobus zakołysał się na łańcuchach, uderzany przez gwałtowne porwy wiatru, który zmniejszył prędkość wielkiego helikoptera do ośmiu węzłów. Pojazd kołysał się z boku na bok, zataczając coraz szersze łuki, co przyprawiało o mdłości pasażerów, którzy i tak już sporo wycierpieli z powodu nieustannego łoskotu i przenikliwego zimna.

Chłód i wilgotny zapach soli były groźnym przypomnieniem czarnego morza gdzieś w dole. Co pewien czas widzieli światła jakiegoś statku i za każdym razem wydawało się, że lecą zbyt wolno i dużo bliżej niewidocznej wody, niż pozwalały na to względy bezpieczeństwa.

— Zimno ci? — krzyknęła Helen.

— Zamarzam — wrzasnął w odpowiedzi Chamberlain, rozcierając ręce. Rękawiczki były bezużyteczne i miał wrażenie, że stopami brodzi w lodowatym strumieniu.

— Włóż ręce tu. — Przysunęła się do niego i otuliła jego dłonie swoim futrem. — Lepiej?

— Powiem ci, kiedy wróci mi krążenie. Dzięki.

Przysunęła się jeszcze bliżej i przyłożyła wargi do jego ucha.

— Słuchaj. Jest coś dziwnego w asystencie Somy. Słyszysz mnie? Tylko kiwnij głową.

Chamberlain skinął. Jej wargi były ciepłe i miękkie, takie, jak pamiętał.

— Znam trochę Somę. Spotykałam go na konferencjach, ale jego asystent jest nowy. I trochę dziwny. Nie umiem tego dokładnie określić, ale on prawie nie jest Japończykiem. Wygląda tak, jakby musiał sobie przypominać, jak ma się zachowywać wobec Somy. Czy mówię z sensem?

Chamberlain skinął głową.

— Nie okazuje odpowiedniego szacunku. Wiesz, co mam na myśli?

Chamberlain jeszcze raz kiwnął głową. Nie były mu obce skomplikowane rytuały okazywania szacunku, co jest charakterystyczne dla japońskich firm.

— Nie zauważyłeś tego — mówiła — ale Soma podrywał mnie, więc często kręcili się w pobliżu... Co o tym sądzisz?

Odwróciła głowę i przycisnęła ucho do jego warg.

— Myślę, że jesteś jeszcze bystrzejsza, niż na to wyglądasz. Ten facet jest wtyczką CIA. Jest ich sześciu. On, Pickert z Lockheeda i jego asystent oraz ambitni prawnicy z innych amerykańskich kompanii — poczuli, jak kobieta tężeje. — Pozwól, że skończę. Pickert jest szefem. To są ludzie od fizycznej roboty. Elitarny oddział.

Oderwała się od niego i krzyknęła mu do ucha:

— Dlaczego ich nie zatrzymałeś?

— Dopiero co się dowiedziałem. Byłem wściekły, ale potem pozwoliłem namówić się na kontynuowanie współpracy.

— Zwariowałeś?

— Pomyślałem, że mają rację. I uwierzyłem im, kiedy powiedzieli, że nie zrobią żadnego ruchu, dopóki coś nie pójdzie źle. Powiedzieli, że są ubezpieczeniem i kupiłem to.

— To zbyt ważna decyzja, żeby podejmować ją w pojedynkę, Pete. Zbyt ważna.

— Byłem sam. Ciebie tam nie było.

— Następnym razem skorzystaj z cholernego telefonu. Jezu Chryste, Pete. Zatrudniłam cię, żebyś bronił Hammonda, uchronił go od przemocy, a ty pozwoliłeś tym... tym wariatom jechać z nami. Nie wierzę ci. Jaką jeszcze głupotę możesz popełnić?

— Większą, niż przypuszczasz — wrzasnęła jej do ucha Chamberlain.

— Ktoś próbował mnie zabić zaraz po tym, jak spotkałem się z Pickertem. Czy Hammond pracował kiedyś dla CIA?

— Nie wiem — odpowiedziała gniewnie. — Dlaczego?

— Bo facet, który próbował mnie zabić, był bardzo podobny do jednego z porywaczy. Fałszywy policjant.

— A może to Grandzau chciał cię zabić?

— To nie ma sensu.

— Ani to, co ty mówisz. Do cholery, Pete. Co teraz zamierzasz zrobić?

— Musimy współpracować. Jeśli wydasz tych facetów, rozpoczniesz wojnę. Już za późno.

— Nie jest za późno. Mogę zaraz powiedzieć strażnikom.

— Zapomnij o tym — radził Chamberlain. — Chłopcy Pickerta będą walczyć.

— Ale Hammond jest bezpieczny.

— A jeśli ktoś postrzeli Grandzaua albo ten przeklęty helikopter się rozbije?

— Dlaczego mi nie powiedziałaś? — wściekała się.

— Jeśli się czegoś nie wie, to łatwiej się z tym nie zdradzić.

— Cóż, teraz wiem. Do cholery z tobą. — Wyrzuciła jego ręce ze swojego futra i wbiła wzrok w dudniącą ciemność.

Chamberlain wsunął ręce do kieszeni swojego płaszcza i wyciągnął szyję, żeby wyjrzeć przez tylne okno w dół, w kierunku czarnego, niewidzialnego morza. Zamyślił się.

W mroku rozbłysło białe światło. Helikopter opadł w jego kierunku i Chamberlain dostrzegł zarys statku wznoszącego się i opadającego na wzburzonym morzu.

— Czy będziemy tam lądować? — krzyknęła Helen.

— Mam nadzieję, że nie. — Widział, jak pokład podnosi się i opada na każdej fali o jakieś piętnaście stóp.

Statek skręcił i ustawił się z wiatrem. Helikopter przeleciał nad nadbudówką mostka, ustawił autobus na wprost białej konstrukcji, potem opuścił go w kierunku kiwającego się pokładu. Deski wybiegły im na spotkanie i autobus uderzył o pokład z miażdżącym impetem. Potem odbił się od podłoża i jeszcze raz opadł ciężko.

Nad ich głowami wybuch zabrzmiał jak wystrzał z broni wielkiego kalibru i pasażerowie odruchowo zrobili unik.

— Strzelają! — wrzasnęła Helen.

— Ładunek wybuchowy przymocowany do łańcuchów. Śmigłowiec opadł nas i odciął ładunek. To bezpieczniejsze niż próba lądowania razem z nami.

Kiedy Chamberlain mówił, helikopter ze zdumiewającą lekkością opadł na pokład przed autobusem. Z obu stron podbiegli do niego ludzie, ciągnąc liny do umocowania maszyny. Wirniki przestały się obracać, światła zgasły i oferenci siedzieli znowu w ciemnościach, dopóki strażnicy nie włączyli światel w autobusie i kazali im wysiadać.

Chamberlain i Helen Thorp wyszli ostatni na rozkołysany, wznoszący się i opadający pokład. Strażnicy skierowali ich, tak jak i pozostałych, przez drzwi sterówki i w dół po spiralnych schodach na śródkręcie. Potem korytarzem do mesy. Uczestnicy licytacji usiedli przy dwóch długich stołach. Na ścianach pokrytych grubą warstwą beżowej farby wisiały ogłoszenia, reklamujące torby, czapki i kurtki, które żeglarze mogą nabyć, łącznie z kartonami papierosów marlboro, w sklepach wolnocłowych. W środku było niewiele cieplej niż na zewnątrz.

Chamberlain poczuł zapach jedzenia i nagle zrobił się głodny. Była prawie północ. Strażnicy stanęli po jednym w każdym rogu, a paru młodych mężczyzn, w drelichowych kombinezonach i białych marynarkach stewardów, zaczęło ustawiać na stołach wielkie misy z gulaszem i dzbanki gorącej kawy. Wrócili z chlebem i masłem, podali je do stołu i oddalili się. Jedli wszyscy z wyjątkiem Araba, który z pogardą pociągnął nosem i zapytał najbliższego strażnika, czy potrawa zawiera wieprzowinę. Najemnik wrzuszył ramionami. Arab z nieprzeniknionym spojrzeniem czarnych oczu odsunął talerz, posmarował chleb masłem i napił się czarnej kawy.

Gospodarz pojawił się, kiedy stewardzi uprzątnęli stół. Grandzau miał na sobie ciężki marynarski sztormiak i stanął po prostu w drzwiach, nic nie mówiąc i patrząc, dopóki uczestnicy licytacji nie zauważyli jego obecności. Obok Grandzaua stał najemnik o twardym spojrzeniu, a Chamberlain widział w korytarzu cienie pozostałych.

— Ufam, że przypadła państwu do gustu żeglarska strawa. Kabiny państwa są gotowe. Będziecie państwo musieli je dzielić, z wyjątkiem, rzecz jasna, uroczej damy z Comptel Incorporated — skinął głową w kierunku Helen. — Byłem zawiedziony, kiedy dowiedziałem się, że pan Alfred Cowan nie będzie nam towarzyszył. Od dawna podziwiam jego umiejętności.

Spod rzęs kobiety błysnęło spojrzenie, które — jak ocenił Chamberlain — powinno rozłupać beton, nic jednak nie powiedziała.

— Gdzie jest *Herr* Hammond? — krzyknął Niemiec, który pojawił się na miejsce Hansa Streichera.

— *Herr* Hammond śpi w swojej kabinie.

— Chcemy go zobaczyć — odezwał się Francuz z Dessaulta.

— Zobaczycie go państwo rano.

— Nie — krzyknął Niemiec. — Teraz.

Grandzau potrząsnęła głową.

— Zobaczycie go jutro rano. Możecie zbadać go dokładnie przed aukcją, żeby upewnić się, że przedmiot licytacji jest nie uszkodzony. Teraz proszę iść spać. Moi ludzie wskażą państwu kabiny.

Chamberlain leżał, rozbudzony, na górnej koi w dwuosobowej kabinie młodszego oficera. Statek kołysał się, powoli i łagodnie — jak dla marynarzy i cholernie mocno — jak dla ludzi, którzy przywykli przebywać ocean na pokładzie samolotu.

— Jesteś pewien, że fajka ci nie przeszkadza? — zawołał Pickert z dolnej koi.

— W porządku.

— Bo w dzisiejszych czasach wielu ludzi nie lubi już dymu.

— Ja raczej lubię — rzekł Chamberlain. — Przypomina mi pewnego profesora, którego miałem w college'u. Palił ten sam gatunek tytoniu.

— Middleton's Cherry Blend?

— Chyba tak.

Pickert zachichotał z zadowoleniem.

— Co jest takie zabawne?

— Pomyślałem o pewnym znajomym, który próbuje zrobić interes w Arabii.

— To zabawny zbieg okoliczności, że znaleźliśmy się w tej samej kabinie. Uważasz, że nasz Hun założył tu podsłuch?

— Jestem tego pewien.

— O mało co nie zostałem zabity, kiedy wracałem do domu dziś po południu.

— Naprawdę? Londyn nie jest już takim miastem jak dawniej.

— Tak przypuszczam. Wspomniałem kilku ludziom o naszej rozmowie.

— Nie zawracam sobie specjalnie głowy facetem, który papie naokoło wszystkim, co usłyszał przy barze — powiedział wolno Pickert. — Zwłaszcza, kiedy pewne poufne informacje są prawdziwe.

— Ci ludzie nie puszcza pary z ust.

— Moje stare marynarskie nogi mówią mi, że to będzie naprawdę spokojna noc.

— Miło to słyszeć.

— Pieprzysz się ze swoją szefową?

— Odbiegasz od tematu, Pickert.

— Głupia gęś.

— Pickert, jeśli uważasz ją za głupią gęś, współczuję Lockheedowi, kiedy będziesz następnym razem negocjował z Comptelem.

— Nie mówiłem o niej.

Strażnicy przynieśli śniadanie do kabin: kawę i pełen talerz słodkich bułeczek. O siódmej trzydzieści kazali wszystkim zejść do mesy. W zamieszaniu Chamberlain wysliznął się przez otwarte drzwi kabiny, żeby spojrzeć na zewnątrz przez iluminator. Kierowali się na wschód, w stronę słońca.

Statek wyglądał na frachtowiec o wyporności dziesięciu tysięcy ton. Helikopter i autobus przykryto brezentowymi plandekami. Z lotu ptaka wyglądali jak zwyczajny statek towarowy z ładunkiem na pokładzie.

Strażnik zauważył Chamberlaina i znaczącym potrząśnięciem pistoletu maszynowego kazał mu iść za innymi.

W mesie zamiast długich stołów były składane krzesła. Ustawiono je przodem do drzwi kambuza w tylnej części mesy. Kręciło się po niej wielu strażników. Czterech stało w rogach, trzymając w pogotowiu broń i obserwując uczestników licytacji. Przebrali się z workowatych kombinizonów w czarne wełniane pulowery i niebieskie dżinsy. Każdy nosił wełnianą czapkę i trzymał pistolet maszynowy. Dwaj kolejni strażnicy czekali przy drzwiach kambuza, a następni dwaj stali na zewnątrz mesy.

Helen Thorp zajęła mu miejsce. Chamberlainowi przyszło do głowy, że z ciemnymi kołami pod oczami wygląda zmysłowo. Zapytał ją, jak spała.

— Okropnie. I jest mi niedobrze.

— To przejdzie. Poczujesz się lepiej.

— Gdzie, do diabła, jest Grandzau?

Kiedy elektryczny zegar na grodzi wybił ósmą, do pokoju wmaszerował Grandzau, mając u każdego boku strażnika. Razem Chamberlain widział już dziesięciu najemników.

Grandzau stanął twarzą do rozeźlonych oferentów. Większość wyglądała na wyczerpanych, zmęczonych lotem śmigłowcem i bezsennością na rozkołysanym statku. Patrzyli na niego z mieszaniną obrzydzenia i zniecierpliwienia.

Grandzau odwzajemnił się uśmiechem. Ubrany był z wielką starannością. Biały goździk zdobił klapę trzyczęściowego, niebieskiego urzędowego garnituru, który podkreślał uroczystość chwili, mimo niezbyt luksusowego otoczenia.

— Dzień dobry — zaczął. — Zaraz rozpocznie się licytacja Pendragona. Przedtem chciałbym zaprezentować uczestnikom aukcji *Herr* Charlesa Hammonda.

# Rozdział dwudziesty dziewiąty

Przez uchylne drzwi kambuza przepchnął się Charles Hammond, a tuż za nim pojawił się nie uzbrojony maltański strażnik. Do mesy wdarł się też charakterystyczny dla kambuzów zapach pary, zwierzęcego tłuszczu i mydła. Hammond był w żeglarskim, zapewne pożyczonym ubraniu: workowatych niebieskich dżinsach i czarnym swetrze o ściągaczowym wzorze, opinającym jego wypukły tors. Grandzau wziął go za ramię. Hammond niecierpliwie strząsnął jego rękę i oddychając głęboko popatrzył na ludzi, którzy przybyli licytować się o jego życie.

Odpowiedzieli mu spojrzzeniami. Chamberlain pomyślał, że biznesmen wydaje się przygnębiony. Nie wyglądał jak obdarzony magnetyzmem superpośrednik, lecz jak człowiek, który przeszedł tyle, że więcej nie mógłby już znieść.

Twarz mu się wyciągnęła, pod oczami miał ciemne koła, a kąciki ust były opuszczone. Rude włosy i ostry blask lamp fluorescencyjnych podkreślały niezdrową błądź jego jasnej skóry. Opuścił wzrok na swoje trzęsące się ręce i szybko założył je za plecami, jakby po to, żeby je czymś zająć. Niespokojne oczy skakały po obskurnej mesie i nagle zatrzymały się na Helen Thorp.

— Cześć, Helen.

Składane krzesła były zsunięte, jedno do drugiego, i kobieta dotykała ramieniem Chamberlaina. Poczul, jak elektryczny skurcz wstrząsa jej



ciałem. Z napięciem pochyliła się do przodu i Chamberlain wiedział już, jakie relacje ich łączyły. Czuł, jak serce w nim zamiera.

— Nic ci nie jest, Charles?

Uczestnicy licytacji wymienili zaniepokojone spojrzenia. Nagły uśmiech rozjaśnił zmęczone rysy Hammonda.

— Ciągłe jestem wart licytacji.

Ignorując Grandzaua podszedł bliżej do siedzących oferentów.

— Nic mi nie jest. Traktowali mnie dobrze — jeśli można traktować kogoś dobrze, trzymając go tydzień w zamknięciu.

Hammond spojrział na zegarek. Nagle zaczął chodzić przed uczestnikami licytacji, tam i z powrotem, ciągle lekceważąc Grandzaua. Kiwał głową w stronę ludzi, których znał. Wydawał się wyższy, poruszał się szybciej. Chamberlain wyczuł ogień, który go ożywiał. To była chęć działania. Uwięzienie musiało mieć na niego zabójczy wpływ. Teraz znowu był w ruchu i z każdym słowem ożywiał się coraz bardziej.

— Musimy zaczynać. Może ci z was, którzy mnie znają, zaświadczą, że wyglądam normalnie i zdrowo. Potem pozwólmy, żeby ten Hun tutaj — wskazał kciukiem Grandzaua — rozpoczął licytację, a ja, pełen wdzięczności, będę mógł odjechać z każdym, kto mnie kupi — uśmiechnął się szeroko, starając się zarazić całą grupę swoim podnieceniem. — Naprawdę nie chcę tu dłużej zostawać.

Nie całkiem mu się to powiodło. Nadal gapili się na niego, jak tłum obserwujący tragiczny wypadek. Hammond dwa razy strzelił palcami — ostry, niespokojny sygnał: „ruszajmy”.

— Helen! Zaczynaj, kochanie. Powiedz im, że mnie znasz i nic mi nie jest.

*Chwileczkę* — pomyślał Chamberlain. To brzmi jak polecenie byłego partnera. Zbyt szorstkie, żeby Helen mogła je przyjąć od kochanka. Helen Thorp natychmiast usłuchała. Obdarzyła Hammonda dziwnym krzywym uśmiechem, który zdumiony Chamberlain odczytał jako: „nie zmieniłeś się i myślę, że nigdy się nie zmienisz”, podniosła się i przemówiła do oferentów.

— Znam Charlesa od wielu lat i nie mam żadnych wątpliwości, że Charles Hammond wygląda normalnie i ma się świetnie, poza tym, że jest zmęczony i obrzydło mu bycie na łasce pana Grandzaua. Nigdy nie widziałam go w lepszej kondycji ani bardziej pełnego wigoru.

Hammond mrugnął do niej i Chamberlain doszedł do wniosku, że jest on istotnie taką gwiazdą, jak to głosiła jego reputacja. Był potężny i znów gotowy do błyskotliwych działań, jeśli tylko kilku szeregowców typu Chamberlaina wykona swoją robotę i uwolni go. Helen zwróciła się do Grandzaua.

— Myślę, że jeśli pan jest gotowy, to naprawdę powinniśmy zaczynać.

Grandzau wyglądał, jakby sprawiło mu to ulgę. Znowu odzyskał kontrolę nad swoją własną licytacją.

— Zasady licytacji Pendragona są następujące — zaczął metodycznie Niemiec. — Obiektem sprzedaży jest Charles Hammond. Może być zabrany ze statku natychmiast po potwierdzeniu, że zwycięzca licytacji zdeponował odpowiednią sumę na moich rachunkach, i że została ona przesłana do innego banku, w innym kraju. Dwie rundy aukcji będą rozdzielone przerwą, w czasie której będziecie się państwo mogli skontaktować z waszymi przełożonymi. Gwarantuję, że Charles Hammond będzie do dyspozycji zwycięzcy licytacji przed dwunastą w południe. Zwycięzca może opuścić statek helikopterem. Concorde na Heathrow będzie do jego dyspozycji. Opłata za wypożyczenie jest wliczona w cenę nabycia pana Hammonda. Pozostali uczestnicy wrócą do Anglii na pokładzie tego statku, którego kapitan i załoga są moimi więźniami.

Grandzau zaczerpnął głęboki oddech.

— Licytacja Pendragona została rozpoczęta. Ile dostanę za Charlesa Hammonda?

W mesie zapadła cisza. Ludzie umilkli, pozwalając, by odgłos silnika statku wypełnił pustkę po ich głosach. Ciężka porcelana zadzwoniła za drzwiami kambuza, kiedy frachtowiec przechylił się z boku na bok. Strażnicy z obojętnym wyrazem twarzy wodzili palcami po swoich pistoletach maszynowych, a Charles Hammond wpatrywał się w pokład. Wyglądało na to, że przez skromność nie chce widzieć, jak uczestnicy licytacji walczą o niego.

Grandzau obliznął wargi i patrzył na nich wyczekująco.

Nikt nie odezwał się słowem.

Kilku członków konsorcjum popatrzyło na Somę zastanawiając się, czy Japończyk rozpocznie. Soma siedział jednak z kamienną twarzą,

czekając, być może, na Rosjan. Rosjanie wpatrywali się w drzwi kambuza. Bostońscy bankierzy, licytujący w imieniu amerykańskiego rządu wyglądali na równie niezaangażowanych, jak para manekinów u Braci Brooks. Arab oglądał swoje eleganckie pierścienie, podczas gdy angielski prawnik z takim samym zainteresowaniem studiował swoje własne, niczym nie przyozdobione różowe dłonie. Charles Hammond z uśmiechem podniósł wzrok.

- Kto zacznie?
- Pięć milionów dolarów — odezwał się jeden z Amerykanów.
- Dziesięć milionów dolarów — powiedział Arab.
- Piętnaście milionów — rzucił Soma.
- Dwadzieścia — zaoferował Rosjanin.

Cena oferowana za Charlesa Hammonda, rosnąc po pięć milionów dolarów, podniosła się do pięćdziesięciu milionów. Prowadzili Rosjanie. Potem cena stanęła.

Chamberlain spodziewał się, że Arab odpadnie pierwszy. Szejk nie miał ani wsparcia rządu, tak jak Rosjanie i Amerykanie, ani nie dysponował połączonymi środkami międzynarodowych korporacji.

- Szejk Madir? — zapytał Grandzau.

Milczący do tej pory angielski prawnik wstał, groźnie najeżony.

— Pozwolę sobie przypomnieć panu, *sir*, że szejk Madir nie jest zobowiązany zgłaszać oferty w jakiejś określonej kolejności. Dopóki nie da pan wyraźnego ostrzeżenia, że przyjmuje pan daną ofertę jako ostateczną, szejk Madir ma takie same prawa i przywileje jak pozostali licytanci. Sugeruję, żeby zapytał pan o zamiary pana Somy.

Grandzau zaczerwienił się i złożył sztywny ukłon.

— Przyjmuję sprzeciw Brytyjczyka. — Odwrócił się do Somy, ale spojrzenie Japończyka było ostrzeżeniem, by nie popełniał tego samego błędu. — Mam ofertę pięćdziesięciu milionów dolarów od towarzysza Petrowa. Przypominam państwu, że ostateczna oferta zostanie przyjęta dopiero po przerwie. Czy usłyszę pięćdziesiąt pięć milionów dolarów?

- Pięćdziesiąt pięć — powiedział Soma.
- Sześćdziesiąt — odezwał się Arab.

Rosjanin zaproponował siedemdziesiąt milionów, Arab przebił osiemdziesięcioma, amerykański oferent doszedł do osiemdziesięciu pięciu i Soma wystrzelił z dziewięćdziesięcioma milionami dolarów.

Grandzau promieniał.

— Czy uczestnicy będą chcieli zamknąć pierwszą rundę okrągłą sumą stu milionów dolarów?

Chamberlain razem z nim przenosił wzrok z jednego oferenta na drugiego. Hammond i Rosjanin ciągle patrzyli na zegar. Nagle poczuł pewność, że Rosjanie zachowają prowadzenie w pierwszej rundzie. Byli tutaj, żeby wygrać i cena nie miała znaczenia.

— Proszę się nie wstydzić — ironizował Grandzau. — Kto powie sto milionów dolarów?

— Sto milionów — rzekł szejek Madir.

Rosjanie popatrzyli z niedowierzaniem.

Między krzesłami gwałtownie podniósł się szmer rozmów.

Chamberlain popatrzył na Helen Thorp. Gryzła wargę i wpatrywała się w przestrzeń. Niezwykła wysokość sumy powoli docierała do umysłu Chamberlaina. *Po co Hammond jest właściwie potrzebny szejkowi? Jakie są limity pozostałych? Dlaczego Rosjanie nie próbowali wyjść na prowadzenie, jak tego oczekiwał?*

Hammond wpatrywał się w szejka, w jego pełną napięcia pochmurną twarz. Spozrzegł, że Chamberlain mu się przygląda i odwrócił wzrok.

— Zrobione! — odezwał się Grandzau.

Soma całkiem nieźle udawał obojętność. Amerykańscy bankierzy wymienili niefrasobliwe uśmiechy, ale Chamberlain stwierdził, że są one równie mało przekonujące, jak uśmiech właściciela chevroleta, stojącego pod światłami obok nowego cadillaca. Prawdopodobnie ich granicą było sto milionów dolarów i mieli ścisły rozkaz nie prosić o więcej. Mimo wszystko nie reprezentowali całych Stanów Zjednoczonych, a zaledwie mały departament w jednej Agencji. Rosyjscy oferenci byli najwyraźniej w takiej samej sytuacji, chociaż sądząc z wyrazu szerokich twarzy, ich limit był wyższy niż sto milionów dolarów.

— To zamyka pierwszą rundę licytacji Pendragona — stwierdził Grandzau. — Prowadzi szejek Madir ze stoma milionami dolarów. Uczestnicy mają pięć minut na przygotowanie informacji dla swoich przełożonych. Nadam je i licytacja rozpocznie się ponownie o dziesiątej.

Hammond popatrzył na wiszący na ścianie zegar. Ósma trzydzieści. Jeszcze trzy i pół godziny, zanim znajdzie się w rękach swojego nabywcy.

Grandzau strzelił palcami. Strażnik Hammonda wziął go za ramię i wyprowadził siłą przez drzwi kambuza. Grandzau podążył za nimi w towarzystwie dwóch strażników i mesa jeszcze raz napełniła się wonią kuchni. Chamberlain patrzył, jak drzwi zatrząskują się, potem spojrział na zegar, który zdawał się tak bardzo interesować Hammonda, i zadumał się nad ścisłym harmonogramem licytacji Pendragona.

Helen Thorp już stała.

— Czy możemy panów przeprosić? — zapytał Chamberlain Rosjan. Bostońscy bankierzy też kierowali się już do wyjścia.

— *Niet!* — Rosjanin podkreślił swoją odpowiedź długim, butnym spojrzeniem, dopóki Helen Thorp nie zwróciła się do najbliższego strażnika.

— Przenieście nas do innego pomieszczenia, albo przenieście Rosjan. Inaczej zacznę wołać Grandzaua.

Strażnik machnął pistoletem maszynowym na Rosjan.

— *Raus!*

Rosjanie podnieśli się z ostentacyjną powolnością i, nie spiesząc się, podążyli korytarzem.

— Oni nie zamierzają wysłać żadnej wiadomości — mruknął Chamberlain.

— Błefują — wymamrotała w odpowiedzi. — Wszystko w porządku, panie Soma?

— Dziękuję, panno Thorp — Soma odwrócił się twarzą do konsorcjum skupionego z nadzieją wokół niego. — Jak sugerowała wczoraj panna Thorp, każdy z nas przygotował kod, żeby porozumieć się z własną firmą, chociaż większość z nas obiecała nie prosić o dodatkowy wkład. Teraz wyraźnie zaistniała taka potrzeba. Czy każdy z państwa może dać mi dwie karteczki? Na jednej z nich zaszyfrujecie wiadomość. Na drugiej napiszecie dodatkową sumę, o którą prosicie.

Członkowie konsorcjum spoczęli na oddzielnych miejscach, porozumieli się ze swoimi asystentami, i naskrobali swoje wiadomości. Chamberlain patrzył, jak Helen pisze swoim wyraźnym, zdecydowanym piśmem: „10.000.000\$”. Zerknęła na niego.

— Alfred zawsze mówi, że duże liczby są jedynym sposobem zwrócenia

uwagi — wręczyła kartkę, a także zaszyfrowaną wiadomość Chamberlainowi, który przekazał je asystentowi Somy. Ten zaś, kiedy zebrał wiadomości od wszystkich, zgromadził karteczki w dwóch zgrabnych stosach i podał je Somie.

Japończyk przeczytał cyfry i rozjaśnił się. Wręczył wiadomości strażnikowi, który pospiesznie wyszedł z jadalni. Kilka minut później usłyszeł, jak z przedniego pokładu startuje śmigłowiec.

Chamberlain zauważył, że Doug Pickert dyskretnie, z uznaniem kiwa głową. Grandzau zorganizował niezawodną sieć komunikacyjną. Helikopter odleci na bezpieczną odległość od statku i nada wiadomość krótką, prawie niemożliwą do wyśledzenia, serią elektronicznych impulsów. Odbiornik na łądzie, usytuowany w Anglii lub Francji, przekaże ją przełożonym i w ten sposób zarówno statek, jak i śmigłowiec będą o sto mil od miejsca, skąd nadano wiadomość. Wszystko miało służyć precyzyjnemu harmonogramowi Grandzaua. Dlaczego zadawał sobie taki trud z tą dokładnością? Chyba że w tym samym czasie, co licytacja, odbywało się coś znacznie ważniejszego?

Najemnicy Grandzaua rozdali kubki mocnej, słodkiej herbaty. Helen nie miała ochoty na picie. Chamberlain usiadł obok niej, popijając herbatę, a Helen ponuro gryzła wargę i ignorowała jego wysiłki, by nawiązać rozmowę. Dał za wygraną i poszedł korytarzem do schodów wiodących na pokład. Pozostali uczestnicy aukcji stali na różnych stopniach schodów pod czujnym okiem strażników, którzy ostrożnie rozstawili się od mostka do głównego pokładu.

Chamberlain pobiegł na mostek i z powrotem na dół, żeby pobudzić krążenie krwi. Pickert przyjacielsko pomachał mu ręką, ale nie przerwał rozmowy z bankierami z Bostonu. Tylko delikatne kołysanie statku i wystrój mesy sprawiały, że przerwa w licytacji Pendragona różniła się czymś od jakiegokolwiek porannej przerwy na konferencji wyjazdowej w świecie biznesu.

Helikopter wrócił w ciągu godziny. Przemknął nad mostkiem, a ryk jego wielkich silników wibrował w stalowych grodziach. Uczestnicy aukcji pospieszyli po schodach w dół i zebrał się przy drzwiach prowadzących na główny pokład, czekając na pilota, który miał dostarczyć odpowiedzi. Grandzau podbiegł do pilota i odebrał je, a potem podał koperty ich właścicielom. Strażnicy gestami kazali im pójść w głąb korytarza. Wszyscy pospiesznie wrócili na rufer, do mesy, aby powtórnie

przystąpić do licytacji Pendragona.

Soma zebrał odpowiedzi od członków konsorcjum, zapoznał się z nimi i usiadł na krześle nie ujawniając żadnych emocji.

— Jak ci poszło z panem Cowanem? — spytał Chamberlain.

— Jakoś to przelknął.

Strażnicy znowu tłumnie zapełnili mesę, zajmując swoje miejsca w rogach i przy drzwiach. Z kambuza ponownie wyłonił się Grandzau, za nim Hammond i Maltańczyk. Pośrednik nerwowo rzucił okiem na wiszący na grodzi zegar. Dziesiąta. Dwie godziny do obiecanego uwolnienia. Wystarczająco dużo czasu na przekazanie pieniędzy.

— Wznawiamy licytację — oznajmił Grandzau. — Ostatnia oferta została przedstawiona przez szejka Madira...

— Sto dwadzieścia milionów dolarów — odezwał się Rosjanin.

— Mam ofertę na...

— Sto dwadzieścia pięć milionów dolarów — przerwał bankier z Bostonu.

— Sto trzydzieści milionów — zaproponował Soma.

— Sto pięćdziesiąt milionów — rzucił Rosjanin.

— Sto sześćdziesiąt — odparował Soma.

— Sto siedemdziesiąt — powiedział Rosjanin.

Po długiej ciszy Grandzau odezwał się głosem, który z trudem kontrolował.

— Mam ofertę od towarzysza Petrowa na sto siedemdziesiąt milionów dolarów. Czy usłyszę sto osiemdziesiąt?

Patrzył na Somę. Japończyk nie podnosił oczu. Grandzau spojrział teraz na bostońskich bankierów. Siedzieli z wymuszonymi uśmiechami ludzi, którzy umieją przegrywać, i nic nie mówili.

— Obiecane ostrzeżenie. Mam...

— Sto osiemdziesiąt milionów dolarów — rzekł Arab.

Grandzau popatrzył na niego ostro, a przez umysł Chamberlaina przemknęła zwariowana myśl. *Arab jest podstawiony*. Grandzau podstawił na licytację swojego człowieka, żeby wymusić wyższe sumy. Niemiec przelknął ciężko ślinę i wyraźnie zbladł.

— Mam ofertę — zaczął z wahaniem — na sto...

— Sto dziewięćdziesiąt milionów dolarów — zaproponował Rosjanin.

Arab rozłożył ręce. Grandzau odetchnął z ulgą.

— Uwaga. Towarzysz Petrow oferuje sto dziewięćdziesiąt milionów dolarów. Po raz pierwszy — przynosił wzrok z jednego oferenta na drugiego. — Sto dziewięćdziesiąt po raz drugi. Sto dziewięćdziesiąt... Charles Hammond został...

— Proszę zaczekać!

Chamberlain zerwał się na nogi.

Strażnicy odwrócili się jak jeden mąż, z zaskakującą szybkością kierując na niego broń. Zapomniał o nich. Podniósł teraz otwarte dłonie. — Proszę zaczekać.

— O co chodzi? — domagał się wyjaśnień Grandzau.

Niektórzy strażnicy skierowali broń gdzie indziej. Lufy kilku pistoletów nadal celowały w głowę Chamberlaina.

— Proszę zaczekać.

— *Niet!* — krzyknął Rosjanin. — My zwyciężyliśmy.

— Jeszcze nie — zaprzeczył Chamberlain. — Grandzau, czy zaakceptuje pan połączoną ofertę naszego konsorcjum i CIA?

Oczy Grandzaua rozszerzyły się.

— *Niet!* — jeszcze raz wrzasnął Rosjanin. On i jego koledzy byli już na nogach i gniewnie wymachiwali rękami, lekceważąc strażników, którzy skierowali broń w stronę powstałego zamieszania.

Grandzau przygryzł wargi. Popatrzył na Rosjanina, na zegar i na Hammonda, który trzymał się za nadgarstek, wpatrzony w zegarek.

— Przyjmie pan? — spytał Chamberlain.

Spojrzał w dół i zobaczył, jak Helen aprobująco kiwa głową. Soma odwrócił się, żeby zasięgnąć jej opinii. Japończyk nie wyglądał na przekonanego.

Błyskawicznie przeprowadził ankietę wśród pozostałych członków konsorcjum, spoglądając im w oczy. Amerykanie energicznie pokiwali głowami, ale Francuz, Niemcy i Anglik wyglądali na stanowczo przeciwnych pomysłowi połączenia się z CIA.

Bankierzy z Bostonu uśmiechali się z drugiego krańca pomieszczenia najszerszej, jak tylko mogli. W przeciwieństwie do członków konsorcjum, nie mieli żadnego powodu, żeby nie ufać aliansowi, który zaproponował Chamberlain. Amerykanin zwrócił na siebie ich uwagę i zawołał tak głośno, żeby wszyscy słyszeli.

— To my zajmiemy się dostarczeniem Hammonda.

— Zgoda.



— Panie Soma? — spytał Chamberlain.

Japończyk rozejrzał się dokoła jeszcze raz. Potem skinął głową. Chamberlain zwrócił się do Grandzaua. Na twarzy Niemca chciwość walczyła z ostrożnością. On także stał przed koniecznością podjęcia ryzyka. Poważnego ryzyka w porównaniu z pewnością, którą oferowali Rosjanie.

Grandzau wyjaśnił, co go niepokoiło.

— Nie mogę przyjąć nowej oferty jako elementu taktyki zyskiwania na czasie.

— Proponuję formalne połączenie.

Niemiec zwrócił się do grupy, a jego twarz twardniała w miarę, jak mówił.

— Czy jest ktoś w konsorcjum albo z CIA, kto sprzeciwia się połączeniu tych ofert?

Chamberlain czekał nerwowo, ale jedynym sprzeciwem były krzyki Rosjan.

Grandzau poważnie kiwnął głową.

— Przyjmę połączoną ofertę pod jednym warunkiem. Jeśli któraś ze stron nie dostarczy pieniędzy, kontrahenci obu stron otrzymają najwyższy wymiar kary. — Po chwili dodał w ciszy, która zapadła po tym oświadczeniu: — Zostaną rozstrzelani.

— Towarzysz Petrow proponuje sto dziewięćdziesiąt milionów dolarów. Czy usłyszę dwieście?

Soma wymienił długie, badawcze spojrzenie z bankierami z Bostonu.

Rosjanin przestał wrzeszczeć.

Chamberlain usiadł z powrotem. Hammond spoglądał na zegarek. Reprezentanci CIA kiwnęli Somie głowami. Japończyk popatrzył na swoich współników z konsorcjum i głęboko zaczerpnął powietrza. Chamberlain współczuł mu. Cała sprawa okazała się dość ryzykowna.

— Dwieście — odezwał się Soma. — Dwieście milionów dolarów.

— Mam ofertę na dwieście milionów dolarów — potwierdził Grandzau.

Tym razem Petrow podniósł się z krzesła. Omiótł pomieszczenie spojrzeniem pełnym pogardy, zatrzymał wzrok na Chamberlainie i z

irytacją potrząsnął głową. Amerykanin wiedział, że już po wszystkim. Wiedział coś jeszcze. Hammond znaczył dla Rosjan dużo więcej, niż kilka tajemnic o uzbrojeniu Wolnego Świata. Hammond był integralną częścią jakiegoś ważnego rosyjskiego planu — jakiegoś wielkiego przedsięwzięcia. Za takie pieniądze musiał być.

Kiedy Rosjanin odezwał się, w jego głosie irytacja nadal dominowała nad innymi uczuciami.

— Wasze połączone środki wynoszą dwieście osiemdziesiąt pięć milionów dolarów. Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich proponuje dwieście dziewięćdziesiąt milionów dolarów.

Soma pobladł. Helen Thorp otworzyła usta ze zdziwienia. Zacisnęła palce na dłoni Chamberlaina.

Grandzau zaczął łamiącym się głosem powtarzać ofertę. Rosjanin przerwał mu.

— Do niczego pan nie dojdzie, jeśli nie skorzysta pan z okazji. Nie ma czasu na targowanie się. Nie ma już czasu — powtórzył z naciskiem.

— Po raz pierwszy, drugi i trzeci — krzyknął pospiesznie Grandzau. — Charles Hammond został sprzedany towarzyszowi Petrowowi za dwieście dziewięćdziesiąt milionów dolarów.

Przy braku młotka, którym mógłby zakończyć licytację Pendragona, Grandzau radośnie uderzył pięścią w otwartą dłoń. Jego strażnicy przyjęli wesół gest jako sygnał do otoczenia uczestników aukcji i zarepetowania broni.

Pickert i jego ludzie, którzy zaczęli wstawać, spokojnie opadli z powrotem na krzesła, wpatrując się w pistolety. Grandzau gestem nakazał Rosjanom, żeby dołączyli do niego. Wraz z Maltańczykiem, uzbrojonymi strażnikami, i dziwnie odprężonym Charlesem Hammondem wyszli przez drzwi kambuza i chwilę później pojawili się znowu, maszerując korytarzem przed mesą.

— Dokąd ich zabieracie? — zapytał Pickert.

— Do pomieszczenia radiowego.

— A co z nami?

— Czekacie.

Pickert popatrzył dokoła na dziewięciu uzbrojonych najemników, którzy trzymali na muszce siedzących na krzesłach przegranych uczestników licytacji.

— Co tylko rozkażesz, chłopie.

Chamberlainowi wydało się, że strażnicy kierują broń przede wszystkim na ludzi Pickerta. Jeden z nich, szczupły Hiszpan przy drzwiach, celował prosto w Chamberlaina. Niemal tak, jakby wiedzieli o podstawionych ludziach. Chamberlain bawił się myślą, że powinno mu to pocholebiać, że zasługuje na własnego strażnika. Nie czuł się jednak zaszczyczony, lecz zaniepokojony. Grandzau i Rosjanie mieli pełną kontrolę nad całą sytuacją.

Chamberlain odwrócił się do Helen. Siedziała otulona po czubek nosa swoim futrem, z obojętnym wyrazem twarzy.

- Hammond wyglądał na szczęśliwego.
  - Czuł ulgę, że już po wszystkim — odparła, nie patrząc na niego.
  - Wydawało się, że nie obawia się Rosjan.
- Wzruszyła ramionami, pokonana.
- To było ładne posunięcie, Pete.
  - Szkoda, że nie wyszło.

Helen nic nie odpowiedziała. Chamberlain popatrzył na uzbrojonych strażników. Zastanawiał się, czy dodatkowe magazynki z amunicją, które mieli przychepione pod swetrami do pasów, są złym znakiem. Mimo wszystko pod koniec pierwszej rundy odgadł prawidłowo. Rosjanie nie przebijali oferty Araba, bo wiedzieli, że wygrają wtedy, kiedy będzie to miało znaczenie, na końcu licytacji Pendragona.

Helen Thorp myliła się. Rosjanie nie blefowali, nie wysyłając żadnej wiadomości swoim przełożonym, ponieważ to oni byli tymi przełożonymi. Zachowywali się arogancko, bo wiedzieli, że nie ma żadnego limitu sumy, którą mogą wydać na wykupienie Charlesa Hammonda.

Jednakże Chamberlain odgadł, że zwyciężą, jeszcze przed przerwą. Zastanawiał się, w jaki sposób do tego doszedł? Co go naprowadziło? Czas. Hammond wariował na punkcie czasu. Nie odrywał wzroku od ściennego zegara i swojego zegarka na ręce. „Nie ma już czasu”, ostrzegł Rosjanin i było jasne, co miał na myśli. Hammond nie miał dla nich żadnej wartości po upływie pewnego czasu.

Chamberlain zadumał się. Grandzau obiecał wypuścić ich w południe.

Czy Grandzau porwał ich współnika w jakichś interesach? Czy Hammond zawarł jakąś umowę z Rosjanami, zanim został uprowadzony? Robił jakiś interes, który musiał dzisiaj sfinalizować?

# Rozdział trzydziesty

Pistolet maszynowy zaterkotał głośno, strzelając krótkimi, czysto profesjonalnymi seriami. Gdzieś wysoko na mostku jakiś człowiek krzyknął w agonii.

Chamberlain cisnął swoim krzesłem w strażnika stojącego najbliżej drzwi i pchnął w ślad za nim Helen Thorp.

— Uciekaj!

Strażnik właśnie uwalniał się od resztek krzesła, jego broń zaczynała strzelać, a strumień kul szybko przemknął po suficie i w dół po ścianie. Chamberlain chciał kopnąć go w krocze, chybił, ale trafił w żołądek. Soma, Arab, angielski prawnik i Francuz uciekli przez drzwi i pospieszyli korytarzem za Helen Thorp, byle dalej od bijatyki w mesie.

Ludzie Pickerta rzucili się na strażników w momencie, kiedy zabrzmiały strzały. Przewaga, jaką zyskali działając z zaskoczenia, pozwoliła im przedrzeć się przez ogień najemników. Pomieszczenie rozbrzmiewało echem wystrzałów, odgłosami uderzeń dłoni i pięści, i ostrymi krzykami bólu.

Chamberlain gołymi pięściami okładał mężczyznę, którego wcześniej kopnął, dopóki tamten nie opadł na podłogę. Sięgając po jego broń widział zwariowany kalejdoskop machających dziko rąk, nóg i pistoletów. Strażnik upadł przygniatając broń. Chamberlain nie mógł jej spod niego wyciągnąć, ale usłyszał głos Pickerta:

— Kambuz!

Wyglądało, że zespół Pickerta odrywa się od najemników i tłumnie rzuca w uchylne drzwi kambuza. Kilku z nich wcześniej zdobyło pistolety maszynowe. Pickert przeszedł przez drzwi ostatni, zatrzymując się, żeby pomóc mężczyźnie, który dostał postrzał w nogę. Ale w tym momencie sam dostał kulę w bark. Bowiem najemnicy przegrupowali się i zaczęli kierować gwałtowny ogień w stronę uchylnych drzwi. Pickerta odrzuciło w stronę kambuza. Upadając, krzyknął:

— Uciekaj, Chamberlain!

Chamberlain był ostatnim człowiekiem, poza strażnikami, który został w jadalni. Reszta prawdziwych oferentów uciekła korytarzem, a wszyscy ludzie Pickerta byli już w kambuzie i odpowiadali na ogień najemników. Amerykanin wypadł przez drzwi i pomknął zygzakiem przez długi korytarz, rzucając się od grodzi do grodzi.

Usłyszał za plecami ostry, metaliczny trzask repetowanej broni, usłyszał jak pierwsza kula opuszcza magazynek i wpada do komory. Rzucił się twarzą w dół, upadł na pokład i poturlał się na bok. Trzy kule pojawiły się w miejscu, gdzie był jeszcze przed chwilą.

Toczył się dalej do schodów, chwycił słupka i zaciekle próbował wy dostać się z linii ognia. Dwa następne strzały przeorały twarde linoleum, przyskajac mu w twarz gorącymi odłamkami. Potem strzelec nagle krzyknął z bólu i ogień ustał.

Chamberlain wdrapał się na schody i rzucił wzrokiem za siebie, w głąb korytarza. Strzelec leżał na podłodze. Jeden z jego towarzyszy strzelał w kierunku drugich drzwi do kambuza. Ludzie Pickerta w kuchni i najemnicy Grandzaua w mesie trzymali się nawzajem w szachu. Chamberlain słyszał, jak wymieniają strzały przez drzwi kambuza. Jednocześnie obie grupy pilnowały korytarza, więc nikt nie mógł się ruszyć ze swojego miejsca.

— Nic ci nie jest, Chamberlain? — zawołał Pickert z kambuza rwącym się z bólu głosem.

— Jakoś mi się udało.

— Idź po Hammonda!

Chamberlain pobiegł w górę po kręconych, azurowych schodach, a potem obok kabin pasażerów i oficerów, saloniku, gdzie ukryli się przeżeni pozostali uczestnicy licytacji, mesy oficerskiej i przez pokład łodziowy i kapitański. Strzały poniżej dudniły i odbijały się echem od stalowych grodzi, ale ten hałas głużył stukot jego butów na twardych podszwach.

Zatrzymał się na chwilę w połowie drogi między pokładem kapitańskim i środkowym. Odwrócił się cicho. Nie uzbrojony maltański strażnik i drugi żołnierz leżeli martwi, rozciągnięci u szczytu schodów. Jeden z rosyjskich oferentów leżał, jęcząc cicho, przed kabiną radiową. Charles Hammond stał w środku, widoczny przez otwarte drzwi, z rękami nad głową i twarzą ściągniętą ze strachu.

Chamberlain zszedł dwa stopnie niżej na pokład łodziowy i wspiął się po stalowych schodach na pokład średniówki. Helen Thorp już tam była, przyciskała się do białej grodzi i zerkała przez iluminator do wnętrza kabiny radiowej. Obróciła się gwałtownie z otwartymi szeroko oczami, niezręcznie kierując pistolet maszynowy w brzuch Chamberlaina.

— To ja. Skąd masz tę armatę?

— Bogu dzięki. Co za zamieszanie. Nie uwierzyłbyś. Popatrz.

Chamberlain przeszedł schylony pod iluminatorem i popatrzył z drugiej strony.

— Co takiego? Skąd, do diabła, ona tam się wzięła?

Charles Hammond, drugi z Rosjan i Grandzau wszyscy trzymali ręce w górze. Grandzau i Rosjanin stali obok urządzeń radiowych statku, dużych konsoli ustawionych w kształcie litery L przy przedniej i wewnętrznej ścianie. Hammond był w wejściu, twarzą w twarz z Henri Trefle'em, który trzymał nóż. Lady Janet Isling siedziała ze skrzyżowanymi nogami na koi radiooperatora, plecami do rogu, z pistoletem maszynowym w rękach.

Chamberlain cofnął się od iluminatora.

— Skąd oni się tu wzięli? — powtórzył.

Helen Thorp wręczyła mu pistolet maszynowy.

— Powstrzymaj ich.

Upierała się, że pójdzie razem z nim. Zgodził się, mogła osłaniać mu tyły, jeśli strażnicy Grandzaua przedrą się przez przeredzonych ludzi Pickerta. Pobiegli w dół na pokład łodziowy, ostrożnie weszli na klatkę schodową, nadal pustą, i wspięli się po schodach. Walka w dole wrzała, staccato wystrzałów, krzyków, wrzasków, a potem na długie sekundy zapadła złowróżbna cisza.

Chamberlain nie miał wiele czasu. Był już na wystarczająco dużej liczbie statków, by wiedzieć, że najemnicy Grandzaua mogą znaleźć inne wyjście z kubryka, jeśli wystarczająco dobrze poszukają.

*Zostań* — wskazał Helen podest między pokładem kapitańskim i pokładem środkowym. Wdrapał się przez poręcz, rozhuśtał nad studnią schodów, aż udało mu się złapać poręcz z drugiej strony. Statek zakołysał się i mężczyzna zaczął padać do tyłu, omal nie gubiąc broni. Nie wiedział, kto jest przy sterze i czy przestraszony sternik nie włączył autopilota i nie uciekł gdzieś.

Podciągnął się nad poręczą, przeczołgał obok martwych strażników do skraju otwartych drzwi, które, jak dostrzegł z tego miejsca, były przymocowane haczykiem do pierścienia w pokładzie. Odbiorniki radiowe zasłaniały mu widok na Grandzaua i Rosjanina po prawej. Lady Janet, Hammond i Trefle, wszyscy znajdujący się na lewo od wejścia, byli także niewidoczni. Chyba żeby wystawił głowę za róg, ale w tym przypadku lady Isling miałyby wspaniałą możliwość, by mu ją odstrześcić.

Od Trefle'a i Hammonda dzieliły go jednakże cale, słyszał więc każde słowo, które padało między nimi w przerwach między strzałami na dole. Głos Hammonda brzmiał tak, jakby był śmiertelnie przerażony, Trefle zaś pozostawał nieubłagany. Hammond zaklinał się, że to, co stało się w Somalii, nie było jego winą.

— Zabrali wszystko, co miałem — mówił. — Musi mi pan wierzyć, pułkowniku.

— Zdradziłeś moich ludzi — odparł po prostu Trefle.

— To ja zostałem zdradzony. Straciłem fortunę.

— Moi ludzie stracili więcej.

— Janet — krzyknął Grandzau. — Nie możesz tego zrobić. Powstrzymaj go!

— Zamknij się, Karl — padła chłodna, spokojna odpowiedź.

— Nie wiesz, co robisz — krzyknął Grandzau.

— Ależ wiem, Karl. Z pewnością...

Reszta odpowiedzi lady Janet utonęła w huku wystrzałów. Kiedy strzelanina przycichła, Chamberlain znowu usłyszał Hammonda. Ton pośrednika zmienił się. Nadal się bał, ale w jego głosie brzmiała nadzieja, jakby ułożył sobie jakiś plan.

— Pułkowniku, niech pan mnie posłucha. Mogę zaproponować coś dużo lepszego od zemsty.

— Za żadną cenę nie kupisz swojego życia.

— Proponuję coś, za co mogę kupić pańskie, pułkowniku — odparł zuchwale Hammond.

Chamberlain usłyszał siarczysty policzek wymierzony ręką Trefle'a i zobaczył, że Hammond pada jak długi na pokład. Potrząsnął głową i podniósł się odrobinę, skulony, nie spuszczać wzroku z Trefle'a. Nie widział Chamberlaina, który klęczał przy drzwiach.

— Pułkowniku, mam armię. Ale nie mam generała.

— Taką armię jak moja, którą rozwalileś w kawałki? — Trefle zadał niebezpieczne pytanie.

— Dziesięć tysięcy ludzi.

Lady Janet roześmiała się.

— On cię oszukuje, Henri — powiedziała przeciągle.

— Jaką armię?

— Pułkowniku, czy będzie pan moim generałem? — Hammond podniósł się na kolana, jakby się modlił, błagał, składał ofiarę. Był z tej ofiary dumny. Podniósł rękę, jakby chciał powstrzymać drugi cios. Chamberlain widział pochylający się nad nim cień Trefle'a.

— Niech pan posłucha, pułkowniku...

— Nie! — krzyknął Rosjanin. — Nie mów mu.

Chamberlain spojrział na zegar. 10.40. Ciągłe jeszcze był czas na nadanie przez radio polecenia przelewu pieniędzy przed ostatecznym terminem. Popatrzył w dół schodów. Helen Thorp gniewnie machała do niego. *Zrób coś*. Nie słyszała Hammonda. Chamberlain podniósł rękę, żeby ją uspokoić, potem wskazał na dół. Zaniedbywała obserwację tyłów, a strzelanina pod pokładem ucichła. Uświadomił sobie, że ranny Rosjanin patrzy na niego.

— Wyjaśnij to — zażądał Trefle.

Chamberlain wpatrywał się w Rosjanina jak sparaliżowany. Czekał, aż tamten zrobi coś, co zdradzi kryjówkę Chamberlaina. Zamiast tego ranny zamknął oczy i leżał nieruchomo.

— Uważaj, Henri — jeszcze raz wycedziła lady Janet.

Chamberlain pomyślał, że głos kobiety brzmi tak, jakby się doskonale bawiła.

— Zamknij się, kobieto. Mów.

Hammond nadal był jedyną osobą w kabinie radiowej, którą Chamberlain mógł widzieć. Pośrednik ciągle klęczał. Mówił uspokajającym tonem, powoli, jak do mądrego dziecka, jakby nikt więcej go nie słyszał i spokojnie, jakby jego oczy nie biegały od zegara ściennego do zegarka na rękę.

— Ona stoi jak rodyjski Kolos, pułkowniku. Zna ją pan. Ona dominuje...



Wystrzały z pistoletu zagrzechotały po całym statku. Wielokrotne krótkie serie odbiły się ogłuszającym echem na nie zabudowanej klatce schodowej. Chamberlain nie słyszał, co mówi Hammond, ale zanim ogień ustał, był cholernie pewny, że „ona” oznacza Republikę Malgaską. Nie było także zbyt trudno uzupełnić wolne miejsce po „dominuje”. Droga dla tankowców przez Kanał Mozambicki, europejski rurociąg. Linia życia, jeśli się ją zamknie...

— Powstanie? Chcesz, żebym stłumił powstanie? Jesteś szalony. Amerykanie zdmuchną cię z powierzchni mapy.

*Niekoniecznie* — pomyślał Chamberlain. — *To zależy, kto jest współnikiem Hammonda.*

— To zabrało cztery lata — rzekł Hammond. — Wszystko jest gotowe. Zawarłem ostateczne porozumienie i już nigdy więcej nie będę musiał robić interesów, dla nikogo. Teraz oni będą przychodzić do mnie.

— Zwariowałeś — stwierdził Trefle.

— Nie mów mi, że zwariowałem — uciął Hammond, podnosząc się lekceważąco i narażając na cios najemnika. — Ja nie chcę rządzić światem, tylko jego małym kawałkiem. Wszystko jest zaplanowane, policja, oddziały zbrojne, stacja radiowa i sprzymierzeniec.

— Co za sprzymierzeniec? — spytał podejrzliwie Trefle.

*Rosja, ty głupku* — pomyślał Chamberlain. — *Hammond zawarł porozumienie z Rosjanami.* W dawnych czasach, kiedy Republika Malgaską była jeszcze Madagaskarem, Rosja nie miała marynarki. Ale teraz ją mają i daliby dużo za bazę na tej wyspie. Może nawet dwieście dziewięćdziesiąt milionów za człowieka, który może im ją zapewnić.

— Henri, uważaj na niego — jeszcze raz ostrzegła lady Janet. — On cię oszukuje.

— Co to za sprzymierzeniec?

Strzały znowu zagłuszyły słowa, ale Chamberlain znalazł odpowiedź Hammonda. Mnóstwo kawałków tej układanki trafiło na swoje miejsca. Z drugiej strony, mnóstwo innych kawałków leżało jeszcze na stole. Ale jedno było pewne, Henri Trefle mylił się. Hammond nie był szalony. Miał jednak wprost niewiarygodnego pecha, że został porwany.

— Wszystko było ustalone, a potem to porwanie. Proszę mi pomóc, generale.

— Jak? — spytał Trefle.

*Niewiarygodny pech. I takiego samego pecha mieli Rosjanie.* Głos Hammonda drżał od tłumionych emocji.

— Niech pan pozwoli temu głupiemu, zidiociałemu, wścibskiemu Niemcowi skończyć jego przekłątą licytację. Niech mój partner zapłaci okup, który zaoferował. Proszę jechać ze mną. Wszędzie czekają samoloty, prawda, mój przyjacielu?

— Za dużo mówisz — odparł chłodno Rosjanin.

— A ty za bardzo się martwisz — rzekł Hammond. — Mamy to jak w banku, prawda, generale?

*Być może Hammond miał zbytniego pecha* — pomyślał Chamberlain, przypomniawszy sobie coś, co Daitch powiedział o Karlu Grandzau, zanim wysadził w powietrze swój dom w Brukseli. *Nie dla pieniędzy. Z powodu tajemnicy.* Tak czy inaczej dostanie pieniądze, ale na czym polega sekret Grandzaua? Zarówno Hammond jak i Rosjanie mają obsesję czasu. Ale podobnie Grandzau. Chamberlain odkrył w jego ostatnim telegramie prywatną wiadomość. Gwarantowana dostawa w południe. Grandzau wiedział o umowie Hammonda. Przez cały czas znał sekret Hammonda. Wiedział, że Rosjanie będą walczyć o odzyskanie Hammonda. Olbrzymim kosztem przygotował swoją obronę.

— Henri! — Lodowata determinacja zastąpiła śmiech w głosie lady Janet, ale kobieta straciła i tak, wiszącą na włosku, kontrolę nad wolą Trefle'a. Chamberlain widział, jak ciemny, gruby cień najemnika wydłuża się nagle, jak u odbijającego się do skoku kota. Francuz rzucił się w stronę lady Janet. Ktoś sapnął, zaszokowany, a lady Janet krzyknęła ze zdumienia, kiedy wielkie ostrze Trefle'a ze świstem przecięło powietrze jak długi, srebrny pejcz.

Oczy Hammonda, wpatrzone w świetlistą smugę, rozszerzyły się nagle. Lady Janet wypaliła pięć razy, potem znowu. Echo wystrzałów połączyło się z odgłosem walki pod pokładem. Henri Trefle wycofał się wolno z kabiny radiowej. Pienista krew z bulgotem płynęła z jego podziurawionej piersi. Żył jeszcze, kiedy padał. W umierających oczach zapłonęło niejasne wspomnienie, kiedy zobaczył Chamberlaina, przykucniętego obok drzwi.

— Jestem za wolny — wymamrotał, oznajmiając przyczynę swojej śmierci. — Za wolny. — Jedna z kul lady Janet strzaskała ostrze jego noża z hartowanego szkła. W martwej dłoni trzymał tylko rękojęść.

W kabinie radiowej Charles Hammond jęknął z ulgą.

— Dziękuję. Ten psychopata...

— Zabiję cię za to, co zrobiłeś.

— Nie, Janet — błagał Grandzau. — Proszę.

Głęboko wciągnęła powietrze. Chamberlain wstrzymał oddech. Sądząc z głosu, była paskudnie roztrzęsiona. Czy nie wytrzyma i zabije Hammonda? Napiął mięśnie, jakby miał wtargnąć do kabiny radiowej, ale nic nie mógł zrobić.

Jeszcze raz wzięła głęboki wdech.

— Powinam zabić twojego więźnia, Karl, ale tego nie zrobię. Dużo bardziej wolę patrzeć, jak twoje brudne ręczki świerzbią cię, żeby użyć radia. Kiedy jest pana ostateczny termin, panie Hammond? W południe? O pierwszej? Na Madagaskar daleka droga.

Chamberlain przycisnął się mocno do grodzi, gdyż Hammond zaczął spoglądać na drzwi, jakby planował ucieczkę. *Nie rób tego* — modlił się Chamberlain. — *Nie kuś tej kobiety.*

Potem Hammond odezwał się i jego głos brzmiał swobodnie i pogodnie. Był tylko lekko skonfundowany biegiem wypadków.

— Posłuchaj, moja droga. Będę z tobą szczerzy. Nie wiem, kim jesteś i nie wiem, na czym polega twój problem z Grandzauem, ale muszę być w Tananariwie, kiedy zakończy się głosowanie. Mamy dziś wybory i dojdzie do pewnych nadużyć, pewnych dyskusji, będzie trochę przemoicy i ja absolutnie muszę w to wkroczyć i wyprostować sprawę. Cały interes jest zaplanowany i to już od miesięcy. Widać, że jesteś światową kobietą i możesz to zrozumieć. To nie ma nic wspólnego z tobą i Grandzauem. Proszę, pozwól mu przeprowadzić rozmowę przez radio. Niech zbierze pieniądze, które zadeklarował mój przyjaciel. Potem pozwól mi odejść i będziesz mogła robić z Grandzauem, co tylko zechcesz, żeby podał ci numer swojego konta. Baw się dobrze z tym małym łajdakiem i zatrzymaj ten cholerny okup. Dwieście dziewięćdziesiąt milionów dolarów powinno wystarczyć, żeby odłożyć na jakiś czas unieszczęśliwienie jednego małego Szwaba.

Śmiech lady Janet wydawał się kruchy. Wystrzały rozbrzmiewały echem we wnętrzu statku.

— Podnieście ręce do góry. Wszyscy. Tak lepiej.

— Co mówisz?

— Jest mi strasznie przykro, ale ta sytuacja ogromnie mnie bawi.

Głos Hammonda przeszedł z ugodowego do groźącego.

— Posłuchaj, skarbie. Załatw mnie, a będziesz miała na głowie rosyjskie KGB na całym świecie. Nie puszczą płazem utraty bazy marynarki wojennej w Kanale Mozambickim.

— Próbował pan przekupstwa, panie Hammond, i nie zadziałało. Teraz mnie pan straszy i mogę pana zapewnić, że to także nic nie da. Co jeszcze zostało?

— Ty głupia cipo! — wrzasnął Hammond.

Chamberlain zerknął w dół na schody. Helen słyszała to. Zaczęła przechodzić przez poręcz. Chamberlain machnął ręką, żeby ją zatrzymać, ale szła dalej.

Lady Janet zaśmiała się ponownie.

— Wyzwisko? Od obcego? Niemożliwe.

Hammond zaszlochał, sfrustrowany.

— W porządku. W porządku. Podaj swoją cenę. Czego chcesz?

— Przez ciebie musiałam zabić Henri'ego. Zdradziłeś go dwukrotnie.

Helen skradała się wokół krawędzi otwartej klatki schodowej, skoczyła do poręczy będącej poza zasięgiem wzroku Hammonda, ześliznęła się i zawisła na rękach. Chamberlain rzucił się do Helen i wciągnął ją. Odczłotali się od drzwi kabiny radiowej. Do schodów dobiegły wystrzały z pistoletu maszynowego, po nich krzyki, a w końcu cisza.

— Jane, na miłość boską — błagał Grandzau. — To szaleństwo. Dlaczego mi to robisz?

— Dlaczego mnie opuściłeś? — zapytała. — Dlaczego upozorowałeś swoją śmierć i zostawiłeś mnie samą? Wykluczyłeś mnie ze swojego planu. Pomogłabym ci w tym. Zawsze ci pomagałam. Dlaczego mnie oszukałeś?

— Ponieważ wróciłaś do Trefle'a — odparł bezbarwnym głosem Grandzau.

— Co takiego? Pojechałam do niego raz. Musiałam się upewnić. Nie po to, żeby cię skrzywdzić. Nie miałeś o tym wiedzieć.

— Myślisz, że mogłabyś coś przede mną ukryć? — spytał ironicznie Grandzau. — Ukryć sekret przed Karlem Grandzauem? Ja sprzedaję tajemnice. Kupuję je. Byłaś głupia.

— Ukaraleś mnie tworząc nowy sekret? Ton Grandzau'a stał się bardziej osobisty.

— Janet, twoja zemsta jest bardziej okrutna niż moja zbrodnia. Bolało

mnie, że za moimi plecami pojechałaś do Trefle'a. Nic mogłem dłużej zostać z tobą.

— Zatem ukarałeś mnie pozorując własną śmierć i nasyłając człowieka w czerni.

— Kara nie jest właściwym...

— Karl, to, co ten człowiek mi zrobił, to całe lata bólu i poniżenia zawarte w jednej, rozdzierającej, ciągnącej się w nieskończoność godzinie. — Śmiech, miękkość i muzyka zniknęły z jej głosu. — To nigdy mnie nie opuści.

— To nie ja cię wychłostałem — wrzasnął Grandzau.

— Myślałeś, że KGB przedyskutuje miejsce pobytu mojego zmarłychwstałego kochanka w obecności mojego adwokata? Zaplanowałeś to tak, żeby oni ukarali mnie za niewierność. Nie miałeś odwagi zrobić tego sam.

— Ale ja nie mam z tym nic wspólnego — zaprotestował Hammond.

— Nie miałem nic wspólnego z żadnym z was, dopóki ten łajdak mnie nie porwał. Dlaczego bierzecie odwet na mnie?

— Był pan moim narzędziem, panie Hammond. Tak, jak Henri Trefle był pańskim. Przypomina pan sobie, że w rzeczywistości miał pan z nim coś wspólnego przed tym nieszczęsnym porwaniem. Zdradził go pan w Somalii i teraz znowu, kiedy próbował pan zwrócić jego nienawiść przeciwko mnie. Zmusił mnie pan, żebym go zabiła. Być może to mój ostatni prezent dla Henri'ego... Był czulszym kochankiem, niż mógłby się pan spodziewać.

— Zabij ją — szepnęła Helen Thorp.

— Ona robi nam przysługę — wymruczał Chamberlain. — Rosjanie mają ostateczny termin. Cała sprawa będzie skończona w ciągu godziny.

— Zabij ją. Zanim ona zabije Hammonda.

— Nie zrobi tego.

Helen gwałtownie potrząsnęła głową.

— Jest szalona. Posłuchaj mnie, Pete. Hammond musi stąd uciec. Rób, co ci mówię.

— To nie jest konieczne — sprzeciwił się Amerykanin. — Nie warto ryzykować.

Helen położyła rękę na jego ramieniu.

— Spójrz na mnie, Pete — zmusiła go, by spojrzął w jej ciemne oczy.

— Uratuj Hammonda, a będziesz mógł wyznaczyć swoją nagrodę od Comptelu. Możesz mieć wspaniałą posadę w kompanii, albo możesz wziąć pieniądze i odejść. Alfred i ja rozmawialiśmy już o premii w wysokości dwustu tysięcy dolarów, jeśli uratujesz Hammonda. Ale to naprawdę zależy ode mnie i mogę podwyższyć sumę, żeby okazać wdzięczność firmy. Uratuj Hammonda, Pete. Zabij ją.

Chamberlain wziął broń i cicho wdrapał się przez poręcz, zszedł po schodach i wyszedł przez drzwi na pokład łodziowy. Dwieście tysięcy dolarów — znowu w świecie realnych liczb, które mógł zrozumieć. Helen szła kilka kroków za nim. Upłynął już pewien czas od momentu, kiedy padły ostatnie strzały i cisza była przerażająca. Statek zostawiał za sobą skręcony kilwater na szarych falach. Morze, mały krąg widoczny po zamglony horyzont, było puste, statek był sam.

Wyszła za nim na zewnątrz, na średni pokład. Zajrzał w jeden z bulajów kabiny radiowej, zanurkował pod nim i spojrzał w następny. Helen przemknęła się pod oboma iluminatorami, a potem stanęła obok Chamberlaina.

— Widzisz ją?

— Zakryj twarz — mruknął. — Muszę najpierw rozbić szybę.

Lady Janet czuła się bardzo dobrze, biorąc pod uwagę to, jak bliska była śmierci z rąk Trefle'a. Plecy miała bezpiecznie wciśnięte w kąty stalowych ścian, broń spoczywała wygodnie w jej rękach, a Grandzau mało nie oszalał z chciwości i bezradności.

Było jej smutno z powodu Trefle'a. Znała śmiertelne ryzyko, kiedy pierwszy raz zwróciła się do niego o pomoc, ale w przypadku pijaka czy wariata zawsze była pewna niewielka nadzieja, że w cudowny sposób się zmieni.

Nie wiedziała, kto walczy na pokładzie statku. Widziała wcześniej najemników. Być może to załoga usiłuje odzyskać kontrolę nad statkiem. Ona jednak znalazła już sposób na doskonałą zemstę. Charles Hammond, Grandzau i Rosjanin Petrow mieli wspólny cel. Użyć aparatury radiowej. Te urządzenia, a także zegar, pochłaniały całą ich uwagę. Była

w tym wszystkim jakaś doskonała symetria. Hammond za Henri'ego. Rosjanin, który mógł wydawać rozkazy mężczyźnie w czerni, i Karl — za nią. Usłyszała brzęk szkła w bulaju, zanim jeszcze dotarł do niej wystrzał, który je roztrzaskał. Próbowała podnieść broń, kiedy drugi pistolet maszynowy wypalił serią przez iluminator. Zdawało się, że strumień kul płynie przez całą wieczność, przerażająco głośny i dłuższy, dużo dłuższy, niż powinien być z tego rodzaju broni.

— Rozbiłeś radio! — wrzasnęła Helen.

— Masz cholerną rację, rozbiłem radio. Rozwaliłem je na kawałki i teraz zrobię to samo z nadajnikiem w śmigłowcu. Masz. Weź pistolet. Jest odbezpieczony. Osłaniaj mnie, jeśli wejdą po schodach.

— Nie rób tego, Pete.

— Nie mów mi, jak mam wykonywać swoją robotę, do cholery. Hammond jest bezpieczny, jak długo Grandzau nie może wezwać Rosjan. Osłaniaj mnie. — Zaczął szybko spuszczać się w dół po zewnętrznej części klatki schodowej, czepiając się obydwoma rękami poręczy.

— Stój!

Chamberlain odwrócił się i spojrzał prosto w głęboki, czarny wylot lufy pistoletu, który jej zostawił.

W kabinie radiowej Grandzau, Hammond i Rosjanin wlepiali wzrok w zniszczone urządzenia radiowe. Kule Chamberlaina rozorały aluminiowe obudowy, strzaskały przyrządy, rozbiły wskaźniki i poszarpały wewnętrzne obwody.

— Jest jeszcze jedno radio w helikopterze — krzyknął Grandzau.

Lady Janet roześmiała się. Dźwięk własnego śmiechu przestraszył ją. Nagły, nieoczekiwany i niezrozumiały atak na radiostację doprowadził ją na skraj hysterii. Bulaje i drzwi ziały niebezpiecznie, grożąc kolejnym atakiem.

Wcisnęła się głębiej w stalowy kąt i walczyła o odzyskanie panowania nad sobą.

— Mogę sobie wyobrazić, że ktoś, kto rozbił to urządzenie, jest właśnie w drodze do drugiego, nie sądzisz?

- Janet, dam ci wszystko.
- Już raz to zrobiłeś, Karl, ale potem odebrałeś. Zamknij te drzwi.

- Celujesz we mnie? — zapytał Chamberlain.
- Tak.
- Helen, co ty robisz? — zaczął wspinać się w górę schodów.
- Stój!

Zatrzymał się w połowie drogi.

— Helen, jeśli nie rozbiję tego nadajnika w śmigłowcu, zrobi to ktoś inny. To jedyny sposób, żeby mogli sprzedać Hammonda na czas. Pozwól mi pójść. Wiem, co robię. To jest najlepsze dla Hammonda.

- Pieprzę Hammonda, ty idioto.
- Słucham?
- Rosjanie kupują Hammonda dla mnie.
- Nie chwytam tego.

— Wpłacają dwieście dziewięćdziesiąt milionów dolarów na dwa konta. Połowa dla Grandzaua. Połowa dla mnie. Jestem jego cichym współnikiem. To ja dostarczyłam kapitału. A jak myślałeś, kto, do diabła, zapłacił za to wszystko? To ja stoję za kulisami całej sprawy. Jak myślisz, kto zaplanował licytację? Grandzau?

Chamberlain wpatrywał się w nią.

- Co chcesz zrobić?
- Zastrzelę cię i zamierzam zabić lady Janet.
- Odstrzeli ci głowę, Helen. Ona jest zawodowcem.
- Za sto czterdzieści pięć milionów dolarów zaryzykuję.

Morski wiatr rozwiewał jej krucze jedwabiste włosy. Policzki miała zaróżowione, nozdrza jej drgały. Przedstawiała sobą — jak ze smutkiem pomyślał Chamberlain — najpiękniejszy widok, jaki udało mu się kiedykolwiek oglądać. Popatrzył wzdłuż lufy karabinu w jej oczy i zrobiło mu się jeszcze smutniej.

— Podejmujesz zbyt duże ryzyko, Helen. Ja także jestem zawodowcem. Nigdy nie celuj z pistoletu w mordotłuka — zaczął wchodzić po schodach. Jej źrenice zwały się wyrażając zdecydowanie, kiedy naciśnęła spust.



# Rozdział trzydziesty pierwszy

Broń pozostała w jej dłoniach niema, ciężka. Chamberlain patrzył, znużony, jak szamocze się z nieznanym sobie bezpiecznikiem i próbuje jeszcze raz.

— Opróżniłem cały magazynek w radiostację.

— Oszukałeś mnie? — Wiatr nadal rozwiewał włosy Helen i ani strach, ani gniew nie ujęły jej piękna.

— Przykro mi. Czułbym się naprawdę winny, gdybyś nie pociągnęła za spust.

— Dlaczego?

— Sądzę, że chciałem zobaczyć, jak bardzo byłem głupi.

— Nie jesteś głupi.

— Widocznie jednak nie.

Pistolet wysliznął się jej z rąk i uderzył o pokład. Chamberlain pozostał na swoim miejscu, w połowie drogi w dół schodów, i patrzył prosto na nią. Pojedyncze łzy zawisły na krawędzi każdego z jej ciemnych oczu.

— Skąd się wziął ten ostateczny termin? — zapytał.

— Nie wiem.

Chamberlain zaczął schodzić po schodach.

— Pete? Zawrzyjmy umowę.

Zatrzymał się i spojrzał na nią jeszcze raz.

— Umowę?

— Pomóż mi. Podzielimy się.

Chamberlain wzruszył ramionami.

— Chcesz żebym pogodził się z faktem, że chciałaś odstrzelić mi głowę? Mogę ci z radością wybaczyć, że wzięłaś mnie do łóżka na wypadek, gdyby kumple Ramseyego mogli coś sypnąć.

— Prawdopodobieństwo tego było bardzo niewielkie — uśmiechnęła się.

— Ale zawiadomienie KGB, że idziemy do Overseas Club było czymś innym, a jeszcze trudniej zapomnieć o tym, że wysłałaś za mną policjanta-zabójcę. Dużo trudniej.

Nie zaprzeczyła.

— Byłam przerażona. Myślałam, że wpadłeś na mój trop. Zadawałeś ciągle te wszystkie pytania... Ale powstrzymałam go za pierwszym razem. W ogrodach Temple.

— Jestem wdzięczny za ten pierwszy raz. Ale ponieważ nie zatrzymałaś go drugi raz, mam wrażenie, że moja przyszłość wiąże się jednak z Alfredem Cowanem. On nie próbował mnie zabić ani razu.

Szyderczo potrząsnęła głową.

— Chcesz być przez resztę życia czymś pracownikiem? Czy chcesz podzielić się ze mną stu czterdziestoma pięcioma milionami dolarów? Przemysł to, Pete. Nie mamy już czasu.

Chamberlain westchnął.

— Helen, trudno ci odmówić. Nie mogę myśleć o niczym lepszym, niż możliwość pieprzenia cię do szaleństwa na regularnych, serdecznych zasadach.

— W przyszłości będę od ciebie oczekiwała nieco większej elegancji wyrażania się — powiedziała z uśmiechem. — Jestem bardzo wymagająca.

— Dlaczego kłamiesz w sprawie madagaskarskich planów Hammonda? Wiesz cholernie dobrze, skąd wziął się ten ostateczny termin.

Pobladła.

— Ja... Dlaczego zastawiasz na mnie pułapkę?

— To dlaczego mnie okłamujesz, Helen?

— Nie ufam ci.

— Ty mi nie ufasz? — zaczął schodzić ze schodów.

Kobieta szła za nim.

— Dokąd idziesz?

— Ty mi też nie ufasz, prawda? Ja nie próbowałem cię zabić. Ja cię nie okłamałem.

— Pete, zaczekaj, proszę.

Schodził po schodach, a ona za nim. Kiedy dotarli na główny pokład, poślizgnęła się na kawałku metalowej listwy i upadła ciężko. Chamberlain przykleknął obok niej. Z wnętrza statku dobiegały sporadycznie pojedyncze strzały. Ludziom Pickerta pierwszym skończyła się amunicja. Czy Grandzau postawił straż przy helikopterze? Maszyna stała obok autobusu, oddzielona od nich szeroką otwartą, pozbawioną osłony przestrzenią. Niebezpieczeństwo nie mogło go jednak powstrzymać.

Chciał być teraz, kiedy domyślił się już wszystkiego, tak samo pewien jak wtedy, kiedy rozbił strzałami radiostację. Kobieta była zmieszana i przestraszona. Zraniła się, upadając. Nie mógł znieść jej widoku, taka była słaba i krucha. Chciał znaleźć jakieś argumenty, świadczące na jej korzyść.

— Dlaczego zamieszałaś się w tę aferę z Grandzauem?

— Miałam romans z Charlesem Hammondem.

— Tak przypuszczałem.

— Jak wszyscy — zadrżała w jego ramionach. — Myśleliśmy, że utrzymamy to w tajemnicy. Charles powiedział, że jeśli ludzie się o tym dowiedzą, będą myśleli, że pracuję dla niego, a nie dla Comptelu. On był najbardziej podniecającym mężczyzną. Nie masz pojęcia, jaką roztaczał aurę. Kiedy opuszczał pokój, wydawał się on pusty. Myślałam, że to my wynaleźliśmy miłość.

Odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiała się gorzko.

— Grandzau przyczepił się do mnie w Nowym Jorku. Taki brudny, mały człowieczek, który napastuje sekretarki w autobusach. Powiedział, że Charles wykorzystuje mnie, żeby przepchnąć w Comptelu lewe interesy... Jeśli domyśliłeś się jego planu, możesz domyślić się reszty.

— Co Grandzau jeszcze ci powiedział?

— Powiedział, że Charles przygotowuje zamach stanu w Republice Malgaskiej i wykorzystuje moją pozycję w Comptelu dla własnych interesów. Było mi nie tyle głupio, ile czułam się dotknięta. Powiedział, że potrzebna mu moja pomoc. Pomoc ze strony „błyskotliwej kobiety i

wzgardzonej”, jak się wyraził ten mały łajdak. Jest wystarczająco bystry, żeby znać granice własnych możliwości. Grandzau miał wspaniały pomysł. Ponieważ celem zamachu stanu organizowanego przez Hammonda było powstanie rosyjskiej bazy marynarki wojennej w Cieśninie Mozambickiej, Grandzau umyślił sobie, że jeśli porwie Hammonda tydzień przed zamachem, Rosjanie zapłacą każdą cenę, by go odzyskać. A także zrobią wszystko. Nie mógł tylko wymyślić skutecznego sposobu zabezpieczenia własnej osoby do czasu, kiedy dostanie okup. Jak mogłby walczyć z całym Związkiem Radzieckim?

— I ty poradziłaś mi, jak ma to zrobić?

— Byłam zdruzgotana. Ale ból dość szybko zmienił się w gniew. Pomyślałam: w porządku, może Charles zamierza zabrać mnie ze sobą. On jest tego rodzaju mężczyzną, że mogłby podarować mi Madagaskar w dowód miłości. Wierzyłam, że może tak zrobi. Kontynuowałam wprawdzie współpracę z Grandzauem, ale wiedziałam, że mogę go w każdej chwili powstrzymać. Nie zrobiłam tego, bo Charles nie wziął mnie ze sobą. Tego lata powoli przestaliśmy się widywać i w końcu musiałam przyznać, że on mnie nie kocha. Prawdopodobnie nigdy nie kochał. Wykorzystywał mnie cały czas. Nie zabiegał o mnie z powodu miłości — to była część planu, jego najważniejszego przedsięwzięcia.

— Więc urządziłaś licytację.

Odrzuciła głowę do tyłu.

— Tak naprawdę to nie była licytacja, jak się sam domyślałeś. Po prostu zasłona dymna dla zmylenia Rosjan. Wszyscy zainteresowani latali jak opętani i Rosjanie musieli podzielić siły, dokładnie tak, jak to zaplanowałam. Wszystko skończyłoby się dobrze, gdyby nie ta suka w kabinie radiowej — potrząsnęła głową. — Nie mogę uwierzyć, że przeszłość Grandzaua wróciła właśnie teraz.

— Ciągnął ją za sobą — stwierdził Chamberlain. — Dlaczego mi nie zaufałaś? Bo nie zabiłem jej?

— Nie. Martwiłam się o twoją reakcję na powiązania z Rosjanami. Ja jestem kosmopolitką. Nie obchodzi mnie żaden pojedynczy rząd, jak długo utrzymuje wewnętrzny spokój i zgadza się na negocjowanie podatków zbiorowych.

— Ale ja jestem byłym żołnierzem marynarki wojennej i byłym agentem CIA, więc nie wiedziałas, co będę sądził o umieszczeniu bazy rosyjskiej marynarki na przebiegu linii naftowych Wolnego Świata. Mogłas zapytać.

— Określenie „linie naftowe Wolnego Świata” brzmi tak, jakby ci się to nie podobało.

— I tak jest — przyznał Chamberlain. — Ale nie z tego powodu, o którym myślisz. Ostatnią rzeczą, jakiej ten świat potrzebuje, jest banda ludzi pozbawionych skrupułów, którzy dla zdobycia władzy i bogactwa są gotowi rozpętać nawet trzecią wojnę światową.

— Miałam rację. Rozbijesz radio w helikopterze i zniszczysz wszystko, czego dokonałam.

— Nie wierzę wam. Grandzau to tylko drobny lajdak, ale ty i Hammond jesteście ludźmi interesu. Po co zaczynacie wojny? Macie już wszystkie pieniądze tego świata i większość władzy. Samoloty, hotele, dobre restauracje. Czego wam jeszcze, do diabła, potrzeba?

— Wiedziałam, że tak to potraktujesz. Nikt nie zaczyna wojny, Pete. Hammond tylko odrobinę wyprostuje sprawy. Wszystko toczy się cyklicznie. Nic nie trwa bardzo długo. Wiesz o tym. Teraz to wspaniała możliwość dla ciebie i dla mnie, żebyśmy byli bogaci i szczęśliwi przez resztę życia... Szybko, musimy zabrać Rosjanina do urzędzeń nadawczych.

— Może masz rację — rzekł Chamberlain. — Może Stany Zjednoczone i Rosjanie ułożą swoje sprawy, jak zwykle. Ale nie słyszałaś, jak Hammond chciał dobić targu z Trefle'em. Wie, że na wyspie będzie opór przeciw jego zamachowi stanu, więc zaproponował Treflowi — który mógł być kandydatem Francji w konkursie na psychopatę roku — że zrobi go generałem armii Madagaskaru.

— Jestem pewna, że to tylko dlatego, bo Trefle mu groził.

— Pewne zdarzenia zagrażają najładniejszym planom. Wtedy plany przestają być ładne.

Helen wstała i odepchnęła go.

— Zatem w końcu wszystko sprowadza się do tego, żeby mieć trochę ikry i zrobić coś, co się liczy.

Chamberlain poczuł, jak gniew podchodzi mu do gardła. Nie chciał, żeby mu przypominano, że odrzucanie propozycji Helen może nie być

najsprytniejszym posunięciem, zwłaszcza, że wiąże się z tym pewne ryzyko.

— Pokażę ci coś, co się liczy.

Przeszedł przez pokład długimi, mocnymi krokami, kierując się w stronę wielkiego helikoptera. Maszyna stała na środku głównego pokładu, z długimi śmigłami opuszczonymi jak skrzydła wygrzewającej się na słońcu ważki. Helen pobiegła za nim.

— Co robisz?

Chamberlain szedł dalej.

— Nie niszczy radia.

— Jeszcze nie teraz. — Wszedł po trapie i przez wejście, ziejące jak otwór jaskini, dostał się do kokpitu.

— Zostań tam, gdzie jesteś, chłopie — odezwał się pilot.

Był Amerykaninem. Celował w Chamberlaina z automatycznej czterdziestki piątki z wyposażenia armii amerykańskiej i wyglądał na przestraszonego. Chamberlain rzucił szybkie spojrzenie na coś, co znajdowało się nad prawym ramieniem pilota. Rozproszył w ten sposób jego uwagę, uderzył go w nos i odebrał pistolet.

— Jest jeszcze jakaś broń na pokładzie?

Pilot trzymał się obiema rękami za nos i spoglądał w lufę czterdziestki piątki. Był zły, ale skłonny do współpracy.

— Tam.

Chamberlain otworzył szafkę, przejrzał zawartość arsenału najemników i wybrał snajperski karabin dużego kalibru. Miał pełny magazynek i był gotowy do strzału. Nie zwracając uwagi na Helen, która patrzyła na urządzenia radiowe, powiedział:

— Startuj.

— Dokąd?

— W górę.

Pilot włączył turbiny, dobrze je rozgrzał i odezwał się:

— Dalej, chłopie. Dokąd chcesz lecieć?

— Po prostu przeleć wzdłuż średniego pokładu. Łagodnie i wolno. Od strony prawej burty.

— Cholera, mam nadzieję, że wiesz, co robisz, szefie.

— Mam pistolet — przypomniał mu Chamberlain, zerkając na Helen. — Nie ma znaczenia, czy wiem, co robię. Startuj!

Śmigłowiec uniósł się z wahaniem, ustawił pod wiatr i nabrał wysokości.

— Wzdłuż mostka i wolno — rozkazał Chamberlain.  
— Ten sukinsyn nie jest najbardziej sterowny.  
— Po prostu opuść się tutaj. Tak, dobrze. Zostań na jakichś stu jardach.

— Pete, co robisz? — spytała Helen.

— Pickert jest tutaj przygwożdżony. — Widzisz ten iluminator? To kambuz. Spójrz teraz na tamte dwa bulaje. To jadalnia, gdzie odbywała się aukcja. Tam są najemnicy Grandzaau.

— Co robisz?

Chamberlain podniósł karabin i wystawił lufę przez małe okienko za głową pilota.

— Szefie, nie mogę tak utrzymać maszyny. Mamy prądy powietrzne od burty, które zwieją nas do morza.

Chamberlain przystawił czterdziestkę piątkę do karku pilota, oglądając się jeszcze raz na Helen.

— Wysył wszystkie twoje przeklęte siły, żeby się tak nie stało.

— Zwariował pan, szefie.

— Po prostu robię coś dla tej damy. Podlec bliżej.

Położył pistolet na kolanach i raptownie otworzył ogień ze snajperskiego karabinu. Huk wystrzału był ogłuszający, przebijał się nawet przez wycie turbin. Z bulajów na burcie statku posypało się szkło, a lśniące odłamki wpadały do morza i wnętrza jadalni.

Krzyżak w lunecie celownika skakał i ześlizgiwał się po bulaju w różne strony, z powodu wibracji helikoptera i kołysania statku. Przez większość czasu Chamberlain widział tylko talerze. Strzelał szybko i na oślep, teraz próbował złożyć się do trudniejszego strzału.

Śmigła wrzucały przez okno słoń pianę, która moczyła mu twarz i zasłaniała pilotowi pole widzenia.

— Nie mogę utrzymać maszyny, szefie.

— Podaj tej damie kamizelkę ratunkową.

Celownik sięgał teraz za iluminator i Chamberlain widział najemników, szukających osłony przed nowym atakiem. Dwaj ludzie, którzy osłaniali drzwi na korytarz, trwali na swoim posterunku. Chamberlain namierzył ich dokładnie i wystrzelił sześć razy tak szybko, jak tylko mógł naciskać spust. Dwa potężne pociski trafiły w bulaj i przedarły się przez barykadę stołów, spiętrzonych przy drzwiach.

Najemnicy rozpierzchli się. Chamberlain obrócił lufę i oddał trzy strzały w kadłub bliżej kambuza. Sygnał. Potem znowu wycelował broń w bulaj i czekał. W korytarzu dał się zauważyć jakiś ruch. Ludzie Pickerta wyslizgiwali się przez nie strzeżone teraz drzwi mesy. Chamberlain zaczął, aż jeden z nich wydostał się na główny pokład, biorąc pod ostrzał bulaj do mesy.

— W porządku. Teraz wracam na pokład — odwrócił się do Helen i napotkał jej zimne spojrzenie. — To się liczy.

Wylądowali. Pilot opadł głębiej na poduszki siedzenia, trzęsły mu się ręce. Chamberlain odłożył karabin na swoje miejsce. Potem zaczął strzelać z czterdziestki piątki do radioodbiornika, aż magazynek pistoletu był pusty, a radio całe w dziurach.

— I to się liczy.

Helen z odrazą potrząsnęła głową.

— Startuj — rozkazał pilotowi.

— Teraz dokąd?

— Nigdzie. Po prostu zjeżdżaj stąd. Jeśli będziesz miał szczęście, nie złapią cię — ruszył do wyjścia. — Lecisz z nim? — pytanie to skierował do Helen.

— A powinnam?

— Nie. Jesteś bezpieczniejsza w swoim własnym świecie.

Wyszła za nim z helikoptera i przyglądała się, jak maszyna wzbija się w górę wśród huku silników i zamienia w coraz mniejszą plamkę na niebie.

— Zakładam, że zabezpieczyłaś sobie tyłek w Comptelu?

— Jak dziewczyna.

— Nie powiem Hammondowi. Wątpię też, czy ktokolwiek uwierzy porywaczowi. Zrobiłaś to dla pieniędzy, czy z zemsty?

— Dla pieniędzy... Ale zrezygnowałabym, gdyby Hammond mnie poprosił.

Wrócili na piechotę na średni pokład. Z pomieszczenia wyszedł Pickert, szczerząc zęby w uśmiechu, z ręką owiniętą przesiąkniętymi krwią kuchennymi ścierkami. Helen ruszyła w jego stronę. Chamberlain powstrzymał ją, kładąc rękę na ramieniu kobiety.

— Helen, nie rób żadnych interesów z Pickertem.



Pickert machnął fajką.

— Dzięki za pomocną dłoń, Chamberlain. Twarde sukinsyny. Oczywiście, gdyby wyczerpała im się amunicja, mielibyśmy nad nimi wyrażną przewagę.

— Miałem wrażenie, że mogli mieć więcej amunicji niż wy.

— Byliśmy tego ciekawi. Gdzie jest Hammond?

— W kabinie radiowej.

Poprowadził Pickerta po schodach. Helen szła za nimi z twarzą jak maska. Kilka gniewnych serii z broni palnej odbiło się echem we wnętrzu statku.

— Ciągłe się trzymają — skomentował Pickert. — Twarde sukinsyny.

W połowie drogi na górę Chamberlain zawołał przez zamknięte drzwi kabiny radiowej.

— Panno Isling?

— Kto tam? — krzyknął z nadzieją Hammond.

— Niewłaściwa strona. Pete Chamberlain. Chcę rozmawiać z panną Isling.

— Lady Isling — z naciskiem wymruczał Pickert. — Zupełny brak oglądy.

— Lady Isling — krzyknął Chamberlain. — Jestem tym facetem, który rozwalił radio. Zrobiłem to samo z urządzeniem w śmigłowcu i odesłałem go stąd. Może pani wypuścić teraz pana Hammonda. Licytacja Pendragona skończyła się.

Pickert przekonał Grandzaua, żeby kazał swoim ludziom się poddać. Znaleźli załogę statku, zamkniętą w jednym z kontenerów na pokładzie, i wysłali drżącego kapitana i sternika na mostek. Pokrzepieni gorącą kawą z porytego kulami kambuza, określili położenie frachtowca na niecałe sto mil od Southampton. Pięć godzin później nawiązali przez krótkofalówkę kontakt z wyspą Wight i przełączyli się na linię telefoniczną do Londynu. Z portu wypłynął torpedowiec marynarki wojennej

o budzącej respekt sylwetce, by eskortować ich do Portsmouth. W porcie ich statek był jedyną jednostką handlową pomiędzy flotą smukłych, szarych okrętów wojennych.

Inspektor Farquhar, szczupły jak sylwetki przycumowanych okrętów, stał na nabrzeżu w strumieniach jednostajnego deszczu. Za jego plecami czekał oddział detektywów ze Scotland Yardu, umundurowanych policjantów, *marines* z Marynarki Królewskiej i kilku dyskretnie ubranych młodych ludzi którzy, jak domyślał się Chamberlain, reprezentowali brytyjski wywiad.

Kapitana frachtowca wraz z załogą odprowadzono, aby złożyli zeznania. Ludzie Pickerta oddali broń komandosom, którzy objęli straż zarówno nad nimi, jak i najemnikami Grandzaua. Detektywi Farquhara, z których wielu upodobniło się do szefa, kopiając jego cienki jak ołówek wąsik i dopasowany, jednorzędowy płaszcz przeciwdeszczowy, zabrali Chamberlaina, uczestników licytacji, Karla Grandzaua, lady Janet Isling, Helen Thorp, Charlesa Hammonda, Douga Pickerta i ocalałego Rosjanina do pobliskiego baraku, gdzie Farquhar spisał ich zeznania.

Petrow zażądał respektowania immunitetu dyplomatycznego. Farquhar zaproponował mu eskortę policji do jego ambasady w Londynie albo na lotnisko w Heathrow. Rosjanin wahał się, jakby rozważał, jakie mu zgotują powitanie, i wzruszając z rezygnacją ramionami wybrał lotnisko.

Farquhar aresztował Karla Grandzaua, oskarżając go o porwanie, morderstwo, uprowadzenie frachtowca i stawiając jeszcze dziewiętnaście zarzutów związanych z wydarzeniami na lotnisku. Niemiec zrewanżował się oskarżeniem. Powiedział, że Helen Thorp, wiceprezes Comptel, Inc, do spraw administracyjnych, była jego współpracowniczką.

Charles Hammond, ze zmęczoną twarzą, pobrużdżoną jak popękane szkło, i rudymi włosami, które deszcz przykleił do czaszki, przeszedł całą procedurę w jakimś otępieniu. Teraz ożywił się, kiedy Helen wyraziła zdumienie wobec zarzutów. Chamberlain bronił jej.

Farquhar, wyraźnie pełen wątpliwości, zasięgnął informacji u swoich ludzi, którzy przesłuchiwali najemników Grandzaua. Żaden nie wiedział

nic o Amerykance na kierowniczym stanowisku. Chamberlain nie był tym zaskoczony. Grandzau, do końca opętany swoimi sekretami, nie powiedział nikomu, nawet więźniowi, o swoim cichym wspólniku. Teraz nikt mu nie wierzył, bez względu na to, kogo oskarżał.

Farquhar wyglądał tak, jakby sprawiło mu to ulgę. Powiedział Helen i Hammondowi, że mogą odejść. Limuzyna czekała, by zabrać ich do Londynu. Chamberlain przyglądał się w odrętwieniu, jak kobieta ujmuje zdecydowanie pośrednika pod rękę i wyprowadza go, nie poświęcając ani jednego spojrzenia czy słowa nikomu innemu w pomieszczeniu.

Potem Farquhar zwolnił pozostałych uczestników licytacji i oznajmił im, że będą mogli opuścić Anglię za dzień lub dwa. Wyszli pospiesznie do oczekującego autobusu, a kiedy pojazd odjechał, Farquhar i dwóch ludzi z wywiadu stanęło razem przy drzwiach. Chamberlain, lady Janet i Doug Pickert czekali. Byli w jakiejś szkolnej pracowni, gdzie na tablicy widniał uproszczony schemat torpedy narysowany kredą. Siedzieli ramie w ramie w plastikowych szkolnych ławkach. Chamberlain pośrodku.

Chamberlain trącił Pickerta łokciem. Człowiek z CIA miał na ramieniu czysty bandaż, a jego oczy były szkliste od środków uśmierzających ból.

— Jesteś mi winien przysługę — odezwał się Chamberlain.

— Tak sędzę.

— Możesz ją spłacić teraz.

Pickert zerknął na lady Janet, która siedziała spokojnie z rękami złożonymi na ławce.

— Głupia gęś.

Chamberlain nie zwracał sobie głowy wyjaśnianiem, że sądząc z tego, co usłyszał w kabinie radiowej, kobieta miała większe prawo być na statku niż ktokolwiek z nich. Powiedział tylko:

— Poprzesz mnie? — i Pickert twierdząco skinął głową.

Inspektor Farquhar wrócił w towarzystwie oficerów wywiadu i oświadczył, że wybory powszechne w Republice Malgaskiej przebiegły spokojnie, bez zamachu stanu. Pozostawała jednak jeszcze jedna kwestia. Czy lady Janet Isling widziała kiedykolwiek Petera Chamberlaina przed dzisiejszym dniem?

Odpowiedziała cichym, spokojnym głosem.

— Wydaje mi się, że widziałam go pierwszy raz w Brukseli, w zeszłym tygodniu.

— A potem? — pytał Farquhar.

— W Marsylii.

— W jakich okolicznościach, lady Janet?

— Uderzyłam go pistoletem.

Chamberlain odniósł wrażenie, że w kąciku jej ust dostrzeża słaby ślad uśmiechu, ale nie był tego pewien, gdyż patrzyła na Farquhara. Inspektor nie uśmiechał się.

— A potem?

— Na pokładzie frachtowca. Dzisiaj.

— Czy nie widziała go pani w Savoyu tej nocy, kiedy zastrzeliła pani rosyjskiego agenta KGB w apartamencie panny Thorp?

— Nie byłam w tym roku w Savoyu.

— Lady Janet, mamy świadków, którzy widzieli panią w Savoyu tej nocy, kiedy Rosjanin został zastrzelony. Z pewnością pani...

— Savoy to ulubiony hotel Karla Grandzaua — przerwała chłodno.

— Zatrzymywaliśmy się tam często, kiedy tylko musieliśmy przyjechać do Anglii. To było jedyne miejsce, gdzie się zatrzymywał.

Chamberlain kiwnął głową sam do siebie. To w ten sposób dołączyła do licytacji. — Ale kiedy zginął... To znaczy, kiedy myślałam, że zginął... Przeszłam przekraczać drzwi tego budynku. — Przez moment milczała, potem podniosła głowę i powiedziała bardzo miękko: — Miałam stamtąd dobre wspomnienia. Nie chciałam mieszkać tam sama.

— Właściwie — sprostował sucho Farquhar — nie była pani sama. Widziano panią z Henri Trefle'em.

— Właściwie, inspektorze, nie byłam w Anglii od ponad trzech lat, o czym może się pan przekonać, sprawdzając mój paszport. Zauważy pan, że moje jedyne odwiedziny w Anglii od czasu, gdy opuściłam dom w wieku dziewiętnastu lat, to te z Grandzauem w Savoyu.

— Biuro imigracyjne nie jest dla banitów jedyną drogą wjazdu do Anglii — warknął Farquhar. — Zaraz następnego dnia znaleziono na wybrzeżach Kanalu francuską łódź. Jej śladem trafiliśmy do Brestu, skąd została skradziona.

Lady Janet nie odzywała się. Farquhar zwrócił się do Chamberlaina.

— Przestań kręcić, Peter. Czy to jest kobieta, którą widziałeś w Savoyu? Ta, która zastrzeliła rosyjskiego agenta?

— Nie.

— Peter.

— To nie jest ta sama kobieta, inspektorze. Co mam powiedzieć?

— Prawdę. Spójrz na nią. Proszę wstać, lady Janet, jeśli jest pani te-  
ka uprzejma. Popatrz na nią, Peter. Patrz! Jesteś pewien?

Chamberlain podniósł na nią wzrok. Odwróciła się do niego twarzą, poruszając się z gracją, dając mu do zrozumienia, że robi to z własnej woli, nie z powodu Farquhara. Popatrzyła na dół i spojrzała Chamberlainowi w oczy spokojnym wzrokiem, który mógł określić jako złożony. Widział w nim ból, zadziwiająco głęboki i — niewiarygodnie — spokojny.

— Nie zapomniabym kobiety, która wygięła lufę pistoletu na mojej głowie — rzekł. — To nie ona była w Savoyu.

Zanim usiadła, w jej oczach na chwilę zamigotał śmiech.

Farquhar zmienił taktykę. Zapytał, jak to się stało, że znalazła się na pokładzie porwanego przez Grandzaua frachtowca. Lady Janet siedziała spokojnie i nic nie mówiła.

Farquhar drążył dalej, a stojący u jego boków mężczyźni podeszli bliżej.

— Lady Janet, zapędziła się pani w kozi róg. Albo dostała się pani na statek jako współpracowniczka Karla Grandzaua, a w tym wypadku oskarżę panią o współudział w porwaniu Charlesa Hammonda. Albo wsiadła pani do helikoptera razem z uczestnikami licytacji, co znaczy, że była pani w Londynie, kiedy zastrzelono agenta KGB.

Lady Janet nie odzywała się.

— Która z tych możliwości odpowiada prawdzie?

Nadal siedziała bez słowa. Chamberlain przyglądał się, jak delikatna żyłka pulsuje na powierzchni jej białej skroni. Dotknęła włosów, zakrywając mówiącą zbyt wiele żyłę pasmem złota.

— Która? — krzyknął Farquhar, uderzając nagle dłonią w biurko.

— Wsiadła na pokład sama — odezwał się Chamberlain.

— Co takiego?

— Wsiadła na pokład sama, żeby ratować Charlesa Hammonda.  
— Zamknij się, Peter. Która z tych możliwości jest prawdziwa, lady Janet?

— Ona pracuje dla rządu Stanów Zjednoczonych.  
Farquhar otworzył usta i popatrzył na niego z niedowierzaniem.  
— Co takiego?  
— Powiedziałem, że lady Janet pracuje dla rządu Stanów Zjednoczonych.

— O czym ty, do diabła, mówisz?  
— Nie znam całej historii, ale jeden z naszych agentów zwerbował ją z powodu powiązań z Grandzauem.

— Co ty mówisz?  
— Mówię, że zrobiła cholernie dobrą robotę i była raczej lojalna, nie przyznając się do tego.

Farquhar uciął mu gniewnie.  
— Oczekujesz, że uwierzę w ten nonsens? Ostrzegam cię, Peter. Mam dosyć materiału, żeby wsadzić cię na długo. Zaczynając od broni, którą zostawiłeś w pokoju w hotelu.

— Mówię dokładnie to, co słyszałeś.  
Doug Pickert podniósł fajkę.  
— Inspektorze?  
— Czego pan chce?  
— Obawiam się, że ten zbyt gadatliwy facet tutaj mówi prawdę. Teraz nie jestem upoważniony zajmować się tym oficjalnie i nie mam takiego zamiaru, ale ponieważ jest to prywatne spotkanie i Pete zdradził już tajemnicę tej damy, mogę powiedzieć panu, że jest coś w tym jego oświadczeniu. To powinno być wyjaśnione odpowiednimi kanałami w ciągu kilku tygodni.

Farquhar wlepił w niego oczy. W końcu odwrócił się ponownie do lady Janet.

— Co ma pani do powiedzenia o tym wszystkim?  
Uśmiechała się pogodnie.  
— Nie może tak po prostu przyznać się do tego — sprzeciwił się Chamberlain. — Nie chciałbyś, żeby to zrobiła, gdyby pracowała z tobą, prawda, inspektorze?

Farquhar wyrzucił ręce w górę.  
— W porządku. Panie Pickert, mamy ambulans, który czeka, żeby

zabrać pana do szpitala. Proszę pojechać z tym człowiekiem. Jeśli o ciebie chodzi, Pete, spotkaj się ze mną w Londynie, jutro. Zjemy razem lunch, wyjaśnimy sobie kilka szczegółów. Idźcie. Chciałbym zakończyć moją rozmowę z lady Janet bez waszej pomocy.

Chamberlain podniósł się wolno.

— Ona nie potrzebuje żadnej pomocy, o ile nie spróbujesz jej naciskać zbyt mocno.

— Tego nie zrobię. Masz moje słowo. Do zobaczenia jutro.

Chamberlain wyszedł za Pickertem i pożegnali się przy ambulansie. Jakiś policjant zaproponował, że odwiezie go do Londynu. Odmówił i poszedł pieszo w deszczu. Patrzył na bazę brytyjskiej marynarki i przypomniał sobie dziesiątki takich czystych, uporządkowanych miejsc. Szedł wolno długim podjazdem do głównej bramy.

Strażnik zasalutował. Chamberlain oddał mu honory, a potem stanął, samotny, pod budką strażników, chroniąc się przed wiatrem pod jej wystającym dachem. Sznur mokrych, czarnych taksówek połyskiwał w świetle latarni, czekając na pasażerów.

Chamberlain stał tak przez długi czas, zastanawiając się, co Helen i Hammond powiedzą sobie w samochodzie po drodze do Londynu, i doszedł do wniosku, że być może mądrze będzie zadzwonić do Alfreda Cowana, zanim ona to zrobi. Sprawdzić, jak sprawy się mają. Nie dlatego, że Helen mogłaby mu coś zrobić. Nie miała żadnego powodu, nie opowiedział Farquharowi jej historii podczas śledztwa. Poza tym, Helen nie była osobą, która traciłaby czas na odgrywanie się. Raczej parla do przodu. Powinien jednak dowiedzieć się, jaki rodzaj premii Cowan miał na myśli.

Rozmyślał o tym, jak pięknie wyglądała, kiedy biegła w Ogrodach Temple, z włosami rozrzuconymi tak, jak poprzedniej nocy na poduszce, i jak wtedy, gdy nacisnęła spust.

Lady Janet szła w deszczu równym krokiem, z rękami w kieszeniach, wysoko podniesioną głową i dyskretnym uśmiechem na twarzy. Zobaczyła go przed bramą i zatrzymała się.

— To było strasznie szlachetne z twojej strony.

— Nie ma sprawy. Uważałem, że mam wobec ciebie pewne zobowiązania. Nie licząc Marsylii, oczywiście.

— Wolałbyś, żebym cię wtedy zastrzeliła?  
Powiedziała to z uśmiechem. Odwzajemnił się tym samym.

— Dzięki, że podjęłaś ryzyko.

— Zrobiłam pierwszą rzecz, jaka przyszła mi do głowy... Wiesz. Chamberlain pokiwał głową.

— Jasne. Kiedy uważa się, że jest już za późno... działa się szybko.

Rozmowa im nie szła, zażenowani patrzyli na siebie przez przepaść tego, co stracili.

— Farquhar bardzo dał ci w kość? — zapytał.

— Nic, z czym nie mogłabym sobie poradzić — odparła lady Janet. Spojrzała na taksówki, jakby chciała wezwać jedną z nich, potem zmieniła zdanie. — Czy to, co powiedział Karl, było prawdą?

— O czym?

— Że twoja przyjaciółka była jego współniczką.

— Ona nie była moją przyjaciółką. Była moim szefem. Tak, ona i Grandzau byli współnikami.

— Od początku?

— Zanim jeszcze porwał Hammonda.

— Czy byli kochankami?

— Nie. Ona była z Hammondem. Grandzau dowiedział się, że Hammond wykorzystywał ją i jej firmę dla wsparcia swojego zamachu stanu. — Chamberlain podniósł wzrok z mokrej ziemi i popatrzył jej w oczy. Chciał być sam. Wcześniej jednak chciał pomówić z kimś, komu mógłby zaufać. — Kochaliśmy się pewnej nocy w Savoyu. Po tym, jak ty i Trefle odeszliście. Chyba nigdy nie obudziłem się bardziej szczęśliwy w pierwszej minucie poranka. Ale to było częścią jej planu.

Lady Janet z emfazą pokręciła głową.

— Takie rzeczy rzadko są ukartowane do końca.

Chamberlain wzruszył ramionami.

— Jak się czujesz? Wykorzystany? Głupi?

— Jest mi przykro.

— To dobre określenie.

— A ty?

— Jestem odrętwiała. Trochę obolała. Deszcz padał coraz bardziej.



Lady Janet zamachała na najbliższą taksówkę. Samochód podjechał. Wsiadła, odkręciła szybę i popatrzyła na Chamberlaina, który stał pod okapem.

— Dokąd jedziesz? — zapytała.

— Nie wiem.

— Chciałbyś, żebym cię podwiozła do stacji?

Chamberlain zastanowił się.

— Myślę, że raczej postoję tutaj, dopóki nie przestanie padać. Dziękuję.

Lady Janet przyglądała mu się uważnie spod długich, jasnych rzęs.

— Kiedy przestanie padać, mój dom jest w Gloucestershire. Nazywa się Isling House. Każdy wskaże ci drogę.